

BRANKI W JASSYRZE.

Druk. P. Laskauera i W. Babickiego, w Warszawie.

DEOTYMA.



BRANKI *
W JAŚYRZE.

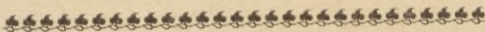
O! BO LEPIEJ PÓJŚĆ NA MARY,
NIŻ W NIEWOLE NA TATARY.

(Piosenka ludowa).



WYDANIE DRUGIE.

TOM VI.



WARSZAWA.

NAKŁADEM XIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

NOWY-ŚWIAT 41.



1901.

Дозволено Ценаурою.
Варшава, 14 Октября 1901 года.



174105

KS. B. H. K. W. S. T. T.

CZEŚĆ SZÓSTA.

Między swemi.

Gościńcem wijącym się nad brzegiem Odry, idą dwie niewiasty trędowate. Każdy przechodeń odgaduje zdala ich nieszczęście, po znaku jaki noszą na piersiach, a który wyobraża rękę z białej wełny, o palcu wyciągniętym jak na drogowskazy. Ale też gdyby nie ten znak ostrzegawczy, trudno by się domyślić że to istoty ciężko chore, tak idą rażno, ach! nawet radośnie.

Kilka lat minęło już od chwili gdyśmy te same niewiasty oglądali wśród palm Jerychońskich. Musiały — jak widać — długo czekać na wypłynięcie okrętu, musiały długo wędrować przez Włochy, Francję i Niemcy. Ale te lata zamiast przymnożyć im wieku i cierpień, odrodziły je, nieledwie odmłodziły. Czy im pomógł długi wypoczynek w Palestynie, czy im pomogły siarczane wody Jordanu, same one dobrze niewiedzą; w każdym razie dzisiaj, Elżbieta stąpa dosyć równo,

już tylko na jednym kosturze oparta, Ludmiła zamiast owéj czarnej, okropnej zasłony, ma rąbek biały, w pół przejrzysty, a choć już nic nie wróci jéj wyzartéj piękności, przecież umniejszenie cierpień wróciło jéj wzrok i głos ludzki. Ubiory ich także wcale odmienne od owych ohydnych łachmanów, którym trudno było dać jakąkolwiek nazwę. Dziś mają szare, ciepłe sukmany z kapturami, pasy lśniące, skórzane, a na ramieniu sakwy pełne denarków i żywności.

O! Bo téż to inna podróż po Azji, wśród hord stepowych lub wrogich Muzułmanów, a zupełnie inna w Europie, gdzie pielgrzymki znajdują co kilka mil klasztor, w nim przytułek, dach, smaczne jedło i rozliczne leki. Wprawdzie w ówczesnej medycynie, tak niestety jak jeszcze i w dzisiejszej, nie było *panacei* na zupełne, nieomyłne wyleczenie trądu; znano jednak mnóstwo środków przynoszących ulgę, umniejszających zjadliwość choroby, i musiały te ulgi bywać bardzo skuteczne, kiedy według wskazówek historii, widzimy wielu trędowatych doczekujących wieku sędziwego, i to nie w osamotnieniu, ale wpośród świata, nieraz nawet na wysokich dostojenstwach. Ci, musieli być albo w pół wyleczeni, albo lekko cierpiący. Bo téż ogólnikowa nazwa *trądu* zamykała w sobie cały szereg chorób, odmiennych stopniowaniem jak łań-

cuch gór, co się zaczyna przy ziemi, a kończy w strefie śniegów. Po długim doświadczeniu, już umiano nieźle rozróżniać te stopnie, mianowicie trzy główne, z których dopiero trzeci, według pojęć ówczesnych, uchodził za niebezpieczny dla społeczeństwa, i wymagał odosobnienia. A i tu jeszcze, wyrok nie zapadał samowolnie; urząd umyślnie na ten cel wyznaczony, miał surowe i drobnostkowe przepisy, których pilnowali lekarze i duchowni.

Mylne to więc, choć upowszechnione wyobrażenie, jakoby *wszyscy* trędowaci byli wykluczeni z towarzystwa. Tak się działo w Afryce i w Azji, ale nie w Europie oświeconej, tchnącej najgorętszą ofiarnością, zwłaszcza w trzynastym wieku, kiedy plaga dochodziła dopiero najwyższego rozrostu, i kiedy świat Chrześcijański pieścił jeszcze nadzieję, że połączonemi wysileniami nauki, modłów i poświęceń, potrafi ją zupełnie zwyciężyć.

Pilny badacz starych dokumentów jest owszem zdziwiony i wzruszony, niesłychaną pieczołowitością i niemal czcią, jaką ci nieszczęśliwi są w owym wieku otoczeni. Kiedy na Wschodzie, jeszcze od czasów Mojżeszowych, rodzaj pogardy i przekleństwa ciążył nad trędowatemi, teraz na Zachodzie pogląd się nagle zmienia: rzekłbyś że wieki powtórzyły całą rozmowę Joba i jego towarzyszków,

i zbliżają się już do epilogu, do usprawiedliwienia ofiary. Choroba przychodząca głównie z Ziemi *świętej*, przywożona przez wyprawy *święte*, przybiera także w ludzkiej wyobraźni jakąś cechę *świętości*, strasznej, tajemniczej. Zjawiska jej, niewytłumaczone, nietylko dla tłumu ale i dla uczonych, wyslizgujące się z pod wszelkich pokuszeń świeckiego mędrkowania, wyglądają na bezpośredni dopust boży; tak, na dopust, ale już nie na karę, bo ludzie się pomiarkowali; spostrzegli że ta plaga nie jest następstwem szaleństw albo zbrodni, ale czepia się wszystkich bez różnicy, winnych i niewinnych, częstokroć uderza w najcnotliwszych. Świat zaczyna patrzeć na trędowatych, już nie jak na wyrzutki społeczeństwa napiętnowane gniewem bożym, ale owszem jak na wybrańców ofiarnych, co swoją męką mają może okupić grzechy wielu zdrowych?

Taki zwrot umysłów, cudownie oddziaływa przeciwko złym instynktom tłumu; wprawdzie choroba szerzy się z tą niesłychaną gwałtownością, jaka zwykle towarzyszy początkom każdego wybuchu; postrach rozszerza się także coraz mocniej, samolubstwo już gdzie-nie-gdzie szuka srogich środków obrony, jednakże ludzie dobrej woli — jakich wtedy nie brakło — walczą niezmiernie przeciw samolubom i tchórzom.

Miłosierdzie publiczne i prywatne, wysila się

na wszelkie wynalazki rozumu i serca, byle osłodzić los owych odkupicieli. W Palestynie dawno powstał na ich obronę rycerski zakon Braci Szpitalnych, z Mistrzem trędowatym na czele. W Europie, uczniowie Świętego Frańciszka, według pierwotnych ustaw, zobowiązują się *głównie* do pielęgnowania trędowatych. Cały Zachód porasta murami *Lazaretów*, których sama nazwa tłumaczy przeznaczenie, bo wówczas tylko trędowatych zwano Łazarzami. Wszyscy inni chorzy wobec tych ofiar zostają nieledwie zapomniani; wszystkie inne niedole gasną obok téj arcy-niedoli. Deszcz dobroczynnych zapisów spada na ich głowy. Sam oto Święty Ludwik testamentem zapisuje ogromne summy na utrzymanie *dwóch tysięcy* trędowatych. Dar prawdziwie królewski, dowodzący hojności dawcy, a zarazem i liczby chorych. A przerażającą była ta liczba, kiedy szacowny szczegół statystyki ówczesnej opowiada, że w Europie istniało *dziewiętnaście tysięcy* Lazaretów. Smutne tam było życie, niéma co mówić, w tych poniewolnych Tebaidach. A jednak i tam jeszcze, pustelnicy mieli za co dziękować Bogu i ludziom; Kościół otaczał ich samotność tysiącem duchownych pociech, publiczność ją otaczała krociami doczesnych osłodeń.

Słowem, rzesza trędowatych stała się w rodzinie Chrześcijańskiej owém dzieckiem kaleką, co właśnie z przyczyny swojego kalectwa, jest najbardziej kochaném przez rodziców, najbardziej psutém

przez rodzeństwo. Dla nich najrzewniejsze ustępy Liturgji, dla nich najgorętsze współczucie narodów, dla nich najwspanialsza opieka monarchów, dla nich najszaleńsze poświęcenia Zakonów, dla nich najczulsze pieczyoty Świętych Pańskich. Rzekłbyś, wielka Krucjata serca, którą zdrowi przedsiębiorą dla ocalenia chorych.

Niestety! Cudowny ten zapał miał kiedyś ostygnąć..... Co mówię? Miał się zmienić w najczarniejszą nienawiść. Zaraz następny wiek czter-nasty, ów ponury wiek różnych fanatyzmów, nadał umysłom kierunek wręcz przeciwny. Społeczeństwo, zdziwione niezaradnością tylu środków, oburzone bezsilnością tylu poświęceń, znudzone uporczywością klęski, zaczęło odsuwać trędowatych coraz chłodniej, coraz pogardliwiej. Ludzie wrócili do starych pojęć przedstawiających trąd jako zasłużoną karę, poszli nawet jeszcze dalej, zaczęli podejrywać czy ci wyklęci nie sprowadzają gniewu bożego i na resztę ludzkości? Odtąd, wszelkie klęski przypisywano ich szkodnemu wpływowi, domniemanym ich stosunkom z piekłem; przestraszony wynalazł sobie krwawą wymówkę przesądu, i czekał tylko sposobności aby się wyzbyć tego ciężaru społecznego. Aż przyszła sposobność, bo dla chcących zawsze przychodzi; wybuchnęła zaraza morowa, najstraszniejsza jaką dzieje pamiętają, tak

zwana «Czarna śmierć», co zmiotła trzecią część mieszkańców Europy. Narody obłąkane rozpaczą, nie wiedząc na kim wyrzucić zemstę, w kim winę wynaléżyć, rzuciły się do prześladowania trędowatych, a prześladowanie to, najdzikszym nawet ludom nieznané, stanowi może najhaniebniejszą plamę na czole owego stulecia, co się tylu hańbami splamiło.

Ale za czasów jakie opisujemy, ta czarna karta dziejów ludzkich, była jeszcze bieluteńką w pustéj xiędze przyszłości, — nikt, nawet żaden prorok, nie przewidywał podobnego zwrotu wypadków, — a tymczasem trędowatym coraz się lepiej działo; Elżbieta i Ludmiła trafiły na epokę najszczęśliwszą dla tych nieszczęśliwych, na chwilę największego zapału. Po jałmużnie pogan, wyciśniętój tylko postrachem, rzuconój z odwróconą głową, niewymownie słodką im się wydawała jałmużna Chrześcijan, podawana ze łzą serdecznego współubolewania, ze słowem pociechy, ach! czasem nawet na kolanach. Pełną piersią piły współczucie, pełnemi rękami zbierały ofiary.

Zwłaszcza Elżbieta. Bo Ludmiła nieraz jeszcze się zżymała na przewrót w ich losie; teraz nawet może go czuła mocniéj niż z początku. W Azji, nic

jój nie upokarzało; od barbarzyńców przyjmowała i datki i obelgi z równą obojętnością, jakby od zwierząt co niemogą ni schlebić ni ubliżyć. Ale tu, kiedy się odnalazła wśród ludzi równych sobie duchem, pod tém niebem co niegdyś zazdrościło blasku jój źrenicom, na tych ziemiach co niegdyś słały się przed nią samém kwieciami i złotem, cała przeszłość stanęła jój w oczach; teraz dopiero zmierzyła przepaść rozdzielającą dwie Ludmiły, i ta druga wydała jój się dziwnie poniżoną przez Boga i ludzi. A jeszcze dotkliwiej czuła poniżenie Elżbiety. Wszystko ją bodło; zawsze drżała aby jaki dawny znajomy ich nie poznał, aby jaki okrutnik nie chciał z nich zażartować; po namyśle, nieraz uśmiechnęła się z własnych obaw, nieraz mówiła sobie: «Zapomnę!» Ale niemogła. Nie umiała żebrać; lekkiego brakteatu co z ręki nazbyt skwapliwej upadł aż na ziemię, nie umiała pokornie podnieść, nie umiała podziękować inaczéj tylko jakimś mruknięciem, które oziębiało serce dawcy.

Elżbieta nieraz łagodniuchno ją strofowała.

— Moja droga, czemu ty żałujesz dobrego słowa tym którzy nas obdarzają? Przypomnij sobie czasy kiedy myśmy drugich mogły obdarzać, jak nam wtedy był miły uśmiech ubogiego! Jak nas bolała niechęć albo ponurość tych których pragnęłyśmy pocieszyć. Nie czynь drugiemu co tobie nie miło. Dawać to umiałaś, a przyjmować nie umiesz.

— A, to co innego!—Odparła z westchnieniem Ludmiła.—Dawać to tak przyjemnie!

— A widzisz, sama siebie potępiasz. Kiedy dawać przyjemnie, więc niewielka sztuka. O tak! Wszelka jałmużna już sama w sobie nosi rozkosz, która jój odejmuje większą część zasługi. Ale przyjmować, cnotliwie przyjmować, to większa sztuka. Brać co dają, bez przebiérania i bez dumy—za wszystko dziękować — szczęśliwszym nie zazdrościć—odmową się nie obrażać — o! to są cnoty twardsze, i rzadsze u biednych niż miłosierdzie u bogatych.

— Ależ kiedy ja się wstydzę..... żebrać, to okropnie.

— Czego się tu wstydzić? Gdybyśmy te nie-szczęścia były sobie ściągnęły naszą własną winą, wtedy i wstyd byłby słuszny, a jeszcze i wtedy znieść by go trzeba ze skruczą, jako zasłużoną pokutę. Gdybyśmy były zdrowe, silne, i żebrały z próżniactwa, o! tożby dopiero była zgroza. Ale istotom chorym, starym, wracającym z pogańskiej ziemi, wolno szukać u drugich pomocy. Któż tedy będzie miał prawo do żebrania, jeżeli nie my? Tak, Ludko, my mamy prawo prosić, ale mamy téż i obowiązek odpłaty, a nie możemy się niczém na świecie odpłacać, tylko dobrém słowem i widokiem naszej radości. Więc bądźmy żebraczkami cnotliwymi, przyjemnemi Bogu i ludziom.

-- Masz słuszność Elżuniu, jak zawsze masz

słuszność, złote twoje słowa, ale próżne..... już ty świętej nie zrobisz ze mnie.

--- Czemu nie? Tobie już tak mało brakuje do zupełnej czystości duszy! Gdybyś jeszcze chciała wykorzenić tę odrobinę pychy..... bo to pycha moja Ludko, nic innego tylko stara Adamowa pycha, która pod łachmanami nędzy jeszcze się częściej czai niż pod królewską purpurą. To nic nie pomoże, ty musisz zostać świętą, Bóg tego widocznie po tobie wymaga, kiedy cię takimi próbami pędzi do pokory. Nieraz łamałaś sobie głowę dla czego spuścił na nas tę straszną chorobę, i tyle, tyle nieszczęść? A może właśnie tylko dla tego, aby nas nauczyć tych cnót jakich nam brakowało? To dowód że On bardzo nas miłuje, że bardzo dba o nasze polepszenie. I powiedz sama, jeżeli krótkie bóle i niewygody ciała, potrafimy obrócić sobie na wieczną korzyść duszy, wszak nie żal będzie tych kilku lat biedy? Nieprawdaż?

Podobne rozmowy często się toczyły między podróżniczkami, i nieznacznie wydawały owoce. Już Ludmiła coraz mniej się trzęsła na losy, już nawet kilka razy podziękowała dobroczynnym przechodniom, a za każdą razą serdeczny uścisk Elżbiety, stawał jej się bodźcem do coraz większej odwagi.

W tój chwili także nastęrczyła się sposobność do pokazania pokory. Drogą nadjeżdżał jakiś orszak, liczny i strojny, śmiejący się i śpiwający. Niewiasty, jak zwykle, ustąpiły z gościńca, i przystały z boku przyglądając się pilnie, a Ludmiła wyrwała z rąk Elżbiety malutki koszycek z brękadęłkiem, i rzekła:

— Poczekaj, tą razą ja poproszę.

— Dobrze, dobrze. — Odparła z uśmiechem Elżbieta, i podała jój swój kostur, a Ludmiła zawiesiwszy na nim koszycek, wyciągnęła kij ku drodze, bo tak trędowaci zwykle odbierali jałmużnę.

Ale niedługo kij zadrżał w jój ręku, tysiąc wspomnień wzburzyło jój myśli, chwyciła ramię Elżbiety, szepcąc:

— Czy słyszysz? Czy poznajesz tę piosenkę?

Istotnie, nuta była znajoma. Gdzie, kiedy ją słyszały, niepodobna sobie przypomnieć, ale z tą nutą wiązał się jakiś obraz bardzo dawny, i jakieś wrażenie bardzo miłe.

Orszak wyglądał na weselny, a w każdym razie na świąteczny. U wszystkich czapek, nawet na głowach końskich, zatknięte były zielone gałazki. Wszyscy pośpiwawali, pojedynczo lub chórem. Właśnie teraz, jakiś głos młodzieńczy, srebrzysty, zanucił te słowa:

Poznaje drzewa ojczyzny swojej.
Klasztorna wieża dzwonem go wzywa.
Przed nim Regina w światłości stoi.

«Regino, czyś ty nieżywa?»

I cały chór powtórzył:

Regino, czyś ty nieżywa?

Niewiasty spojrzały po sobie — łzy błysły im w oczach.

Właśnie orszak zaczynał przed niemi przeciągać.

Przodem jechali jacyś piękni państwo, pewnie małżonkowie, niezbyt już młodzi, ale suto przybrani. On musiał być pasowanym rycerzem, bo tuż jechał i giermek, wiozący zbroję pańską, starannie spowinięta; kopji tylko niemógł schować, ale ładnie trzymał ją w toku.

Za rodzicami, na mniejszych konikach, zjawiła się młodzież, zapewne ich dzieci; dwie panienusie o różowych kapturkach, z których ciekawie wyglądały ich różowe buziaki. Między niemi podżyła ochmistrzyni, z białą podwijką w około żółtej twarzy.

Za panienkami harcował młodzianek, jak łatwo zgadnąć, syn pański; śliczne jego rysy przypo-

mniały niewiastom jakąś twarz znajomą; czyją? Trudno rozróżnić w pamięci, w której tyle a tyle twarzy się przesunęło!

U boku młodzieniaszka, jechał człowiek starszy, z golonej głowy i długiej sukni znać że Kleryk. Może «Preceptor» panicza, bo mu przy pasie wisi kałamarzyk,—a może Jałmużnik pański, bo przy tymże pasie wisi téż i grubo nadziana torebka.

Po drugiej stronie panicza był jeździec dziwniejszy, ów to właśnie młodzian co tak nadobnie śpiewał; a nietylko śpiewał, ale i przygrywał; miał coś jakby skrzypczki zwieszane przez ramię i po każdej zwrotce rznął cienką przegrywkę.

Za nimi jechało jeszcze dwóch trębaczy, dalej służba, i konie luźne, i jeszcze inne, objuczone zapasami podróznymi.

Małżonka rycerskiego pana, przejeżdżając około niewiast, wzdrygnęła się i rzekła:

— Matko Boska! Cóż to za biédactwa! A toż godzi się wesprzeć, i hojnie.

Małżonek zwrócił głowę w tył ku Klerykowi.

— Słuchaj Wasze—jałmużnę tym niewiastom, a sownie, bo to Łazarzowa świętość.

Kleryk zatrzymał konia, i zaczął rozwiązywać sznury swojej torebki, które mu się jak na złość za-

syplały, a niekiedy spoglądał z pod oka, czy dosięgnie do koszyczka Ludmiły?

Ale ta, już go precz rzuciła. Owładnięta wrażeniem śpiewu, chwyciwszy znów ramię Elżbiety, wołała:

— Słyszałaś? To piosenka Mistrza Gaudentego! To piosenka o Rycerzu Silentusie!

Młody śpiewak, co właśnie w téj chwili przejeżdżał koło niewiast, posłyszał te słowa, zdumiał się niesłychanie, aż mu ręka ze smyczkiem opadła na szyję końską. Przystanął także i zawołał:

— Boże wielki! Jakoż to szeroko idzie głos chwalebności Mistrzów, kiedy oto we wtórem i trzecim pokoleniu, nawet żebraki mówią jeszcze: «Oto piosenka Gaudentowa!»

Wykrzyk ten boleśnie dźgnął Ludmiłę.

-- Młodzieńcze! — Odparła z podniesioną głową. — Nie zawsze my były żebraczkami. Niegdyś my słyzały tę piosenkę z ust samego Mistrza, na komnatach królowej Kingi.

-- Ehe matusiu, wolne żarty.....

-- Młodzi wy, to jeszcze niewiécie jako dola bywa przewrotna!

Tu Elżbieta chcąc przerwać zbyt ciętą rozmowę, zagadnęła swoim łagodnym głosem:

— Łaskawcze, a niemogli by téż wy nam powiedzieć, co się stało z Mistrzem Gaudentym? Czy on jeszcze żyw?

Śpiewak milczał przez chwilę, niepewien czy ma się wdawać w rozmowę z żebraczkami? A jednak było w ich ruchach, w ich mowie, coś pańskiego, coś niezwykłego, co go przyciągało i dziwną w nim ciekawość budziło.

— Szczęśliwe z was niewiasty — cdrzekł — że wy znały Mistrza Gaudentego! Jam go już nieznał, a w jego piosenkach tak się kocham, dalibóg więcej niż we własnych. Czy żyw? Ach, ja i tego nieświadom. Prawią ludzie jakoby on okrutnie miłował jakowąś białogłową, a imienia jój nigdy z ust nie puścił. I usychał z onego miłowania, aż nasza królowa Kinga dała mu takową radę: «Pójdź ty do grobu Pańskiego, a Pan cię uleczy.»

— I cóż, poszedł?

— Pojechał z Krucjatą — i nie wrócił. Dużo to już temu lat. Niektóre ludzie gadają że Saraceny go zabiły jakoby męczennika, inne znowuż ludzie prawią, że u Grobu Jezusowego zaśpiewał się, i omglał na śmierć w «zachwyceniu.»

— Czy taką, czy taką śmiercią, zawsze pięknie do Pana Boga przeszedł.—Zauważyła Elźbieta.—Nasza Xiężna Kinga, zawsze mądre podawała rady. A ona, ta kochana, żywa jeszcze?

— A czemu niema być żywa? Siedzi sobie,—

czysta święta — w swoim Sąddeckim klasztorze. Ludzie nawet gadają, co tam cuda się dzieją.

— W klasztorze, mówicie? A cóż jęj małżonek? Czy już nie żyw Xiążę Bolesław?

— A zkąd wy matki przychodzicie, że nic o niczém niewiécie? Xiążę Bolesław już od roku w grobie.

— Czy tak? Mój Boże, jaka go nam szkoda! — Utyskiwały niewiasty. — A kto sprawuje teraz rządy w Krakowie?

— Któż ma sprawować? Xiążę Leszek.

— Aha, Leszek. Jakiż to Leszek?

— A no, jaki? Ten co to go *Czarnym* zowią, ten co to go Xiążę Bolesław niby za syna przybrał.

— Jezu miłosierny! Wszystko inaksze! Jedno powymiérało, drugie powyrastało, ani czego poznać.

Tak żaliły się branki. Tymczasem téż Kleryk już nakoniec rozsyplął swój worek. Elżbieta podjąwszy upuszczony koszyczek, i pokłoniwszy się za hojny datek, zapytała:

— Dobrodzieju, powiedźcie nam jak na imię temu panu wielce miłosiernemu, aby my się mogły za niego niekiedy pomodlić.

— Nazywa się, rycerz Sylwester.

— Sylwester..... a zkąd on?

Elżbieta chciała wiedziéć zkąd rycerz był rodem, ale Kleryk opacznie zrozumiał jęj pytanie.

— Zkąd jedzie? Z Kalisza. Z wesela. Z dwóch wesel. Właśnie brat Xięcia Leszka, ów co to ma na przydomko «Łokietek», brał jedną dziewczkę po Xięciu Kaliskim. A drugą brał Xiąże Lignicki. Więc my naprzód odprowadzali jedną parę do Brześcia, potem drugą do Lignicy, potem znów zabawili się u Xięcia na Wrocławiu, a teraz jedziemy doma, bo też i gadają coś ludzie o wojnie z Hallickim, czas panu jachać do chorągwi. A wy dobre matki, zkąd idziecie, czy z pielgrzymowania? Może z Loretu? Czyby aż z Kompostelli?

— Oj nie, Dobrodzieju. My nie z pielgrzymowania, my z niewoley, z Azyjskiej ziemi, od Tatarów.

Słuchacze osłupieli.

W tej chwili, pędem konia, nadbiegał raz jeszcze panicz.

— Oj, uciesznoż mi że wy tu jeszcze. — Wołał. — Siostry was obsyłają także malusią jałmużenką. Jak zaczęły szukać po węzłkach, tak się i znalazła.

I sychnął białe pieniążki do koszyczka.

— No, a wy co tak stoicie? — Zapytał obu jeźdźców.

— My się dziwujemy..... — Odparł Kleryk. — Te niewiasty prawią jakoby wracały od Tatarów.....

— Oj, czemu też to pana Ojca tu niema? Toż by im był rad. On takż był zabran od Tata-rów..... dawno, dawno temu..... ale im się wyśli-zgnął szczęśliwie. Mało sto razy nam rozpowia-dał, jako to z rozłupaną głową, przebięrał się wpław przez rzekę..... jakie to jój przezwisko? A niech-że ją.....

— Przez Prut?—Podsuneła Elżbieta.

— A juści! Prut! Prut! A zkąd wy to wiecie?

— My znały waszego pana Ojca. On wte-dy miał wasze latka.....

Chłopcu zaiskrzyły się oczy. Ale w téj chwili zabrzmiała w oddaleniu trąbka.

— Oho! Pan Ojciec nas przyzowa! Trza lecié, bo się będzie sierdził.

I jako posłuszny synaczek, co żywo zawrócił konia.

Spiéwak, rzuciwszy niewiastom uprzejme «Szczęść Boże!»—także puścił się za nim, témbar-dziej że trąbka coraz niecierpliwiej nawoływała niesfornie rozpierzchniętych jeźdźców.

Kleryk jechał wolniej.

— Dobrodzieju! Dobrodzieju! —Zawołała, bie-gnąc za nim, Ludmiła.

— Czego jeszcze?

— Wy z Wrocławia jedzicie, tak? A dalekoż to ten Wrocław?

— Tam, za laskiem! Dziesięciu pacierzy by nie zmówił od czasu jak my wyjeżdżali z bramów.

Tu spał konia, i szybciej pobiegł.
Wszyscy znikli w żółtych kłębach pyłu.

Elżbieta i Ludmiła tymczasem, na środku gościńca objawszy się w ramiona, zamieniały uścisk i wykrzykiwały:

— Wrocław! Wrocław! Już za chwilę dowiemy się o Jasiu!

— A może, — dodała Elżbieta — i on sam się tam znajdzie? Może on pielęgnuje stare lata wuja, co mu był jakoby wtórym ojcem?

I szły szybko, coraz szybciej, z bijącym sercem. Już weszły w ten las, za którym ukazać się miało miasto dobrej wieści.

Przez drogę wspominały, niegdyś giermka, dziś rycerza Sylwestra.

— To ten sam! Ten sam! Bóg mu poszczęścił! Dzięki Bogu!

— Ja też — mówiła Elżbieta — onego młodzianka jakobym poznała z dawności, a to czysty ojciec! Tylko tamten był poranion i zabiędzon, a ten zdrow i wesół.

— Wszyscy tu dla mnie za weseli..... — Rzekła pochmurnie Ludmiła. — Tu nikt nie wspomina sobie, ilu tam braci jęczy pod batem pogańskim, nikt! O, gdyby tamci wiedzieli..... może by im się i wracać odechciało!

Elżbieta westchnęła.

— Prawda. — Rzekła. — A jednak, Ludko — muszą być i tu dobre dusze, co pomną i płaczą

w tęsknicy, tylko nie na gościńcach, nie przed ludźmi, jeno w cichéj komórce, albo przed Krzyżem Pańskim. I co ci jeszcze powiem: uważyłaś, ile tu młodziaków? Nie widzieli, ha! to i nie pomną.

W téj chwili wyszły z lasku, i na widnokregu pokazało się miasto, świećące kilku wieżami, szarzące warownym zamkiem.

Obie spojrzały po sobie w upojeniu, mówiąc:

— Tam! Tam!

I zaczęły biedz jak na skrzydłach.

Nagle — Elżbieta stanęła.

— Co ci jest Elżuniu?

— Ach, niewiem, ale boję się iść..... A gdyby téż? Kiedy wspomnę że tyłu powymięrało, strach mię ogarnia..... A gdyby téż i mego brata już nie było?..... A czasem i młodzi przed starszemi odchodzą..... Doprawdy, nieśmiem powiedzieć..... ale i Jaś..... Czy my go żywym znajdziemy? Czy my wiemy do czego nam tak spieszo?

Ludmiła w pierwszej chwili nie wiedziała co mówić, ach bo i w jéj myślach téż same trwogi dawno już kołowały. Chcąc jednak dodać odwagi Elżbiecie, zaczęła szukać, szukać, aż znalazła odpowiedź:

— Nie, — Jaś żyje, — musi żyć, bo i po cóżby nas Pan Bóg tu sprowadzał przez tyle niebezpieczeństw i dziwów? Aby nam taką krwawą zgotować niespodziankę?

— Moja droga, wyroków boskich nikt nie może ani przewidzieć ani sądzić.

— Tak. Ale po cóżby Ojciec Paweł prorokował że skarb się odnajdzie? Bo przecie to słowo *skarb* nie może nic innego znaczyć? Niech nam tu kto sypie góry złota i drogich kamieni, nogą je pchniemy i powiemy: Dla nas już tylko jeden jest skarb na świecie: Jaś.

— To prawda, przepowiednia wyraźna.— Od-rzekła pokrzepiona Elżbieta.— Zresztą, w każdym razie, lepiej raz już wiedzieć.

I wzięwszy się pod rękę, poszły spiesźnie, w milczeniu.

Ale przy pierwszych domach, znów się zatrzymały.

Trędownym, nie było wolno krążyć swobodnie po miastach.

W lasach, na przestronych polach i gościńcach, nikt nie wzbraniał im przejścia, bo tam nie brakowało miejsca; chory mógł zawsze zdrowemu zejść z drogi. Często nawet, wydeptywali sobie trędownaci swoje osobne, boczne steczki, które biegły równolegle z główną.

Już wstęp do wiosek był trudniejszy. Matki truchlały, aby dzieci bawiące się bez dozoru przed chałupami, nie schwyciły jadu od przechodnia.

Więc Łazarz pokornie sobie siadał w pobliżu Męki Pańskiej, która zwykle tuż pode wsią stała, i żalospnym śpiewaniem dawał znać o swoim przybyciu. Wtedy mu wynoszono zbiorową jałmużnę, tę na kiju odbierał, i wstawszy okrażał wioskę, aż dalekim zakrętem wrócił na swoją drogę.

Ale w miastach, wszystkie te ostrożności stały się niedostatecznymi. W ulicach, zazwyczaj bardzo wązkich, w ciasnocie i natłoku, niepodobna było uniknąć zetknięcia się z przechodzącymi, otarcia się o ich odzież. Po wielu smutnych wypadkach, miasta zamknęły bramy swe dla trędowatych. Musieli mieszkać w Lazarecie, który stał zwykle po-za miejskim obrębem, i stanowił niby małe osobne miasteczko.

Łatwo zgadnąć że te obostrzenia stosowały się tylko do chorych niemających własnego dachu, do włóczęgów, żebraków, i wszelkiego biédactwa. Miłosierdzie publiczne otaczało ich opieką, ale surowo pilnowało ich kroków. I słusznie, bo nędzarze nie przestrzegający schludności, nie zmieniający odzienia, byli najniebezpieczniejszymi dla społeczeństwa roznośicielami zarazy.

Bogatym — jak zawsze — działało się lepiej, nawet i przy trądzie. Kto miał tyle majątku, i tyle istot sobie poświęconych albo dobrze płatnych, że nie potrzebował uciekać się do Lazaretów — kto mieszkał we własnym domu, jeździł na własnych koniach albo noszach — kto sam przyzywał lekarzy i próbował wszelkich środków ratunku, ten nie

podlegał prawie żadnym przepisom, chyba tym, które mu własna uczciwość natchnęła.

Nasze podróżniczki należały niestety do pierwszego działu. I nigdy może plaga trądowa nie wydała im się tak ciężką jak w tej chwili. Ach! One byłyby chciały wlecieć na skrzydłach do miasta, biegać od domu do domu, zapytując:

— Gdzie Xiądz Maciej? Gdzie Jaś? Czy jest jakakolwiek żywa dusza, któraby mogła nam co powiedzieć o nich?

A tu nawet wejść do miasta niemożna!

Bywali wprawdzie trędowaci złośliwi, co umieli oszukać wszelką bacność, zakraść się do miast najwarowniejszych, i długo tam ukrywać rodzaj swojej choroby, ale nasze niewiasty nigdy nie próbowały podobnych podstępów. Przeciwnie, brzydziły się towarzyszami, co za nic sobie mieli zdrowie i spokój bliźnich. Boże dobry! Jeżeli czém grzeszyły, to chyba zbyt wielką nieśmiałością; nie ich się bano, ale one wszystkich i wszystkiego się bały.

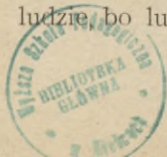
Więc i teraz, potulnie zeszyły z drogi po której roiło się dużo ludzi, jak zwykle w bliskości większego miasta,—i stanąwszy opodal, podniesionym głosem zapytały przechodniów:

— Czy jest przy Wrocławiu Lazaret? Jest, mówicie. A gdzie?

Wskazano im zagajenie, otoczone niskim parkanem, które — jak na szczęście — znajdowało się bardzo blisko.

Niewiasty podszedłszy, zapukały do bramy szczelnie zatarasowanej. Wnet jeden z trędowatych, pełniący obowiązki Furtjana, wyjrzał przez okienko wycięte w parkanie obok bramy. Tylko rzucił okiem, zaraz poznał siostry w niedoli, i twarz jego, choć zeszpecona, rozpromieniła się szczerém współczuciem, bo trędowaci — właśnie może w skutku swego rozłączenia z całą resztą ludzkości, — między sobą wielce się miłowali. Co prędzej uchylił furtkę, i wpuścił nowych gości.

Wnętrze ogrodzenia przedstawiało wcale nie smutny widok. Było tam kilkanaście domków, a raczej chałupek, wprawdzie biędnych, słomą krytych i dość obdrapanych, ale rozweselonych mnóstwem drzew owocowych, i grzęd warzywnych, a nawet kwiecistych. Przy kilku chałupach czepiały się krzywe obórki i chléwki, z kąd gromko dochodziły różne ryki i kwiki. Drób' uwijał się między krzakami, pszczoły uwijały się w koło kilku spiczastych ulów, a najgwarniej sprawiali się ludzie, bo ludzi było tu sporo, a wszyscy jak stra-



szydła, wszyscy trędowaci. Że jednak równi sobie brzydota, więc już wzajem się nie straszili, ani jeden drugim się nie brzydził. Pracowali sobie najspokojniej, śmiejąc się, kłócąc, wzdychając, a nieraz i klnąc jakby najzdrowsi. Jaka to była praca, to żał się Panie Boże! Zmudna, marudna, niezłarna. Jednak, powołuteńku, mężczyźni kopali grządki, obcinali gałęzie, kobiety siedziały na progach z kądziela, inne — rozwieszając na płotach bieliznę — krzykliwie z tamtymi rozmawiały.

Z pomiędzy téj gromady ofiar, kilka tylko było chorych obłożnie; wszyscy inni mieli jeszcze dosyć siły, aby sobie łatwemi robotami skracać dożgonną tęskność, i przymnażać drobnych uprzyjemnień swemu biédnemu życiu. Więc chowali krowy, uprawiali ogródki, szyli sobie przyodziówki. Nikt im się nie mieszał do ich gospodarstwa, bo ich świat kończył się z parkanem, i tak szła sobie samopas ta mała «republika nieszczęścia.»

I tu jednak, jak we wszelkich republikach, ideał zupełnej równości nie dał się jeszcze osiągnąć. Z pomiędzy jéj obywateli, jedni byli stale osiadłemi, inni w żebraczej tułaczce czasowo się tam tylko zaczepiali, za co pierwsi patrzyli na nich z góry. Niektórzy mieli jeszcze po świecie poczciwych krewnych albo przyjaciół, którzy im do okienka przynosili różne zapasy, ubrania i pieniądze. Inni, zupełnie osieroceni, żyli tylko z dochodów ogólnego miłosierdzia, i — jak łatwo zgadnąć — zazdrościwie na tamtych spoglądali. Ztąd

mimo całej miłości braterskiej, różne poswary i niesnaski, któreby może z czasem przeszły nawet w otwartą wojnę, gdyby się i w tej rzeczypospolitej nie był znalazł człowiek, co potrafił wszystkich wziąć za głowę, a raczej za serce.

Tym Konsulem, czy Dyktatorem, czy właściwiej mówiąc, prawdziwym «Ojcem» owój dziwnej rodziny, był Ojciec Innocenty, xiądz podżyły i także trochę trędowaty. Przed wielu już latami, pielegnując, pocieszając, spowiadając chorych, zaraził się ich Łazarzowém cierpieniem, i musiał z niemi pozostać w Lazarecie, a choć z czasem wyleczył się prawie zupełnie, i mógł wracać na świat szeroki, przecież tak całą duszą przyrosł do wydziedziczonej gromadki, że już niechciał wynieść się z poza parkanu. Czasem tylko, w bardzo ważnych okolicznościach, od stóp do głów zmieniawszy odzież, wychodził jak ambassador, dla załatwienia naglących potrzeb republiki, nad którą nieznacznie osiągnął najwyższą władzę. Nikt mu jój nie przyznał urzędownie, ale mu sama szła w ręce, wpół z przywiązania, wpół ze strachu, — bo Pater miał dosyć świętej cierpliwości aby rządzić choremi którzy wiecznie zrzędują, a miał téż przytém i wolę dość sprężystą aby utrzymać w karbach stek najprzeróżniejszych wybiérków niedoli. Zaprawdę, wielki człowiek, choć za małym parkanem.

Do niego to Furtjan prowadził nasze podróżniczki, zasypując je pytaniami:

— A z kąd wy matule? A na długo do nas? Wedle noclegu, czy do śmierci? Gadajcie wy, bo ja muszę sprawiedliwie obwieścić Ołcu Nocentemu, abych wiedzioł kej was usadówić.

— Bogu jednemu wiadomo, czy my tu długo czy krótko pobawimy.—Odrzekła Elżbieta.—A co do chleba, to nam go tyle poczciwe ludzie nadawały, że i dla was dziadku, może się keś jaki wynajdzie w tych sakwach, i na odchodném jeszcze, może parę kwartniczkwów padnie tu do skarby.

Przewodnik spojrział na niewiasty przyjemniej; w jego ruchach i słowach, wnet okazało się więcej szacunku. Ach, bo choć wiele serca jest pomiędzy ludźmi, jednakże wszędzie pod słońcem, nawet w Lazarecie, nawet w najtwardszém więzieniu, ten co może płacić znajdzie inne przyjęcie, inne twarze i głosy, niż ten co na samo serce liczy.

Zjawienie się nowych gości, wprawiło w ruch całą kolonję. Mężczyźni, oparłszy się na łopatach, spoglądali ciekawie. Kobięty powstawały z progów.

— Patrzcie je, w jakich to całych sukmaniech! Przez dziury ni łaty!—Ozwała się stara Magda. — A jak to głowę nosi hardzie, kieby jakowe pónie!

— A może i pónie? — Odparła szyderczo inna, młoda jeszcze ale straszliwie przez trąd porąbana.— Może złe krewniaki wyguniły je z malowanego dwora, i tera muszom kieby niepyszne posiedzieć tu z nami. Abo to raz tak się dziwa?

— I dobrze się dziwa. — Zakończył posepny «Bartłumiój», stary żołnierz, który od łuskowatej twarzy był przezwany «Rybą», a właściwie powinien się być nazywać «filozofem» tamecznej republiki, bo lubił przy każdej sposobności wygłaszać sentencje.

— Czy to — ciągnął dalej — Pan Bóg, na ubo-
giego jeno ma zawdy się gniewać? Ehe...he! Niechaj
tyż i bogacze skosztujom co to łazarstwo.....

Tymczasem niewiasty szły za przewodnikiem, po drózkach wysadzanych jabłoni i śliwami, aż stanęły w miejscu otwartém, gdzie było prześlicznie, jakby w siedlisku szczęśliwości.

Na malutkim placu, starannie umieszczonym, wystrzelał wysoki krzyż drewniany, obwieszony wiankami z nieśmiertelników; do koła niego ławki darniowe stały rzędami jak w kościele, (choć prawdziwie mówiąc, podobniejsze były do mogilek—) a w głębi, pod konarami kilku wiązów i lip rozłożystych, pokazywała się maleńka, na czterech słupkach oparta kapliczka.

Była ona uboga, zmurszała od starości, ale wisiało na niej tyle ciemnego bluszczu i barwnych powojów, że wyglądała jakby zbudowana z samego liścia i kwiecia. Ołtarz był także stary, ledwie że nie gruchot, ale upstrzony mnóstwem świeczek, pookręcanych w różnokolorowe krajki, mnóstwem

figurek z drewna, baranków i krzyżyków z wosku, słowem temi «wiązaniami» ubóstwa, które w oczach Ojca Niebieskiego, mają może nieraz więcej wartości, niżli niejedno dzieło sztuki.

Jednak, znajdowało się tam i dzieło sztuki. Był to nawet jedyny przedmiot *nowy*, na jaki się zdobyto w tej kapliczce. Nad ołtarzem, wisiał obraz przedstawiający którąś ze Świętych Pańskich, a żywe jego farby, i jasne dębowe ramy, błyszcząły jeszcze świeżością. Świeciło też na tych ramach kilka bogatych *ex-votów*, świadczących że już przed tym obrazem otrzymano niejedno uzdrowienie, czy jakąś inną łaskę.

Nieopodal od kapliczki, stała duża chałupa, równie biedna jak inne, ale schludniejsza, i ładnie obsadzona kwiatkami.

Przewodnik do niej się skierował, mówiąc:

— To nasza kieby plebanija, tu mieszka Ociec Nocenty.

Właśnie też na progu pokazał się Zakonnik, z suknią podkasaną, z grabiami na plecach. Twarz miał czerwoną jak piwonja, ręce ogromne, uśmiech rubaszny, ale w świecących oczkach coś imperatorskiego.

— A co to znowu? — Zapytał spostrzegając nadchodzących.—Czego wy matki chcecie? Jałmu-

żny czy izby? Może tylko stawy? To wam Jagna tam poda garczek.

— Ojcie dobrodzieju, my-byśmy chciały nasamprzód z wami pogadać..... Rady prosimy, rady..... Poratujcie nas, bo doprawdy niewiemy do kogo się obrócić?

Twarz Ojca Innocentego troszkę się wydłużyła. Pilno mu było do roboty, a tu widział że się zanosi na długą mitręgę, bo dobrze rozumiał co znaczy taka «Prefacja.» Każdy nowy chory, na wstępie chciał z nim *pogadać*, to jest opowiedzieć mu swoją historję, całą, caluteńką, od kolébki aż do dnia dzisiejszego. Wszystkie te historje były bardzo sobie podobne; zawsze, osobliwy szereg nieszcześć, niesprawiedliwości ludzkich, w końcu choroba i nędza. I niemogło być inaczej; musiał przecie przejść przez wszelkie stopnie zawodów i upokorzeń, kto kończył aż na Lazarecie. Ojciec Innocenty umiał już na pamięć żalną litanję ludzkich cierpień, i byłby mógł nieledwie podpowiadać je mówiącemu. Straszły go więc każde nowe odwiedziny. Ale przemógł się, westchnął, grabie oparł o ścianę, i siadłszy na ławie stojącej pod chatą, zaczął słuchać z odwagą, nieco przyprawną roz-targnieniem.

Na ten raz jednak czekała go niespodzianka. Już u samego początku, wstrząsnęły go wyrazy jakich jeszcze nigdy nie słyszał:

— Wracamy z niewoli Tatarskiej.

W późniejszych wiekach, powrót z niewoli Tatarskiej bywał wypadkiem dosyć częstym. Ale wówczas nikt jeszcze nie przypuszczał, aby można ztamtąd powrócić. Równało się to nieledwie powrotowi z innego świata.

Elżbieta i Ludmiła były może pierwszymi brankami, które odnalazły drogę do ojczyzny.

To też kapłan, usłyszawszy te trzy pierwsze słowa, zerwał się, złożył ręce, i zawołał:

— Co wy mówicie? Wielki Boże! Z niewoli Tatarskiej? A siadajcież moje matki kochane, odpocznijcież między swojemi.

I tknięty uszanowaniem dla tak wielkiej niedoli, zmusił niewiasty aby siadły, a sam stojący dalej słuchał.

Przeszło mu wprawdzie przez myśl podejrzenie, czy cała powieść ta nie jest zmyśloną? Wtedy, wpatrzył się w niewiasty baczniejszém okiem, tém okiem co już w tyłu duszach czytało, — wsłuchał się w ich głos jak na spowiedzi, — nie dojrzał ani dośłyszał fałszu, — i odtąd, pewien nieomyłności swego doświadczenia, słuchał już z najzupełniejszą wiarą, z najgłębszém zdumieniem.

Opowiadanie tchnęło też niezmierną prostotą.

Inni trędowaci, których Ojciec Innocenty przesłuchiwał, zwykle przesadzali w obrazach swo-

ich nieszczęść, lubili dodawać czarnej farby, aby lepiej wzruszyć słuchacza. Nasze niewiasty czy niły przeciwnie; czuły one, że ich dzieje choć prawdziwe, mogą wydać się nieprawdopodobnymi. Już w kilku, nawet Chrześcijańskich krajach, spotkał je śmiech niedowierzania, czasem wyraźny zarzut kłamstwa. Teraz więc onieśmiałe, usiłowały przedstawić swoje przygody jak najskromniej, a ta wstrzeźliwość słowa, dodawała owszem ich opowiadaniu przekonującej potęgi. Zresztą, niewiele mówiły o sobie, najwięcej o Jasiu. Choć od czterdziestu lat niewidziany, on był głównym bohaterem całej tej powieści. O to jedynie chodziło, jak go znaleźć i kto w tych poszukiwaniach ma im pomóc?

— A któż ma pomóc jeżeli nie ja? — Zawołał Ojciec Innocenty. — A toczy trzeba niemić chyba człowieczego sumnienia, aby nie poruszyć nieba i ziemi, i nie odnaléć wam dziecka?

Podczas tej rozmowy, dosyć długiej, wszyscy mieszkańcy osady ściągnęli na plac kaplicowy, i ciekawymi oczami pożerali rozmawiających. Furtan prześlizgnął się do nich, wołając półgłosem:

— O la Boga! To jakoweś więźniczki, co wracajom z za morza. Pogany je wzieni z jakowegoś kasztelu, z ich osobistego kamiennego dworca, kędyś het na górze, a teraz Ociec Nocenty ma im sprowadzić syna.

— A co? Ja zara godała żeć to wielgie pónie!—Fuknęła tryumfalnie Magda, i wnet każdy zaczął dowodzić że pierwszy odgadł wielkość nowo-przybyłych.

Tymczasem Ojciec Innocenty bił się mocno z myślami. Szczęrą miał ochotę dziś jeszcze pobiedz do Wrocławia, ale noc już zapadała, wszystkie Furtki klasztorne znalazł-by zamknięte, a tylko po klasztorach miał znajomych,—i gdzież zresztą szukać Xiędza Macieja, albo przynajmniej wieści o nim, jeżeli nie między więźmi?

— Szkoda!—Mówił.—Szkoda że ja grzesznik, niemogę jak Jozue zatrzymać słońca! No, cóż robić? Przy boskiej pomocy, trzeba poczekać do rana, a tymczasem pomyśleć o was, moje najmilsze Pielgrzymki.

Obejrzał się, i widząc za sobą gromadę ciekawych, krzyknął:

— Hej! Dzieci! Chodźcie, i pokłońcie się do samych nóg tym niewiastom! Nam się tu nieraz widziało, jakoby Pan Bóg srodze nas doświadczał, jakoby my cierpieli po-nad wszystkie ludzie? Czasem się i poszemrało, co? Chodźcie-no teraz i patrzajcie: ehe! czém to my wszytcy kole tych nieszczęśnic? One były w niewoley u Tatarów, i to nie rok, nie dwa, nie dziesięć, ale czterdzieści lat!

Gromada, porwana słowami wodza, otoczyła podróżniczki z niekłamanym zapalem. Wszystkie drobne zazdrostki prysły pod naciskiem zdumienia i rozrzewnienia, wszyscy ci zboleli, uczyli się małemi w obec téj olbrzymiej boleści. Jedni do nóg im przypadli, drudzy całowali ich sukmany — cały tłum piskliwemi głosami łączył się w jeden okrzyk.

Człowiek zdrowy, byłby z przestrachem uciekł. Elżbieta i Ludmiła rozplakały się od radości.

Same należąc do rzędu pogardzonych, od lat całych ochropane z nędzą i chorobą, ach! one niczém i nikim już się nie brzydziły. Ta «ovacja» na wstępie do rodzinnej ziemi, choć taka głucha i żaloszna, upoiła je mocniej niż rydwan z laurami upajał zwycięzców, a może i w oczach anielskich wydała się piękniejszą niż niejeden tryumf szczęśliwych?

Ojciec Innocenty musiał położyć tamę uniesieniom.

— Hola, dzieci! Dosyć już — bo mi zamęczycie te kochane matki na samiuchnym końcu ich pielgrzymstwa. Dajmyż im odpocząć, muszą być zchodzone i zgłodniałe na śmierć. Trzebaż pięknie przyjąć takie goście. Chodźmy wszytcy na salę.

Ruszono tłumnie do chaty Xiędza, do tak zwanéj szumnie *sali*. Była to duża izba, zarazem

kuchnia i miejsce zebrania, gdzie gromadzono się w zimowe lub słotne wieczory. W głębi, czerniał ziejący komin, pod ścianami — ładnie wybielone — biegły stoły i ławy, a na miejscu najpocześniejszém, pomiędzy dwoma okienkami, gdzie zwykle siadywał Ojciec Innocenty, wisiał krzyż czarny, i obrazek jaskrawo napaćkany, przedstawiający Parabolę o złym bogaczu i dobrym Łazarzu.

Ale dzisiaj nie Dyktator tam zasiadł. Zniewolił «kochane matki» aby zajęły pierwsze miejsce, sam wziął drabkę, i spuściwszy się do lochu, wyniósł parę zielonych dzbanków pełnych miodu.

— Chowałem go — zawołał — długo. Zawszem czekał na jakoweś osobliwsze święto. Otóż i jest święto. Uraczmy się.

«Dzieci» także nie próżnowały. Kobięty rozbiegły się do chałup; jedna przyniosła jaj, druga bryłę twarogu, trzecia polec słoniny, inne rozpałały rzesisty ogień, a nad wszystkimi górował głos Jagny, zawołanej niegdyś i między zdrowymi gospodyniami.

— Czémby wam tu dogodzić, moje złote matuchny? Chcecie jajeczniczy? Grochówki?

— Ach tak, tak, pocziwój grochówki! — Podchwyciły podróżne, i aż oczy im się zaśmiały.

Jagna niepróżno mówiła o grochówce, miała jej garczek schowany z obiadu, więc teraz tylko co przedzję odegrzała, jeszcze dosoliła, wędzonki do-

kroiła, a gdy w końcu z kurzącego się naczynia, zaczęła wyléwać a raczej wychlupywać płyn szary a gęsty niby wpół-ścięta lawa, Elżbieta i Ludmiła rzuciły się do misek z dziecinną uciechą. Piérwsze łyżki połknęły gwałtownie, łapczywie; potém zaczęły jeść powolutku, maczając z uszanowaniem kromki swojskiego chleba, wyławiając wyborne mięsko, a czasem i ściérając z oka łzę rozkoszną, jak ongi Kuźma gdy siedział nad Żurkiem. Ach, bo w tych potrawach na których się człowiek odchowwał, jest smaczek tajemniczy nietylko dla ciała ale i dla duszy.

Inne kobiety znosiły inne miski, każda zachwalała swój datek, Ojciec Nocenty częstował miodkiem dosyć podstarzałym, i to częstował nietylko podróżniczki ale i resztę zgromadzenia.

Wieść o festynie gruchnęła po wszystkich zakątkach kolonji. Chorsi nawet pozwlekali się z tapczanów, i spowinięci w płachty, ciągnęli zwolna do tak zwanéj «plebanii», gdzie także siedli pod ścianami, jak dwa szeregi larw.

Nie dano gościom dokończyć spokojnie wieszery. Pytania krzyżowały się nieustannie.

— A jako to tam jest u tych złodziei Tatarów?

— A siła was tam bili?

— A prawdać to co ja słychała, jako to uni małe dzieci jadajom pieczone?

-- A póno i żołędzie jedzom, kieby wieprzki?

«Kochane matki» nie dały się prosić. Zaczęły powtórnie swoją powieść, a na ten raz już bez ujmowania jój blasku ani okropności. Czuły w koło siebie życzliwość, widziały w oczach słuchaczy pełną wiarę, więc puściły cugle wspomnieniom, i wszyscy zawisli na ich ustach, jak dzieci słuchające niańki.

Bardzo się ten myli, kto sądzi że tylko w pięknych komnatach, wśród ludzi zdrowych i dostatnich, może istnieć prawdziwa zabawa. Tu oto, w izbie obnażonej, wśród istot potwornych, jednem słowem w *Lazarecie*, téj nocy bawiono się tak wybornie, że niech i królowie pozazdroszczą.

Mieszkańcom téj smutnej «republiki», dni się wlokły zazwyczaj w zabijających nudach. Oddzieleni od reszty społeczeństwa, nie mieli odżywczej pastwy nowin, a choć która się tam i wcisnęła, to i cóż ich obchodziły wieści ze świata już dla nich straconego? Nieznano tam książek, coby pochłoneły przedwieczne godziny choroby, ani widowisk, coby wyobraźnię przeniosły gdzieś w inne miejsca i czasy.

W podobnym towarzystwie, zjawienie się nowych gości, i to takich dziwnych gości, stanęło za

najciekawszą książkę, za najdramatyczniejszy teatr. Chorzy, dzieląc duszą całą te cudze przygody, zapomnieli na chwilę o własnych dolegliwościach. Nawet staremu Protowi, co był między nimi istnym Jobem, w zasłuchaniu twarz się uśmiechnęła.

Naszym podróżniczkom także, ich własne słowa sprawiały wielką uciechę. Nieraz już, po drodze, przyszło im opowiadać swoje nieszczęśliwości, ale to zawsze było w pośród cudzoziemców. Tam opowieść szła ciężko, łamana w jakiegoś mieszaninie przeróżnych języków, skierowana do ludzi którzy mało co słyszeli o Tatarach, a niewiele więcej może i o Polsce. Tam trzeba się było tłumaczyć z każdego wyrazu, z każdego wspomnienia. A tutaj! Dość pół słowa napomknąć, aby każdy resztę dopowiedział; tu jedna przeszłość wszystkich wiąże. A na koniec, jakaż to ulga odnaléźć się w téj rodzonej mowie, gdzie bez żadnej pracy, słowa razem z myślami same do ust płyną!

Już noc zupełnie zapadła, już tylko czerwony ogień oświecał zgromadzenie — północ przeszła — już nawet i kury po raz drugi zapiały — a podróżniczki były dopiero w połowie swoich dziejów.

Co prawda, Ojciec Innocenty — jako troskliwy gospodarz — natrącił kilkokrotnie:

-- A czy to się godzi tak mordować nasze Pielgrzymki? Oto lepiej zakręćcie się białogłowy, i ułóżcie bieluchne posłanie dla gościów.

— Ależ kiedy my nie zmęczone? --- Wołały opowiadaczki. — Jeszcze trocheńkę posiedźmy..... Ach, to tak słodko nagadać się ze swemi!

I wszyscy prosili:

— Dobrodzieju, darujcie nam tę nockę. Abo my się to mało wyleżeli w choróbsku? Takowych cudacznych straszności człek by słuchał do rana.

Tak się téż i stało. Słuchali do rana.

G r o m.

Jeszcze się nie obejrzano, już ptaszki zaświęgotowały pod słupami kaplicy, i świt zabłękitniał w okienkach.

— Już czas mi w drogę! — Zawołał radośnie Ojciec Innocenty.

Wyjął ze skrzyni, starannie przechowywaną odzież, która służyła tylko na wycieczki pomiędzy zdrowych, wszedł do alkierza, gdzie się obmywał i przewdzięwał sumiennie, potem wybiegł z chaty. Cała gromada wysypała się za nim. Ale Xiądz pogroził palcem, krzycząc:

— Wara odemnie, bo idę w świat!

I uniósłszy habitu, pędził między drzewami.

Dopiero przy furtce, zatrzymał się i zawołał:

— Do zobaczyska, mateczki! Choćbych ja długo bawił, nie troskajcieś. Przy boskiej pomocy, przyniosę co dobrego.

Furta się zatrzasnęła — zniknął.

Elżbieta i Ludmiła, pchnięte jedném natchnieniem, padły na kolana u wejścia kapliczki. Oj, modliły się téż ogniście! I nie one jedne. Cała gromada ukląkwszy za niemi, szczerze prosiła Boga, by wrócił dziecię nieszczęśliwój matce, a raczej matkom, bo tych dwóch niewiast nikt nie umiał rozłączyć w myśli ani w modlitwie.

Słońce wschodzące, prześlicznie oświeciło kaplicę, a zwłaszcza cudny ów malunek, co stanowił jedyne przyozdobienie Lazaretu. Obecność jego nawet mogła tu zadziwiać; mieszkańców osady przecie nie stać było na zakupywanie dzieł sztuki? Tak, — ale Ojciec Innocenty miał brata malarza a razem i snycerza, który dla pozyskania sobie modlitwy ubogich, podarował bratu i jego trzódce ten obrazek, miłośnie wypieszczony w chwilach wolnych od większych zajęć.

Niewiem zresztą czy tę robotę mam nazwać obrazem? Snycerz tyle nad nią pracował co i malarz. Była to niby szafka, która za uchyleniem gotyckich skrzydełek, ukazywała rodzaj rzeźby z drzewa, bardzo płaskiej, żywo zabarwionej w stylu «czeskim», a przedstawiającej okolicę brunatnobłękitną, z jakimś budynkiem wysuniętym naprzód, mającym zapewne wyobrażać klasztor, bo liczne jego więzyczki zakończyły się krzyżykami. We drzwiach głównej wieży, stała jakaś pani zakonna,

z twarzą niemłoda, ale rozpromienioną złotym krążkiem nimbusu. Oczy w niebo wznosiła, a sztywne ręce wyciągała nad głową rycerza, który w pełnej zbroi klęczał przed nią na moście zwodzonym, prowadzącym do wieży. Twarzy rycerza nie można było widzieć z po-za kratkowanój przyłbicy od hełmu, a nad tym hełmem roztaczała się dziwna ozdoba: cały ogon pawi.

Cóż powiedzieć o rysunku tego malowidła? Naszym oczom dzisiaj wydałby się śmiesznym. Były tam błędy prawdziwie dziecinne. Perspektywy żadnej. Wprawdzie, przez połamane linje wież i murów, artysta chciał widocznie dowieść że jedne stoją bliżej, drugie dalej; ale te połamania wypadały fałszywie. Rycerz klęczał tak niezgrabnie, jakby mu wszystkie kości powychodziły ze stawów. Co jeszcze bardziej raziło, to złe ustosunkowanie rozmiarów; most, choć szumnie opatrzony łańcuchami, był taki maleńki, że rycerz ledwie mógł się na nim pomieścić. Cały klasztor wyglądał jakby jakiś domek dla lalki, i widz miał ochotę zapytać, jak ta zakonnica może tam przemieszkować, kiedy jest równie wysoka jak wieża z której wychodzi?

To prawda, — ale wówczas nikt o to nie pytał.

A nawet, niektóre z tych błędów były dobrowolne.

Malarze Średniowieczni, pilnujący jeszcze hieratycznych tradycji, lubili w rzeczach widzialnych symbolizować niewidzialne. I tak, często przedstawiali przedmioty, nie według przyrodzonych im

rozmiarów, ale według ich duchowej wielkości. Dla tego to, drzewa i gmachy — jako rzeczy «bezduszne» — bywały drobne i tylko niby napomknięte, a postacie ludzkie — jako duchem nieśmiertelnym ożywione — zajmowały najwięcej miejsca. A i pomiędzy temi ludźmi, wzrost się odmierzał podług stanowiska jakie zajmowali w hierarchji społecznej albo religijnej. Królom, Rycerzom, nade wszystko téż Świętym, nadawano postacie idealnie wysokie, podczas kiedy giermkowie, żołnierze i wszyscy zwykli śmiertelnicy, wyglądali na dzieci albo raczej na karły.

Było więc ciekawe studium nawet i w usterkach owoczesnej sztuki. Zresztą, czyż tylko same usterki możemy w niej dostrzedz? Ach niechże nas Bóg broni od takiego bluźnierstwa! Artyści owęj epoki, chociaż po większej części bezimienni, tworzyli często arcydzieła pod względem *wyrazu twarzy*; ten wyraz przedstawiający najmiłościwszą dobroć i mistyczne uduchownienie, błysnął tylko w dziejach ludzkości, i zaginął gdzieś tak niepowrotnie, że nawet wielcy mistrzowie z epoki Odrodzenia już go nie potrafili odnaleźć.

Elżbieta, patrząca oczami swego wieku, zachwycała się wielką zakonnicą w maluchnej wieżycze, i powstawszy od modlitwy, zagadnęła:

— Cóż to za Święta, z taką twarzą łaskawą?

— A wszakci to Święta Jadwiga! *Nasza Święta!*—Odpowiedziano jednogłośnie.

— Jadwiga? Czy jest jaka Święta podobnie nazwana? Niewiedziałam.

— Dobre pytownisko!—Podchwyciła z przekąsem jedna z kobiet. — I jeszcze gdzie pytać? Na Ślązku! To doprawdy grzych.

Ale schorzały Prot, który i tu się o kulach przywłókł, ofuknął mówiąca:

— Nie oskarżajta onych pocziwych niewiast. A zkąd uny mogom wiedzieć jakie nam tu łaski Pan Bóg zsyłał, kiej Tatarzyn całe życie dusił je w zamknięciu?

— Otóż patrzcie,—dodał zwracając się do Elżbiety i Ludmiły, — ta Święta co kej stoi na Obrazie, niedawno chodziła między nami żywa, żywiusiańka, ja sam ją nieraz widział, to nasza Xiężna Ślązka, żona Xięcia Henryka Brodacza, a mać tego co zginał pod Lignicom.

— Więc to ta?—Wykrzyknęły obie niewiasty, składając ręce z podziwienia.

— A dyc, ta sama. I oto właśnie tu jest wymalowano jak una tego syna wyprawia na wojnę. Wam się to podoba, he, nieprawdaż? bo jachał na Tatary? Bił się tyż kieby wielgolud i zginon kieby męczennik. A matka, w tenże sam dzień, ze swojej celi widziola jako szedł do nieba, i odtąd sama już więcej była w niebie niżeli na ziemi. To tyż niedługo czekając, takowe cuda zaczeny się dziać w około jój dziwnój osoby, a potém na jój grobie,

eść o nich rozleciola się po całym świecie, aż zymu i do Papiża, a un dobrze się wypytawszy, ogłosił jom za Świętą, i to nie takom jako zwyczajni Święci, jeno za Patrunkę wszytkiej naszój ziemi.

Tu różne głosy, na wyścigi zaczęły wtórować — Tak, za Patrunkę! Oj, szkoda że nie widziały wy jakie to tu były nabożeństwa i wspaniałości, kiedy jój stawiano piérwszy ołtarz! Co się to nazeżdżało Biskupów i Xiążąt! A narodu było kieby na skuńczenie świata! Co to za chwała na Ślązaki!

— A cuda, — przerwała stara Magda, — myślicie co ustały? Gdzie tam! W najlepsze się dziejom. Oto patrzcie: to serduszko całe srebrniusie, kto je tam zawiesił? To ta chora Scholastyka, co tutaj ozdrowiała, modląca się przed Obrazem. I abo to una jedna? To téż my wszytcy modlimy się precz, aż może i nas ta dobra Xiężna poratuje.

Podróżniczki słuchały z głębokiém zdumieniem. Ludmiła ciągle wpatrująca się w Obraz, nagle porwała Elżbietę za rękę, wołając radośnie:

— Patrzno! Widzisz te pióra pawie? Pamiętasz, myśmy na to patrzyły? Mój Boże! I teraz te pióra tu są wymalowane!

— Prawda, prawda..... — Wtórzyła Elżbieta. — Ktoby to był pomyślał? Ta pani u której mój brat bywał prawie codzien, co mego Jasia całowała, ta dzisiaj na ołtarzach! Czego to myśmy dożyły! O Ludko, teraz już nie wątpię..... kiedy ona tyle może u Boga, to i nam Jasia przyprowadzi.

Wielkiém to było szczęściem, że nasze podróźniczki w owym Obrazie znalazły Jakaś pastwę dla serca, zagłuszenie dla myśli, bo czas kamieniem dzisiaj ciężył; może w całych czterdziestu latach, żaden dzień im się tak nie dłużył jak ten ostatni, co miał wszystko rozstrzygnąć. Nowi towarzysze uwzięli się pocziwie na skracanie im godzin; oprowadzali po swoich ubogich gospodarstwach, częstowali czém chata bogata, każdy opowiadał, to swoje własne biedy, to wypadki zaszłe w kraju od pół wieku, a każde opowiadanie kończyło się zawsze obrazem owój pysznój Kanonizacji, która mocniój nad wszystko zajmowała umysły, dogadzając i nabożności Chrześcjan i słusznój dumie Szlązaków.

Niewiasty niby słuchoły, niby chwaliły każde drzewko i każde słowo, a wciąż tylko się oglądały ku owój błogosławionój furcie, w którój lada chwila Jaś miał się pokazać.

— O, moje matuchny, — mówiła Magda, — jeszcze za rano patrzeć; nasz dobrodziej niedawniusieńko co doszedł do miasta, a nim kogo znajdzie, a nim się wypyta, oho! to i dzień gotów zmierzchnąć. A poznacie wy go, tego Jasia? Toż była dziecina, a tera mężczyźnisko, prawie dziad.

— O! Ja go poznam zaraz, choćby już miał i siwe włosy! — Zawołała Elżbieta.

— No, un sam już nie dzieciak, — wtrąciła śmiejąc się Jagna, — jeno wżdy z dzieciakami przyńdzie. Pewno się tam z jakim Xiężniczkom ożenił, i przyprowadzi wam wnuczęta. A co matulu? Kiej wam janioleczki wleżą na kolana, kiej za szyję ułapią, to przepumnicie i całej niewoley.

— Mnie i tego niewolno..... — Boleśnie rzekła matka. — Ja miałabym się ich dotykać?..... — I nie dokończyła.

— Prawdać to, prawda! — Przywtórzyły kobiety, poczem zaczęły wzdychać, i nad Elżbietą, — i nad sobą.

Kiedy już nawiedzono wszystkie chałupiny, obejrzano wszystkie chléwki i grzędy, Elżbieta zwróciła się z błyszczącemi oczami do Ludmiły.

— Słuchaj Ludko: chciałabym jeszcze kiedyś być bogatą, a wiész na co? Aby założyć Lazaret, ale inny, nie taki jak te wszystkie czarne gniazda nędzy. O! Trąd i nędza razem, to za wiele! My teraz to wiemy. W naszym Lazarecie byłyby komory jaśniuteńkie, wyścielane wojłokiem jak u naszych Tatarów, łóżka z pierzynami, przy kuchni tuż łaźnia, w ogrodzie same kwiaty, a dopiéroż kaplica! Jakbyśmy ją wystroiły, wyłocily, toby co Niedziela grzmiało i pachniało jak w raj.

— I tak będzie, i to niedługo już, — odpowiedziała Ludmiła, — bo przecież odzyskasz i Żegnanie i wszystko co ci się należy?

— I ty odzyskasz twoje, Ludko. Oj, będziez to dopiero miło rozsypywać jałmużny dla wszystkich biédaków, a szczególnież téż dla naszych braci Łazarzy!

— Już to ze mną pójdzie trochę trudniej....

— Dla czego?

— No, ty moja Elżuniu, jak odzyskasz Jasia, to z nim już i wszystko. Ja nié mam nikogo coby się za mną upomniał. Miałam co prawda stryjców, ale to właśnie biéda.... jeśli wzięli w opiekę moje mienie, to je pewno i zjedli, a zresztą....

Tu zamilkła; nie wiedziała do jakiego stopnia Rafał rozporządził jój majątkiem?

— Co téż ty gadasz Ludko, niéma się kto upomnieć? A wszakci my się upomnimy? Jaś upomni się jak za rodzoną matką. Przecież ty a ja to wszystko jedno.

Takimi rojeniami o błogiéj przyszłości, tłumy rosnącą niecierpliwość; połowę dnia przebłąkały w gorączce, nigdzie nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ale kiedy i godzina południowa minęła, i słońce zaczęło się opuszczać, ich niepokój przeszedł w ból gryzący. Dziesięć razy już chciały same iść do Wrocławia; namysł je wstrzymywał. Do kogóż pójdą w mieście sobie nieznaném? A gdyby się téż zminęły z oczekiwanemi? Jeszcze, jeszcze chwilkę cierpliwości.

Tymczasem, przystawały ciągle w okienku wyciętym przy bramie; zdawało im się, że kiedy będą patrzyły, wyglądani prędzej się pokażą.

I nie same jedne tam stały; powoli, cała gromada ściągnęła do koła. Wszyscy przejęli się ich niepokojem, kobiety zwłaszcza gorąco podzielały tę mękę macierzyńską.

Co chwila, ktoś przytykał głowę do okienka, i wyglądał — «czy już nie idą?»

Kilka razy gruchnęła wieść fałszywa.

— O! Już tera to uni! — Zawołała Magda.

— A co też za ślipie wy macie, kieby sowa po dniu! — Ozwał się ktoś z młodszych. — Idom, ale jakoweś obdartusy, a przecie ten Jaś to dziecko pańskie. Niechno się pokaże, to cały w jasnej łusce, w czerwieni, na kuniu, i z wielacznym piórzem u głowy.

— I ze swojom więźniczkom, całą w kuralach i złocie. — Dodała niepoprawna Jagna.

Przed okienkiem, droga biegła jak na dłoni; w głębi rysował się Wrocław, mały ale rojny, u dołu zbity w ciemną plamę, w górze powyrzynany jak piła zębami stromych dachów i kilku wież klasztornych. Nieco z boku, nakształt grubiej chmury, szarzał jego Zamek obronny.

— Widzita? — Pytał stary «Barthumiój Ryba». — Widzita, o tam het pod basztom, jak wał

okrągłuchno wysterka? To tam właśnie był on sługa boży Czysław, co takż —powiedam wam— będzie miał ułtarze. Tam un klęczał i modlił się tak ogniście, co aż ogień z nieba ściągnął na Tatory. Ja to widział, jakem żyw.

Brankom przypomniała się powieść Marty, słyszana przy Dniestrowém ognisku. Zaczęły mówić o nieszczęsnój kobiécie, ale nikt z obecnych jój nie znał. Za to Bartłomiej pamiętał doskonale Dziadzię Szymona, z którym służył ongi pod jedną «choregwią», pamiętał i jego Staśka, i «sam widziol jako sę chłoptasek bił tego pod Lignicom.»

A jak raz wspomniał o «Lignickiej», tak i gadał i gadał, i każdy swego cós przydawał, bo ta pamiętna bitwa tak żywo jeszcze wszystkich zajmowała, jakgdyby ją wczoraj ztoczono.

Jednak, już się i powiastki starego żołnierza wyczerpały, i słońce zaszło — już się naprawdę zmierzchno, a nikogo nie było widać.

☞ ☞ Ludmiła spoglądała na Elżbietę, i zaczynała drżać o wszystko.

— No, już tera to un! — Wykrzyknęło nakoniec kilka głosów.

Istotnie, w pomroce pokazał się Ojciec Innocenty.

Idzie..... ale sam jeden..... i jakoś powoli..... wi-
dać że niéma się z czém spieszyć.

Jeszcze nie zdążył zakołatać do furtki, już ją
rozwarło. Zasypano go pytaniami:

— I cóż? Gdzież un? Żyw? Przyńdzie?

Ojciec Innocenty był zmieszany. Przez chwilę
mówił:

— Zaraz..... zaraz..... niech odetchnę.....

Potém, zbierając siły jak człowiek co ma sko-
czyć w otchłań, wpatrzył się w Elżbietę i Ludmi-
łę, i rzekł powoli, z przymuszonym uśmiechem:

— Kochane matusie, wiem żeście dobre Chrze-
ścjanki,—przyjmiecie z pokorą wolę boską..... nic
jeszcze niéma straconego..... jeno trzeba znowu
cierpliwości.....

Elżbieta chwyciła go za ręce z krzykiem:

— Ale Jaś żyje? Przecie żyje?

Zagadniony nie odpowiedział wyraźnie.

— Xiądz Maciej,—rzekł—już nie żyje. Umarł
dawno, o! bardzo dawno, podobno temu trzydzie-
ście lat i więcéj.

— Ale cóż z Jasiem zrobił?—Wołały obie nie-
wiasty. — Musiał przecie komuś go zostawić?
Gdzież on się chował? Gdzie go szukać?

— Otóż tego wszystkiego niemógł ja się wy-
wiedzieć jeszcze..... może późniéj,....

Tu Ludmiła nie zdołała powstrzymać wybuchu goryczy:

— A! Ojczel! Siedzieliście cały przedwieczny dzień w mieście, i nic niewiécie?

Elżbieta chwyciła się za czoło, utyskując:

— O! Czemuż my same nie poszły? Przecież matki szukającej dziecka, nikt-by nie odepchnął!

Ojciec Innocenty nie spierał się ani uniewinniał; chwilami spoglądał na niewiasty z rodzajem obawy, i znów spuszczał oczy; na ich gwałtowne pytania odpowiadał cicho i miękko, ale w tych odpowiedziach plątał się widocznie; raz twierdził że wiele osób trudniło się już losem Jasia, drugi raz ręczył że nikt o niczém niewié.

Siedział wyraźnie jak na węglach; coraz mniej mówił, co chwila spozierał ku swojej chałupie. Nakoniec kiedy się zupełnie ściemniło, korzystając z chwili w której Elżbieta i Ludmiła od płaczu zakryły twarz rękami, wymknął się cichutko. W piérwszój chwili nie wszyscy spostrzegli to zniknięcie, ale Jagna i Magda je spostrzegły, pospieszyły za Ojcem który w chałupie zmieniał habit. Długo tam bawił, aż zniecierpliwione wsunęły głowę do izby, zapytując:

— A co wam, Ociec? Osłabli wy? Czy zasпали?

— Ach, gdzież jabym téż miał spać! Ja tylko niemogę patrzeć na te nieszczęśliwe..... nié mam serca powiedzieć im wszystkiego.....

— A! Wiéć jest cosik wiéćj?

— Ach jest..... Na nieszczęście, jest! Pono i to dziecko już nie żyje, pono ów xiądz umarł ze zmartwienia po jego stracie. I co jeszcze najgorsze: nie można nic wiedzieć na pewniaka. Za stare czasy..... Ledwie kilku ludzi mogło mi coś powiedzieć, i jakie to było niezdarne gadanie! Kuźdy skrobał się w głowę, kuźdy prawił: «Czekaj.... wiem że się z tym chłopcem przytrafiła jakowaś okrutna przygoda.....» Ale kiedy pytałem: «Jaka?» Różni różnie powiedali: a to że chłopak utonął, a to że dziki zwierz go pożarł, a to że ktoś go wykradł, ile głów tyle bajek. Koniec końców jedna rzecz jest niezawodna, to że pewnego dnia, dziecko jak wyszło z domu tak i nie wróciło. Domyślają się przynajmniej ludzie że musiało gdzieś wyjść, i to daleko, bo i ciała nie nalezióno, ani w mieście ani za miastem. Xiądz Maciej szukał, szukał, nic nie odkrył, i poprostu zagryzł się tém nieszczęściem.— Nie mówcie nic jeszcze matce..... trzeba ją przygotować..... kiedyś powiemy, cóż robić? Ale jak najpóźniej.

To rzekłszy, znów się wziął na odwagę i wrócił do niewiast, aby je pocieszać i zwolna przysposabiać do złych wieści.

Ale w niwecz poszły jego serdeczne ostrożności.

Magda i Jagna dusiły się od powierzonych sobie tajemnicy. Wprawdzie nie powiedziały jój wprost Elźbiecie ni Ludmile, ale niemogły wytrzymać aby się nie zwierzyć innym towarzyszom, a zwłaszcza

towarzyszkom. W pół godziny, prócz dwóch Pielgrzymek, wszyscy już wiedzieli, i jak zwykle się w takich razach dzieje, wszyscy przybrali wyraz twarzy niepokojący, zaczęli w rozmowie puszczać dwuznaczne półsłówka.

Niewiasty nagle uderzone ogólném posmutnieniem, rzekły składając ręce:

— Wy coś więcej wiecie.

Jak zaczęły nalegać, błagać, na traf podpowiadać, tak się i dowiedziały wszystkiego.

Tego wszystkiego było niewiele, — ale dosyć.

Czytelnik może nawet zawoła że to już *za wiele*, że struna okropności została przeciągnięta, że przecie życie ludzkie nie bywa tak straszném?

O! Jeśli kto się podobnie odezwie, to chyba który z czytelników młodszych, z tych co jeszcze nie znają *całej* gammy nieszczęść.

Ale do was odwołuję się, o starsi! Wy którym włosy już bieleją! Może wasze przygody nie były takie tragiczne jak dzieje Tatarskich branek, jednak czyż każdy z was nie przypomina sobie w swoim własném życiu, jakiej epoki nieco podobnej? Owych lat pełnych przerażenia, kiedy to grom po gromie uderzał w krótkich przerwach, i po każdym wołaliście. «No, przecież ten już będzie ostatnim?» A to nie był ostatni.

Los bił wasze serce jak blachę rozciągającą

się i rozcieńczającą na kowadle, bił a niemógł dobić.

I ciągle powtarzaliście: «Już co teraz, to chyba cały dług niedoli wypłacony? Już teraz przecie karta się odwróci?»

I odwracała się, — ale na gorsze.

Aż przyszła chwila gdyście wykrzyknęli: «Już kielich pełen po brzegi. Ani kropla więcej się nie zmieści.»

Tymczasem niewidzialna ręka doléwała jeszcze kroplę, i jeszcze dużo kropel, i serce musiało pomieścić je wszystkie, i dziwiło się że nie pęka, — i nie pękło.

.

Téj nocy także, w Lazarecie nikt oka nie zmrużył. Ale jakże ta noc bezsenna różniła się od przeszłej! Cała przestrzeń za parkanem brzmiała jednym lamentem. Kobiety jęczały i utyskiwały na nieszczęśliwość ludzką. Mężczyźni kleli złość diabelską co wszystko w świecie psowa, i szczególniej się na dusze poczciwe zawzina. Ojciec Innocenty grubemi rękami ociérał co chwila łzy lecące dziurkiem. A Ludmiła? Ach, a Elżbieta?

Oto znowu jedna z tych godzin ich życia, na którą lepiej zapuścić zasłonę..... Podobnych boleści lepiej nie rozbiérać ani zgłębiać, ażeby się nie wyrwać z jakim słowem bluźnierczém, którego-by przyszło może później gorzko pożałować?

.
.
.

Nad ranem, niewiasty przysły szybkim krokiem, i zaczęły budzić Ojca Innocentego, który ze znużenia trochę się zdrzémnął na ławie pod chatą.

Elżbieta rzekła z niezwykłą sobie gwałtownością:

— Ojczy, ja muszę być w mieście, muszę widzieć tych co wam opowiadali.

Ojciec wiedział że są na wszystko wyjątki. Nie sprzeciwiał się żądaniu, dał tylko niewiastom świeże sukmany, a sam wziął klekotki na ręce, i poszedł naprzód, ostrzegając tym dźwiękiem kogo przeprowadza.

Pomiędzy Wrocławianami znajdowało się jeszcze wielu, tak duchownych jak świeckich ludzi, którzy mogli pamiętać owe czasy. Dostyc było liczyć więcj niż poł wieku, aby znać naocznie rzeczy zaszłe przed trzydziestu kilku latami. To prawda, ale z pomiędzy owych ludzi, prawie żaden osobiście nie znał Xiędza Macieja, który jak wiemy, po stracie siostry i zburzeniu kraju, zamknął się w nabożném odosobnieniu. Starcy pamiętali że go widywano po kościołach, czasem i po ulicach, idącego z prześliczném chłopięciem, pamiętali że jakoś nagle utracił to dziecko, że całe miasto przez kilka dni o téj stracie gadało, ale nie umieli opo-

wiedzieć wypadku, ani wyjaśnić jak się skończył. Cóż dziwnego? W czasach strasznych zamieszek, wojen i napadów, tyle osób, nietylko w dziecinnym, ale i w dojrzałym wieku ginęło bez wieści! Choćby tylko wspomnieć owe tysiące już dwa razy w jassyr zapędzone. Kogóż mógł obchodzić tak bardzo los jednego sieroty? Każdy miał dosyć swoich własnych krewniaków i przyjaciół do poszukiwania i płakania.

Może też ci starcy i wiedzieli więcej niż mówili, ale widząc krwawy ból matki, chcieli jej oszczędzić ostatniego słowa, i zostawić nadzieję choćby złudną?

A jeszcze inni..... któż to wie? Przestraszeni przybyciem trędowatych, może przecinali rozmowę suchym zaprzeczeniem, aby prędzej się pozbyć takich gości?

Nakoniec jeden z wypytywanych, Przeor Celestyn, bieluteńki jakby gołębek, okazał się lepiej powiadomionym, i co więcej, nadzwyczaj łaskawym; nie rozmawiał z niewiastami jak inni, przez okno lub z wysokiego progu sieni, ale wpuścił je pod swój dach.

Ten, znał Xiędza Macieja; co prawda niewiele, bo nie będąc jeszcze w onczas Przeorem, ale młodym skromnym zakonnikiem, niemógł wchodzić w zażyłość z tak poważnym Prałatem. Odwiedzał

go jednakże kilka razy, dla załatwienia jakiejś duchownej sprawy, i wtedy widywał tam pachole, ustrojone, białe, złotowłose, ale dziwnie ciche i posepne; ta posepność mogła témbardziej zadziwiać, że opiekun pielęgnował go, pieścił i strzegł jak oka w głowie.

Na te słowa, Elżbieta i Ludmiła niemogły się powstrzymać od gorzkiej uwagi:

— Pięknie go strzegł! A toć chyba go wcale nie pilnował? Dziecko musiało chodzić samopas między ludźmi, kiedy mogło na śmierć się zabłąkać.

— Ale gdzież tam! — Zaprzeczał Przeor. — Ten biedny Xiądz Maciej prędkiej przebiérał miarę w pieczołowitości. Ludzie się śmieli, że strzeże chłopca jakby dziewczki. Jacyś bogaci krewni chcieli to dziecko zabrać i wychowywać razem ze swoim synem, a on sobie nie dał o tém gadać. Pamiętam, sam do mnie mówił: «Za żadne skarby świata nie oddam go nikomu.»

Niewiasty spojrzwały po sobie zdziwione, nierozumiejąc jacy to krewni mogli się napiérać Jasia? Jednak nie czyniły już nowój uwagi, chciały jak najprędkiej usłyszeć koniec.

Niestety, opowiadanie tu się przerywało.

Jak na nieszczęście, w czasie owój przygody, Xiędza Celestyna nie było we Wrocławiu; jeździł z obediencją do jakiegoś innego klasztoru. Kiedy wrócił, już nie znalazł dziecka. Xiędza Macieja zastał jeszcze przy życiu.

— Ale — mówił Przeor, — jakież to było życie!

Nieszczęsny Prałat wyglądał jak obłąkany, poruszał niebo i ziemię aby odnaléźć wychowanka, prosił nawet o pomoc u Xiężny Jadwigi, która mu dała kilku ludzi zbrojnych; z niemi obszukiwał okolice Wrocławia. Wśród tych poszukiwań zachorzał, i w pół roku po swojej stracie umarł, namęczywszy się i ciężkiém chorowaniem, i wyrzutami sumnienia co mu nie dawały pokoju; ciągle powtarzał: «Jak się tu pokazać na sąd boży? Co ja powiem téj matce, jak mię się tam zapyta?» — Okropnie było słuchać. — Dopiero w samej chwili konania nagle się uspokoił, nawet poweselał; składał ręce, wołał że «Jaś żyje!» Pewnie go już widział między aniołami.

Tyle tylko mógł opowiedzieć zacny Przeor Kiedy usłyszał dzieje branek, wzruszył się niesłychanie. Razem z Ojcem Innocentym zaczął całe miasto przetrząsać, w nadziei że może jeszcze znajdzie jakiego świadka.

Poszukiwania te trwały przez dni kilkanaście, ale téż nie były bezowocne; znalazł się jeden z owych żołnierzy, których Xiężna Jadwiga dała Prałatowi do pomocy. Stary wojak bez ręki, niełatwo sobie przypomniął wypadek tak dawny, i tak drobny w porównaniu do wielkich rzeczy jakie przez ciąg życia widywał. Jednak suta jałmużna dodała bodźca jego nieruchawej pamięci; przypomniął sobie nawet szczegóół bardzo ważny: oto, że

po kilku dniach poszukiwań, znaleźli przyodziełek tego dziecka, porzucony w krzakach pod lasem, o jakie pół mili od Wrocławia.

— Pewnie, — dodał — wilcy rozdrapali dziecko.

Niewiasty pytały truchlejąc, czy przyodziełek był skrwawiony?

Żołnierz się zamyślił.

— Doprawdy niewiem..... — Odrzekł. — Pono cały był uszyty z czegoś czerwonego..... srodze już zdarty i zdeptany. Prałat jednakż go poznał. Jak zaczon całować te szatki a szlochać, tak mu się coś zrobiło, lecioł nam bez ręce, musieli my co prędzej zawiéść go do miasta, na łoże, z którego już i nie wstał.

Słowa starego wojaka przeraziły wszystkich. Znalezienie przyodziewku rzucało niedobre światło na wypadek, dowodziło jakiejś walki, jakiegoś gwałtu; naprowadzało na mrozące myśli.

Daléj, mimo największych usiłowań, już nie zdołano znaleźć żadnych nowych świadków ani śladów.

Jednak, po kilku dniach wyczekiwania, błysnął znowu maleńki promyczek nadziei.

Pocziwy Przeor Celestyn, sam o kijku przywłókł się do bram Lazaretu, i wywoławszy niewiasty, powiedział:

— Przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz,

która może wam się na co przyda. Czy znały wy Frańciszkana Benedykta, co chodził z posłowniem do Tatarów?

— A jakże? Święty człowiek! Jego przybycie było dla nas jedyną pociechą w ciągu całej niewoli. Ja nawet pisałam przez niego do mojej nieśczęsnej dzieciny.

— Wiem o tém. Jak tylko wrócił od Tatarów zaraz wybrał się do Wrocławia, ażeby to pisanie oddać. Ale za późno przybył. Xiądz Maciej od kilku miesięcy już nie żył.

— Więc to wtedy się stało?—Wyjęknęły niewiasty.—Mój Boże! My tam się w najlepsze radowały że list przyniesie tu pociechę, a tu już było po wszystkim!

— Już było po wszystkim. — Powtórzył Przeor. — Kiedy Brat Benedykt nie znalazł ani Prałata ani dziecka, zaczął biegać po wszystkich ludziach co ich znali. Przybiegł i do mnie, przerażony, w pół żyw. Myślał że mu wszystko wytłumacze; ale ja tak mało wiedział! I nikt nie wiedział więcej. Frańciszkanin słuchał, dopytował się, płakał, potem,—pamiętam dobrze —wstał i powiedział: «Ha! Ja jeszcze pójdę szukać tego dziecka.» Jak poszedł, tak do dziś dnia go niewidziałem. Jednak teraz, po namyśle, wpadam na takowe przypuszczenie: A może on i odnalazł chłopczyne, jeno już nie miał po co wracać z nim do Wrocławia?

— Ach tak!—Wykrzyknęły niewiasty.—Mo-

że go zaprowadził do Krakowa, pod opiekę Xięcia Bolesława, albo Xiężny Kingi? Bardzo być może!

— Jeśli chcecie, kochane matki, napiszę do znajomych jakich mam w Krakowie. Co prawda, teraz nikt nie jedzie w tamte strony, może jednak wynajdę kogo coby wziął pisanie?

— Ach dobrze! Dobrze! Łaskawcze, piszcie! Ale nie wysyłajcie pisma przez nikogo innego tylko przez nas. My same pójdziemy, same wszystko zobaczymy, wszystkich się wypytamy. Do Krakowa! Jak najprędzej do Krakowa!

Z przeszłości.

Wśród pagórków i dolinek, pokrajanych w szachownicę pól zielonych i złotych, biegnie wesoły gościniec.

Gościńcem idą dwie niewiasty trędowate.

W koło nich wszystko wre życiem i kwitnie sady pachną, ptaszki świegocą, wioski coraz gęstsze i ruchliwsze, na drodze ludzi coraz więcej, a wszyscy strojni, spieszący się i śmiejący. Ach tak! Cały krajobraz się śmieje, bo to śliczna ziemia Krakowska, — tylko dwie podróżniczki, smutne.

Już one nie stąpają tym krokiem radosnym, gorączkowym, jakim się zbliżały do Wrocławia. Nogi je ledwo niosą; filar nadziei, co przez długie lata podtrzymywał ich nadludzkie wysilenia, zachwiał się pod nimi, za chwilę może runie. Przy nowych zgryzotach, i trąd się odezwał nowym szeregiem cierpień; Elżbieta znowu ciągnie dwa ko-

stury, i oczy trzyma w ziemię wlepione; tak, już nawet łagodna, pokorna Elżbieta dziwi się srogości wyroków bożych, i nieśmié wznieść oczu do nieba, z obawy aby wzrok jój nie błysnął wyrzutem. A Ludmiła?..... O! Ta, już nietylko się dziwi, ale i oburza..... Gdyby o nią jedynie chodziło, rzekłaby sobie: — «No, ja nieraz grzeszyłam wielką krnąbrnością serca, niech mię Niebo karci..... ależ Elżbieta? Świątobliwa Elżbieta, za cóż ją Pan Bóg tak opuszcza?» — To pytanie przepelnia jój serce goryczą, której nikt już nie łagodzi ani gromi, bo już i cierpliwa towarzyszka niéma dość sił do walczenia z jój buntowniczym duchem.

Najczęściej téż milczą; o czém tu mówić? Przez dwadzieścia pięć lat niewoli mówiły o Jasiu, przez kilkanaście lat podróży mówiły o Jasiu. Teraz tego jednego przedmiotu nie śmieją dotykać, a prócz tego jednego, cóż na świecie jeszcze może je obchodzić?

Tak,—już niczego nieśmieją..... ani dobrych rzeczy roić, ani złych przewidywać, — nieśmieją słowa zamienić, z obawy aby pod niém nie wionął ostatni wykwit nadziei, który jest już taki wątły, że tylko ruszyć, tylko dmuchnąć, a rozprysnie się jak gałka pérzu.

Ludmiła jednak nieustannie łamie sobie głowę nad wynalezieniem słów pociechy; niełatwo je wynaléźć; od czasu do czasu tylko, powtarza słowa sto razy już powtarzane:

— Jednak Ojciec Paweł obiecywał....

Albo téż:

— No, że zginął, że się gdzieś podział, to jeszcze nie dowód aby nie żył?

Elżbieta za każdym razem odpowiada:

— Prawda Ludko..... ufajmy i szukajmy.

I znów milczą, i wloką się wzdychając.

— Czy to już byłby Kraków? — Nagle pyta Elżbieta.

— Nie, to co przed nami stoi, to nie miasto żadne, to jakaś duża wioska. Ty Elżuniu już ustajesz, ja to dobrze widzę. Ach Boże, kiedyż to już będzie ten Kraków?

— Patrz Ludko, jaka tu piękna Męka Pańska z Figurą malowaną. Siądźmy pod nią, a jak będzie kto przechodził, spytamy się czy jeszcze daleko?

Siadły. Niedługo czekały. Z wioski dochodził gwar niezwykły, i śpiew jakiś chóralny, bardzo smutny, który się powoli przybliżał. Nagle, z pomiędzy chałup wystąpiła osobliwsza processja: rozmaite osoby, mężczyźni i niewiasty, młodzież i starcowie, szli parami, po pas obnażeni. Każdy w rękę trzymał bicz o kilku powrózkach, któremi smagał plecy poprzednika. Mimo ciętości razów na które i patrzeć było przykro, smagani wcale się

nie skarżyli, nawet nie syknęli, ale z wielkiem namaszczeniem śpiewali Psalmy Pokutne.

Z ust Elżbiety i Ludmiły wyrwał się naraz jeden wykrzyk:

— Biczownicy!

Nieraz już one ich spotykały pielgrzymując przez Europę, i zawsze na nich patrzyły z pewniem pomieszaniem współczucia i obawy.

Czego téż ta biedna ludzkość już nie próbowała dla przebłagania twardych losów? Jedną za prawdę z prób najdziwniejszych i najrozmaiciéj sądzonych, była owa sekta Biczowników.

Poczęta niezaprzeczenie w ducha czystym i ofiarnym, chciała przywrócić jawne pokuty pierwszych wieków Kościoła, w nadziei że powrót do pierwotnej surowości, rozbroi zagniewane Niebiosy.

Bo widocznie były zagniewane. Widnokrąg coraz bardziej się chmurzył.

Niepowodzenia ostatnich wypraw Krzyżowych,—utrata Grobu Świętego, który się wydawał zakładem łaski Bożej,—straszliwie rosnące zbory Mahometan, — walka we wnętrznościach samej Rzeczypospolitej Chrześcijańskiej, gdzie Cesarstwo coraz groźniej mocowało się ze Stolicą Apostolską, — niepamiętne wzrastanie trądu, — a nakoniec wisząca wciąż od Wschodu, z niczém niezró-

wnana moc Tatarów, co groziła jakoby nowym, żyjącym potopem,—wszystko to przejęło duszę narodów świętém przerażeniem.

Nie wiedzieć z kąd, ale wszędzie, jakby z pod ziemi, pojawiali się ci ludzie z biczami, którzy odstąpiwszy rodzin, majątków i wygod, brali chłostę za siebie i za drugich, opowiadając wielkim głosem, że trzeba się co prędzej kajać, bo koniec świata niedaleki, sąd Boży nieuchronny, a złość ludzka już przepełnia miarę, i przepełni ją nieochybnie, jeśli jój się nie ulży olbrzymią, wspólną pokutą.

Z początku nie można było nic zarzucić tym ludziom, którzy niczego nie żądali tylko wolności płakania i cierpienia. Świeccy dziwili się, kruszyli, nawracali,—duchowieństwo milczało i czekało.

Nie długo przyszło mu czekać. Duch nowych stowarzyszeń dziwnie szybko się zwichnął. Pomiędzy swoich srogich pozorów, ta pokuta była *nadto łatwą*, wymagającą jedynie pewnej wytrzymałości fizycznej, która szybko się wyrabiała w czasach tak wojennych i tak ascetycznych. To też niedługo, zamiast owych dusz wyborowych co wyszły z piérwszemi processjami, zaczęły się tam garnąć wszystkie szumowiny społeczeństwa, ludzie nie mający nic do stracenia, noszący może niejedną plamę na swojej przeszłości, a którzy teraz, w zamian za kilka plag codziennych, zdobywali sobie aureolę męczeńską, i głosili się wybawicielami ludzkości.

Nagle, duchowieństwo powstało jednozgodnie. Ze wszystkich kazalnicy zabrzmiały słowa

przestrogi i pioruny groźby. Męczennicy zeszli na sekciarzy.

Pod tym wyrokiem, w oczach tłumu dużo stracili, ale w swoich własnych urosli. Już teraz jęczeli nietylko jako pokutnicy, ale jako prześladowani.

Jęk nie pomagał. Od kościołów ich odpychano; miasta przed niemi zamykały bramy. Włóczyli się już tylko po lasach i polach. Kupy, żadną regułą nie ujęte, od żadnej władzy nie strzeżone, coraz podejrzaniej wyglądały. Szeptano sobie, że pod płaszczykiem nabożeństwa kryją swawolę i zgorzienie; jawnie ich nie śmiano popierać; jednakże gdziekolwiek się pojawili, wszędzie znajdowali jeszcze widzów ciekawych i na wpół wzruszonych, bo wszelki dowód odwagi, wszelki ból dobrowolnie i dobrze znoszony, bądź co bądź budzi uwielbienie.

I tutaj, ze wsi Krakowskiej, cała ludność wysypała się za Biczownikami, patrząc wzrokiem nieokreślonym. Uśmięchu nie można było dostrzedz u nikogo; widok sińców i krwawych kropel na posiekanych plecach, rozpędział żarciki i szyderstwa. Niektórzy tylko głową kręcili, mówiąc:

— Po co to robić przed ludźmi? Xiądz Teofil przeszłej Niedzieli uczył, że jeżeli się kto chce biczować, to niech się zamknie w komorze i czyni to dla Pana Boga.

Jeden z obecnych nawet ruszył ramionami, mówiąc:

— E..... poszaleli!

Ale kilka innych głosów, szczególnie kobiecych, przeczyło mu ogniście. Pewien stary mądrał, co dużo po świecie wędrował, ośmielił się powiedzieć:

— Kto ich wie, może to i święci? Abo to jeden święty uchodził za waryjata dopóka był żyw, aż dopiero jak umarł a zaczon cuda robić, tak ludzie dalejże na kolana.

Doszedłszy do przydrożnego Krzyża, Biczownicy zakończyli swoje przedstawienie, pochowali biczyki, a na zbolale ramiona i na głowy nadzieli ciemne kapice, poczem kląkwszy gromadnie przed Krzyżem, uderzyli w głośny płacz i jęki. Dotąd śpiewali Psalmy po Łacinie, teraz rozpoczęli modlitwę różnojęzyczną, gdyż byli tam ludzie z rozmaitych krajów, z Niemiec i z Węgier, z Czech i z Flandrji, ba! nawet z ziem Francuzkich i Włoskich. Każdy modlił się po swojemu, z czego powstał gwar osobliwszy; mieszkańcy wioski tymczasem, tknięci litością, wsuwali im do rąk jałmużnę, za którą Biczownicy nie umieli czy nie chcieli inaczéj dziękować, tylko mocniejszym wybuchem pokutniczych jęków.

Nasze niewiasty przyglądały im się z rozczuleniem; u tych co dużo płakali, widok cudzych łez budzi zawsze współczucie. Najwięcej uwagę ich zwracała jedna Biczownica, niewiasta lat już mocno dojrzałych, ale jeszcze przystojna, rażna i nosząca w odzieży dziwne ślady pańskości; miała spódnicę wytartą ale ciężką jedwabną, ze strzëpami kosztownego futra; była przewiazana pasem zczerniałym ale litym w srebrne i modre wzory; na jëj obnażonych piersiach wisiał krzyżyk złoty z turkusami, który podczas biczowania podskakiwał nakształt iskierki, a teraz przy każdym przyklëknięciu wysuwał się z pod kapicy. A było tych przyklëkań co nie miara; niewiasta modliła się najgłośniej, najdziwaczniëj ze wszystkich; z rzadką zręcznością padała i wstawiała w niezliczonych pokłonach, głową biła o ziemię, a mimo tylu trudnych ruchów, żegnała się nieustannie.

— To jakaś osobliwsza Chrześcjancka! — Rzekła Ludmiła. — Czy uważasz? Ona tak czołem bije o ziemię jak Tatarzy. Czyby to była Nestorjanka?

— E, gdzież tam! — Odparła Elżbieta. — Prędzëj niewiasta Ruska. Czy wiesz kogo mi ona żywcem przypomina? Oto naszego Wasyla i jego Głafirkę; oni się modlili zupełnie tak samo.

Na te słowa Biczownica zwróciła głowę ku niewiastom, i złą Polszczyznę zapytała?

— Kto tu mówi o Głafirze i Wasylu?

Podróżniczki trochę zmieszane, odrzekły:

— Przepraszamy pokornie..... myśmy tu sobie gadały o naszych znajomych co się tak nazywali.

— A bo i ja się nazywam Głafira, a mój ojciec nazywał się Wasyl.

— No tak, ale wy przecie nie ci sami. Tamci byli aż z Ustiuga.

— A właśnie i ja z Ustiuga. Ojca mego ztamtąd zabrali Tatarzy.....

— Tatarzy!—Wykrzyknęły niewiasty. — Dobry Boże! Więc to Głafirka! A ty, czy pamiętasz owe dwie branki u Tatarów, Elżbietę i Ludmiłę?

— Jakto czy pamiętam? Przecież to nasze dobrodziejki, nasze wybawicielki! Mój ojciec do śmierci je błogosławił, i mnie kazał się zawsze za nie modlić. Czy wy co wiecie o nich?

— To my jesteśmy.

Na te słowa Biczownica osłupiała, potem rzuciła dziki wykrzyk, i jak pierwój przed Krzyżem, tak teraz przed niewiastami padła czołem, tarzając się po ziemi; niezważając na postrach trądu, chciała całować ich ręce i nogi.

O! To była gorąca dusza, jedna z tych kobiet o bladój cerze a namiętném sercu, jakie się spotykają pod niebem polarném.

Drzewa rosnące w koło Krzyża, zasłaniały ją nieco przed oczyma ciekawych. Niewiasty chcąc jeszcze swobodniej rozmawiać, cofnęły się z nią za gruby stóg siana, i tam dopięro wybuchnął ten szereg pytań bez odpowiedzi, wykrzykników bez celu, i westchnień bez wytłumaczenia, który obojętne-

mu wydaje się wrzawą bezrozumną, a dla witających się, posiada niezrównaną wymowę.

— Więc to ty ta Głafirka którą ja wiozłam na wielbłądzie?— Wołała Ludmiła nie mogąca wyjść z podziwienia.

— To ja, to ja, patrzcie: mam jeszcze ten krzyżyk złoty któryście mi dały, a który noszę jak relikwię. Wszystkie klejnoty straciłam, a tego się nie chciałam pozbyć, nigdy!

— Ale cóż to znaczy,— rzekła Elżbieta nagle uderzona widokiem jój ubóstwa,— cóż to znaczy że cię spotykamy samą jedną, wśród tych biednych ludzi? A gdzież ojciec? Czy żyje?

I obie nalegały:

— Opowiedz-że nam wszystko.

Ale Głafirka nie zdawała się ochoczą do podobnej spowiedzi.

— E..... co tam o mnie gadać..... Lepiej wy mnie powiedzcie co się z wami działo przez te wszystkie lata? Kiedy-żeście uciekły?

Opowiedziały jój w krótkości swoje dzieje. Żegnała się ciągle ze zdumienia, w końcu zapłakała na wiadomość że zginął ten Wańka złoty, co się z nią bawił jak braciszek.

— Ach, może ty nam potrafisz co powiedzieć o Jasiu,— prosiła Elżbieta, -- przecież ty go dłużej widziałaś niż my?

— Niewiele i ja więcej potrafię wam donieść, ale co pamiętam to i powiem.

Tu zaczęła swoją powieść, dosyć trudną do zrozumienia. Głafira mówiła nie po Polsku, ale dziką mieszaniną słów Ruskich, Niemieckich, Kumańskich i Węgierskich. Przytém często się zaczynała, niedokończyła wyznań. Po wielu jednak wysileniach, niewiasty pochwytyły główne rysy jej dziejów.

Po rozstaniu się z Ludmiłą w Węgrzech, uciekający szczęśliwie dotarli do Xięcia Bolesława, który z Xiężną Kingą i garstką wiernych ukrywał się w dobrze warownym Turoczu. Tam długie dni przeżyli w postrachach, a nieraz i o głodzie, jednak przy łasce Boskiej przetrwali nawałnicę, a kiedy pogaństwo zaczęło ustępować, Rafał co prędzej wybrał się do Polski, aby Jasia oddać Wujowi, a dla Wasyla przywieźć obiecane skarby. Wasyl chciał także z nim pojechać, chciał osiąść zaraz w którym zamku Ludmiły, ale Rafał odstraszał że tam źle mu będzie, że w Polsce jeszcze zimniej niżeli w Ustiugu.

— Niewiem czemu takie fałsze gadał, — zauważyła z przekąsem Głafira, — bo teraz kiedy tutaj przyszedłam, widzę że u was bardzo ładnie i ciepło.

— E..... niewierzcie..... — Z uśmiechem odparła Ludmiła. — Tego ciepła będzie ledwie na cztery niedziele, u nas istotnie ciężko, w zimie aż kamienie pękają, lepiej żeście zostali na Węgrzech.

Wasyl dużo namartwił się i naklął; już był pewien że go Rafał oszuka, że nigdy nie wróci. Jednak wrócił, i to z niemałemi skarbami. Wnet zaczęto

szukać prawdziwego «zamku», koniecznie z jedną chociaż wieżą. bo taki był marzeniem Ustiugczyka. Marzenie prędko się ziściło. W kraju straszliwie splądrowanym, po rodzinach rozproszonych lub wyrzniętych, ziemie i grazy brał kto chciał za bezcen. Wynaleziono zamek z wieżą na skale. Wprawdzie stał pustkami, pola były niesiane, winnice zdeptane, i wsie wyludnione, ale przy pomocy Ludmiłowych grzywien, ściany szybko porosły kobiercami, a ludność chciwa chleba, ciągnęła do nowego pana.

— Wtedy,—mówiła z dumą Głafira—zaczęło się dopiero dla nas życie. Mieliliśmy chłopstwa i dworzan co nie miara, a gości! Dzień i noc nakrywano stoły, grano w trąby i flety. Ja się tak wychowałam. Codziennie suknie barwiste, zausznicze, pasy, pełno dziewczek na moje usługi. Grałam na lutni; ojciec nawet sprowadził mi karła. Jak dorosłam, goście zaczęli zjeżdżać jeszcze gęściej; zalotników huk. Czekali długo. Nakoniec wybrałam sobie męża, Niemca. Zdawało mi się że będzie dobry. Śliczne miał włosy jakby len, a na koniu wyglądał jakby królewicz z bajki. A co to było za wesele! No, chyba cesarskie nie piękniejsze. Tańcowaliśmy cały tydzień, beczek z winem i piwem nikt niemógł naliczyć. Po ślubie zrobiło się w zamku jeszcze głośniej, bo mój mąż także przepadał za łowami i ucztowaniem; a nad wszystko lubił grać w kości. Ale za to z ojcem zaczęła być bieda. Coraz gorzej a gorzej.

— Cóż, czy chorował?—Pytały niewiasty.

— Nie, ale się martwił, codzień więcej. Ciągłe sobie przypominał różne rzeczy okropne.....

— Aha! Pewno te rzeczy do których go Tatarzy zmuszali.....

— A no tak. Najwięcej się martwił że między Tatarami musiał pijać kumys, bo wy wiecie? Kto pił kumys, ten już nie może być zbawionym, przynajmniej bardzo trudno..... trzeba strasznej pokuty.

— E! To tylko wasi popi tak mówią. U nas nikt w to nie wierzy.

— Prawda; xięża Węgierscy także zaprzeczali, chcieli ojca pocieszyć, ale niemogli, nie. Po nocach nie sypiał. Zawsze widział jakieś czarne i czerwone osoby, co przychodziły ażeby go katować. Nakoniec wynalazł sobie lekarstwo: jak się napił wina dużo, bardzo dużo, to zapominał i usypiał. Więc już potem leżał sobie ciągle na sali przy kominie, albo w sadzie pod starą śliwą; a zawsze dzban musiał stać przy nim. Co się obudził, to pociągnął ze dzbana, i znów się uspakajał i spał. Tak było kilka lat. Aż tu raz przychodzi: siniuteńki..... jakby go kto zbił. Wołam, ani drgnie. Wystawcie sobie, już się nie obudził. Przed śmiercią nieraz mawiał: «Głafirko, ty masz duszę niewinną, pokutuj ty za mnie abym nie poszedł do piekła.» Ale mnie wtedy niechciało się myśleć o pokucie, aż sam Bóg do niej mię napędził.—Po śmierci ojca byłabym płakała i dziesięć lat z rzędu. Cóż? I pła-

kać mi długo nie dano. Mąż gniéwał się kiedy by-
łam smutna..... spraszał a spraszał gości. Mnie to
już coraz mniej bawiło, a jego coraz więcej. Hu-
lał tak, hulał, aż zmarnował wszystko..... Sprzedał
najprzód winnice, potem pola, potem zamek, i znów
przez jakiś czas mieliśmy za co pić, grać i często-
wać. Ale i téj pociechy nie było na długo. Pewne-
go dnia, pokazało się że już nie mamy nic, tylko
ja mój krzyżyk, a on swego konia i miecz. Wsiadł
na tego konia, powiedział do mnie:— «Moja kocha-
na, szukaj ty sobie chleba, rób co chcesz, ja muszę
jechać w świat za szczęściem. — I rzeczywiście po-
jechał, a ja zostałam samiuteńka, w moich pięknych
szatach, ale bez dachu i o głodzie.

— Ach biedaczko,—przerwała Elżbieta—pe-
wnie ci było bardzo ciężko wziąć się do pracy, do
której nie nawykłaś?

Glafira odparła urażona:

— Ja? Do pracy? Ja, wychowana w jedwa-
biach, na Zamku? Nie! Wolałam głód mrzćć, niżeli
się spodlic. Ale krótko było téj biedy. Ludzie
mi poradzili abym się zaciągnęła do Biczowników.
I dobrze poradzili.

— Więc nie żałujesz?

— O, wcale nie! A najprzód, słodko mi po-
myśleć, że może pomogę duszy ojca, że odpoku-
tuję grzechy i jego i moje. A przytém..... ach, ja
nigdy nie byłam tak szczęśliwa.....

Tu oczy jój zabłysły, i rumieniec na twarz
wystąpił.

Niewiasty spojrzały po sobie zdziwione.

— Ależ jednak — rzekła Ludmiła — te na plecach rany, to nie żarty.

— E, człowiek przywyka. Zresztą..... to zależy jakiego się ma sąsiada; jedni biją zawzięcie, drudzy miło..... chcę powiedzieć, miłosiernie. — Co gorsze, co boleśniejsze, to niewdzięczność ludzi za których cierpimy. Oto i ten wasz Kraków, niedobre miasto..... niechciano tam nas wcale wpuścić.

— Więc wyście widzieli Kraków? Dawno?

— Tylko co. Złamtał idziemy. Złe miasto. Zły wiek. Świat musi się skończyć! Biada światu, który nietylko że tonie w grzechach, ale jeszcze i odpycha tych co-by go mogli uratować!

Gdy mówiła te słowa pełne grozy, twarz jej stała się ponurą, jak w dzieciństwie między Tata-rami.

Nagle, z po-za drzew pokazał się jeden z Biczowników, młody jeszcze, Węgier o czarnych wąsach, i mieniącym się, tygrysiem oku. Ruchoma twarz Głafiry przeszła nagle z nocy na dzień, zapłonęła dziwną mieszaniną postrachu i radości.

Biczownik uderzył ją po ramieniu, i coś powiedział pół-czule a pół-groźnie. Ona złożyła ręce, jakby go przeproszała.

Kiedy odszedł, rzekła z pośpiechem:

— Ach, jabym rada i trzy dni z wami gadać, ale niemogę..... już Stefan mię woła.

— Cóż to za jeden, ten Stefan? Twój mąż?

— Niech Bóg bron! Mój mąż już dawno umarł..... to..... mój brat.....

— Doprawdy? Czyż ty miałaś brata?

— No, to jest..... brat w Chrystusie. My Biczownicy, wszyscy się nazywamy «braćmi» i «siostrami».

Potém, raz jeszcze padła czołem o ziemię, zawołała:

— O, niechże wam Bóg błogosławi! Miejcie dobrą nadzieję! Przywróci wam dziecko, przywróci, choćby tylko za to że wyście Wasylowi uratowały córkę od więzów pogańskich!

I zerwawszy się, pobiegła za Biczownikami, którzy już długim, parzystym szeregiem ciągnęli w dal, śpiewając Psalm Pokutny.

Niewiasty zerwały się także, i poszły, mocno pokrzepione, weselsze. —

— Ach! — Mówiły. — Powoli, wszystko się odnajduje. Nawet owa Głafirka o której ani-śmy pomyślały. Czemużby więc i on?.....

Tu niedokończyły, i zapadły w dumanie.

— Jednak, — ozwała się po chwili Ludmiła — smutny los téj Głafiry, chociaż mówi że szczęśliwa..... jeżeli tak mówi z nabożeństwa, to pięknie, — ale jeżeli..... no, wolę nie posądzać. Albo i ten Wasyl? Ach, cóż to za śmierć! Chciałam, naprawdę

chciałam ich uszczęśliwić, ale jakoś moje chęci nie wyszły im na dobre. Niepróżno to ludzie mówią, że skarb co wpadnie w ręce splamione, nie dotrwa do trzeciego pokolenia. A już to nasz biedny Wasylko, trzeba przyznać..... miał sporo na sumieniu.....

— Ach tak.....—Odparła z westchnieniem Elżbieta.—Prędzaj czy później, sumienie się odezwie. A on jeszcze, zamiast żałować, zagłuszał je dzbanem..... Ciekawam, czy też Beppo lepiej skorzystał z twojego dobrodziejstwa? Że też to nigdy nie posłyszałyśmy już o tym biednym Beppie?

Na te słowa Elżbiety, Ludmiła nagle przystała, i po chwili wahania, rzekła:

— Owszem..... ja nietylko słyszałam o nim, ale go widziałam.

— Jakto Ludko? Ty widziałaś Beppę, i nic mi o tém nie mówiłaś? Gdzież to było?

— W Genui. Kiedyś,—był to jeden z tych dni, w których trędownatym wolno wszędzie chodzić..... zdaje mi się że w Wigilję Zielonych Świątek.....—ty leżałaś w Lazarecie —ja poszłam na miasto po jałmużnę. W Genui, pamiętasz? Uliczki są takie strome, że z góry można nieraz widzieć co się dzieje na dachach innych domów. Otóż ja, schodząc ostrożnie po takowej uliczce, zobaczyłam pod sobą wieżę od jednego pałacu, na której ludzie siedzieli jakby na jakim ganku. Musiało im tam być przyjemnie; mogli widzieć całe miasto, i góry, i morze. To też sobie nie żalowali wygody; był tam daszek

purpurowy, rozpięty od słońca, były i ławy kamienne, i różne kobierce i poduszki; przy blankach, bawiło się kilkoro dzieci ubranych po pańsku; trochę dalej, pod owym daszkiem, siedziała młoda kobieta cała w złotogłowach i i jedwabiach, a przy jej kolanach mężczyzna, także niezmiernie bogato przybrany we fioletowe axamity ze srebrem, siedział pół-kłęcząc, i leciuchno przygrywał na gitarze. Z początku niemogłam widzieć jego twarzy, bo ciągle patrzył w tę niewiastę jak w tęczę. Aż raz, odwrócił głowę, i poznałam — czy uwierzysz kogo? Beppa! Trudno nie poznać, — takiej drugiej głowy niema na całym świecie. Niechciałam jeszcze jednak wierzyć własnym oczom. Zbiegłam niżej, ku bramie pałacu, przed którą chodził wartownik oparty na wysokim berdyszu. Przystanęłam zdaleka z wielkimi pokłonami. Sądził że proszę o jałmużnę, ale ja prosiłam tylko żeby mi powiedział do kogo należy ten pałac? Powiedział najwyraźniej: «Do signora Giuseppa, sławnego pana i bogacza», i precz dodawał rozmaite szumne tytuły, których spamiętać ani sposób. Niemogłam się wstrzymać od niejakiego śmiechu, i zapytałam, czy to prawda co ludzie gadają, że ten sławny «signor» służył kiedyś u kupców, i jeździł z towarami po świecie? Odpowiedział najspokojniej: — «A cóż to dziwnego? U nas wszyscy wielcy panowie są kupcami.» — Ja się jeszcze dalej dopytywałam, a że słudzy lubią chwalić się wielkością swoich panów, i ten więc mi się chwalił że jego pan ma na

morzu mnóstwo własnych okrętów, że gdzieś bardzo daleko na Wschodzie założył jakieś miasto co się nazywa..... jak to on je nazwał? Kef..... czy Kafa? Cóż takiego..... Że potem ożenił się z jakąś xieżniczką Grecką z wyspy Libos czy Limnos..... a teraz — już sobie odpoczywa w tym swoim zaczarowanym pałacu. — Wtedy mi się jakoś gorzko zrobiło na sercu. Znow podbiegłam w górę uliczki, zbliżyłam się ile mogłam do blanków, i zawołałam kilka razy: «Beppo! Beppo!» — Niewiem czy poznał mój głos, ale wstał z widoczném pomieszaniem, i oglądał się na wszystkie strony. Kiedy mię spostrzegł, podniosłam — o tak — rękę, i rzekłam: «Człowiecze wiarołomnego serca! Czy zapomniałeś Ludomilli? Czy zapomniałeś Michela?» — Powiadam ci, zmartwił jakby kamień. Ja się odwróciłam, i co prędzej uszłam. Wystawiam sobie jak musiał struchléc na widok téj postaci czarnej, z twarzą zasłoniętą, co mu przypominała zdarzenia skryte, jemu tylko wiadome. Pewnie myślał że to moje widmo zagniewane wraca z tamtego świata, i ta myśl musiała na długo zamącić jego szczęście. Pewno już nie tak zaraz ośmielił się wyśpiéwywać czulości u nóg swojej xieżniczki Greckiej. Ja przynajmniej na to już nie patrzyłam. Już ani razu nie wyszłam na miasto, i tobie nawet niechciałam wspominać o niczém, tak byłam zraniona i zawstydzona.

— Czém?

— Jakto, czém? Wszakci on przysięgał uro-

czyście że *nigdy* mię nie zapomni? Że obraz innéj białogłowy *nigdy* nie postanie na ołtarzu jego duszy? W więdze by się nie zmieściły te jego zaklęcia. Wszak płakał, rozpaczał, zdawało się że zamrze? A potem..... potem tak łatwo się pocieszył!.....

— Ach Ludko, my już pono stare, a z ciebie jeszcze—jak widzę—dziecko. Ty jeszcze wierzysz w podobne przysięgi?

— Nie! Teraz już nie wierzę.

— Ależ powiedz mi, czego ty chcesz od tego biednego Beppa? Wszak sama odepchnęłaś jego miłowanie? Cóż on miał zrobić? Nigdy już nie zaznać żadnej słodczy serdecznej? Całe życie zmarnować w utęsknieniu z którego ty się śmiejesz? Przecież sama twemi dobrodziejstwami usłałaś mu drogę do szczęścia? Nie psuj-że sobie przed Panem Bogiem téj zasługi.

Ludmiła nachmurzona, szepnęła:

— Rzeczywiście, może to niebardzo po Chrześcijańsku..... Ale po cóż on się tak zaklinał?

Tu zamilkły obie, i długo szły w cichości.

.
.
.

Nagle, ich myśli przybrały inną barwę. Doszedłszy do wiérzchu niewielkiego pagórka, spo-

strzegły przed sobą miasto, błyskające w słońcu nad niebieską rzeką, zwieńczone Zamkiem na zielonej górze.

Obie, podniósłszy ręce, wykrzyknęły:

— Kraków!

Tak,—to był Kraków.—Już nie żadne złudzenie światła ni obłoków, nie żadna Fata-Morgana Wschodnia, już nawet nie żadna wizja przepowiedna, lecz Kraków rzeczywisty, złoty Kraków z Wisłą i Wawelem.

— Prawdę mówił Anioł! — Zawołała Elżbieta.—Oto nas tu przypędził swoją straszną różgą.

— Ach Elżuniu, i czyżby miał przypędzić na próżno? Czyżby miał nas przeprowadzić przez tyle niebezpieczeństw, na to tylko by nam w końcu powiedzieć:— «Patrzcie, niema nic.»—O nie! To być niemożę! Jaś tu jest niezawodnie..... jeśli gdzie, to tu.

Wtedy obie uklęły — rozciągnęły się krzyżem—i całowały ziemię—świętą ziemię ojczystą.

Czy to Kraków?

Pod Krakowem, przebyły — a raczej przeleżały pół roku.

Zgryzota długo przemagana, wybuchnęła nowym wzmożeniem się trądu, i ledwie doszły do celu, powaliła je na twarde Lazaretowe łoża.

Wprawdzie ten Lazaret był nierównie zasobniejszy niż Wrocławski; mieścił się nad Prądnikiem, w budynku w którym Iwon Odrowąż założył pierwotnie Szpital Świętego Ducha. Szpital przed niedawnymi laty przeniesiono do miasta, a w starym gmachu pozostali sami tylko Łazarze. Mieli tu izby ciepłe, jadło dostatnie, i obsługę. Nasze Pielgrzymki jednak byłyby wolały najnędnniejszą chałupinę za parkanem Ojca Innocentego, bo tam wśród małej garstki chorych, jedna ręka rządziła serdecznie, po ojcowsku. Tu, wszystko szło porządniej, ale zimniej. Ruch stołeczny, odbijający się nawet pod tym dachem, rwał i studził wszel-

kie stosunki. Zarządcy Lazaretu, znużeni ściskiem, chorych, i nieskończonym przepływem włóczęgów niemieli ani dosyć czasu ani głowy, aby kimkolwiek zająć się wyłącznie.

Z początku jeszcze, znalazły trochę współczucia. Kilku duchownych wzruszyło się ich losem, i rozesłało po mieście listy Przeora Celestyna. Odbiorcy listów odpowiedzieli jednozgodnie, że Jasia nigdy nie widziano w Krakowie, ani dzieckiem ani młodzieńcem. Świadectwo straszne, bo przecież syn takiego Sulisława, panicz możny i zacnego rodu, nie byłby przeszedł niepostrzeżenie w stolicy? Zasługi ojca dobrze pamiętano; każdy mówił:

— Tak, to ten Sulisław co zginął pod Chmielnikiem. Ale syn?..... Czy on miał kiedy syna?

Takie powszechne zaprzeczenie, zachwiało wiarę i w inne opowiadania podróżniczek. Zaczęto słuchać nieufnie, wątpić nawet czy one kiedy były naprawdę u Tatarów? Bo téż ich powieści wyglądały tak cudacko, tak nieprawdopodobnie! Albo to raz widziano trędowatych, którym choroba pomieszała zmysły? A może staruszki umyślnie kują takie bajki, aby wyzyskiwać litość łatwowiernych?

Miłosierniejsi ruszali tylko ramionami, złośliwi drwili głośno, kiedy rozповідаły o mieście Kara-

korumie, o namiocie z białych axamitów, pod którym uctowało parę tysięcy osób, lub jeszcze o bogactwach i zamkach, jakie przed pół wiekiem zostawiły w ojczyźnie. Zahukane, wyśmiane przez własnych towarzyszków niedoli, w końcu przestały przekonywać, i ponuro zamilkły.

Znalazły jednak i tutaj przyjaciela. Był nim posługacz szpitalny, Brunon, człowiek już bardzo stary, jednak jeszcze krzepki, czynniejszy niżeli najmłodszy. Bo też posiadał on u Boga łaskę dziwnego zdrowia; już od lat trzydziestu czy czterdziestu chodził około chorych wszelkiego rodzaju, spełniał posługi jakich się wszyscy inni bali, a sam ani razu nie zachorował. Im większy łazarz i nędzarz, tym dla niego był ukochańszym. Takie poświęcenie témbardziej budowało, że Brunon—jak sobie szeptano—żył podobno niegdyś na dworach bogato i szumnie. Mówiono że pewnego dnia — bardzo już dawno temu—nagle wszystko porzucił, majątności rozdał ubogim, a sam poszedł do Lazaretów, aby usługiwać trędowatym. Ludzie, widząc niezmiernie jego cnoty, namawiali go nieraz ażeby został xiędzem. Podobno przed laty, sam Biskup Prandota chciał go wyświęcić i stawić na świeczniku; ale Brunon zawsze się wyprosił, mówiąc

że zeń za wielki grzesznik, niegodzien niebieskiego zaszczytu kapłaństwa.

Niewiasty, przez długi czas ani się domyślały, że ten sługa to dawna ich dworska znajomość. Dopiero kiedyś, zgadało się o Braciszku Benedykcie. Twarz staruszka nagle zapałała, złożył ręce i zawołał:

— O! To święty człowiek! To on mię nawrócił! I czém? Czy uwierzycie? Jedném uściśnieniem!

Tu zaczął im opowiadać swoją przygodę z Braciszkiem, a niewiasty w najwyższém podziwieniu poznały, że to ów straszny młodzieniec którego pokazano im niegdyś na komnatach królowej Kingi, Rynhold kostera, kłótnik i rozpustnik, dzisiaj więcej anioł niż człowiek, może kandydat kiedyś do Kanonizacji?

Tak! One widziały ów uścisk, piorunujący i przemieniający, jak światłość u bram Damaszku.

— Od owéj chwili,—mówił Brunon — cóś we mnie się przewróciło, jakby mi kto duszę przenicował. Nagle zobaczyłem całą szkaradę mego życia. Z początku, brała mię rozpacz Judaszowa. Myślał ja że już niéma sposobu. Ale Bóg wyciągnął mię z przepaści. Niechże będzie na wieki uwielbion, że zostawił czas do pokuty.

Niewiasty ucieszyły się niezmiernie nadzieją, że Brunon wynajdzie im Braciszka Benedykta, i to może niedługo, bo jeśli Braciszek żył jeszcze,

to pewnie po staremu w Konwencie Krakowskim.

Na to Brunon głową potrząsnął i odrzekł:

— Widywał ja go nieraz ongi, mego Benefactora, mego Salvatora. Wiedział ja téż dobrze co Brat wiecznie szukał jakowegoś biédnego siérotę, a dzisiaj rozumiem o kogo mu chodziło? Szukał i szukał, aż nakoniec—będzie temu pono trzecie lato — zrobił ślub takowy, że pójdzie do grobu Świętego Frańciszka, do Assyża, na intencyję aby się ono nieboże odnalazło. Poszedł i dotąd go niéma. Żywi on jeszcze? Niewiem.

A więc, nawet i z Braciszkiem Benedyktem niemożna już było zamienić ani słowa, ani we stchnienia!

Za to Brunon całą duszą oddał się na usługi Elżbiety i Ludmiły. Od rana do nocy biegał po Krakowie, goniąc za śladami owego dziecięcia. Niestety, ani śladu śladów! Mieszczanie byli po większej części ludźmi niedawno przybyłemi, a ze starszych i z dostojników, nikt—jak na przekorę—nie bawił onego czasu w mieście, albowiem Xiążę Leszek Czarny wybrał się był właśnie na waleńą wyprawę przeciw Leonowi Halickiemu, który bardzo niesłusznie najechał ziemie Polskie, a co najhaniaebniejsze, przyzwał sobie na pomoc rozmaite pogaństwo, nawet podobno — o zgrozo!—jakąś kupkę Tatarów.

Szczęściem, te walki toczyły się dosyć daleko, i coraz częstsze wieści o zwycięztwach Leszkowych, pozwalały ludziom oddychać bez trwogi.

W końcu, gruchnęła radosna pogłoska, że Xiążęta biorą się do przymierza, i że już po wojnie.

Tymczasem nadeszła zima, nastał rok 1281. Około Wielkiego Postu skończyła się okrągła czterdziestka lat, ubiegłych od czasu jak branki popadły w niewolę.

Przewracając się na swoich ostrych, wyleżanych siennikach, powtarzały sobie owe słowa, już sto razy, tysiąc razy, milion razy powtarzane i obrabiane:

«Jako Izrael czterdzieści lat błąkał się w puszczy, taką przyszłość wasza. A kiedy powrócicie, nie poznacie nieba ani ziemi, ale odnajdziecie skarb stracony.»

— I oto, czterdzieści lat się błąkały — i wróciły — i cóż?

.
.
.
.
.

Pewnego dnia, ku wiosnie, jeden z Xiąży za-

wiadujących Lazaretem, przystąpił do niewiast, i tak się odezwał:

— Moje staruszki, dobrze ja widzę że wam u nas ciężko. Za wielki tu natłok, zawiele przechodniego żebractwa i skwiérku. Wam, coście chléb dworski jadały, musi takowe sąsiedztwo plugawie dokuczać. Obmyślił ja wam inakszą dolę. Jest niedaluśko ztąd, pode Krakowem, ucieszne miejsce, Zagościniec. Tam Rycerzowie Świętego Łazarza założyli uczciwy dom dla trędowatych. Zechciejcie jeno, a wyproszę tam dla was osobistą izdebkę, i będziecie mogły do śmierci mieszkać sobie w spokoju.

Xiądz może chciał spełnić miłosierny uczynek? Może téż chciał tylko wyzbyć się dwóch dziewczek, bo Lazaret był już nadto przepełniony? W każdym razie sądził że ucieszy chore. Tymczasem te, wylękły się, posmutniały, i pokornie prosiły aby jeszcze je tu ścierpiano. Ach! Bo tu przynajmniej były bliższe świata, u samych bram Krakowa, tu łatwiej mogły złowić jaką wieść niespodzianą, tu jeszcze Bruno kręcił się za niemi. Ale zamieszkać w tym zamkniętym, zaklętym Zagościńcu, a toć jakby zapaść się w grób?

— Nie!— Wołała Ludmiła.— Jeśli mamy gdzie iść na samotne, oplakane zakończenie życia, to już

pójdźmy lepiej do której z moich dawnych włości, albo do twojego Żegnańca. Wszak ty masz prawo tam wrócić? Zamek spalony, zniszczony, to prawda, ależ tam będziesz przynajmniej na twojej własnej ziemi. Odnajdziesz chłopków twoich dawnych; oni może z gruzów odbudują nam choć jedną wieżę, i zamieszkamy —wprawdzie same, jak pustelnice,—ale na Żegnanieckiej górze. A jeśli nowi ludzie tam osiedli, możeż i ci nam ustąpią choćby najlichszej chałupiny?

— Prawda! — Rzekła Elżbieta. — A nawet.....
wiesz co mi do głowy przychodzi?

Tu oczy jej błysły niezwykajnie.

— Może my *tam* właśnie odnajdziemy Jasia? Może on w najlepsze mieszka sobie w naszym starym gnieździe, a my go Bóg wie gdzie szukamy?

Domysł przedstawiał mało prawdopodobieństwa. Trudno było przypuścić, aby potomek rycerskiego rodu, przemarnował całe życie na głuchej gospodarce? Jednak, to była jeszcze jakaś niteczka, do której niewiasty mogły najdroższą myśl uwiązać. Więc zaczęły dzień i noc powtarzać:

— Pójdziemy do Żegnańca.

Łatwo mówić—ale jak wykonać? Ledwie co dni kilka mogą zwlec się z pościeli, a niech przyjdzie tylko wyrzucić na dziedziniec Lazaretowy, to już nogi pod niemi omgléwają.

— Teraz próżno rwać się do drogi, moje matki.—Mówi kręcąc głową, Brunon. — Roztopy wiosenne świat zalały, i zdrów nie przebrnie przez bagniste puszcze. Poczekajcie aż ziemia oschnie, a tymczasem dobrze by téż popróbować, czy wy jeszcze potraficie chodzić? Bo i to wielkie pytanie. — Oto właśnie przybliża się dzień Zmartwychwstania Pańskiego, zaprowadzę was do Krakowa.

Istniał naonczas w Europie zwyczaj niezmiernie wzruszający: na kilka dni przed Bożém Narodzeniem, przez cały tydzień Wielkanocny, i przez wszystkie znaczniejsze Święta, wolno było trędowatym wchodzić do miast i do kościołów. Świat nie miał serca dość srogiemu, by ich skazywać na wieczne zamknięcie, by się radować bez nich samolubnie; czuł że Święto powinno być dla wszystkich Świętem.

W owe dni, zdrowi ludzie—jako już ostrzeżeni—mieli się wszędzie na bacności. Do kościołów téż puszczano trędowatych przez uboczne drzwiczki, na osobne miejsce modlitwy.

I teraz więc, z początkiem Wielkiego Tygodnia, Kraków otworzył się dla mieszkańców Lazaretu.

Wyszły nasze niewiasty. Za niemi sypnęło się i wielu innych. Kto tylko mógł jeszcze nogami powłóczyć, ten korzystał z upragnionój, marzonój wycieczki. Brunon szedł na przodzie z grzechotką, ażeby ostrzegać przechodniów. Ci się usuwali, spoglądali z litością, czasem rzucili jaki datek.

— A co? Wyładniał nasz Kraków? — Mówił zwracając się ku niewiastom. — Jest na co patrzeć, i czém się pochwalić.

Tak, one patrzyły, ale żadna pochwała nie szła im na usta. Patrzyły z niedowierzaniem i rodzajem rozczarowania. Od czasu do czasu, jedna drugiej pytała:

— Czy to Kraków? Czy nam się śni, czy co?

Nic niemogły poznać. Ani budynków, ani ludzi, ani strojów ich, ani nawet mowy. Co chwila dolatywały do uszu jakieś nawoływania i wykrzykniki obce, albo zepsuta polszczyznę łamane. Co chwila przesuwały się postacie cudzoziemskie, najczęściej o długich włosach, i płaszczach z niemiecka na lewém ramieniu spiętych. Przed sieniami stały płowe Niemkinie, w złocistych czépkach i sztywnych jak chomonta sukniach. Tu stapał tłusty, cały w cienkie sukno ubrany Flandryjczyk — ówdzie kręcili się brodaci, w szatach po wschodniemu skrojonych, Ormjanie — gdzie-nie-gdzie już błysła żółta czapka Żyda. — Cudzoziemszczyzna ra-

ziła tém silniej, że ci wszyscy przybylcy, tylko co rozstasowani, jeszcze niemieli czasu na życie się z krajem, a chwilowa nieobecność Xięcia Leszka i jego rycerstwa, pozbawiała miasto głównych cech narodowych.

Niewiasty obruszone, mówiły:

— I to ma być Kraków? A toż stek narodów jakby w Karakorumie. Wszystkich tu widać prócz swojaków.

— Ha! Cóż było robić? — Odpowiadał Brunon. — Tatarzy raz i drugi miasto spalili, jednych wycięli, drugich w jassyr zawlekli. Xiąże Bolesław powrócił jak na cmentarz. Czekał — spędzał ludzi—niemógł spędzić dosyć. Więc począł spraszać obcych, byle zaludnić pustki. Ludzie to pracowite jakby pszczoły, i zasiedzą się, obaczycie. A nie myślcie aby i swojaków tu nie było,—są, są, tylko jakoś ich nie znać, bo co swoje, to nie kole w oczy.—No, ale że tu ładnie, to już przecie musicie przyznać. Z Xięcia Bolesława był tęgi gospodarz; wziął mu czart jedno miasto, on urobił drugie nakształt placka, i przy Boskiej pomocy wyrosło jak na drożdżach, a takie udane, że i nie żał starego.

Prawda,—nowy Kraków udał się przedziwnie. Zapewne, jeśli go porównamy z pyszną stolicą wieków przyszłych, wyglądał jeszcze dosyć skro-

mnie; ale w porównaniu z epoką przed-Tatarską, wydawał się istnym cudem świata.

A najprzód zauważmy, że wtedy po raz pierwszy dostał prawdziwe, urzędownie zakreślone ulice. Albowiem, jak mówi Kronika: «Piérwój, budował się każdy leda jako i wedle swój woli, a dopiero wtedy postanowiono miasto kształtnie i foremnie.»—Po zniszczeniach pogańskich, pełno placów zostało nietylko bez domów ale i bez panów; Bolesław mądrze korzystał z téj możności rozporządzania przestrzenią, ażeby nową stolicę zakreślić nietylko «kształtniej», lecz i szerszej. Nie była to już więc kupa mieszkań tłoczących się i boczących swywolnie, był to hufiec, a przynajmniej zarys hufcu, pokierowany jedną myślą. Prawda że miasto nie miało jeszcze murów obwodowych, ale miało już porządy wał z fossami. Prawda i to, że niezmierna ilość «virteilów» oraz «dworzyszcz» stała jeszcze pustkowie, ale te pustki ogrodzone i rozmierzone, dosyć przystojnie udawały ulice.

A co serce miasta, no! to było już dobrze ludne, zwłaszcza Rynek.

Ach, Rynek! Ten się najlepiej udał. Tu już król Bolesław pozwolił sobie przepychu, tu już nie pożałował placu. Rzadko które miasto Średniowieczne posiadało Rynek tak obszerny. Kiedy Elżbieta i Ludmiła znalazły się na nim, niemogły oczom uwierzyć, niemogły zrozumieć zkad się tu wzięło tyle miejsca?

Do koła biegną domy, już nie jak dawniej

przysiadłe i poplątane, ale wszystkie wysokie, wysokie— a wązkie— o jedném lub dwóch oknach— o szczycie spiczastym a trójkątnym, coś nakszałt Oka Opatrzności, a wszystkie stoją karnie, pod sznurem, i pokazują tylko pół twarzy, jak ludzie idący za processją.

Większa część tych domów skleciła się po staremu z drzewa, już jednak między niemi jest i trochę «kamiennic», czyli domów z kamienia, są nawet i murowane z cegły, wielki zbytek jakiego sobie pozwoliło kilku Nadreńskich bogatych przybyszów.

Na tych domach wiszą różne wizerunki Świętych, różne godła i znaki, rzezane i kraszone suto. Na dachach skrzypią chorągiewki wycięte w kształt kogucików i różnych śmiesznych bestyjek. Z wybrzeży dachowych sterczą cudne rynny o smoczyczych paszczekach. U wyższych piąter, wystają podpórki do zaczepiania opon i chorągwi na dnie uroczyste. Niżej, na dzwiach wązkich, łukowato wyciętych, czernieje mnóstwo żelaztwa; krzyżują się wrzeciądze i antaby, zasuwy i kołatki, a wszystko niby brylantami, posypane gwoźdźmi, a wszystko wyrznięte w różne liścia i łepki. Tuż koło drzwi, na ścianie, wiszą pierścienie do przywiązywania koni, z których zsiadli goście, albo kupujący. A ci kupujący nie błądzą już między przenośnemi budami, ale się kierują do samych domów. Tam na dole są nieruchome kramy, gdzie-nie-gdzie nawet już prawdziwe «sklepy», izby niskie, sklepiene,

obronne od ognia i złodzieja, zatarasowane w nocy silnie okowaną okiennicą, która w dzień wywraca się do połowy na ulicę, i od razu tworzy stół targowny. Za stołem kupiec i kupcowa, opaśli, ciężko ubrani, rysują się na czarném tle sklepienia, jakby ich tam kto wymalował. W oknach domów, zwłaszcza przy izbach złotników i lichwiarzy, syplają się misterne kraty.

Czasem od kramów doleci zapach Wschodnich aromatów i korzeni, który brankom przypomina ich Azjatyckie wędrówki.

Ówdzie, zawrotnemi schodami, zieje czeluść gwarnéj, gościnnéj «Piwnicy». Przybysze siedzą tam pod ziemią jak djabły, aby szwargotać i popijać Świdnickie piwo.

— Ale z piwem piją niechcący i nasze powietrze, które — da Bóg! — niedługo ich przerobi na ludzi.

Tak mówił Brunon, oprowadzając swoją gromadkę do koluteńka domów.

A i na środek Rynku neżyły niepoślednie ciekawości, zwłaszcza jedna osobliwsza budowla, raczej zbiór budowli, tworzących rodzaj osobnéj, zamkniętej w sobie forteczki. Były to cztery szeregi kramów, na krzyż powiązane czterema bramami, kryjące między sobą dziedziniec długi, porządkny, i po zagranicznemu już *wybrukowany*. Takich kramów nasze miasto może się nie powstydić ani

przed Francuzem ani przed Hollendrem. Zbudowane uczciwie z dzikiego kamienia, wdzięcznie sklepione i nawet malunkami zdobne, a nowiużeńskie jakby z igły zdjęte, najpierwój przechodniowi rzucają się w oczy.

— Kto je tu postawił?

— A któż miał postawić jeżeli nie Xiąże Bolesław, niezmordowany robotnik i naprawiciel? Chciał ludzi nauczyć, jak to powinny wyglądać stołeczne targowle, więc męczył się, płacił i doglądał, a gdy stanęły gotowiuteńskie, wypuścił je kupcom, i to samym sukiennikom, bo ludzie kupujące jednym towarem, lubią — jak wiadomo — siedzieć w kupie.

Niewiasty słuchały Brunona z roztargnieniem. Więcej od świeżych Sukiennic, wabił je, niedaleko szarzejący kościółek Świętego Wojciecha. O, ten się nic nie zmienił. Oto przynajmniej choć jeden świadek przeszłości, co się nic nie zmienił!

Brunon, widząc ich oczy skierowane w tę stronę, rzekł:

— Idźmy, pokłonimy się męczennikowi.

— A patrzcie!—Dodał, pokazując przystawkę z kamienia przytuloną do ściany kościółka. — Patrzcie, i tu był niedawno męczennik. W tej komóreczce mieszkał człowiek zamurowany. Okrutne Tatarstwo go zabiło, a teraz pobożni Krakowianie

zmienili tę celę na kapliczkę. Widzicie? — Mówił, uchylając drzwiczki. — Oto światło pali się przed Obrazem Świętego Pawła, bo ten pustelnik nazywał się Paweł. Może chcecie wejść, i pomodlić się trochę?

Ale niewiasty niechciały wchodzić, niechciały nawet patrzeć na celę, miały rodzaj żalu do tego miejsca, które je omyliło zawodnemi przepowiedniami.

Odwrócone ich oczy padły na kościół Panny Marji. W tych murach były zmiany, było już wiele zrobionego, jednakże nie tak wiele jak się spodziewały po całych czterdziestu latach. Bo téż podobne dzieło liczy się nie na lata lecz na wieki, a tu jeszcze, dwukrotne zniszczenie stolicy, podwójnie zatamowało jego rozrost.

Wodząc oczami po murach przybytku, niewiasty szukały owéj korony z kamiennego cierniu, której podniesienie, pozwoliło im niegdyś przyłożyć ręki do świętej budowy. Szukały, ale nie mogły jéj odnaleźć.

O branki, po co szukacie tak daleko? Już aniołowie dawno wyjęli ją z kamienia, i włożyli na wasze głowy, gdzie kwitnie, oczom niewidzialna, ale widzialna czystym sercom.

Prędką z przyrodzenia Ludmiła, którą nie-

cierpliwil widok wszelkiej rzeczy niedokończonej, rzekła patrząc w górę:

— Że też to chociaż tych dwóch wieżyc nie wyprowadzono po równości? Jedna wystrzeliła het w obłoki, a druga przysiadła. Kiedyż tę drugą skończą?

— Pono nigdy.— Odparł Bruno półgłosem. — Czart wmieszał się w tę sprawę. Na drugiej wieżycy cięży krew niewinna.....

— Boże miłosierny! Co za krew?

— Trzeba wam wiedzieć, że całą tą robotą rządziło dwóch braci.

— Wiemy, wiemy.— Podchwyciła Elżbieta. — My ich nawet widziały. Bracia to byli, a niepodobni do siebie, jakby dzień i noc.

— Słusznie wy matko przypasowali te słowa: «jakby dzień i noc.» Jeden był jaśniuteńki a dobry, że do rany przyłóż. Drugi czarny, i na włosiech i na duszy, gdyby w smole kąpany. To też onemu jasnemu szło na wszystkiem błogosławieństwo; co pomyślił, to i zrobił—co zmurował to cud świata; z czego miał u ludzi wielkie miłowanie i sławę. A tamten czarny, zajrzał mu wszytkiego, najbardziej zaś onych głosów pochwalnych. Gdy tedy przyszło do wieżyc, on powiedział tak: «Niech każdy swoją robi, obaczym kto lepszy.» — I myślił sobie: «Teraz przecie, choć raz ja będę lepszy.»— Ale tamtemu wieża szła do nieba prościutko, jak ów dym z ofiary Ablowej, a temu szła niesporo, djabeł mu przeszkadzał, bo chciał go na brata roz-

sierdzić aż do krwi. I póty mu kamienie rozłupywał, i robotę psował, aż tamtego wzięła Kaimowa zazdrość. Pomyślił na brata: «Niedoczekanie twoje — nie skończysz ty wieży.» — I tak zrobił, że brat się gdzieś podział, i nawet ciała jego nigdzie nie naleziono.—Wówczas ów Kaim już sam jeden budował, i jako pierwój szkodnika, tak teraz pomocnika sobie kupił w piekle, i skończył wieżę bardzo pięknie, i lud go chwalił i cześć mu wyrządzał. Powiedali mi ludzie co na to patrzali, że właśnie w on dzień, kiedy go tu po Rynku na rękach noszono, i kiedy mu dziewczki podawały wianuszki, przeszła wedle niego jakowaś panienka, w czerwonych sukniech i niebieskim płaszczyku. Raz na niego pojrzała z okrutną żalością, raz jeno, a ów nagle poblądł, zaczął ludziom lecieć przez ręce, i padłszy na klęczki, wyznawał z wielkim płaczem: «Nie wyrządzajcie wy mi cześci, albowiem ja zabił brata mego, abych się ubrać w jego sławność.»—Tedy wszytcy odstąpili ze strachem, i zapytowali: «A jakożeś ty brata zabił?» — «Na miejscu bezludném,—powieda—«zadźgnałem go tym oto nożem.» — I dobył nóż z zanadrza, i patrząc w jego krwawe plamy zaczął krzyczeć głosem przeraźliwym, i wbił go sobie w gardło, i padł trupem.

Niewiasty zakryły oczy drżącemi rękami.

— Patrzajcie matki! Oto ów nóż nieszczęsny

wisi tam w bramiach Sukiennicznych, na wieczną ludziom przestrogę.

— I cóż to była za dziewczka? — Zapytała z wielkiem zajęciem Ludmiła.

— Jedni gadają że on brata zgładził, nietylko wedle czci ludzkiej, ale i wedle oniej dziewczki, której miłowania mu zazdrościł; a drudzy myślą że to nie była prosta dziewczka, jeno sama Panna Maryja, co wyszła tu ze swego kościoła, aby grzesznika skruszyć, i wyznanie z jego duszy wywlec. Alić on miasto skruchy, wpadł w czarne szaleństwo, i nieszczęśnik zamknął sobie ostatnią bramkę ratunku.

Zapanowało milczenie, ciężkie jakby kamień. Wszyscy spoglądali kolejno, to na ów nóż straszliwy, to na nierówne wieże.

Nakoniec Elżbieta rzekła:

— Pójdźmy się pomodlić—za grzeszników.

Modlili się więc w kościele Panny Marji.

Potém niewiasty poprosiły:

— Teraz idźmy do Frańciszkánów, tam pono pogrzeban jest nasz d obrodziój, Xiążę Bolesław. Jeśliż komu to jemu, winny my westchnienie i paciérz.

U Frańciszkánów znaleźli wszystko cudnie; bo

téż król nieboszczyk osobliwszo serce utopił w tym Zakonie, i tam a nie gdzieindziej chciał usnąć swoim snem ostatnim.

Elżbieta patrząc na Stalle Chóru, myślała sobie:

— Mój Boże! Ileż to razy Władek tu klęczał, modlił się i śpiewał! Czemuż go teraz tutaj niéma?

Tymczasem Ludmiła ją nawoływała:

— Chodź-no rychlój, patrz jak osoba nieboszczyka przednio tu jest wyrzezana w kamieniu! Dużo przystarzały, ale jakoby żyw, mój opiekun kochany..... tylko się położył i śpi.....

— Co to się tu działo, kiedy Xięcia chowano! — Mówił Brunon. — Ja był przy tém, i widział. Xiężna Kinga tyle łzów po nim lała, że od onój okrutnej wilgotności, białe zawicie w koło twarzy jój pozieleniało.

— Czy może być? — Zagadnęła z niedowierzaniem Ludmiła. — Czyż ona go tak miłowała?

— Nie dziwuj się Ludko. — Wtrąciła Elżbieta. — Miłowania czyste, są takż wieczyste.

— Owóz, — ciągnął dalej opowiadacz — kiedy nad nieboszczykiem kamień runął, stało się coś osobliwszego. Nikt onój rzeczy nie układał, a na wszystkich padło jedno zgodliwe natchnienie. Biskupy, Wojewody, Rycerzowie, i Mieszczany, i cały naród, wszystko się rzuciło do Xiężny a wołało: «Teraz ty nam króluj! Ty jedna!» — Ona tedy broniła się wstydliwie, i tak odmawiała: «Oto macie

wasze rodzone Xiążęta, oto i tego Leszka, co go mój małżonek wam polecił.» — A oni jęli całować jęj szaty i nogi, a wołać: «My niehcemy nijakich Xiążąt, ino ciebie, ty anielska pani! Ty rządź tęp królestwem, ty matkuj nam jak dzieciom.» — Ona bez chwilę pomilknęła, potęp na piersiach uczyniła krzyżyk, jakoby straszliwego cós odżegnywała, i tak rzecze: «Nie wodźcie mię na pokuszenie moi mili. Ja od maleńkości miałam serce ku życiu mni-skiemu. Pan Bóg długi czas nie pozwalał, aleć teraz już On mię tam woła.» — I wydarła się z onęj szlochającęj gromady — i wszystkie swoje majętności rozdała na ludzie żebrzące — wszystkie swoje królewskie bławaty i cesarskie kamienie podarowała na kościoły — a sama wciągnęła kolącą kapi-cę, i poszła do Sądcza, gdzie Siostróm chusty pierze, drwa nosi, cele zamiata, chorym służy, i w ubóstwie się kocha.

— I któż teraz — rzekła Elżbieta — powstydzi się ubóstwa, gdy taka mądra pani przekłada je nad królowanie?

Wszyscy się zadumali. Nastala chwila ciszy — jakby anioł przeleciał.

— No, a teraz mateczki, gdzie pójdziemy? — Zapytał przewodnik.

Niewiasty chciały pójsć na Skalkę, ażeby uczcić po staremu zwłoki Biskupa Szczepanowskiego.

Ale obecni wszyscy się uśmiechnęli. Odpowiedziano im że już nierychło tam chodzić, bo ten Biskup już ogłoszon za Świętego, te zwłoki to już nie zwłoki lecz Relikwie, i leżą już nie na smutnej Skałce, ale w samej Katedrze, na Wawelu.

— Na Skałce zaś,—dodał Brunon — w onym starym Zamku, jak to mówią «na Gródku», siedzą teraz Wójtowie.

I znów niewiasty się dziwiły, co to za «Wójtowie», o których nikt nie słyszał za lat ich młodości?

Puszczono się zatem do Katedralnego kościoła.

Po drodze, Elżbieta szepnęła przyjaciółce:

— No, teraz przyznaj, że przynajmniej w połowicy, prawdziwe są te słowa Ojca Pawła, których tak długo nie mogliśmy zrozumieć: «A kiedy powrócicie, nie poznacie nieba ani ziemi.....» Wszystko co na ziemi, to dziś inakże, domy, ludzie, urzęda..... niczego nie poznać.

— Prawda.—Odparła Ludmiła.—Co do ziemi, to prawda. Ale co do nieba—niech mi daruje Ojciec Paweł—ja tam nie widzę żadnej zmiany. Zawsze takież jak i dawniej niebieściuchne, i takież na niem obłoczki prześliczne, jakoby malowane.

Właśnie w tój chwili, na tle owego błękitu i owych malowanych obłoków, zarysował się przed niemi Wawel, ze swoją świątynią i ze swoim Zamkiem.

Ach, Zamek! Jak on się do nich uśmiechał! Gdyby tam wejść! Gdyby znów zobaczyć te komnaty, gdzie się Mistrza Gaudentego słuchało, gdzie się z Przedwojowicem płaśało! Ale do królewskiego mieszkania, dziś za dni Leszka, już trędowatych nie wpuszczano.

Za to w domu Bożym, otworzyła się dla nich furtka miłosierdzia. Ileż tam odnalazły wspomnień, zwłaszcza z owój Pasterki!

W obecnym jednakże czasie, nad wszystkiém, nad przeszłością i nad przyszłością, górowała tutaj trumna Świętego Stanisława, unosząca się w promieniach swojej świeżej glorii, tój niezrównanej glorii Najwyższego Patrona kraju.

I tu znowu—jak ongi we Wrocławiu, tylko jeszcze z większém uniesieniem — zaczęto im rozpowiadać przepyszności o przesławnój tój Kanonizacji, o którą sam Pan Bóg upominał się przez długie lata, szeregiem niezliczonych cudów.

A kiedy opuszczali przybytek, Elżbieta pochwyciła znów rękę Ludmiły, i szepnęła z niezwykłym wzruszeniem:

— Ludko, Ludko..... Ja już zrozumiałam i drugą połowicę przepowiedni: my i nieba naszego poznać nie możemy, bo w tém niebie przybyło dwoje nowych Świętych, i to jeszcze jakich!

— Cudownie mówisz Elżuniu! Ach tak! Wszystko się sprawdza, wszystko! Tylko jeszcze to jedno..... gdzie nasz «skarb»?

Gromada wracała znów przez miasto, i znów Brunon kazał ciągle przystawać, coś oglądać i coś podziwiać.

Rzeczywiście, było co podziwiać, było czém paść oczy a nawet i duszę. To miasto zniszczone i odrodzone, było jakby dotykalmém wytłumaczeniem przypowieści co mówi, że «i nieszczęście może się na coś przydać» — jakby dowodem przysłowia, że «niéma złego coby na dobre nie wyszło.» — Ten fenixowy symbol, rozwiązywał niejedną straszną zagadkę dziejów, nad którą ludzie łamali sobie głowy, zapytując z goryczą:

— Dla czego Pan Bóg pozwala na tryumf barbarzyństwa, ciemnoty i zbrodni?

Taki widok najodważniejszych osłabia, najzaniejszych zniechęca, i u wielu zachwiewa wiarę w rządy Opatrzności.

A jeśli która karta dziejowa może zniechęcać i zachwiewać, to zaprawdę karta zaborów Mongolskich.

Na pierwszy rzut oka, wydają się one zupełnie bezpłodnemi.

Widz ze wstrętem odwraca oczy i zapytuje:

— Ha! Już z tych nieszczęść, chyba nic dobrego ludzkości nie przyszło?

A jednak..... i w tym krwawym kirze, uważne oko jeszcze dopatrzy złotą nić Opatrznościowej przędzy. Trudno ją dojrzyć, bo krwią zafarbowana, lecz powoli — z czasem — krew się ścięra i blaknie, a czyste złoto wychodzi na tkanę.

Po dwóch wiekach, występują olbrzymie skutki olbrzymiego przewrotu —

Z wojen to Mongolskich przeważnie, wykwiła dla Europy epoka Odrodzenia.

Wykwit ów, przypisywany zbyt wyłącznie rozproszeniu się Greków po Zachodzie, miał nie-

równie głębsze i dalsze przyczyny: przyszedł aż z krańców Orjentu, z po-za muru Chińskiego.

Tam, od niezrachowanych wieków, tkwiły kielki i płonki odkryć, co miały kiedyś zmienić postać świata.

Były to cudowne płody najstarszej cywilizacji,—ale jako wyrosłe na pniu jeszcze pół-dzikim, nie miały dosyć słodczy ani pożywności, aby świat cały mógł się nimi karmić.

Szczep «żółty», który je pierwszy wynalazł nieumiał już wyżej posunąć ich uprawy.

Dla zyskania nowych zalet i własności, musiały być przeszczepione koniecznie na biało-kore drzewo szczepu Aryjskiego, tętniące ożywczeni sokami Chrześcjanizmu.

A przeszczepienie było trudne—bo drzewo rosło na jednym końcu świata, podczas gdy owe związki leżały na drugim.

W takich razach, Duch dziejów—groźny lecz dobroczynny wykonawca Najwyższej Woli — rozbudza zazwyczaj ślepe huragany, które na swoich skrzydliskach przenoszą, to co powinno krążyć w koło globu.

I tak, przed kilkunastu wiekami, uzbroił Ale-

xandra Macedońskiego w Jowiszowe gromy, i kazał Zachodowi rzucić się na Wschód. I poszła burza wiekopomna, i w dziejowych żywiołach powstał srogi zamęt, podczas którego sto ludów zamieniło niechcący swe płody i myśli, i źle skupiona w duszach elektryczność «życia», zrównoważyła się na długie czasy.

Teraz odwrotnie, Duch dziejów powiedział Wschodowi:

— Rzucisz się na Zachód.

A burzę roztargał dwakroć mocniej, bo i droga do przebieżenia była nierównie dłuższa, i przeszkody na nią upartsze.

Europa Średniowieczna jeszcze mniej może wiedziała o krainie «Serów», niż o niej wiedzieli Grecy i Rzymianie — coraz bardziej traciła z oczu przepastne głębie Azji — bo ją coraz ciaśniej od tej strony zasklepiął nieruchomy, kamienny wał Izlamu.

Więc zerwał się huragan, jakiego nigdy jeszcze nie pamiętali ludzie.

I nietylko straszliwszy, ale i dłuższy niżeli wszystkie przeszłe.

Od czasów Dżyngischana do dni Tamerlana, szalał i szalał — rozbijając szanice Izlamowe — rozdeptując państwa Chrześcijańskie — na ziemi wszy-

stko łamał i miażdżył — ale wysoko, nad głowami, w zaciśniętych Cyklonowych pięściach, niósł owe ziarna tajemnicze, co miały kiedyś całą ziemię zapłodnić.

Prawdę mówiąc, nie roznosili tych ziarenek sami Mongołowie, — spełniający tylko posłannictwo siły rozpędowej—roznosili je brańcy, Missjonarze i podróżni, gnani tu i tam przez wichurę.

Podawali je bezimiennie, pod kształtem półbajecznych wieści, mętnych przypomnień, i tajemniczych recept.

I oto, w czasie owego dwuwiekowego huraganu, a zwłaszcza gdy zaczął już opadać, znalazło się naraz w Europie kilka olbrzymich wynalazków, o których pierwój nikt ani zamarzył. Rozmaici Zachodni mędrcomie przypisywali sobie ich odkrycie, i czynili to z dobrą wiarą, bo doszli do ich posiadania na poły bezwiednie, połknęli je z pyłami huraganu—a wkrótce też posunęli do takiego wydoskonalenia, że istotnie mogli się nazwać, ich powtórnymi, lepszymi twórcami. Jednak późniejsze badania dowiodły najoczywiściej, że wszystkie te zawiązki zostały naniesione z Niebieskiego Państwa.

I tak BUSSOLA — która właśnie dopiero w owych czasach rozpowszechniła się na morzach Zachodu, Bussola — dzięki której opłynięto brzegi Afrykańskie, i wyprowadzono marynarkeę ze stanu dzieciństwa — cudowna ta igła, znana była Chińczykom już na dwa tysiące lat przed Chrystusem.

Zauważmy, że i odkrycie Ameryki, (niemożliwe zresztą bez magnesowej przewodniczki,) wypłynęło głównie z ówczesnych wojennych stosunków, pod których naciskiem, Atlantyk i brzegi Japonji zostały nagle przybliżone. Rozmyślając to nad opisami owych Missjonarzy i Podróżników co tę drogę lądem odbyli, genialny Genueńczyk powziął zamiar dopłynięcia morzem do tychże samych brzegów, do tego «zamurowanego» i zaczarowanego «Cathayu», o którym pierwsze wieści spadły na świat Chrześcijański z Tatarską nawałnicą.

A MONETA PAPIEROWA, ta prawdziwa «bajka wschodnia», rzecz urojona a jednak rzeczywista, — która z całym swoim potomstwem Banknotów, Assygnatów, Listów Zastawnych, i tym podobnych «pisanych» wartości, miała sprawić zupełny przewrót w stosunkach finansowych,

czyż i ona nie przyszła ztamtąd? Już Rubruk w swoich wspominkach o «Cathayu», poświęca osobny Rozdziałik opisowi tych dziwnych pieniędzy, i wkrótce też coś podobnego zjawilo się we Włoszech, związanych — jak wiemy — przez handel, z najdalszemi kończynami Azji.

Owóz, i PROCH wystrzela z ojczyzny Konfucjusza. Mniej tam okrutnie został wyzyskany niż u nas, lecz za to nierównie dawniej był znajomy; i to *dawniej* musiało bardzo daleko się rozciągać, kiedy jeszcze w IV-tym wieku naszej Ery, Rzymianie ztamtąd otrzymywali przepis na ucieśzną sztukę Fajerwerków.

Nakoniec DRUK—największa chluba i niebezpieczeństwo naszych czasów, — Druk, łączący w sobie własności wszystkich poprzednich odkryć: często bussola wskazicielka prawdy — zazwyczaj papierowy znak zamiennéj myśli— a w każdym razie najpalniejsza ze wszystkich ludzkich broni — Druk, już w połowie X-go wieku pojawił się urzędownie u Chińczyków, którzy téż umieli ocenić olbrzymiość odkrycia, kiedy piérwszy jego rozkrzewiciel, sławny minister Fung-tao, został między niemi *ubóstwiony*.

I nie sądzmy aby druk ten ograniczał się do stereotypów. Przez ciąg XI-go i XII-go wieku,

prawie wszystkie Rządowe księgi były tam odbijane *czcionkami*, robionemi z miedzi lub wypalanój gliny. Później wszakże spostrzeżono, że druk ruchomy nie jest wygodny dla miejscowego alfabetu, i wrócono do pierwotnych, misternie wyrzynanych tablic.

Wszystkie te nasiona, po-za Murem skurczone i na wpół obumarłe, (jak owa pszenica którą mumja w ręku zacisnęła,) padłszy na żyzność Europejskich mózgów, rozrodziły się w nieznanę dotąd plony.

Huragan przeszedł, a plony zostały, i do dzisiaj wydają, milion kwiatów, tysiąc owoców.

Co prawda, w czasach które opisujemy, nikt jeszcze nie mógł przeczuć ni blasków tego kwiecica, ni pożywności owocu. Z przeraźliwej burzy Mongolskiej, nic jeszcze nie było widzialném dla oczu Zachodnich, tylko zgliszcza, trupy i zwaliska. Jednakże gdzie-nie-gdzie, bystre spojrzenie już mogło wysledzić jakiś wróżebny znaczek. Choćby i tu oto, w tym odbudowanym Krakowie, każdy kamień wołał na przechodniów:

— Patrzcie! Pan Bóg pozwolił Zniszczeniu pohulać do czasu, ażeby to co było dobrém, odrodziło się jeszcze lepszém.

Ale nasze branki niechciały słuchać głosu tych kamieni. Mimo wszelkich zachwalań i dumy nowego Krakowa, żałowały starego. Ach, bo człowiek wracający z długiego tułactwa, zawsze chce odnaléźć to wszystko co zostawił, i nie inném tylko takiém jak zostawił. Wszelka nowość, chociażby i lepsza, zasmuca go, psuje mu przeszłość, i zdaje mu się martwą, bo nie posiada wymowy pamiątek.

One przez tak długie lata nosiły w duszy obraz dawnego miasta! Tłoczne było, bezkształtne i bezładne, ale weselsze, ale swojskie. Teraz, te cudzoziemskie twarze, te wyprostowane ulice, wydawały im się sztywne i chłodne. Te budynki ze drzwiami na krzyż okuwanemi, z okienkami zakratowanemi, wyglądały im jakoś więziennie.

Z całych więc oględzin stolicy, wyniosły wrażenie posępne, — a co więcéj, uczyniły odkrycie bardzo zastraszające: przekonały się, że niemogą już odbywać takich długich jak dawniej wędrówek. Ta jedna wycieczka po mieście, już unużyła je śmiertelnie; jakżeż tu iść do Żegnańca, na bory na lasy, pieszo, i znów o żebranym chlebie?

Ręce im opadły zupełnie.

Brunon skrobał się w głowę i kłopotał. Jednak

te kłopoty niedługo potrwały. Był to człowiek bardzo pomysłowy. Posiadał téż osobliwszy dar do zbiérania jałmużny, bo znane to jest zjawisko, że Bóg cudownie szczęści, kiedy się ją zbiéra nie dla siebie ale dla bliźnich.

Otóż, jak zaczął chodzić po ludziach, a prosić i wypraszać, tak w kilka tygodni, jeszcze przed Zielonemi Świątkami, zajechał do bram Lazaretu lekkim wózkiem góralskim, zaprzężonym w łaciastego chłopskiego konika. Trochę ten koń był stary, i troszeczkę ślepy, ale jak dla starych ludzi, to jeszcze wyborny.

— Wstawajcie mateczki! Mamy wóz i konia, zawiozę was do tego Żegnańca.

Niewiasty spłakały się z rozrzewnienia.

Biédakom, niewiele trzeba czasu na przybory podrózne; kij do ręki — sakwa przez ramię—i już!

Przy wsiadaniu, zaszła nowa trudność. Wózek był wysoki, schorzałe niewiasty niemogły się podźwignąć. Mocny staruszek włożył je tam jakby dzieci w kolóbkę, sam siadł na przodku, świsnął z bicza, i pojechali w piękny dzień Majowy, goniąc raz jeszcze za uciekającym bez końca, widmem nadziei czy ułudy?

W gnieździe sęp.

«Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las.»

To przysłowie przyszło na usta Ludmile, kiedy poznawała puszcze, gęstą, szumną, wysoką, przez którą wózek się przedziérał. Tak, poznawała téż same pnie pokrzywione, téż rozdroża między steczkami, gdzie niegdyś — doświadczona łowczyni — umiała wszędzie trafić, jakby we własnej komnacie.

Mój Boże! Tyle się zmieniło w ich losach, one same tak się okropnie zmieniły, a ta puszcza jak szumiała tak szumi — nic nie zmieniona, tylko tyle że jeszcze gęstsza i wyższa.

Niezaprzeczenie wyższa, gdyż oto już dojechali do miejsca, z którego zawsze można było wi-

dzieć najwybujalszą basztę Żegnaniecką, a teraz jój nie widać.

Cóż dziwnego? Przez czterdzieści lat, wiérzchołki drzew ogromnie się podniosły i wszystko zasłoniły, a nawet — prawdę mówiąc — podobno i niemają czego już zasłaniać..... boć przecie Żegnaniec leży w gruzach?

Nie! Żegnaniec nie leży w gruzach. Podjechali jeszcze mały kawałek drogi, ach..... i na skrzyżowaniu, nad drzewami, zamajaczyła baszta!

Jeszcze nieco dalej, puszcza zaczęła rzednieć, i oto na wyniosłości, pokazał się cały, całuteńki Zamek!

Jest!..... Kto go odbudował? Kto mieszka w nim? Trudno zgadnąć, i aż strach zgadywać..... Pewnie obcy ludzie tu osiedli.

Jednak, sam widok tych murów, już wskrzesił wygnanki. Elżbieta — która dotąd siedziała złamana — podniosła się składając ręce, — Ludmiła objęła ją w uścisku, — i obie wołały z uniesieniem:

— Żegnaniec! Nasz kochany Żegnaniec!

Brunon zaciął konia, i podjechał pod górę. Tu, wiaząc... ..re dosyć wąską a stromą —

— Już tam — rzekł — nie wjedziemy. Trzeba wysiąść.

Wysiedli.

Ale kiedy przyszło iść pod górę, niewiasty spojrzały po sobie z przestrachem, i nagle stanęły.

— Czy my tak możemy wchodzić bez pytania? Wszak my trędowate, nam niewolno? Nim się opowiemy, już ludzie nas wypędzą.

— Prawda.—Rzekł Brunon.—Poczekajcie, ja pójdę naprzód—zasięgnę języka—wywiem się kto tam mieszka—i opowiem kogo przywożę.

Poszedł. Wężykowatą ścieżką prędko dosięgnął mostu. Długo rozprawiał się z odźwiernym, nakoniec furtka skrzypnęła, wpuszczono go—zniknął w ciemnych głębiach bramy.

Niewiasty rozglądały się do koła, z dziwném pomieszaniem radości i osmucenia.

Radości,—bo to był ten sam krajobraz, ten sam zarys murów. — Osmucenia, — bo wszystko, mimo tożsamości, wyglądało jakoś inaczej, ponuro i odarto.

Zamek był widocznie zamieszkały, kiedy drogi do niego nie zarosły trawą, i wartownik — jak niegdyś—krążył po-za blankami baszty. Ale mieszkańcy nie musieli lubić porządku ni gospodarności. Te drogi nie były już wysadzane drzewiną. Pod narożną wieżyczką, rosły już nie kwiaty ale

zielska. Ach, a tego ganeczku, téj kropielnicy kamiennéj co wieżę tak zdołała, niéma już, ani śladu! Drzwi od ganku jeszcze istnieją, ale deskami na głucho zabite.

Sam téż bieg czasu już narzucił cechę posepności na całą budowę; poszarzała, — gdzie-niegdzie pokazuje ślady staréj pożogi, co wśród miejsc nowo - przebudowanych, rażą jakby zczerniałe blizny.

Daléj pod lasem, tulą się chaty chłopskie, ale nie takie porządne jak dawniej. Rozwalone, z dziurawemi strzechami; nędza z nich wygląda opłakana. Widać że pan Zamku nie troszczy się o biednych.

Elżbieta patrzy zatrwożona, i myśli sobie w duszy:

— Jeśli to Jaś, ach! niechże mu Pan Bóg nie pamięta!

Po niedługim czekaniu, furtka znowu skrzypaneła, i wybiegło dwóch ludzi; Brunon, a z nim inny mężczyzna, w sile wieku. Miał ubiór długi, z brunatnego sukna, przewiązany zielonym pasem. Wyprzedził towarzysza, i rozkrzyżowawszy ręce pędził z góry, wołając w najwyższym rozradowaniu:

— Pani! Nasza pani!.....

Ale kiedy stanął przed niewiastami, — choć

uprzedzony o ich trądzie — struchlał, i niemógł się powstrzymać od wykrzyku:

— A mój Boże! To nasza pani, taka niegdyś gładka? Co się téż to z nią porobiło!

Wymówiwszy te przykre słowa, spostrzegł się — ale już za późno, — i zmieszany, zasmucony, zamilkł.

Tymczasem niewiasty pytały:

— Kto tu mieszka? Człowiecze, na miłość boską, gadajże: kto tu mieszka?

— A no, mój pan, Zyndram.

To imię padło na ich głowy jakby góra lodu.

Brunon właśnie nadchodził.

— Ach, — mówił — tu siedzi jakiś Zyndram a o dziecku nikt niewie, nikt nie słyszał. Ten poczciwy człowiek powiada, że panią znał niegdyś.

— Tak. — Mówił mężczyzna o zielonym pasie. — Ja jestem ten Wicus, którego to pani z onój złej gorączki odratowała. Pamięta pani małego Wicusia z Kacperowój chałupy? Ja był wonczas dzieciuch, krzynkę jeno więtszy od panicza, ale dobrze pamiętam, jako pani nasza, kieby ten anioł, w niebieskiej suknie schodziła z góry zamkowej; ach raz nawet, kiej to ja był taki chory, pani całutką noc przesiedziała kole mnie na słomie, i dawała mi z garczka takie słodkie picie.

— Ale panicz? Gdzież on jest? Czy ty nie-wiesz nic o paniczu?

— Jako? Cóż ja mam wiedzieć? A wszakci, gdyby panicz był żyw, toby tu siedział?

Straszna loika tych słów dobiła niewiasty.

Elżbieta, niemogąc ustać, dławiąc się od łka-nia, oparła głowę na ramieniu Ludmiły.

Ta, zapytała ponuro:

— A dawno tu siedzi Zyndram?

— O! Dawniusieńko, już i trudno połapać się w leciech. Kiej tylko posłyszał że nasz pierwszy pan zginał w potrzebie, a nasza pani z paniczem zagnana do pogan, zara tu zjechał, no i czynił we-dle słuszności, boć on tu już był jedynym, sprawie-dliwym dziedzicem. Zamczysko znalazł szpetnie zniszczone, pół spalone, wszelako nie ze wszyckim; co drewniane, to i zgorzało, ale murzyska okrutnie wytrzymała, a już te wieżyce kamienne, to tak się ostały kieby nigdy nic. Kazał powynaprawiać, nie-bardzo tam ozdobisto, bo mój pan o to niedba, jeno byle mocno, i oto—niewiem już ile roków—siedzie-ma tutaj. Pan czasami jeździwa do innych swoich wsiów i zamków, ale mnie zawsze tu ostawia, we-dle pilnowania, bo ja tutajszy, i od maleńkości u pa-na służę.

— Tak, tutejszy..... — Ozwała się Ludmiła. — Przypominam sobie małego, pucółowatego Wicu-sia z Kacperowój chaty. Ale jakimże cudem tyś ocalał? Ja myślałam że Tatarzy wszystkich tu wy-cięli albo wzięli w łyka?

— Tak, wszystkich tych co się schronili na zamek. Ale były i takie ludzie co uciekły do boru, to z tych kilkoro Pan Bóg wyratował. Moja matula, na piérwszy głos o Tatarach, porwała mnie, i dalejże w puszcę, gdzie oczy poniesą. Żyli my tam długo po jamach i gęstwiach, nic nie jedząc jeno dzikie jagody i korzonki, a trzęsąc się od strachu na te krzyki co precz po stronich latały. Długo tego było. Aż krzyki przycichły, wszystko się uspokoiło. Po wielu a wielu niedzielach, przywlekli my się tutaj, do połowicy już umarli. Zastajemy co? Zamczysko rozwalone — pustki — strach — ani żywéj duszy. Aleć w rychle pan Zyndram zjachał, zaczął odbudowywać, urządzać, i moje matczysko wziął do kuchni. Zmarło się nieboraczcze w rychle potém, z onéj wielkiéj biédy i trwogi, co się ich nażyła w lesiech, — a jam służył — naprzód za pachółka — potém różnie — tera jestem u pana Szatnym, i pilnuję komory.

— A dobra téż to służba u tego pana? — Zapytał Brunon, który chciał wymiarkować, z kim będą mieli do czynienia.

Szatny machnął ręką niewesoło.

— Oj! — Rzekł. — Bogiem a prawdą, służba ciężka..... twardy pan..... nie grzech wyznawać, wszakci w całej okolicy na to jeden głos? Ludzie stare gadają, co nasz pan taki podobien do swego brata nieboszczyka, jako sęp do sokoła. Za czasów pana Sulisława, dobrze się działo wszyckim i w chałupiech i na zamku, a tera, wieczny skwiérk

i pomstowanie. A już téż od śmierci swojego synaczka, to pan dopiéro się rozwydrzył na dobre.....

— Więc on miał syna? — Spytała z podziwieniem Ludmiła.— Więc on żonaty?

— Był żonaty, ale to już strasznie dawno. Ledwie zamek naprawił, zara téż i przywiózł żonę. A było to młodziuchne, cieniuchne kieby łątka, no, a wystrachane, kieby nie pani ale najlichsza sługa. Roczek jeno z sobą żyli. Powiedają, co ją pan zamęczył, zafukał,—ja niewiem na pewno, boć to już temu trzydzieście lat z górą, ja był wtedy głupi chłopak.—I tak nasz pan ostał się wdowcem, ale na pociechę, z synaczkiem. O, już co tego, to miłował okrutnie. I nie dziwota, jedynak. To téż panicz strasznie swywolił, co z nami wszyćkiemi wyrabiał, to i strach przypomnąć. Ale pan był wtedy weselszy, spraszał gości, synalka wprawiał w jakoweś mądre harce, grzmiało tu na zamku. Aż jedną razą, kiej panicz kończył swoje czternaście latek, właśnie pan miał go wieźć do króla, już sprawił mu złoty pancerzyk, trrrra!..... przychodzi jakieś lichy, jakaś paskudna choroba —chłopię całe owrzodziło, i poszło precz na tamten świat za matką. Już od tego czasu, nasz pan niemoże sobie dać rady, niechce ludzi widzieć, na wszycko się sroży, nawet kiej siądzie do kielicha, to sam na sam w izbie zamkniętej. Niewiem jak może mu tam smakować takowe picie bez towarzystwa? Jedyna jeszcze u niego zabawa, to łowy. Oto i tera jest w puszczy, ale jeno go patrzeć, bo już słońce za-

chodzi, a powiedział że na noc wróci, kazał sobie nawet wieczerzę nagotować. A toż się ucieszy, kiej panią zastanie!

Ludmiła, dobrze pamiętająca Zyndrama, zapytała z niedowierzaniem:

— Tak myślicie? Ucieszy się? I puści nas do zamku?

Wincenty, biorący rzeczy wedle zasad prostej uczciwości, zdumiał się jęj powątpiewaniem, i składając ręce, zawołał:

— A już by téż chyba nie miał kapki sumnienia, gdyby się nie uweselił takowym cudownym powrotem. A jakoż nie ma przyjąć? Wszak to pani wraca nie gdzie, jeno do siebie?

Przekonanie Szatnego pokrzepiło i słuchających. Rozgadali się szerzej. Wincenty chciał koniecznie wiedzieć jakim to sposobem jego pani uszła z niewoli? Ludmiła w najlepsze zaczęła rozpowiadać, kiedy znagła, strażnik na wieży uderzył w trąbę.

Wincenty zawołał:

— Oho! Już pan jedzie!

I z lasu pokazała się gromada myśliwców.

Oh, ileż wspomnień ten obraz przywiódł na pamięć Ludmile! Tąż samą stroną, w podobnym-że orszaku, niegdyś ona powracała z łowów, strojna,

dumnie patrząca na młodego Zyndrama. Teraz jechał starzec, wysoki, chudy, kościsty; jego profil, podobny do głowy drapieżnego ptaka, z latami jeszcze ostrzej się zarysował.

Nie było przy nim żadnych innych panów, żadnych gości, tylko trochę sokolników i psiarczyków, ponurych, ledwo że odzianych.

Wincenty wyskoczył naprzeciw jadących, wykrzykując radośnie:

— Panie! Panie! Co za szczęście! Nasza pani wróciła!

— Co ty gadasz? Co za pani? — Spytał Zyndram, ściągając brwi szare, najęzione jakby szczecina.

Ludmiła tymczasem wołała:

— Elżuniu! Rusz-że się. Zyndram jedzie.

Elżbieta, nie podnosząc głowy z jej ramienia, mówiła:

— Ach, cóż mię już na świecie obchodzi, kiedy Jasia tu niéma?.....

— Ależ nie gadaj tak Elżuniu. Przecież musisz się upomnieć o tweje prawa? Może też on więcej wie niżeli sługi?

Ostatnie to przypuszczenie rozbudziło Elżbietę. Podniosła głowę.

Zyndram właśnie nadjeżdżał. Zaszła mu drogę, i czule wyciągając ręce, zawołała:

— Zyndramie! Bracie kochany! To ja, Elżbieta. Wracam z niewoli. Powiedz mi czy wiesz co o moim.....

Zyndram nie dał jęj dokończyć. W bok zwracając konia, krzyknął:

— Precz ztąd, babo trędowata! Kto ci pozwala tak się zbliżać? A ty głupcze --krzyczał na Szatnego—jak możesz ją do mnie puszczać?

— Ależ panie, wszakci to nasza pani? Wdowa po nieboszczyku panu Sulisławie?

— Kto? Ta żebraczka? Ten strach na ptaki? To ma być moja bratowa? I ty ośle w to wierzysz? Więdz, że od Tatarów, nikt nigdy nie wraca.

— Ale ja wróciłam, cudem boskim wróciłam!

— Łżesz! — Krzyknął piorunującym głosem. — Nie oszukasz mię, włóczego. Moja bratowa dawno umarła w niewoli — wiem o tém dobrze. Próżno nie przedrzeźniaj tęg biedaczki która już jest w niebie. Jeszcze może chciałabyś abym cię wpuścił na zamek, z twoim trądem? Abym ci wypłacił wiano? He?

Tu zwrócił się ku swoim łowcom:

— Rozpędźcież mi tych obdartusów.

Łowcy nie śmieli się zbliżać do trędowatych, ale drągami grożąc i harapami trzaskając, rozganiiali proszących.

Wtedy Ludmiła, ze zgrozą podbiegła ku Zyndramowi, chwyciła konia za uzdę, i wołała:

— Człowiecze! Opamiętaj się. Przecież Elżbieta wraca do siebie, do swojego domu?

— A to znów co za drugie straszycie, z płachtą na gębie? — Krzyknął Zyndram odciągając konia.

Ludmiła nie miała odwagi na wyznanie, że jest ową Ludmiłą niegdyś piękną, czarowną, co wzgardliwie odepchnęła Zyndrama. Dzisiaj nawzajem odpychana, szła za jadącym, i grożąc podniesioną ręką, mówiła:

— Opamiętaj się! Jeśli nas odpędzisz, obrazisz sprawiedliwość i Boską i ludzką! Pójdziemy do sądów! Do króla!

Chwila niepokoju błysnęła na twarzy starego. Ale tylko chwila. Roześmiał się szydersko.

— A i owszem! — Zawołał. — Jeżeli potraficie dowieść że to jest moja bratowa, to ja dam sobie uciąć szyję.

Ludmiła stanęła porażona.

Po raz pierwszy dopiero zrozumiała, że świat może zaprzeczyć ich tożsamości, a one może nie potrafią jej dowieść? Mignęła jej nawet myśl okropna: czy Jaś.... gdyby się odnalazł — także nie zaprzeczy? Oh, to już byłoby straszliwsze niż wszystko!

Pod naciskiem téj myśli, stała jakby wryta. Zyndram tymczasem wjeżdżał na górę zamkową. Ale teraz Brunon szedł za nim, składał ręce i błagał:

— Panie! Panie! Czy to się godzi, nawet bez wysłuchania, odpędzać te niewiasty? One i tak już tyle wycierpiały! A toć i obcy ludzie muszą nad nimi płakać!

Zyndram obrócił ku niemu twarz zapłonioną, ceglastą.

— A to prawdziwa napaść! — Krzyknął. — Dajże mi pokój, ty żebraku jakiś, ty zbój! Wynoście mi się zaraz — bo jak nie, to każę sfory spuścić, i psami was wyszczuje!

Łowcy, zaprawieni do srogości w szkole swe-go pana, roześmieli się, że aż im zęby zaświeciły.

Brunon się zawrócił.

Zyndram jeszcze za nim krzyczał:

— A we wsi mi czasem nie nocujcie! Niémam ochoty aby mi chłopstwo zatrudowaciało. Zmykajcie — i niech was już nigdy nie widzę na oczy, bo drugi raz nie wyjdziecie cało.

I pojechał wyżej, fukając jeszcze na Szatnego. Ten, szedł ze spuszczoną głową, zawstydzony, zdumiałały. Jemu ani przez myśl nie przeszło, by to wszystko mogło być zmyśleniem?

Belki mostu zatętniły pod koźmi. Znikli w bramie.

Brunon wracał trzęsąc się z oburzenia.

— No, a teraz co robić?—Zapytał Ludmiły.

Ta się zawahała, i do przyjaciółki pytanie zwróciła:

— Elżuniu, co robić?

Elżbieta nic nie odrzekła. Leżała, twarzą do ziemi, bezwładna. Brunon ją podniósł. Odchyliła powieki.

— Ach róbcie ze mną co chcecie..... ja już nic niewiem. Już nic nie zostaje, tylko umrzeć. U Boga będzie lepiej.

— Brunonie..... patrz co się tam dzieje!—Zawołała z nagłym przestraczem Ludmiła. — Kładź Elżbietę na wózek, i uciekajmy prędko, prędko.....

Brunon obejrzał się. W pół góry, stał jeden z psiarczyków, złośliwszy niż inni; trzymał dwa psy jeszcze uwiązane, ale już je szczuł, i pokazywał im niewiasty. Psy rozżarte rwały się ze smyczy.

Brunon rzucił Elżbietę na wózek, pomógł Ludmile, sam wskoczył, zaciął konie, i ruszył.

Kiedy wjechali między pierwsze gęstwiny, zwrócił się znów do Ludmiły.

— A teraz, gdzie? — Zapytał. — Może do Zagosińca?

— Ach, nie! Doprawdy niewiem. Niéma na całym świecie dla nas kąta. Chyba znów do Laza-

retu w Krakowie? Tam przynajmniej cię mamy Brunonie..... ty jeden, jedyny, zostałeś nam jeszcze przyjacielem.

— O! Ja was nigdy nie opuszczę—nigdy!

Pojechali—zwolna—niełatwo drogę odnajdując. Noc już zapadała. Przed nimi puszcza głucha — samotna — czarna — jak przyszłość ich, bez przyszłości.

Z wieścią.

— Wista! Rychlój-że mój koniku, rychlój! Wiész przecie że to dzisiaj święto. No prawda, ty tego niewiész, ale zbieraj nogi, to i prędzój odpocznieś, bo juści we święto i bydłociu należy się wypoczynek.

— Ach tak, mój Brunonie.—Nalegała siedząca za nim Ludmiła.—Popędzaj konika ile możesz, abyśmy jeszcze przed zadzwonieniem zdążyli. To tak brzydko jechać, kiedy inni się modlą. A możeby lepiej, w jakowej wsi przystanąć, i przeczekać całe nabożeństwo?

— E, niewarto przystawać. — Odparł Brunon.—Już tylko z pół milki do Krakowa. Zobaczycie, że i dojedziemy, i jeszcze trzy pacierze zmówimy, nim Processja wyruszy.

— Ach, Processja! — Westchnęła Ludmiła. — Jak to smutno, że my kaleki, nawet na Processję

pójść nie możemy! To ma być takie piękne! Ja tego nigdy nie widziałam. Za naszych czasów jeszcze tej Processji nie bywało. Nieprawdaż Elżuniu, jeszcze nie bywało?

Elżbieta skinęła głową, a raczej tylko zamglonemi powiekami. Od wyjazdu z Żegnańca, trzech słów nie wyrzekła. Osłupiała, wyciągnięta na słomie, zdawało się że nawet nie czuje silnych wstrząśnień wózka, który podskakiwał po kamienistych, Krakowskich drożynach, i rzucał nią jakby martwem ciałem.

Ludmiła ciągle ją przygarniała, otulała, aby te biedne kości chronić od stłuczenia. Czasem ją cuciała, to cichym uściskiem, to jakiémś pytaniem, byle przerwać to śmiertelne milczenie, i jeszcze usłyszeć głos najukochańszy.

— A kto wie? — Ozwał się Brunon. — Może i zobaczymy wszystko? Może ja wam tam uproszę jakowy kącik pod kościołem?

— Ach, jakby to było przednio! Słyszysz Elżuniu, zobaczymy Processję, bo to dzisiaj Boże Ciało, święto.

Gorzki uśmiech zarysował się na ustach Elżbiety. Półgłosem powtórzyła:

— A! Święto!

A głos ten był jakby podszyty innemi wyrazami:

— Dla mnie już niema święta.

Ludmiła, odpowiadając na jój myśli, ciągnęła dalej:

— Tak, nie dla wszystkich radosne, oj nie! Oto i te biédaki co się spaliły, takže tam niewesołe mają święto.

Elżbieta podniosła na nią oczy, zapytując z roz-targnieniem:

— Kto się spalił?

— Jakto? Czy już nie pamiętasz? Przecież téj nocy, kiedyśmy to jechali nad parowem, pokazała się za lasami taka wielka łuna? Musiały się tam jakieś ludzkie siedliska palić. Ach ta łuna była okropna..... przypomniała mi.....

Tu Ludmiła nagle zamilkła, nie miała odwagi na dokończenie swojój myśli. Ten pożar przypomniiał jój owe łuny Tatarskie, co ją nieustannie ścigały niegdyś na drodze do Żegnańca, a nie śmiała już wspominać ani Żegnańca ani tamtych czasów.

Położenie Ludmiły było zaprawdę ciężkie. O czém tu mówić z Elżbietą? Jakakolwiek strunę potraścić, każda jęczy. W przeszłości same rany— w przyszłości sama próżnia.

A jednak czasem trzeba przecie zagadać, aby i jój duszę i własną wyrwać z téj nieruchomości, co powoli może skamienieć w rozpacz.

Szukając pogodnego, a raczej obojętniejszego

przedmiotu rozmowy, potoczyła wzrokiem w okóło, i nagle wzdrygnęła się z lekkim wykrzykiem:

— Co to jest? Czy znów pożar? Patrzcie, tam!

Po prawej stronie ich drogi, biegły śliczne, uprawne pagórki; po lewej, szumiał dosyć blisko las gęsty, wyniosły, bo jeszcze wówczas do samego Krakowa rozciągały się odnogi puszczy. Nad tym to lasem widać było grube kłęby dymu, i nawet woń sadzy zalatywała w powietrzu.

. — A, prawda. — Rzekł oglądając się Brunon.—To dziwne..... A może ludzie w lesie wypalają węgle? Ale jakoś za dużo tego dymku..... A czy mi się zdaje, że i krzyki słyhać?

Powstrzymał nieco konia, i nadśłuchiwał.

Istotnie, krzyki dolatywały coraz bliższe, coraz gwałtowniejsze. Po chwili, wybiegło z lasu dwoje ludzi, starzec i kobieta. Starzec niemógł nadążyć. Kobieta, z dyszącą piersią, z roziskrzonymi oczami, wracała się, ciągnęła go za rękę, nagliła.

— Co to się stało?—Zapytali podróżni.

Ona podniosła obie ręce, i zawołała:

— Uciekajta i wy wszyscy! Tatarzy!

Jadący spojrzeli po sobie wzrokiem..... po prostu ogłupiałym. Chyba się przesłyszeli? Jakto? W czasie najspokojniejszym, kiedy nigdzie nie słysząc już o wojnie, kiedy ludzie w najlepsze pracują i świętują, usłyszeć o Tatarach? I jeszcze tuż pod stolicą? A to jakby piorun spadł z nieba na którym niema żadnej chmury.

Kobięta przez chwilę popatrzyła, to na wózek, to na starca, jakby zapytując czy nie byłoby lepiej uczepić się wasążka? Ale gdy raz jeszcze spojrzała w stronę lasu, krzyknęła:

— Już idą!

I w pół objąwszy towarzysza, uciekła na przełaj, między pagórki, gdzie oczy poniosą.

Z lasu pokazał się jeździec na krępy koniu, — w żółtawym kożuchu — ze spiczastą czapką, — Tatar.

Taki widok przywrócił całą przytomność podróżnym. Niewiasty poderwały się z krzykiem. Brunon syknął — i puścił konia w cwał.

Biegli jak wicher.

Ale koń Tatara biegł jeszcze prędzej.

Już dopędza wózka — już dojeżdża od strony Ludmiły — już para z jego nozdrzy otacza jęj ramię.

Wtedy Ludmiła — czy chcąc lepiej zobaczyć wroga — czy téż mimowiednie pchnięta bożém natchnieniem — zdarła z twarzy rąbek, i obejrzawszy się ku Tatarowi, pokazała mu tę twarz straszną, poszarpaną szponami śmierci.

Jeździec — chociaż Tatar — zbladł. Poznał widmo trądu.

Przeciw takiemu wrogowi nie czuł się zobowiązany do walki. Nawrócił konia — i uciekł w las.

Wielkie niebezpieczeństwo, jedném tknięciem wytrzeźwia z najgłębszych osłupień. Elżbieta jakby wskrzeszona, z wielką siłą porwała wpół Ludmiłę, ściągnęła ją do głębi wózka, i nakrywając swoim płaszczem, powtarzała głosem trzęsącym się od wzruszenia:

— Pójdź—ja cię skryję..... niechże mi ciebie nie zabiorą..... już tylko tego brakuje.....

W omamieniu boleści, zdawało jój się że pod tym płaszczem, nikt Ludmiły nie znajdzie.

Ludmiła, wysuwając głowę, spoglądała z przerażeniem ku stronie lasu.

— Już ich nie widać. — Szepnęła. — Ale cóż? Gotowi strzelać za nami.

Nie omyliła jój znajomość obyczajów Tatarskich.

Po chwili, żmijowy świst przeszył powietrze, kilkanaście strzał mignęło w koło wózka.

Niewiasty jeszcze głębiej się wcisnęły — potem, spojrzały po sobie.—Boże miłosierny, dziękuj Ci! Żadnej nie zraniono.

Brunon wciąż konia zacinał. Znała, obejrzał się ku niewiastom, i dziwnym głosem zabełkotał:

— Jest która z was? Bierzcie lejce..... żywo..... bo ja..... niemogę.....

Ludmiła z rąk jego wychwyciła lejce. On zachwiał się, i upadł na wznak, pomiędzy siano zasścielające dno wózka.

Wówczas dopiero niewiasty spostrzegły, że był na wylot przebity pociskiem; trójgran żelźca wyzięrał mu z piersi.

Elżbieta rzuciła się do ratowania. Głowę ranego dźwignęła na swoje kolana, płaszczem tamowała krew gorącą, której pierścień promieniował w coraz obfitsze strugi.

Brunon wyjęknął:

— Jezus — Maryja — Józefie Święty! Wspomóżcie mię grzesznego!

Spojrzał w niebo szklannym już wzrokiem, raz jeszcze jęknął, i zamknął oczy.

Ludmiła tymczasem, stojąc na wózku nieruchomie, puszczała konia w pęd zawrotny. Odnalazła w tej chwili całą swoją biegłość w kierowaniu

zaprzęgiem. Stary ale jędrny jeszcze konik, poczuwszy tę mistrzowską rękę, poleciał jak błyskawica, koła warknęły grzmotem.

Las w tyle ucieka—po bokach migają tylko zarysy pagórków i gajów—przed nimi coś błyszczy nisko — coś błyszczy wysoko — to Wisła na ziemi, to wieże na niebie — dobry Boże! Wszak to już Kraków!

Processja.

Już Processja dochodziła do ostatniego z Ołtarczy. Namaszczenie nabożnych doszło także do najgłębszej ciszy.

Uroczystość Bożego Ciała jest może najwspanialszą ze wszystkich wspaniałości kościelnych. Obchodzona pod kopułą samego nieba, obsypana deszczem kwiatów, i to w najpiękniejszej porze roku, zawsze zachwyca swoją pół-nieziemską poezją, — a w owych latach zachwycała tém silniej, że była jeszcze nieużyta nowością.

Niedawno zatwierdzona przez Stolicę Apostolską, dopiéro od lat kilku wprowadzona do Polski, budziła nietylko nabożeństwo, ale i gorącą ciekawość, i współubieganie się, posunięte nieraz do silnej zazdrości. Bo jeśli i dziś jeszcze, najzacniejsze domy dobijają się o zaszczyt stawiania Ołtarczy, cóż to się musiało dzieć wówczas? Wyrывano sobie tę chlubę, obdziérano wewnątrz mieszkań

ze wszelkich przyozdobień, wydobywano wszelkie skarby z lochów, aby przystroić Ołtarze, ulice, bramy, a nawet ziemię po której przechodziła Processja.

A nie było może jednej piędzi ziemi w Krakowie, po której by orszak z Panem Bogiem nie przeszedł, bo jak tydzień długi, codzień inne Processje ciągnęły, coraz to z innych kościołów, ażeby żadna część miasta nie czuła się pokrzywdzoną. Łatwo zgadnąć jak wszystkie dzielnice przesadzały się w przepychu i w najśliczniejszych pomysłach, byle przyćmić swoje sąsiadki. Ale co już naprzód wiadano, to że wszystkie będą przyćmione przez ostatnią Processję, tak zwaną «Marjacką», która w drugi Czwartek, po południu okrążała Rynek. Z tą, już nawet nikt nie próbował iść o lepsze. I nie dziwota. Na Rynku mieszkali ludzie najbogatsi, a przytém, ta ostatnia Processja miéwała dodatek jakiego brakowało poprzednim: po skończoném Nabożeństwie, odgrywano zazwyczaj na Rynku wielkie, religijne *Misterium*, tryumfalne zakończenie radosnego tygodnia.

Na to widowisko, marzone, oczekiwane, Kraków się cieszył przez rok cały. — Już trzy miesiące naprzód, szyto kostiumy, rozdawano role, tysiąc intryg autorskich i aktorskich nurtowało publiczność. Xięża kierujący widowiskiem, niemogli sobie dać rady z ciekawym narodem. Zwykle jednak, pomi-

mo intryg i przeszkód, dzieło dochodziło zwycięzko do skutku.

W tym roku także, wszelkie przygotowania poszły jak najpomysłniej. Miano grać wielkie, nowiusieńkie Misterium, pod tytułem: *Sąd Salomona*. Sztuka w siedemnastu aktach czy ustępach, do której—oprócz Króla Salomona i niezliczonych żon jego — prócz żołnierzy i Baronów — prócz obu Matek sądnego dziecka — wchodziły osoby jeszcze nierównie większe: Bóg Ojciec, Najświętsza Panna, Święty Franciszek i Święty Florjan. Miało też wystąpić trzydziestu trzech Aniołów, i jeszcze większa liczba Djabłów —i nieodzowny Król Herod — i co dziwniejsze, błady Piotrawin — i Marchońt Mądral—i nawet stary Krakus ze Smokiem.—Wprawdzie, wiele z tych osób żyło w czasach już dobrze po-Salomonowych, ale taka «*licentia poetica*» była zupełnie dozwolona w kodexie ówczesnych dramaturgów, którzy zapatrywali się na Sztukę ze stanowiska Wieczności. Wszystkie stulecia i narody przedstawiały im się *jednocześnie*. Pogląd niezaprzeczenie wysoki. Wszak i prorocy nieinaczej widzą?

Scena—już gotowiusienka—wznosiła się na Rynku, trochę z boku, w pobliżu kościółka Świę-

tego Wojciecha. Nie była ona wcale podobną ani do Rzymskich Cyrków, ani do dzisiejszych teatrów. Przedstawiała rusztowanie wysokie, dwupiętrowe, oparte na słupach licznych ale niewidzialnych, bo zasuniętych białymi oponami. — Pierwsze piętro, wyobrażające świat Ziemi, podzieloném było na tyle przegród, ile miejsc odmiennych wymagała sztuka. Tu zatém widziano, Salę sądowniczą Salomona — cmentarz — wewnątrz celi klasztornej — głąb' jaskini zbójeckiej. Był nawet dział jeden, wychodzący po-za obręb ziemi; cały wybity kirem, na którym ponaklejano językowane płomienie z czerwonego sukna, miał on wyobrażać Piekło, a przynajmniej sionkę przed-piekielną. — Wyższe piętro przedstawiało Raj. Tu już nie było żadnych przegród ani różnaitości, tylko jeden wielki krużganek, otoczony wałami z obłoków, modro i różowo malowanych; z pomiędzy tych obłoków, na prątkach zręcznie ukrytych, lśniły pozłociste słońca, które za pociągnięciem sznurka mogły się w kółko kręcić, że aż oczy bolały. We środku, na kilku stopniach, wznosiło się krzesło dla Boga Ojca, purpurowe, a nieco niżej drugie, dla Matki Boskiej, błękitnym axamitem wybite. W obłokach także były porobione wydrążenia, w których mieli stawać albo siadać, Aniołowie i Święci. — Po dwóch stronach rusztowania, wiły się dwoma ślimakami, lekkie, przezrocyste schodki; tamtędy to aktorowie, nie szukając żadnych zakulisowych tajemnic, w oczach widzów dostawali się na scenę; tamtędy

Błogosławieni szli do Nieba, Aniołowie schodzili ku Ziemi.—A były jeszcze po bokach dwa inne, osobliwsze dodatki, wysunięte nakształt okrągłych ganeczków; po lewej stronie Konfessjoń, po prawej mała Ambona. Jeżeli bieg sztuki wymagał, aby jakiś wielki grzesznik skruszył się i wyznał głośno swoją winę, wtedy schodził do Konfessjoń. Jeśli znów jakiś wielki Święty lub inny wysłaniec z Nieba, miał wypowiadać prawdy wieczne, wtedy ukazywał się na Kazalnicy, a że takie role w Misteriach bywały nieraz odgrywane przez więźy, więc i podobna przemowa, stawała się częstokroć prawdziwem kazaniem.

W szczegółach i przyozdobieniach swoich, teatru Misteriowe różniły się do nieskończoności, wedle krajów, okolic, i fantazji autorów. Jednakże główny ich zarys pozostawał niezmiennym; zawsze owe dwa piętra przedstawiające Doczesność i Wieczność, — zawsze owe mistyczne schody co je łączą — i owe dwa symbola, niby dwoje uszu, z których jedno słucha słów grzechu, drugie słów zbawienia.

Już od kilku dni, mieszkańcy Krakowa gorączkowo śledzili budowanie i przyozdabianie teatru. Porównywano go z szopami lat przeszłych — zgadywano długość sztuki z ilości przegródek. Od rana do nocy, ciżba gapiała się i podziwiała.

Ale w tój chwili, nikt nie spoglądał na «teatrum». Wszystkie myśli i oczy zwracały się ku Ołtarzom, świecącym na czterech połaciach Rynku. I zaprawdę było na co patrzeć, nietylko wzrokiem wiary, ale i wzrokiem ludzkiej ciekawości. Cały Rynek wyglądał jak jedna olbrzymia sala, przystrojona odświętnie. Na domach wisiały niezmiernie wielkie opony, bardzo wówczas upowszechnione, a choć tylko płócienne, przecież stanowiące wcale nie podłe przybranie, gdyż biegli sztukmistrze wymalowywali na nich najróżniejsze Sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Malunki były grube i jaskrawe, ale zdaleka widziane, sprawiały potężne wrażenie. Te kolosalne postacie Patryjarchów i Apostołów, szczupłe a dziwnie wysokie, bo nieraz najwyższych pięter sięgające, zdawały się orszakiem Niebian, co także przyszli aby uczestniczyć w Processji. — Gdzie niedostawało płócien, tam nadsztukowywano festonami z różnych innych tkanek, a zwłaszcza kwiatami. Już co tych, to było istne zatrzęsienie. To téż nikt by dziś nie poznał posepnych kamienic; te żelazne, zamcyste drzwi od sklepów, te zakratowane okienka, co zwykle patrzyły takim zmarszczonóm obliczem, dziś — zastawione doniczkami — zaplecione zielenią — wyraźnie się uśmiechnęły. Nawet blaszanym smokom i «gargullom»,

co wyskakiwały z dachów na powietrze, w rozdzielone paszcze powtykano bukiety.

A na samych tych dachach, na kominach, wieżyczkach, zwłaszcza téż na Sukiennicach, i na niedokończonych szczytach Panny Marji, powiewały stu-kolorowe flagi, wisiały tarcze kraśniejące od napisów i godeł, w które ówczesna wyobraźnia tak świetnie obfitowała.

Nad wszystko jednak suciéj były wystrojone przysionki głównych kamienic, wystające dwoma lub czterema słupami na Rynek. W tych to podsieniach urządzono Ołtarze. Tam już wisiały nie płótna, ani nawet sukna, lecz najcudniejsze Flamanckie kobierce, jedwabne płaszcze i pozłociste rąbki, które bogaci ludzie zdjęli z własnych ramion, i poupinali zgrabnie, jako tła do Świętych Obrazów. Każdy filar był osznurowany grubemi wieńcami, które się przerzucały od słupa do słupa. Na stopniach i do koła Ołtarzy, pełno było przedmiotów nie należących właściwie do sprzętu kościelnego, ale które tam poznoszono, aby dodać blasku widokowi; stały rozmaite naczynia, złote, srebrne, miedziane — skrzynki połyskujące rzeźbą i emalją — ryzsztunki z Chrobrowych może czasów, cudem uratowane od Tatarskich rozbojów. Były tam nawet przedmioty, których zostawienie tu na dzień dzisiejszy, musiało być opłacone niejakiemi ofiarami z próżności; i tak, niejedna majętna niewiasta, zawiesiła swój najpiękniejszy łańcuch na piersiach świętej Figury, albo zatknęła swoje pierścienie na

święcach ołtarzowych; nie zginęły jój tam, co prawda, jednak o tyle mniej miała przystroju na własnych piersiach i palcach.—Inne ozdoby, odznaczały się tylko niezwykłą rzadkością. Ktoś naprzykład, powiesił nad Ołtarzem zwierciadło, małe wprawdzie, ale szklane, prawdziwe zwierciadło, «rarytas» w one lata niesłychany. Ktoś inny, jeszcze dobroduszniej wystąpił: niewiedząc czém już Panu Bogu dogodzić, postawił u stóp Ołtarza wyłacaną miseczkę pełną pieprzu, który był wówczas towarem tak poszukiwanym a drogim, że w testamencie zapisywano woreczek pieprzu dla najmilszego z przyjaciół, jako bardzo cenny podarek.

W tém ogólném wystrojeniu miasta, nic nie zostało bez ozdoby, nawet grunt pod nogami. Cały Rynek był wysypany woniejącém zieleń, a drogi po których już przeszła Processja, odznaczały się nacełkowaniem od listków różanych, że aż w sąsiednich ulicach pachniało.

Na tych ziołach i kwiatach, klęczał tłum nabyty, wielo-tysięczny, bo przez ten świątkowy tydzień, ściągnęła do Krakowa niezmierna mnogość okolicznych włościan. Byli oni już prawie tacy jak i dzisiaj. Chłopaki zuchowate, figlarne, w ręku trzymające czerwone czapeczki — dziewczęta z okrągłemi twarzyczkami, we wstęgach, paciorkach, a bogatsze już i w koralach, (tak ukochanych

Krakowiankom, jak i Karakorumskim pannom.) Już wtedy kraśniały wyszywane kierezje, i spódnice w ogromne kwiaty; ubiór chłopski jest jedną z rzeczy najtrudniój podlegających zmianom. Gdzie-nie-gdzie można było dostrzedz — trzymające się nieco na osobności — gromady górali; i tych jakbyście widzieli; podobniusiency do dzisiejszych, zgrabni jak wiewiórki, biało i brunatno, a kuso przybrani.

Co trudniój sobie wyobrazić, to ubiory mieszczan, owe odzienia długie, dziwnie ścięte w stanie, owe kaptury fałdowane pod brodą, czapki z wywijanemi jakby ręcznikami, — owe nagłówki niewieście, wygięte w różne figliki, lub opatrzone w grube uszka, — owe farby surowe, krzyczące a szczere, słowem całą tę pstrociznę i fantazję, które sprawiały, że publiczność Średniowieczna, postawiona obok dzisiejszój, wyglądałaby jak malowana karta z Kancjonału obok popielatėj fotografii.

Wprawdzie w owym roku, Processja była pozbawiona większėj części swoich świeckich blasków, bo Xiążę Leszek porając się z Haliczaninem, jeszcze nie był powrócił do stolicy. Z nieobecnością Xięcia, i Dwór się rozpiérzchnął; mało więc widziano pań ubranych w Baronowskie lub Komesowskie korony, mało tych paniczów dworskich,

co to noszą pelerynki wycinane w zęby, i buciki wycinane w dzióby. Czego zwłaszcza bardzo brakowało to Rycerstwa, którego połyskliwe zbroje, chwiejne pióropusze i malowane tarcze, nadawały tyle świetności przeszłorocznym obrządkom. Nawet Kasztelan, tak zwany Pan Krakowski, wyjechał właśnie co na Sądęczczyznę, z jakąś pilną sprawą do byłej królowej, której — pomimo jej zamknięcia—jeszcze dostojnicy lubili się radzić.

Ale też za to Mieszczaństwo, niczém nieprzyćmione, czuło się więcej niż kiedykolwiek u siebie, gospodarzyło całym sercem. Już nie wielcy panowie ni rycerze, ale Panowie Radzieccy i Cechowi, prawdziwy rój wodzili w pochodzie. A pochod ów, nie był wcale bezładnym ani dowolnym. Społeczeństwo Średniowieczne składało się z istnej łamigłówki Stowarzyszeń wybornie rozgraniczonych, tak, że każdy wiedział od razu, jak ma się ubrać, gdzie ma stanąć, i kogo się trzymać. Nie było prawie mieszczanina, coby nie należał do jakiegoś Cechu albo Bractwa. Szły te Zgromadzenia w przeszlicznym porządku; na czele zwykle dwóch «Seniorów»; dalej parami stąpali «Bracia majstrowie», ludzie zazwyczaj tłuści, ze spojrzeniem nieco twardecem, jako przywódcy nawykli do rozkazowania; najmłodszy z tych Braci niósł Chorągiew Cechową, arcydzieło krasiwój, pozłocistej roboty. Za

Majstrami rażno szli «Towarzysze» czyli Czeladź, ludzie jeszcze smukli, ruchliwi, rzeczywiście żołnierze pracy. Nakoniec tłoczyli się «Uczniowie», chłopaczyska po większej części chude, zabiędzone, ale z czapką na uchu i filuterném okiem.

Już to najwyżej głowę nosił, mądry a nabożny Cech Murarzy, zajmujący przeważne stanowisko w owym wieku, związany — jak mówiono — wielkimi «sekretami», prawdziwy twórca miast, ich katedr i swobód.

Bardzo także suto występowały dwa Cechy: Sukienniczy i Futerniczy, niemało znaczące w czasach, kiedy się głównie odziewano suknem, i to najczęściej okładaném futrami.

Bogactwem odznaczała się, pysznie migocąca pod słońcem, chorągiew Złotników.

Hukliwością pochodzenia odznaczali się czerwoni Rzeźnicy, — podczas kiedy Szewcy szli bardzo skromniuchno, w butach trochę dziurawych, i krokiem nieco chwiejnym, od niepoprawnego zadawania się z dzbanem.

Prawdziwie po pańsku przedstawiały się Cechy Płatnerzy, Łuczników, i różnych innych dostarczycieli broni. Ci patrzyli na wszystkich dosyć z góry, twierdząc że bez nich wszystko by zginęło.

Daléj szły.....

Prawdę mówiąc, już ich niewiele szło daléj,

bo Cechy, przyniesione przez Niemieckich przychodniów, dopiero zaczynały się u nas rozwijać.

Ale siedł jeszcze bardzo licznie, tłum tak zwanych Włóczków, ludzi którzy niemieli określonego rzemiosła, tylko «włóczyli się» za różnym najtwardszym wyrobkiem; najczęściej splawiali drzewo na Wiśle. — Ci nie byli związani w żaden Cech urzędowy; niechcąc jednak się wydać gorszymi od innych, dziś na wysokości tyce zatknęli sobie także wyżółkły jakiś łachman, i nieśli go bardzo poważnie, chociaż ich bogatsi Bracia mocno drwili z téj udawanéj chorągwi. Ba! I nietylko z chorągwi..... Cały ów niby - Cech wyglądał strasznie odarto, prawdziwie jak szary koniec; ale za to kiedy huknął pieśń nabożną, to go było lepiej słychać niż wszystkie inne razem, a to z dwoistego powodu: najprzód, że jako biędny, lepiej pewnie Pana Boga miłował—powtóre, że czuł się na swoich własnych śmieciach, bo tu już nie było ani jednego cudzoziemca, nic tylko swojacy.

Nie sami téż mężczyźni stanowili orszak. Oprócz Cechów były tu i Bractwa, więc i niewiasty szły nieskończonym szeregiem, trzymając jarzące świece z pachnącego wosku, a te krocie świeatełek dziwnie majaczyły na tle dzienném, jakby ktoś ogniem cały Rynek pokropił.

Mogły się téż nie lękać światła, panie Kupco-

we i Majstrowe; owszem, rade były pokazać swoje złote czepce, szubki o bobrowych wyłogach, i pierścieniste łańcuszki, w których wyglądały doprawdy wspaniale, sto razy suciój niż dzisiejsze mieszczanki, bo wtedy co kto miał bogactwa, to i kładł na siebie, zwłaszcza w takie dni uroczyste.

Tak więc, prawie wszyscy mieszkańcy Krakowa, z tego czy owego prawa, należeli urzędownie do pochodu. Niewiele zostawało luźnej publiczności, i gdyby nie napływ zamiejskiego tłumu, obchód nie miałby prawie żadnych widzów.

Bo nawet i panienki zajmowały tu stanowisko, i wcale niepoślednie; one to niosły Święte Obrazy, wiszące na ruchomych Ołtarzykach, postrojone w firaneczki i wstążeczki, z rodzajem niebieskiej zalotności. Same téż niemniej były strojne, wszystkie w szczerój bieli, z rozpuszczonemi włosami, z różami w około głowy.

I czy to tylko panny miały wieńce? Rzecz dziś trudna do wiary, jednak udowodniona, że kwitły one nieraz i na męzkich głowach. Wszak jeszcze nasz Zygmunt I-szy, w młodości swojój «lubił nosić wieniec z róż białych:» Im dalej sięgniemy w przeszłość, tém gęściój tego kwiecistego przystroju. Dostojnemu gościowi wkładano wieniec przy wieczerzy. Chłopcy kładli wianek na taneczną zabawę; kładli go 1 młodziuchni Djako-

nowie na radosne uroczystości. Oto i teraz, pełno ich się kręci w różanych wianeczkach, i trzeba przyznać że przy śnieżnych komżach, przy niewinnych licach, wdzięcznie wygląda ten anielski djadem.

Ale oni już należą do wyższego, naczelnego działu Processji. Tam nieskończonemi rzędami ciągną Zakony o sukniach czarnych, białych, brunatnych—o twarzach, po większej części, albo jowialnie prostaczkowych, albo ascetycznie zawiedłych.

Jeszcze głębiej, na samém czele, iskrzącą falą płynie wyższe Duchowieństwo, światowiej wyglądające, ale bo téż przymuszone do częstych ze światem stosunków i zatargów. Tu wiele twarzy opasłych, lub zanadto ładnych — ale téż wiele i oczu mądrych, i głów nie od kształtu. A co za ubiory! Jakie na brzegach sukien koronczarskie cuda, jakie krzyże z szafirów i szmaragdów na piersiach, jaki szron z pereł na ornatach i stułach! O ile ziemia może dworować Niebu, znać że to pierwsi dworzanie Króla Niebieskiego.

A tam najgłębiej, najdalej, wśród migotliwości

złotych frędzli, pod fontannami białych pióropuszków, zwolna się kołysze purpurowy baldachin. W zastępstwie nieobecnych Wojewodów i Kasztelanów, niosą go Konsulowie miasta, do koła inni Rajcy, wybór najprzedniejszych kupców, kwiat obywateli. Wszyscy w swoich długich, różnobarwnych żupanach, ściśnięci srebrnym pasem, tak zwanym *obręczem*, w ręku dzierżą laski ze srebrnymi orzełkami. Cera u tych mężów nieco poblakła i nalana, od ciągłego siedzenia po ciemnych sklepionych izbach, ale uśmiech przyjemny i dyplomatyczny, a ruchy już trochę jakoby dygnitarskie, bo też to po większej części ludzie na drodze do wielkości, protopłaści owych rodzin co mają kiedyś — i to już tak niedługo — podnieść Mieszczanstwo Krakowskie do prawdziwego Patrycjatu.

Jedni trzymają złote drzewce i sznury baldachinu, inni troskliwie podpierają znużonego już Celebransa, który się ugina pod ciężarem kapy złotogłówniej, naszytej mnóstwem owych Węgierskich klejnotów, jakie królowa-mniszka złożyła dla ołtarzy. A tym Celebransem nie jest Biskup Krakowski; dziś i Biskupa nie dostaje. Paweł z Przemankowa zabawił się — jak widać — gdzieś na łowach, lub zasiedział się w zaczarowanym swoim Kunickim dworcu. Unika on — ile może — wszelkich uroczystości co go zbliżają ze znienawidzonymi sobie mieszczanami Krakowa, i Kraków też wcale nie tęskni po nim. Owszem, ludność rozrzewnia się nad przykłádném namaszczeniem Suf-

fragana co go zastępuje. Kapłan to siwiuchny, pochylony, z twarzą staruszkową a zarazem jakoby dziecięcą; uśmiecha się nieziemskiem zachwyce- niem, i patrzy jakby z trwogą, z niedowierzaniem, na własne ręce, na te ręce które niosą «Panem angelorum.»

Pod stopy jego, z cicha, wciąż lecą listki róży.... Najśliczniejsze dziewczątka, pieścioszki Krakowskich rodzin, pełnemi garściami czerpią je z koszyków, i drobniuchnym kroczeniem cofają się po ziemi, a trwoga bierze ażeby nie wzleciały, bo mają gołębie skrzydełka przypięte do różowych i błękitnych sukienek.

W koło, ze złotych gotyckich trybularzy, woń kadzidła wysnuwa się kłębamii, i nową Arkę tajemnic, przesłania obłokiem.

Niebo, jakgdyby chciało pobłogosławić ludziom, wyłocilo się na dzisiaj najcudniejszą pogodą. Ani jednej chmurki na błękiecie.

Powietrze przezrocyste niesie pełno dźwięków radosnych; wszystkie dzwony Krakowskie biją—wszystkie usta śpiewają.—Ludzie zapomnieli o boleściach żywota. Ani jednej chmurki na duszach.

Od razu—dzwony ucichły—chóry zamilkły.

Przy ostatnim Ołtarzu, Celebrans obrócił się do ludu, podniósł Monstrancję świecącą jak słońce, i daje *Błogosławieństwo miastu.*

Tłumy jeszcze głębiej się schyliły. Jedni głową biją o ziemię, drudzy krzyżem się rozciągnęli. Cisza tak wielka, że można dosłyszeć skowronka, co gdzieś nad Marjacką wieżą wyśpiewuje.

.
.
.
.
.

Nagle, w tej ciszy, ozwał się huk daleki, podobny do grzmotu.

Niektórzy podnieśli oczy, szukając ze zdziwieniem z kąd burza nadchodzi?

Ale burzy nie widać, a grzmot nie ustaje — owszem zbliża się z niezrozumiałą szybkością.

Wszystkie głowy zwracają się w jedną stronę. Jeden drugiego pyta:

— Co to jest?

— Co to znaczy?

Naraz powstaje zamieszanie — ludzie się rozstępują — tłoczą — roztwierają drogę — różne głosy krzyczą:

— Ostrożnie! Uciekaj!

— Patrzaj! Tam! Tam!

I patrzą — i widzą..... Oto od Wiślniej ulicy, z piorunową szybkością pędzi coś dziwnego..... Wóz,

czy mary, podobne do Apokaliptycznej wizji? Koń, okryty pianą, żarem ziejący — na wozie, trup leży, a raczej podskakuje, szamotany gwałtownością jazdy — przy trupie blada płaczka siedzi z głową schyloną — a na przodzie, jakaś istota o nieczłowieczej twarzy, stoi, świstaniem bicza rozpędza tłum na obie strony, i krzyczy nieludzkim głosem:

— Z drogi! Z drogi!

Zaczęto wołać:

— Rozbiegał się! Łapaj! Trzymaj!

Kilku chłopców co śmielszych, skoczyło do konia, chcą chwycić za uzdę — ale w téjże chwili spostrzeżono że rozpęd nie był samowolnym. Dojechawszy do środka Rynku, istota powożąca silniej ściągnęła lejce — koń stanął jak wryty, trzęsąc się i parskając — a ona wołała na cztery strony placu:

— Ratujcie się! Tatarzy idą!.....

Ludzie spojrzeli po sobie z głęboką niewiarą
Kilku się roześmiało.

— Warjatka, czy co?

— Zkądby Tatarzy?

— Kto ich widział?

— My ich widziały! Gonili nas! Już są na przedmieściu! Dobywają się do Panien Norberta-

nek! Zaraz tu będą!..... Myśmy ledwie uciekli z życiem..... i to nie wszyscy..... patrzcie!

Tu niewiasty podźwignęły trupa, i w podniesionych jego barkach, zobaczono szarą Tatarską strzałę.

Wtedy padł na tłumy popłoch, graniczący z obłędem.

— Jezus Maryja! Kto nas będzie bronił? Ni Xięcia! Ni rycerstwa! Nieszczęśliwa godzina! Co tu robić? Niéma co robić! Zginęliśmy! Jezu! Jezu!

Jedni—zupełnie straciwszy głowę — czepiali się murów, pomykali za płótna i kobierce, jakby te zasłony miały ich naprawdę zakryć przed nieprzyjacielem. Inni, przytomniejsi, nawoływali dzieci, żony, czeladź, i chcieli biedz do swoich domów, aby tam się zamknąć. Ale w tém zamieszaniu, i znaleźć się, i drogę sobie torować, już było niepodobieństwem. W rosnącym zgiefku nikt nikogo nie słyszał, odpływ do bocznych ulic został zatomowany, zwykłą w takim razie nieruchomością natłoku. Chorągwie Cechów, puszczone z rąk drętwiejących, padały na głowy jak zasieki; całe szeregi spowinięte kawałami purpury i bławatu, wiły się pod niemi na oślep.

Straszno było widzieć tych ludzi, stąpających po różach ze śmiercią na twarzy—te ubrania święteczne, jakby na szyderstwo świećące. Nawet Aktorowie Misterjowi, schowani pod szopą, wysy-

pali się ze swojej kryjówki; skrzydlate Anioły i rogate Djabły, rozleciały się między ludźmi, zawożąc ludzkim lamentem.

I co było najgorsze, co wyglądało na zaklęcie złego czarownika: tratowano się i pchano niby uciekając, a cały tłum ciągle wirował na miejscu.

Trzeba przyznać, że największemi roznosicielami popłochu, byli tu cudzoziemcy. Już gdy wybięrali się do Polski, to z duszą na ramieniu, z głową nabitą postrachem tych okropnych Tatarów, o których świat cały teraz gadał. Już po drodze obiecywali sobie sto razy, że niech tylko jeden Tatar pokaże się u granic, ehe! żegnaj miły Krakowie! Włóż co droższego na plecy, i umkną za siódmą rzekę, za dziesiątą górę. Cóż ich obchodziła ziemia do której niczem jeszcze nie przyrosli? Tymczasem rzeczywistość zawiodła wszelkie przewidywania. Tatarzy, swoim zwyczajem, *przylecieli prędzej niżeli wieść o nich*, byli już nie u granic, lecz na przedmieściach stolicy, i to stolicy bez murów, bez najmniejszej załogi, bez żadnego przywódcy, bo nawet Wójt Krakowski, jak na nieszczęście chory, leżał sobie u Skałki pod pierzyną, i ani się domyślał co jego miastu grozi.

Położenie było na prawdę bez wyjścia — bez nadziei — rozpaczliwe.

To téż ci nieszczęśnicy krzyczeli jak ludzie

brani na tortury. Łamiąc ręce, chwytając się za głowę, zawodzili w różnych językach:

— A djabli nas tu przynieśli?

— A po co nam było léźć w paszczę Lucypera?

— Weh! Weh! Weh!

A wicher przerażenia ogarniał i drugich. Już wszystkim w oczach się dwoiło. Już wszędzie dostrzegano Tatarskie kołpaki.

— Patrzajta! Już idom!

— Już som! Z téj strony!

— Nie, z tamtój!.....

— Weh! Biada nam! Jezu!

Tymczasem, pod kościołem Panny Marji działo się coś odmiennego. Jeden z Włóczków, porwawszy chorągiew Cechu, — wypuszczoną przez towarzysza—powiewał nią jak mógł najwyżej nad głowami, i wołał krzepkim głosem:

— A wstyďte się! Co nam przyńdzie z onego dzieciuchowego krzyku? Na Imię Boskie, a toć przecie trza coś robić? Pfu! Damy się zarznąć kieby te barany? Cóż u licha? Czy to koniecznie trza mieć blachy na pirsiach i wiechę na łbie, aby się bić człek ze człkiem? A od czego pięści? A mało to tu kramów ze wszelakiém żelastwem? Pokażmy poganom jako téż i my ludzie. Djabeł im pomaga, ja to wiem—ale my mamy Pana Boga. Westchnij-

my jeno do Niego jak przynależy, a pomoże. No, jeno spróbujcie, a obaczycie: Pomoże!

Przysłowie mówi: «Tonący brzytwy się chwytają.» W każdym nagłym niebezpieczeństwie, jeżeli znajdzie się człowiek, co jeszcze wskazuje ratunek tam gdzie go już nikt nie dopatrywał, wnet ludzie uczepią się takiego człowieka na oślep, gorączkowo—i choćby dotąd był ostatnim ze wszystkich, nagle stanie się pierwszym.

I tu, śmiałego Włóczka wnet otoczyła garstka podobnych mu zuchów.

— Dobrze! — Wykrzyknął. — Kto w Boga wierzy, za mną! Chłopy i chłopaki, do kupy! A w garść imać, co się da! Hej, wy tam niewiasty, dziwuchy, skoczcie co żywo—znoście siekiry, noże, a choציaby i kije, i kamienie, co kto najdzie—jeno żywo! Na miłość Boską, żywo!

W mgnieniu oka zaszła rzecz cudowna. Tłum, który się rozstrzeliwał ruchem odśrodkowym, zaczął napowrót napływać do środka. Wszystkie głowy obróciły się z nadzieją ku miejscu gdzie się «cóż działo.»

Nie wszyscy jeszcze wiedzieli o co chodzi, ale jedni nawoływali drugich.

— A chodź-ta, prędzěj!

— Gdzie? Po co?

— Tam się zbrojom—każom iść—bić się.

— Kto kazał?

— A no, nie gadajcie jeno lećcie. Ja lecę, ja niechę być ostatni.

Ta myśl aby nie zostać *ostatnim*, tknęła wszystkich ludzi gorącego serca. Ile pierwěj było zamętu i osłupienia, tyle teraz wybuchnęło zuchwałój ochoty. Zewsząd migąło pełno rąk rwących się do broni, a że chcącemu wszystko łatwo przychodzi, więc i broń znalazła się na zawołanie. Rzeźnicy pędzą z toporami, — płatnerze odbili swoje sklepy, wyrzucają całe pęki mieczów, koncerzy, łuków— a téż i niewiasty i dziewczki nie próżnują, znoszą z domów siekiéry, młoty, nawet ogromne klucze, i różne stare, pogięte żelaziwa, i nad wszystko może lepsze, kamykami nabijane pałki.

A Włóczek się niecierpliwi, nogą tupie, choraǳią bije o ziemię, i krzyczy:

— A chodźcież! Jak nas tu zeńdą z dzieciarnią i z babami, to będzie nierychło w czas!

W téj chwili, jeden z owych mądralów, co to chcą wszystko przewidziéć, przyskoczył i zapytał:

— A jak tam jest, na ten przykład, sto tysięcy chłopów?

Włóczek roześmiał się zaciśniętymi zębami, i rzekł z pogardą:

— A jak jeno stu?

I obejrzał się. Już niemały rój ludzi, jako tako uzbrojonych, stał przy nim. Wszystko sami Włóczkowie.

— No, — krzyknął — idziema! Tamci nas dogonia. Hej, słyszycie wy drudzy? Lećcie prosto za nami — jeno trzymajcie się kupy. — A tera — w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Tu rozwinął chorągiew, ciężki berdysz oparł na ramieniu, i poszedł sążnistym krokiem, porywając za sobą pierwszy oddział.

Ledwie skręcili w ulicę, już nowe kupy leciały za nimi — i jeszcze nowe — i jeszcze — a wszystko swojacy — szczerą krew Krakowska.

Jednak, jeżeli popłoch się udziela, niemniej udziela się i zapal. Dobry przykład wstrząsnął cudzoziemców. Duch odwagi nagle wstąpił i w ich piersi. Łuski spadły im z oczu: spostrzegli, że co najmędrszego jeszcze zostaje do czynienia, to bronić się «w kupie».» A z tém przejrzeniem przyszło i poczucie wstydu, i żal że dali się wyprzedzić, że

dali sobie wydrzeć dowództwo należne miejskim Urzędom. Ha, co robić..... lepiej późno niż wcale.

Wprawdzie kilku płochliwszych, umknęło przez ulice przeciwległe Wiślnój, ażeby — jeżeli jeszcze można — wydostać się z miasta, — ale takich było niewiele; — reszta w różnych językach podniosła jeden okrzyk:

— Idźmy! Idźmy! Ratujmy tych wartogłowów co poszli prawie nago.

I jako ludzie roztropni, zbroili się po uszy, ustawiali się w dosyć porządne szeregi, z Rajcami, Seniorami lub Majstrami na czele, i choć wyszli później, ale za to szykowniej.

Prawdę mówiąc, nie było może w Krakowie ani jednego świeckiego mężczyzny, coby tam prędzej czy później nie podążył. Nawet starcy najmdlejsi, nawet Dziady kościelne, porwawszy lada narzędzie lub kamień, zbięrali nogi za innemi. Nawet wielu Zakonników, z Krzyżem w ręku poszło przed szeregami, ażeby świętym słowem zagrzęwać obrońców, a świętym Znakiem odżegnywać pogan.

Uniesienie odchodzących podtrzymywało przez czas jakiś i pozostałych. Ale gdy gwar uzbrojeń i pożegnań ustał, gdy łomot kroków tętniących po ulicy Wiślnój, zaczął w dali ginać i zanikać, wielkie milczenie zapadło na Rynku, gdzie już pozostały tylko dzieci, niewiasty i mnóstwo Duchownych.

A wtedy, względna owa cisza, wykryła coś okropniejszego: posłyszano szum daleki, mętny, w którym chwilami roztrzaskiwały się szczęki, łoskoty i krzyki.

Widocznie, starcie wrzało już w całej sile.

Szum, to się wzmagał — to przycichał — jak morze co idzie ławami bałwanów, i za każdą ławą, na chwilę opada.

Wszyscy nad słuchiwali.....

Można było niekiedy odróżnić człowiecze głosy Chrześcijan, od wycia pohańców.

O..... już..... już są bliżej.....

Nie, — znów się fala cofnęła. — Chwila przyciszenia.

Tak, — ale jeszcze kilka chwil podobnych, a całe morze się tu zwali.....

Kobięty spojrzały, po sobie — po dzieciach — i uderzyły w niehamowny płacz.

— Po co oni poszli, a nas tu siroty ostawili? A toż czyste oszalenie, iść tak na szczére jatki?

— Było już ginać, to choć razem!

Niektóre głosy odzywały się jeszcze z ostatkiem nadziei:

— A może tyż i zduszom Tatarów?

Ale jeszcze więcej głosów odpowiadało z gorącością:

— A licha ich tam zduszają! Czém, i jak, niebo-

żęta? Ni to konisków, ni zbroicy. Wybijom ich tam co do nogi.

— Zginą marnie— a po nich, my.

— O mój Stacho! Mój Stacho! Po co mi go wzięli? — Skarżyła się jakaś podeszła niewiasta, przytulająca do swojej sztywnej sukni, gronko skulonych dzieciak.

— Choćby ja chciała i uciekać, kto dla nas wynajdzie schronienie? Kto poprzemieni te dzieci-ny? Niedość mi było stracić ongi dziewczkę u Tata-rów, teraz jeszcze i wnuczęta mi pozarzynają?

W każdej innej chwili, byłby słuchaczów ude-rzył, straszny dramat zawarty w tych kilku słowach. Ale teraz, każdy był własnym dramatem zajęty. Każda niewiasta z płaczem nawoływała swego Józka, Pietra lub Kundrycha, — tych wszystkich ojców, i mężów, i synów, co zdawali się rzeczywiście wysłani na próżną zagładę. Nie-szczęśne kobiety chodziły jak błędne—rzucały się w objęcia jedna drugiej — prosząc o radę, o ratunek—wszystkie sobie teraz równe, od Rajcowej do żebraczki—boleść je zrównała.

A nikt może nie drżał tak śmiertelnie, jak owe, przed chwilą szczęśne matki, co najdumniej

stąpały wśród Processji, pyszniąc się bujnym włossem i świetną urodą swoich córek. Teraz też sama uroda, wprowadzała je w rozpacz.

Serce się krajało na widok owych panien całych w bieli, osypanych kwiatami, a drżących jak owe starożytne ofiary, które strojono i wieńczono, aby je zaprowadzić—do katowni.

— Chodź moja Anusiu..... ja cię skryję..... pod ziemią skryję..... Mnie matka tak samo przechowała, temu roków dwadzieście, kiedy nas także Tatarzy napadali. Skryła mię w lochu—siedziały my tam niewiem ile dniów—nacierpiały się głodu—ale nakoniec poszli, a my wyszły żywe. Pójdź..... jeszcze mamy czas..... nabierzem sobie jadała—ja muszę cię uratować, ach mój ty klejnocie!

Płacząca Anusia ociągała się, utyskując:

— A ociec? Pani matko, co się tu z oćcem stanie?

Ciszéj zaś dodawała:

— I z Bertoldem..... ach ten złotowłosy Bertold, czy on wróci żyw?

Ale matka ją zaciągnęła.

I nie ona jedna. Pełno niewiast uciekło z córkami do piwnicznych lochów. Inne kryły się w domach, zwłaszcza po sklepach, których grube mury i żelazne okiennice, mogły choć czasowo zatrzymać

napastników. Co chwila słyhać było zamykanie drzwi ciężkich, zasuwanie wrzeczadźców — coraz większa cisza osiadała nad Rynkiem.

Na uboczu, cisnęła się ze skwiérczącymi dziećmi, gromada chłopek i góralek. Te, niemając własnego kąta w mieście, niewiedziały nawet gdzie uciekać? Ulitował się nad nimi białowłosy Celebrans, i kazał im iść za sobą do Biskupiego pałacu, gdzie szereg sal i krużganków zwolna pochłonał ciżbę — aż warowna brama runęła na wszystko.

Inni Xięza rozbiegli się po kościołach, aby ukrywać Hostje, Święte xiegi i sprzęty.

Największa jednak mnogość duchownych i popółstwa, schroniła się do świątyni Marjackiej. Ten przytułek stał najbliżej, wołał niejako po drodze, a wielkie skarpy nowiuteńkich murów, i drzwi potężne, świecące niezardzewiałem jeszcze okuciem, były w oczy jako rękojmię dłuższego bezpieczeństwa.

Cóż się tymczasem działo z Elżbietą i Ludmiłą? Rzuciwszy w ten tłum radosny słowo strasznej wieści, siadły na wózku jakgdyby skamieniałe. Ludmiła tylko, ruchem prawie bezmyślnym przytrzymała konia, który wspinał się i rwał z przestachu wśród ogólnego zamieszania.

Ale kiedy Włóczyk rozwinął chorągiew, Elżbieta nagle rozbudzona, wstrząśnięta jakąś zawrotną radością, pochwyciła rękę Ludmiły, i zawołała:

— Ach, to wielki człowiek!

A Ludmiła ścisnęła jej rękę wzdychając:

— Czemuż my nie mężowie? Poszłybyśmy z nimi!

Wszakże, kiedy chorągiew znikła, nasze dwie niewiasty — równie jak cała żeńska ludność — popadły w pierwszą martwość. Niby przez sen pochwytowały ten wir przestachu i rozpaczy, który im się wydał powtórzeniem znajomych już obrazów, zarysowanych daleko, na krwawém tle ich młodości.

Kiedy prawie cały plac opustoszał, Ludmiła widząc ostatnie szeregi ciągnące do Panny Marji, zapytała:

— Może i my tam pójdziemy? Zawsze miliej umierać na stopniach ołtarza.

Zeszły z wózka, pożegnalne spojrzenie rzuciły jeszcze zwłokom towarzysza, i wcisnęły się do kościoła. W podobnej chwili, nikt na ich trąd nie uważał, one same o nim zapomniały.

Przysiadłszy za jakimś ogromnym, ciemnym Konfessionalem, objęły się w uścisku — ach może ostatnim.

— Okropność! — Wyjęknęła Ludmiła. — Czy to

już nasze takie przeznaczenie, aby nas do śmierci samej ścigali ci Tatarzy?

— Do śmierci.....—Powtórzyła Elżbieta.—Żebyż przynajmniej ta śmierć przyszła nam prędko i razem! Bo drugi raz popaść w niewolę—o! to byłoby nad siły.

Tu wzdrygnęła się, jakby tknięta wyrzutem sumienia—i dodała:

— Źle mówię. Z tego co Pan Bóg zsyła, nic nie jest nad siły. Niech dzieje się Jego wola.

Λ głos Ludmiły powtórzył, posepniej ale z równą pokorą:

— Niech dzieje się wola Boska.

Te słowa poddania się najgłębszego, po tylu próbach *jeszcze raz* wyrzeczone, były tak wielkiem bohaterstwem cnoty, że Pan Nieba spojrział ku ziemi—i wyrzekł:

— Już dosyć.

Oswobodziciel.

Zeszły trzy godziny—spędzone w milczeniu grobowém—czasem przerywane śpiewaniem Psalmów Pokutnych. Ale cóż to za śpiew! Raczej chaos jęków i zanoszenia się od płaczu.

Kiedy-niekiedy, ktoś głośniej wyrzekł:

— Już nie wrócom. Zadługo ich niéma.

Po chwili, kto inny dodawał:

— Módlmy się za te co już zabite. Potém i na nas kulej przyńdzie.

Milczenie robiło się coraz głębsze. Wszyscy nadśluchiwali. Niektórzy do ściany przyłożyli ucho. Ale grubość murów pochłaniała wszelkie dalsze odgłosy.

Nic. Wszędzie cicho.

Inni, radziby wyjść na wieże; ztamtąd może by co dojrzeli albo choć usłyszeli? Cóż kiedy Dzwon-

nik co ma klucze od wieżycowych schodków, przepadł gdzieś bez wieści? Pewnie poleciał także na Tatary.

— Trzeba czekać. O Jezu Chryste!

Po trzech godzinach, rozległ się jakiś dźwięk prześliczny, dźwięk dzwonu dosyć dalekiego.

— Co to? Gdzieś dzwoniom?

— A juści, dzwoniom. Ale gdzie?

— Zkąd?

— Ja powiem że to u Panien Norbertanek.

— Tak jakoś kieby ztamtąd. Ale po co?

— Czy to dzwonienie na gwałt?

— Ej, chyba że nie na gwałt. Słuchaj-ta jeno, jak te bum-bum idzie równusieńko? A toż właśnie bych na Święto uroczyste.

— Osobliwsza rzecz. Pan Bóg ich wie..... czyby nasi wygrali?

Już niektóre twarze zaczynały nieśmiało się rozjaśniać, kiedy ktoś rzucił podejrzenie:

— A może to same Tatarowie tak udajom, aby zwabić w pastkę lud niewinny? To majstry we wszelakich zdradziech.

Oczy znów przygasły, usta się pościnały.

A dzwon wciąż tętnił równo i radośnie.

Po chwili, ktoś mocno zaszukał do drzwi kościelnych.

Po całej świątyni rozległo się szeptanie:

— Oho..... już idom!

— Boże miłosierny! To uni!.....

Tymczasem, dobijano się coraz gwałtowniej. Głos po-za drzwiami krzyczał:

— Chwalić Pana Boga! Zdusili my ich! A do licha, otwórzcież! Lecę z takim złotą nowiną, i niechcą mię puścić? Oj, piecuchy, piecuchy, dam ja wam!

Głos był młodzieńczy, zuchowaty, drgał szalonym rozradowaniem. Jednakże ludność Polska nadto już była świadoma piekielnych wybiegów Tatarskich, ażeby uwierzyć od razu.

Pierwsza Ludmiła, przypomniała sobie z przerażeniem owe pokrwawione kobiety, co wprowadziły pogan do Witowskiego klasztoru. Zerwawszy się, ze złożonemi rękami prosiła:

— Nie otwierajcie! To podstęp! Ja widziałam już takie rzeczy!

Nikt się nie ruszył.

Tylko jeden z xięży, podszedłszy pode drzwi, zapytał:

— A ktoś ty taki? Na jakowego Świętego cie to chrzcili?

Ale sztukający widocznie się już zniecierpliwił, bo nie usłyszano żadnej odpowiedzi, — tylko po chwili, pokazała się jakaś głowa..... gdzie? Wyssoko, w oknie kościelném.

Niedługo myśląc, napastnik wybił szybę, (mój Boże! taką śliczną, żółtą jak bursztyn szybę!) i we-
tknąwszy głowę, zapytał:

— A no co? Czy wy już wszyscy pozdychali ze strachu?

Dziewczęta zakryły sobie oczy, aby nie zobaczyć ohydnej twarzy Tatarzyna.

A jednak bardzo się myliły. To była twarz czysto Krakowska, uśmiechnięta od ucha do ucha, zacerwieniona junacko.

Jedna ze starszych niewiast wzięła się na odwagę, podniosła oczy, i jak się zerwie, a wykrzyknie:

— Matko Boska, co ja widzę? A toż Grzesio! Czeladnik od nas!

Wszyscy podnieśli głowy.

— A dyć prawda! Grzesio! A po co ty tam wlaź?

— Ha, po co? Nikt ani pisnon, ja chciał obaczyć czy wy jeszcze żywe? No, wyńdziecie czy nie wyńdziecie? Bo jak nie, to bierz was licho. I bez was będóm gody, i tylo.

To mówiąc, wycofał głowę.

Ale wewnątrz kościoła, co żywo już odsuwano sztaby, drzwi się rozwarły, śmielsi wyjrzeni....

Na placu było pusto, ani śladu Tatarą, — tylko przy bocznej ścianie kościoła, Grzesio zeskakiwał z drabiny, którą w kącie zostawili tego poranku, ludzie zawieszający płótna i wieńce na Processję.

Grześ wyglądał straszliwie; krew pozlepiana z kurzawą, tworzyła na nim rodzaj rudój, obślizłej zbroicy, pod którą trudno było rozróżnić jego prawdziwe suknie. Włosy posklejane spadały w ciekące kudły. Twarz i ręce czerwieniły się ceglasto a nawet na jednóm ręku miał krésę dwakroć czerwieńszą, wążiuchne lecz porządne cięcie Tatarskiej czeczugi. To téż tą ręką trząchał posykując, ale przy tém wszystkiém, śmiał się na całe gardło, z oczu ciskał żywe płomienie, i drugą ręką podrzucając czapkę, wykrzykiwał:

— Zdusili my tych djabłów! Zdusili! Dziękujta Panu Bogu! Dobry Un! Górom nasza!

I mimo swojej krwawój skorupy, Grześ wydał się tłumowi piękniejszym niż gdyby w purpure był przyodzian. Rzucono się ku niemu, porwano go na ręce, jako pierwszego posła «złotój wieści.»

— Dobry Grześ! Kochany! Żyj nam Grzegorz! Górom Czeladź!.....

Grzegorz rad był przyjęciu, jednak chwilami bronił się od hołdów.

— E! Co tam ja..... — Powtarzał machając dwakroć mocniej ręką. — Ja tam jeno był na przyprzążkę. To ten Kulis człek co się zowie. Un wszystko zrobił, un rej wodził. Krzyczoł na nas: «Tędy! Tu wal! Tam leć!» — Oho! Unby i Wojewody mógł uczyć rozumu. To tyż tera go tam prowadzom kieby Pana Jezusa w Jeruzalem.

— Gdzie prowadzom? Gdzie un? — Pytano do koła.

— A no kaj, przed Biskupim dworem. Xieża go tam błogosławiom. Jest na co patrzeć. A wždy — podziękujta mi — ja się wyrwoł, abych was wyprowadzić ze strachu. A jest-tu gdzie Marysia?

Te ostatnie słowa zdradnie objawiły, że poseł nie z saméj miłości bliźniego porzucił pochód zwycięzki. Znalazła się wnet i Marysia, pasowa jak makówka od wstydliwéj radości. Na widok rany, wzięła się za głowę, zdarła z niéj swój biały, processjonalny welon, i rwąc go w kawałki, spowijała tę biedną rękę, a łyzy jéj, kropliście kapiące na bandaż, kłóciły się z szerokim uśmiechem jéj bu-

ziaka, który co chwila chyłkiem podnosiła ku zra-
nionemu.

I nie z jednych ocz Marysinych łzy leciały
dziurkiem. Zewsząd słychać było szlochania i ryki,
wielce dziwne w podobnej chwili; ależ bo taki
gwałtowny przeskok od najgłębszych postrachów
do najwyższej radości, wielu sercom wydał się nad
siły; niejedna niewiasta co mężnie zniosła niebez-
pieczeństwo, teraz odchodziła od zmysłów ze
szczęścia.

Tymczasem, przez próg Marjacki, tłumy cią-
gle wypływały i wypływały na Rynek. Doprawdy
trudno było zrozumieć jak tyle narodu mogło po-
mieścić się w jednym kościele? Trwoga jest jak go-
ścinnność: umie rozszerzać ściany.

Z tłumem, powoli wyszły i nasze dwie nie-
wiasty.

Podniosły oczy do nieba.

— O Boże! Przecie raz dałeś nam dożyć zwy-
cięstwa naszych!

I szły, porwane ogólném upojeniem.

Ale nagle stanęły. Przy blasku słońca, wśród
rzeszy rozpromienionej, strojnej, powróciła im pa-

mieć ich kalectwa. Struchlały na myśl, że ludzie gotowi odpędzić je, wykluczyć z powszechnej radości.

— Co tu zrobić?—Pytała Elżbieta.—Gdzieby się tu tak schować, aby my wszystko widziały, a nas nikt nie widział? Bo ja koniecznie chcę obaczyć tych naszych kochanych obrońców, a już najwięcej tego Włóczyka, co tak za serce chwyta. Ach, to człowiek od Boga zesłany!

Ludmiła przywtarzała:

— Tak, i ja chcę widzieć. Już napatrzyły my się tylu okropności, niechże też raz nasze oczy napasą się czémsiś dobrém.

I patrzyły do koła, szukając czy wnęki, czy występu na murze, gdzieby mogły się odosobnić.

Znagła, Ludmiła przystanąła.

— Ach! Cela Ojca Pawła! Tam jest okienko..... Może jeszcze pusta? Spróbujmy.....

I kuląc się pod ścianami, ostrożnie krążąc między tłumem, który już zaczynał niechętnie na nie spoziérać, doszły do kościółka Świętego Wojciecha, do drzwiczek od Celi. Odemknęły—nie było tam jeszcze nikogo. Lampka świeciła jak zawsze.

Uradowane, zatrzasnęły drzwi za sobą, weszły na kamienną ławę, (którą nabożni tam postawili naprzeciw Obrazu, pod okienkiem,) twarze przysunęły do kraty, i powinszowały sobie szczęśliwego pomysłu, bo z téj wysokości, wzrok ich pannaował nad głowami zalegającymi Rynek, a mogły

być pewne że nie znajdzie się taki śmiałek, coby chciał wydziierać im to miejsce. Raz tylko, jakaś dziewczyna odchyliła drzwiczki, ale wnet się cofnęła z przerażeniem, ostrzegając sąsiadów:

— Oj! Tam niemożna..... Niech Bóg broni! Tamój Łazarnia!.....

Rynek coraz bardziej się zapełniał. Wszystkie ulice wyrzucały szeleszczący, tętniący napływ niewiast i dzieci, a wszystkie pędziły ku Wiślnój, na odszukanie ojców, braci, mężów i kochanków, — a wszystkie miotane gwałtowną mieszaniną radości z ocalenia miasta i postrachu o swoich drogich, bo gdzież jest zwycięstwo nieokupione stratami?

Oto i oni już się pokazują na placu, najprzód pojedynczo, potem coraz gęstszymi szeregami. Wszyscy pokrwawieni, posmoleni, w ubiorach poszarpanych, z włosom rozwichrzonym, z ciałem tu i owdzie ziejącym ranami, ale z duszą pijaną, z pierśią bijącą młotem, od uniesienia i tryumfu. Usta u nich rozwarte szeroko jakby bramy, bo wszyscy krzyczą w niebogłosy:

— Wielki Pan Bóg! Jesteśma!

— Chwała Bogu! I Pannie Najświętszój! Kraków ocalon!

— Już ich niéma! Skuńczona rzecz! Jezu Chryste, co za dzień!..... Święty dzień!

Oto nawet ów, z przetłuczoną twarzą, porwa-

wszy chustę którą mu dziesięć rąk podaje, zasłania sobie rozcięty policzek, a przecie pełnemi krwi ustami jeszcze wydobywa z piersi jakieś rżerzenie radosne.

Oto i tamten, choć z nadłupniętém ramieniem, zdrową ręką podnosi zdobyty buńczuk, i wywija nim, wydając głosy szalone, nieledwie podobne do Tatarskich.

W powietrzu powstaje coraz większa wrzawa. Już nie jeden dzwon od Norbertanek, ale dziesięć, dwadzieścia ich brzmi; w końcu wszystkie dzwony Krakowskie uderzyły jedném, olbrzymiém biciem serca. Kościelne Dziady, a zwłaszcza pomagające im chłopaki, prześcigają się w coraz mocniejszym i coraz szybszym ich rozpędzie.

Zawrót szczęścia rozwija w ludziach niepomowaną chęć krzyczenia, hałasowania, podzielenia się z całym światem cudowną wiadomością. Znów — jak przed kilku godzinami — jeden drugiemu pada w objęcia, lecz teraz innym już uściskiem. Znajomi i nieznajomi witają się jakby po zmarłych wstaniu.

Tu przyjaciel odnajduje przyjaciela — ówdzie rodzina się spotyka.

— Jesteś Basiu! I wy moje dzieciaki! Dziękuj Bogu!

— Tatulo pobit? Pani matko, patrzcie, na Tatuli krew!

— E, co tam! Wy całe, toć i wszystko dobrze. Dajcie jeno szmatę.....

— A gdzie Maciej? La Boga, gdzie on?

— Pani Maciejowa szuka swego! Nie widziała kto Macieja? Czy żyw?

— A jakoż! Widział ja go. Wlecze się tam kieby ze smołom.....

— Jesteś Macieju! Ach Jezu, do czegoż on podobien? Ale żyw, toć i dam gromnicę do Świętego Floryjana. Takom się ochfiarowała.....

— Chleba z pajęczynom, niéma tam gdzie? Na imię Boskie, przynośta pajęczyny, żywo!

— I wody! Szmatki zmaczać trza!

Podobnych wołań coraz gęściiej, bo téż i coraz większa potrzeba ratunku. Po tych co sami potrafili przybiedz, włoką się ludzie mocniej porąbani; drudzy ich prowadzą, podtrzymują, a ci jęczą porządnie, ale między dwoma jękami, takoz czasem rzucają radosne wykrzyki:

— Górą nasza!

— Wszystko nic — kiej tamtych djabli wzieni!

Zwolna, tłum zaczyna się rozstępować z oznakami uszanowania i wielkiej boleści; oto zdrowsi

towarzysze przenoszą ciężko rannych i umierających. Jedni trzęsą w powietrzu podniesionemi rękoma, i słabym głosem przyłączają się do radosnych okrzyków, — inni, już śmiertelnie pobledli, już oczy przymknęli, a jeszcze ustami ruszają z uśmiechem, jakby także chcieli wtórzyć chórowi zwycięstwa.

I co dziwne, to że nietylko swojacy tak zawrotnie tryumfują, lecz i przybysze pobratali się z niemi serdecznym zapalem.

Dla niejednego ze świeżych osiedleńców, ta bitwa staje się pierwszą nicią co go przywiąże do nowój ojczyzny.

Wielu powraca z pola walki, może jeszcze nie pół-Polakami, ale już pół-Krakowianami, bo takie to jest Boskie urządzenie, że człowiek rozmiłowywa się w każdej rzeczy i sprawie, dla której poniósł jakąkolwiek ofiarę, zwłaszcza też, jeżeli przelał dla niej dobrowolnie choć jedną kroplę krwi.

Oto naprzykład, ów człek tłusty, choć z przeproszeniem Niemiec, i porządnie pokłuty, a przecie oparłszy się na drugim tłusciuchu, podrzuca czapkę i pokrzykuje:

— Mein lieber Krackau! Mein lieber Krackau!

A tam od Wiślnój ulicy, dwóch ludzi niesie

jakowegoś starca z wielką białą brodą na pier-
siach roztrzęsioną, z trzewiami krwawo rozpru-
temi.

Jedni mówią:

— To Abakuk, Urmjańczyk, ten od złotego
kramu.

Inni przeczą:

— Ale z kąd? Wszakci to Ludyger Sukiennik,
ten Flonder z za morza.

Ormjanin czy Flamand, w każdym razie to
cudzoziemiec, bo mówi złą polszczyzną. Że złą to
prawda, ale w tej złej polszczyźnie mówi dobre rze-
czy. Wyciąga do wszystkich ręce, i drżącym
głosem woła:

— Mile Polak..... z wami żyć i umilać!

Na zakręcie drogi, gdy spostrzegł wieże Pan-
ny Marii, starzec podnosi głowę, i rękoma od ust
przesyła tym wieżom radosny pocałunek..... Ale
musiał nadto się wysilić..... sinieje, głowa mu w tył
opada, i bije o kolana człowieka co mu podtrzymu-
je ramiona.

Korowód konających zachmurzył umysły. Co
chwila to jakaś rodzina wybucha boleścią, co chwi-
la odzywają się jęki:

— I un takoz?

— I tego pogany skłuli? Oj szkoda nam takich ludziów!

Ale niedługo potrwało zachmurzenie. Ciężko chorych poroznoszono do ich domostw lub do szpitalów, a na Rynku i na okolicznych ulicach pozostali ludzie lżej ranni, lub tacy którzy wyszli z potrzeby cało, i tylko krwią drugich byli obryzgani; a i takich znalazło się sporo.

Jedni przykładali na pędcie chleb z pajęczyną, drudzy — zwłaszcza młoda czeladź — ochlupywali twarz i ręce wodą, aby ładniej wyglądać i sucięj węża pokręcać w obec dziewczynek przynoszących plastry i konewki. Po huraganie pierwszych wykrzykników i przywitań, nastawał jeden gwar ogromny; wszyscy razem gadali. Wszyscy «zwycięzcy», zaczerwienieni, zdyszani, i od wojennej pracy i od uścisków któremi tylko co ich nie poduszono, teraz wzięwszy się pod boki, czapkę nawiesiwszy, rozpowiadali dziwy jakich świat nie widział.

I zaprawdę, było co rozpowiadać, było się czém chlubić. Bo to nie sztuka wojować takiemu, co już od pacholecia uprawiał się do miecza, ale ci kupcy i rzemieślnicy, ci Włóczkowie i te uliczniki, ci może nigdy nie mieli w ręku żadnej prawdziwej broni, a jednak oto odnieśli prawdziwe zwycięstwo, wielkie zwycięstwo — i to nad owemi Tatarami, którym nikt niemógł dać rady.

To téż i ci co gadali, i ci co słuchali, ledwie mogli wierzyć onój cudownej przygodzie.

— I jakoż to tam było? — Pytano zewsząd. — Gdzie wy ich dognali?

— Niedaluchno..... Już to szelmstwo darło się do klasztoru..... jeno chwila..... chwilusia..... Furta by pękła, bęc..... i bywaj zdrów!

— Ale ja tam był! — Wtrącił cienkim głosem szewc Piętka. — Ja tam był i uszył im buty, abych mieli w czém zmykać. I jak zaczeni zmykać, tak aż się kurzyło za niemi, aż od onój kurzawy zaschło w gardle..... Zdałaby się miarczyna piwka.....

— E, łże pijak! — Ryknął pleczysty rzeźnik. — Właśnie bych się tyż Tatarzyn bojał twojej dratwy? Un by jednym buciskiem rozdeptał na miozgę wszyckie szewce i szewczychy, żebych my tam nie staneni ławom. Ja zara wzion sa kieby do wołów; jednemu, drugiemu, trzeciemu, kułakiem w ciemię, i zara bydło zaczeno padać pokotem...

— A trza wiedzieć, — krzyczał jakiś obdartus — że kiej owi sę darli tamój wedłuch klasztoru, jensze bieżeli tutaj, prościuteńko na miasto. Ulica pusta, kieby wymiótł. Alić ja z drugimi przyczaił się w bramiech, i jak my im zastąpili drogę, tak dopiéro łotry zdudziały.

— Aha! — Poparła któraś niewiasta. — Niespodziali się zbóje takowego uroczystego przyjańcia.

— A dyć. Zara tyż głowy potracili. Już potym kuźden ich wybijał kieby mdłe robactwo.

— E, bzdurstwa gadacie, dziadulu. — Przerwał mu jakiś okrągłuchny korzennik. — Jakie robactwo? Nie wierzta mu ludzie, to wcale nie tak łącno poszło. Już ja wiem przynajmniej, że co się na którego natknąłem, to czysty wielgolud. Co za wąsiska! Co za łapy! Ten z przodu rwie, ten z tyłu kole..... aj! powiedam wam, gorze niż ze stadem wilków. Już to — Bogiem a prawdą — było im trocha niewygodno, bo to oni lubią rozmachać się na koniach, i strzałki sobie puszczać z dalekości, przezpieczno. A tu my ich politycznie zaparli w różne szyje, w ciemnie zaufki. Musieli się mocować człek ze człkiem, chocia to im wcale nie do smaku. No, wždy trzymali się dosyć długo. Próbujem i tam i siam, ani weź. Dopiero, jak im Wojewodę zabili, ehe! wszystko się rozsypnęło, kieby im głowę uciał.

— Jako? Więc wy im zabili samego Wojewodę?

— A jakoż! Ten Kulis go zabił własną ręką. Piękna rzecz, niema co gadać, pieszek z konnym, człek prawie że nagi, ze zbrojnym, to niby Dawid z Golijatem. Aleć mu się tyż piękny łup dostał.

— Jakowy łup? Gadajcie.

— A no, kón i ubiór po tym Golijacie. Co za kón! powiedam wam, i nasz Biskup na lepszym nie jeździwa. A ten ubiór! Jeszczem tyż podobnego nie widzioł, — cały od srybła i złota, kieby ornat.

— I wy mu to wszyćko dali?

— A jakoż nie było dać? Sam przecie mógł wziąć, kiej zdobył. Ale my jeszcze lepiej zrobili.

Zdarli my te cudne sukienki z Tatarzyna i ubrali w nie Kulisa, chocia się nieborak wypraszał,—po tym wsadzili my go na kónia, na tego samego po Golijacie, i tak tu będzie jachał. Boć to wstyd po wygranej wracać z przywódcą w łachmaniech, a tera i my tyż mamy Wojewodę, i to takiego wyzłoconego, co i król nie potrafi lepiej.

— Ale gdzież un jest? Kej ten Włóczyk? Ten wybawiciel?—Pytali się wszyscy.

Niedługo czekano.

Oto od strony Biskupiego dworca, zbliża się huk, podobny do wzbierającej wody.

Słychać i muzykę łoskotliwą; ten porwał trąbę, tamten piszczałkę, inny dudę, i niezbyt zgodnie, ale szczerze, z całych piersi, z całego serca, przygrywają zwyciężkiemu pochodowi.

Wali się tłum niezrachowany. Idą Xięza, powagą swoją torujący drogę. Za nimi, przez dzieśięć rąk niesiona, kwieciem i liściem obwieszona, idzie chluba Włóczków, owa nędzna chorągiew, której spłowienia i podarcia niemożna już dojrzyć z pod stubarwnych wieńców.

Za chorągwią jedzie tryumfator, na zachwycającym tarantowatym koniu, na siodle o wysokim łąku, sadzonym turkusami. Sam w pysznym, Ta-

tarskim chałacie o haftach i guzach skrzących -- w spiczastej Tatarskiej czapce obwieszonej perłami — w ręku trzyma Tatarską buławę czy buzdygan, rodzaj ciężkiego żelaznego tłuczka, z grubą główką, najęzowaną mnóstwem kolców i nabijaną złotem.

Rajcowie miasta, rozpychając tłum swemi laskami, prowadzą konia za cugle, a idą powoli, bo lud chce się przyrzeć swemu Dawidowi, każdy się do niego ciśnie — dzieci rzucają przed nim zielone gałązki, — niewiasty podnoszą ku niemu niemowlęta, — i owe dziewice w bieli, co uciekały wybladłe, teraz wyblyszawszy z głębi lochów, biegną rozkwitnięte uśmiechem na spotkanie oswobodziciela, i otaczają go śnieżystym hufcem.

Wszystkie czapki lecą w górę — wszystkie ręce się podnoszą — z tysięcznych i tysięcznych pierśsi uderza jeden okrzyk:

— Niech żyje! Niech żyje ten co nas uratował! Niech żyje nasz wybawca!

Okrzyk tak ogromny, że i same dzwony przygłusza.

Nawet gmachy przyozdobione do Processji, znalazły się jakby umyślnie już gotowe na przyjęcie zwycięzcy. Wszędzie kobierce i róże — kobiety postrojone — mężowie chwalą piękni — wszyscy szalejący od szczęścia.

Trudno zaprawdę, o wjazd tryumfalniejszy.

Możnaby sądzić, że człowiek z gminu, i to najniższego, przybrany po raz pierwszy w kosztowne odzienie, wyniesiony od razu do godności wodza, bohatera, nieledwie pół-bożka, okaże się spłoszonym lub nazbyt upojonym. Tymczasem obejście Włóczka, niczém podobném nie raziło; w szatach złotem szytych, poruszał się swobodnie jakby w nich urodzon,—kłaniał się i uśmiechał do wszystkich, bez pychy ale i bez uniżoności, jakby mu takowa «gloria» była chlebem powszednim.

Dziwki całemi oczami wpatrywały się w niego. Jednak to nie był już młodzieniec; był to człowiek lat średnich, wysoki, nieco szczupły, o rysach szlachetnych, w których widniało wiele siły, ale jeszcze więcej dobroci. Włosy jasne, prawie płowe, po chłopsku w kwadrat obcięte, okalały mu twarz łagodném półświatłem. A było w téj twarzy i dużo smętności. Czasem się zadumywał, jakby nieobecny własnemu tryumfowi.

Czasem, obróciwszy głowę, spoglądał na starca, który szedł tuż przy koniu i płakał z radości. Starzec ten był rosły, miał odzież podartą, i twarz starganą trudem.

Zwycięzca, patrząc na niego z rzewnym uśmiechem, zapytywał:

— No cóż ociec, radzi wy temu wszytkiemu?

— O mój ty złoty Jonku! Już Pan Bóg ciebie z kolibki do takowój chwały przeznaczoł. Nie dał tobie puńść na przepaście, bo wiedzioł co ma z tobom zrobić.

I przystawał--i wpatrywał się w zwycięzcę jakby w święty obraz — a precz oczy obcierał rękawem.

Do koła szeptano:

— To jego ociec, Matjasz Kulis.

— Kto? Ten stary? Obdarty?

— A tak. Ja go znam, on moje drzewo spławił. Całe życie to biędę klepało, a teraz widzi syna w królewskich pysznościach. No, kto by to był myślił?

I zewsząd powtarzano:

— Szczęśliwe ojczyisko!

Jednak po chwili, uwaga zwróciła się gdzieindziej.

Za tryumfATOREM prowadzono kilkunastu jeńców.

Było ich tylko kilkunastu, bo najeźdźcy w pierwszej chwili pogromu, swoim zwyczajem rozlecieli

się na wszystkie strony, jakby ich kto rozdmuchnął, — a z tych co nie zdołali umknąć, mało który dał się wziąć żywcem. Było ich więc tylko kilkunastu, ale prawdziwych, rodowitych Tatarów. Pierwszy to raz, Kraków oglądał tych synów Azji, nie jako zwycięzców lecz jako zwyciężonych.

Szli z rękami w tył związanemi, poranieni, poszarpani, ponurzy, ze brwią ściągniętą. Przywykli do pastwienia się nad jeńcami, pewni byli że i dla nich podobny los tu zgotowano, że za chwilę będą ćwiertowani, lub na wolnym ogniu pieczeni. A twardzi dla drugich, byli i dla siebie twardemi, nie drżeli ani błagali łaski, tylko niekiedy, ukradkiem, rzucali między ludzi wężowe spojrzenie, przepatrując czyby nie można któreś się wyśliżnąć? Ale nigdzie ani szparki. Tłum otaczał ich ruchomą ścianą.

Kobięty przyglądały im się ciekawie, chociaż zawsze zdaleka, jak niedźwiedziowi na łańcuchu. Dzieci kryły się za spódnice matek, piszcząc:

— O..... jaki dziad okropny! Matulu, zjé nas..... uciekajma!

Za to starsze chłopcy, wyrostki, z przyrodzenia zawsze trochę okrutne, bawiły się w dokuczanie jeńcom. Co chwila któryś chłopak przyskoczył, i dał poganinowi kułaka w kark, albo go skubnął po włosach. Tatar oglądał się z wyszczerzonymi zębami, byłby chciał chociaż wzrokiem przeszyć swojego prześladowcę; ale chłopak, już

ukryty w tłumie, wybuchał tylko cienkim śmiechem, lub jeszcze cieńszém gwizdnięciem.

Oprócz tych ulicznych żarcików, żadna cięższa krzywda nie dotknęła do téj chwili jeńców, bo chociaż chęć pomsty pałała nie w jedném sercu, przecież tyle pobożnego nastroju panowało w powietrzu, że nikt nieśmiał zakłócać świętej godziny wyzwolenia.

Mężowie prowadzący niewolników, śmieli się tylko, pogadując:

— A co? Nie taki djabeł czarny jak go malują. Oto my, choć nie żadne pasowane rycerze, wzięli my je na sznurek, te niby czarowniki. Nosił wilk— ponieśli wilka.

I to właśnie najwięcej radowało Krakowian, że obesli się bez pasowanych rycerzy, bez Xiążąt i Wojewodów. Miasto po raz piérwszy uczuło swoją potęgę, pyszniło się zwycięstwem dokonaniem o własnych, wyłącznie własnych siłach, i tém téż głośniej okrzykiwało wyswobodziciela co był jego rodzoném dzieckiem, wyszłem z pod najniższych dachów miasta, wypiastowaniem pod chorągwiami Cechów.

Nagle pochód przystanął.

To sam tryumfator wstrzymał konia, i wodząc oczami po rzeszy, zapytał:

— Ale gdzież są te niewiasty, co pierwsze nas ostrzegły? Wy mnie dziękujecie, kiej Bogiem a prawdą, to im trza dziękować. Przez nich i ja by nic nie poradził, bo niechby nas jeno Tatar był zeszedł nieuzbrojone, niewiedzące o bożym świecie, no, to sami gadajcie, trefnie by my tera wyglądali?

Zaczęto szukać, pytać, przepatrywać, — nikt niemógł powiedzieć gdzie znikły owe niewiasty.

Włóczek spojrział w niebo i wyrzekł:

— Ha! To chyba już byli jakieś aniołowie, co je Pan Bóg zesłał z cudowném przestrzeżeniem!

Szkoda że Ludmiła i Elżbieta niemogły dosłyszeć tych wyrazów; byłyby im one stanęły za najśłodszą nagrodę. Zamknięte w swojej kamiennój skrzynce, niewiedziały, ani nawet przypuszczały, aby ich kto szukał.

Mówiły tylko ze wzdychaniem:

— To bięda, że niemożna tam bliżej się dostać, że niemożna lepiej mu się przypatrzeć. On ciągle tak daleko, w takim tłoku!

Jednak ich życzenie prędko się spełniło.

Tryumfator oprowadzany w kolusieńko Rynku, dojechał i do pobliza Celi.

Wtedy, uczepiwszy się kraty, razem z innemi zaczęły krzyczeć radośnie, to na widok wybawcy, to na widok Tatarów, których po raz pierwszy oglądały nie jako *biorących w jassy*, ale jako *brańców*.

Pomiędzy różnemi okrzykami, doszły do nich i te wyrazy:

— Niech żyje nam Jan Kulis!

— Jan?—Powtórzyła Elżbieta. — On się nazywa Jan! Ach czemuż to nie *nasz* Jaś?

Tymczasem zwycięzca już się znów oddalił. Okrążywszy Rynek, wyjechał na sam środek, i przystanął, niepewny co ma dalej czynić.

Nie dano mu czasu do namysłu. Jak tylko zatrzymał konia, lud jeszcze gęściej rzucił się ku niemu. Zapał tłumów szybko przechodzi w rodzaj bałwochwalstwa. Chociaż Włóczek się bronił z pokorą, ze zgrozą, całowano go po nogach, po chałacie. Kto niemógł się do sukni dostać, ten całował przynajmniej konia, który musiał się dziwić niepomалу onęj czci, jaka go spotyka w obozie nieprzyjaciół?

Panny powięzały kilka równianek, i otoczyły jeźdźca wielkim, krętym wieńcem, przypląsując i przyśpiwując.

Stare niewiasty wołały:

— O niechże ci Jezus Nazareński da zdrowie, ty uciezko biędnych, ty złoty nasz kochanku! Szczęśliwa matka która cię karmiła!

Tu owa staruszka, wnukami otoczona, eo to tak jęczała za swoim Stachem, wyciągnęła ręce wołając:

— O, żebych to dwadzieście lat temu, był się znalazł takowy człek, nie byłaby ja straciła u pogan mojej dziewczki! Oj, moja ty biędna Ewucho.....

— To prawda.—Przywtórzyło wiele głosów.

— To prawda. Już dwa razy Tatarzy Kraków nam plundrowali, a nigdy niktoj ani pisnon. Cały świat godał jakobych właśnie od onych czarowników niemożna się obronić. Tymczasem, ten oto pokazał, że można!

I znów były okrzyki:

— Niech żyje zwycięziciel! Niech żyjom Włóczkowie!

Zwycięzca obracał się z uśmiechem, dziękował na wszystkie strony — a stary Matjasz popłakiwał.

Z téj wielkiej miłości, lud Krakowski niewiedział już co robić ze swoim *kochankiem*; wszystkiego było mu zamało.

Jedni radzili aby go wziąć na ręce, i tak obnosić po mieście. Ale drudzy krzyczeli że niemożna, bo to wygląda po pijacku, że Włóczkowi sto razy ładniej na zdobytym koniu.

Któs zapytał — i to poważnie — czyby zwycięzcy nie wprowadzić na wieżę Marjacką, z kąd całe miasto mogłoby go widzieć?

Któs inny, (podobno jakiś człek z za morza,) radził aby na prędcie, z lada czego zrobić koronę, i ogłosić go Dożą, czy Podestą, czy Burgmeisterem, no słowem, tak coś jakby królem Krakowa.

— Niech — mówił doradca — wasz Leszko ze swego Zamku na Wawelu, rządzi sobie rycerstwem i chłopstwem, a ten niech rządzi tutaj w mieście. Zresztą, jeśli koniecznie chcecie, może być «wazalem» tego Leszka, ale dla nas mieszczanów, panem.

Ta myśl cudzoziemska, mocno przypadła do smaku niektórym swawolnikom, zwłaszcza Niemcom, którzy byliby radzi wypsnąć się z pod ręki Polskiego Xiążęcia. Ledwie miejscowa Starszyzna zdołała wybić im z głowy tę grzeszną niedorzeczność.

Kiedy tak w różnych stronach Rynku wrzały rady i odradzania, szczęśliwcy którzy potrafili dostać do tryumfatora, obrzucali go tysiącem pytań:

— Gdzie się rodził? Co zwykle porabiał?
Z kim się znał?

Właśnie w téj chwili, jeden z Rajców zapytywał ciekawie:

— A powiedajcież nam jako wy zrobili, abych zmocować onego dowódcę Tatarskiego? Boć to jednakoż nie lada chłystek być musiał?

— A to proszę dobrodziejów, niewiem czy dla tego że ja się zawdy modłę do Panienki Najświętszej, aléc jakoś łacno mi poszło. Tłukli my się z tém hultajstwem w najlepsze, a tu leci człeczysko, całe upstrzone w te oto śliczne ochędóztwa, co wy je na mnie włożyli. Zara myślę sobie:—Oho! To pewno jakowy ich Starosta, dobrzeby go przycapnąć.—Lecę, i z całej siły walę go pałką, o tu..... w udo, aż kość trzasła, krrr..... Przegibnął się na drugą stronę, ale—majster—nie spadł. Powiedają że Tatar nigdy nie spada z konia, oni już mają na to osobne czarowanie. No, swoją drogą, jak całém eielskiem zaważył na jeden bok, tak się koń ze-strachał. Ja tyż daléj, pomagać mu w tym strachu. Łap za uzdę, szarpie—on wspina się, wierżga—ja precz go ciągnę do ziemi, aż padł na przednie nogi, zupełnie kieby klękał przed Szkaplirzem co go noszę na piersiach. Poczciwy konik, jakoby mię rozumiał—ja go kole i podjudzam, a ten jak się zacznie tarzać, tak i przywalił mojego Starostę. No! Wtedy już ja był górą, chocia poganin odgryzał się jeszcze tego. Jak mię głasnął bez ramię tym oto niby młotkiem, to myśliłem że mi rękę odplatał,

Nic nie było, aleć wonczas już mię złości wzięły..... Jak się rzucę, jak mu wyrwę te młocisko, tak własnem jego żelaztwem kropnąłem go raz i dwa, że już jeno zipnął. A ja go jeszcze raz po głowie, i powiedam: — Naści za moją matkę.

— Jakto, za matkę? — Pytano dokoła.

— A..... bo wy niewiécie..... Mnie moją matusię Tatary wzięli do niewoli, jak ja był jeszcze, o..... tyłki dzieciak.

— A mój Boże! I już wy jój nigdy nie widzieli?

— Nigdy!

— E..... co tyż to za godanie? Koszałki-opałki! — Wtrącił jakiś inny Włóczek. — Słuchajta Matjasku! Abo to ja raz potkał waszom babę? Wszakci to jój się niedawno co zmarło w chałupie? Kto widzioł abych ją poganie wzieni?

Matjasz zakłopotany kręcił czapkę w rękę. Nakoniec podniósł oczy nieśmiało.

— A bo to..... to nie mój rodzony..... to dziecko znalezione..... bez Boga przysłane.

— Doprawdy? — Krzyknięto. — Nie rodzony? I nikt o tém niewidzioł.

— A po co miał wiedziéć? Żebych się chłopak nie był sam tera wygodał, toby do Sądnego dnia żywy duch nie widzioł.

— Ale dla czego?

— No, już ja wiem dla czego. Mam ja i rodzone dzieciska, i wszystkie poćciwe, a wszelako tego sirotę ja zawdy miłował tylo co i tamte, bez obrazy Boskiej mówiac, może i trocha więcéj, bo

to zawdy było kieby jaki królewicz, abo żywy haniol. Nigdy ja bez to dziecko niemioł ni jednego dzionka żałości.

— A jeszcze by tyż! — Zawołał ów syn przybrany.— Ociec uratował mi życie, to kieby mi je dał, kieby drugi rodzic. Ociec mię odchowal, na człowieka oskrobał, żebyż go jeszcze nie miłować i nie uszanować, tobych już chyba trza być rogatą poczwara.

— Ale gdzie wy go znaleźli, Matyjaszu?— Na-legali ciekawi.

A drudzy obstąpili zwycięzcę, pytając bez końca:

— No, gadajcie, gdzie wy się rodzili? Z jakowój to śmierci stary was ratował?

Matjasz odwracał głowę i mrucał:

— Okrutnie długa przygoda..... I jeszcze może na złe wyńdzie rozgadywać?

Ale zwycięzca prosił:

— Eh tatulu, my już tyle roków cicho siedziema, i cóż nam z tego przyszło? Może, kiej ludziom raz powiemy, to i sami się nakoniec czegościś dowiemy?

W takim dniu, w takiój chwili, któż mógł się oprzec żądaniu tryumfatora? Zmiękł Matjasz i powiedział:

— A no dobrze..... dziś ty kieby król..... wszyscy muszom cię słuchać, nawet stary ociec.

Wtedy zwycięzca, trawiony tą chęcią wywnę-

trzenia się, która w chwilach radosnych rozpięra każde serce, zaczął opowiadać żądane przygody, i Matjasz sam często przymieszywał swoje słówko.

A przygody musiały być bardzo ciekawe, bo słuchacze podnosili ręce, i wydawali okrzyki zdumienia.

Ale cóż? Nieduże było koło tych wybrańców co mogli dobrze go dosłyszeć, a zgiełkliwe napięcie rzeszy przeszkadzało i owemu kółku.

Elżbieta i Ludmiła należały do liczby najdalszych, do których głos Włóczka już wcale nie dochodził. Niewymownie je ta strata martwiła.

— Co on tam tak rozpowiada? — Utyskiwała Elżbieta.— Że téż to my ani słówka nie możemy złapać! To nieszczęście, że ten plac taki wielki!

One się tylko martwiły. Z drugimi było gorzej; drudzy bez ogródki się gniewali, nie na opowiadającego, ale na tych co im wykradli pierwsze miejsca.

Różne słowa luźne, z ust do ust rzucane, jeszcze bardziej rozjątrzały ciekawość.

— Słyszeli wy? To nie jest syn Kulisa.

— To jakowyś znajdek. Sirota.

— Ba! To może i królewicz?

— Ale gdzież tam! On chował się u Tata-
rów.....

— Czy może być?.....

— Ależ cicho..... nie dacie nikomu słuchać.

I tłoczono się, popychano — coraz ciaśniejszy pierścień ludzi napięrał na konia, który już zaczęła niecierpliwić się i dokazywać.

Matki krzyczały — dzieci jeszcze bardziej.

Włóczek, co zawsze tylko z wodą miéwał do czynienia, i pewnie rzadko jeździł konno, a jeśli jeździł to po prostu «oklep», teraz na swoim paradnym siodle, niebardzo dowierzał bystremu rumakowi.

— Już chyba — mówił — pozwólcie abych ja się zesiadł, bo te pogańskie bydłę jeszcze gotowe kogoj skrzywdzić.....

I tak co chwila rwało się opowiadanie.

W gromadce ludzi stojących na uboczu, ktoś odezwał się:

— Najlepiej by to było postawić go gdzieś tak wysoko, abych go wszyscy mogli słyszeć.

— Dobrze. Jeno gdzie? — Pytali drudzy.

Wnet przysunął się doradca wieży Marjackiej, ale i teraz jego myśl odrzucono.

— E..... tam znów za wysoko. Chyba ptaki będą go słuchali?

— Wiécie co? — Wtrącił jakiś sprytny czeladnik. — Wprowadźmy go na wirzech Szopy, una jest umyślnie zrobiona do gadania, kaździutkie słowo ztamtąd słychać aż het, po rogach Rynku. Ja to wim, bo wczora, kiedym ustawiał tron króla Salamona, to ja mógl gadać w najlepsze z Rychardem, co stał oto kaj, pod Malchusowym domem.

— Przednio wynalazł! — Odkrzyknięto.

I gromada, przebiwszy się do tryumfatora, bez pytania chwyciła konia za cugle.

— Co to jest? Gdzie wy chcecie mię wodzić? — Pytał zdumiony jeździec.

Zatrzymano się przed Szopą.

Prowadzący porwali go na ramiona, i wnosząc, prosili:

— Tu, tu nasz łaskawcze. Siądź na tronie króla Salamona, i jeszcze raz nam rozpowiedaj, ale od samiuchnego początku, bo my wszyscy chcemy słyść! Wszyćcy!

Niesiony bronił się mocno.

— Nie, ja na żadnym tronie, za nic w świecie nie sięde. Chcecie, to sobie gdzie na boczku przystanę — o! na ten przykład..... poczekajcie..... tu.

I wskazał mownicę, z której wygłaszano Ministeriowe Kazania.

— A i owszem! — Zawołali przewodnicy. —

Tu jeszcze lepiej—tu człeka widać po wszech stronach, kieby onego bociana co stoi wedle strzechy.

Zwycięzca pokazał się na ganeczku. Tłum powitał go nowym, jeszcze weselszym okrzykiem.

A już nikt może bardziej się nie ucieszył jak nasze dwie niewiasty, bo mownica była bardzo zbliżona do Celi.

Teraz, mogły przedziwnie i widzieć go i słyszeć.

Misterium.

Włóczek, spojrzawszy na morze głów ludzkich, falujące pod jego stopami, trochę się zakłopotał, i ścisnąwszy ramiona, spytał:

— No? I co ja mam gadać?

Jeden z bliżej stojących zawołał:

— Gadaj wszystko!

I wiele innych głosów poparło:

— Tak, wszystko! My chcema wiedzieć, kto to taki nasz wybawca? Gdzie rodzon? Jakowy chleb jadał? Jakowom łaskom Pan Bóg powynaszał go do dzisiajszej chwały? Chcema wszystko wiedzieć, abych naszym dzieciom opowiedzieć, a te swoim dzieciom powiedzom, i tak po wiek wieków cały świat będzie pumniał, jako to się nasz Kraków oświście bronił.

Włóczek pszesuwał rękę w jasnych włosach.

— A juści. — Mówił. — I ja miał ochotę, i wiel-

gą, to wszystko wam opowieścić, jeno tera mię ta ochota odeszła, bo to..... widzicie.....

— Bo co? Bo dlaczego?—Pytano.

— A bo nasamprzód..... ja bardzo maluśko wiem o swojej osobie..... a jeszcze i ta krzynka wygląda kieby wierutna bajka. Pan Bóg widzi jak ja nie kłamie, alic nie kaźden mi da wiarę, i jeszcze gotów rozgadywać że ja zmyślam takowe cuda, abych się ludzie nademną dziwowali.

— Ale gdzież tam!—Odkrzyknęło pełno ludzi, zwłaszcza cały tłum Włóczków.

— Powiedasz: prawda? To i prawda. Nie bojsa, przecie Chrześcijany cię słuchajom. A ktoby śmiał rozgadywać, co Jan Kulis kłamie — na tego my huział kieby na Tatara.

— A no, więc tedy, słuchajcie: Gdzie ja się rodził, niewiem—to jeno wiem że nie tu w Krakowie.

— O..... szkoda! -- Zajęło wiele głosów. — Szkoda żeć to nie swojak..... I z jakowegoż to ty miasta?

— Właśnie że nie z miasta. Najdawniejsza rzecz jakową się przypominam, to wielgie, ciemniusięńkie lasy, a między temi lasami góra--a na téj górze jakiś dom z wieżami, gdzie ja biegał w ciemniuchnych, wyszywanych przyodziwkach -- gdzie kręciło się dużo ludzi, a nad niemi, jakoby królowa albo Święta, pokazywała się jakaś prześliczniuchna niewiasta, cała w miękkich sukniech, z perłami po głowie. Ta mię bięrała na kolana, a ja do nię mówił: «Matusiu!»—I ja tak okrutnie ją kochał —

ba, co to za gadanie? Ja zawdy ją po równości kocham, tak co i dzisiaj jeszcze, chocia to ja niby już stary, a precz po nocach się zrywam, i zawodzę: «Gdzie ty matusiu? Gdzie?»

Tu mówca zatrzymał się, jakby połykał krztujące go łkanie.

Między słuchaczami powstały różne uwagi:

— Patrzajta go! W kasztelu się rodził — na wieżach mieszkoł.....

— Matka jego chadzała w perłach.....

— Sprawiedliwie gadał, co to będzie kieby ona bajka o królewiczu zaklętym.....

— Ho, ho! — Przechwalała się jedna ze starszych niewiast. — Ja zara mówiła żeć to musi być pańskie dziecko. Zkądby się w prostym Włóczku wzion taki duch rycerzowy?

I wnet między tłumem znalazły się seciny ludzi powtarzające:

— A dyć i ja to mówił.....

— A ba! I ja to myśloł.....

— Alic zkąd mu przyszło na takową ciężką bidę?

— Aj cicho — słuchajta — on dalej goda.

— Była tam i druga białogłowa, z pewnikiem siostra mojej matki, takóž gładka, i jeszcze dzie-

wka, bo chodziła w długich, grubachnych war-
koczech. Ona mię wiecznie céckała — ucieszne
igraszki wymyślała — ach Boże, jak my się bawili!

Tu znów przerwał, — a jeden ze słuchaczy sto-
jących bliżej Szopy, zapytał:

— I tak same białogłowy siedziały w onym
zamku? Męża ni jednego? Nie pamiętacie oóca?

— Oóca? Przypomina mi się jakowyś mężczy-
zna, cały w srebrnistych blasiech, z okrutném pié-
rzem na głowie. To piérze najlepiej pamiętam, bo
ja zawdy chciał je złapać małemi rękami, o tak....
a zawdy było za wysoko. Ten rycerz musiał nie
gęsto przesiadywać doma — kiej go widzę, to za-
wdy kieby za mgłą. Raz jeno widzę lepiej: było ja-
koś dużo śniegu — on siedział na kóniu, i mnie
precz po gębie całował, a matusia stojała tuż kole
nas, i rzęsiście płakała. Z tego wszytkiego mnie
się widzi że to był ociec.

— A jakoż się ten rycerz nazował? Jako się ta
góra nazowała? — Zapytał jeden z Rajców?

— A, żeby-ci ja wiedział! Ja by oddał poło-
wicę żywota, abych wiedziéć z kim to było i gdzie?
Ale niewiem nic a nic. Ja, widzita, był wonzas
okropnie mały i głupi. Góra to góra — matusia to
matusia—ja więcéj niewiedział — o nic się nie tro-
skał. A i po co mi się było troskać? Wszytcy
mnie służyli—wszytcy *mnie* nadskakowali. Spra-
wiedliwie wy powidzieli; żył ja sobie w rozko-
siech kieby jakowy królewicz. Musiało tyż być

zawiele onego szczęścia, bo je Pan Bóg zabrał od razu, o tak, pfiu..... kieby zdmuchnął.

— I cóż się to stało? Kto was po świecie rozniósł?—Pytali na wyciągi słuchacze.

— Już co tego to wam dobrze nie opowiem. Tu w moich wspominkach leży jakoby gęsta, czarna plama. Cós okropnego porobiło się w naszym domie—jakoweś krzyki—ciemności—to znów czerwone łyskania — kryli my się w jakichś grobach—uciekali—ale gdzie i przed kim? Niewiem. Wedłuch tego co mi ludzie gadali w późniejszych czasach, to po prostemu był napad Tatarski.

— Aha! Aha! — Przywtarzała publiczność. — A juści! Toć nie mogło być nic inakszego.—Nieszczęsne niewiasty! I jeszcze z dziecinom! — No, a potém?

— Potém, niby to gdzieś jedziemy—raz na koniach—to znowu na woziech—a ja zawdy na kolanach u matki.—Co się obudzę a pojrzę, to kole nas kręcą się jakoweś czarne strachy. Wszelako z onego całego jachania czy uciekania, już ja prawie nic nie pamiętam, jeno to że mi było zawdy głodno, a nawet i płakać ja nieśmiał, bo matusia precz gadała: «Jasiu, cicho..... cicho..... jak będziesz płakał, to złe ludzie nas ubijają.»

.

Ach, i Bogiem a prawdą—jeszczeć ja wtedy niemiał czego płakać, jeszczeć ja był z matką!

Ale i to się skończyło.....
Od razu — nie widzę jój.

.

Matki już nie widzę..... jeszcze jeno ta moja ciotka czy jakowaś jensza krewniaczka, wiezie mię gdzieś, bez ogromne pola — bez ogromne wody — a na czém wiezie, to iście śmiech powiedzieć..... a prawda czyściuteńka: był niby koń-nie-koń, z takim oto długą szyją, kieby u bociana, jeno sto razy grubszą i sierścistą; a na karku miał dwoje skrzyńców czy garbów, a na nich my siedzieli, wysoko, aż strach jak wysoko, bez mała jak ja tu na Szopie.

.

W onczas—dobrze pamiętam—tom ja już płakał bez ustanku, bo się precz rwałem do matki. A ta moja ciotuchna wciąż mi obiecowwała, że my «wrócimy do matusi.» Aleć to było kłamstwo czy mamidło; nietylko my do matusi nie wrócili, ale i ciotusia gdzieś przepadła.

.

Tu znowu niemogę dojść do ładu z mojami wspominkami. Kręci mi się po głowie pełno miejsców i ludziów pomieszanych, aż naraz, jestem

w jakowémś mieście, (ale nie tu w Krakowie,) u jakowegoś Xiędza, który mi powieǳa że jest moim *Wujciem*.

Cudnież to tam było, u onego Wujcia! Ławy rznięte kieby w kościele — xięgów z malunkami caluchny rzęǳ na policy — jakowys klęcznik mięciuchny ze złotym Panem Jezusem — a już sam Xiędz, czysty anioł. Co dnia mi łakotków znośił, a głaskał, a huśtał na nodzech. Alem ja mu się źle odpłacał; zawdy nadęty i zbeczany, tom pieśczenie odpychał, tom łątki łamał, no, byłem okropny. Ach, bom ja miał złość do wszytkich ludzi że mi matkę zabrali; do wszytkich, nawet i do tego poćciwego Xiędza, chocia to on już mię nie mamił, bo jakim go się sto razy na dzień wypytywał gdzie zobaczę matusię, to zawdy odpowiadał: «U Bozi.» — Więc ja go łap za rękę, ciągnę precz abych szedł ze mną do Bozi, a on biédak płacze nademną, a ja go szarpie jak nieboskie stworzenie. Żłem ja robił—źle—ale cóż chcecie? Wielgie kochanie, to straszna rzecz.

.

Ludzie mówią, co dziecko pręǳko przepómina..... to nieprawǳa. Im ja dłużej matki nie widział, tém gorzej mi było w oném tęschliwém usychaniu. Z dalekości, wydawała mi się ta matka coraz cუdowniejsza, bez urazy Pana Jezusa — mieszała mi się w głowie z Matką Boską, i niechby kto słówko

był przeciwko niéj pisał, to ja byłby mu oczy na miejscu wydrapał. Rozżarty się ze mnie zrobił dzieciak.....

A co to tam takiego?—Dodał Włóczek, obracając się ku stronie Celki, gdzie powstawał jakiś rozruch.

— To nic.....—Odpowiedziano. — Któs płacze.

— Kto? Gdzie?

— A no cóż, nic dziwnego że niewiasty płaczom, kiej słyszom o takiém biédném dziecku.

I przestano pytać, bo nikt niemógł zmiarkować zkad się ozwało to dziwnie ciężkie szlochanie?

— Niewiem jak długo siedział ja u tego Wujcia.—Dalej ciągnął mówca.—Wiem jeno że przy wszelakich rozkosznościach, duszno mi było w onych izbach sklepionych i ciasnych uliczkach, co tam są jeszcze zaduchliwsze i ciemniejsze niż u nas. Mnie się chciało pachnących lasów, niebieskiego powietrza, owych koni z długimi szyjami. Czasem już ja myślał, czyby nie uciec, i nie szukać matki, tak sobie, gdzieś po świecie? Mnie się widziało, co niech jeno wyńdę z tego mieściska przeklętego, a zaraz ją potkam, i wszystko się przemieni. Prawda, że jak Wujcio zaczął mię całować

a płakać, tak i owo zawzięte opętanie słabiało, ale czart już wiedział od jakowój strony mię capnać, i niedługo tyż zastawił sidła.

Przyjechał do mego Wujcia drugi jakiś, co kazał abych ja go nazował *Strykiem*. To nie był Xiądz. A co za jeden był, niewiem, ale strasznie suto się nosił, i zawdy kupę sług przyprowadzał. On takoz mię niby podchlebował, czasem po twarzy poklepał, aleć już co tego tom się kaducznie bał, bo to chłop kieby wieża,—nos, o taki..... właśnie bych u sępa,—a kiěj pojrzał na dziecko, to zupełnie jakoby je chciał połknąć. Ten straszny Stryjek, po całych dniach gadał a gadał z Wujciem, i krzyczeli, że aż się ściany trząchały, a jam uciekał na dół, między sługi. Tam opowiedali ludzie jako Stryj mię chce do siebie zabrać, a Wuj znów niechce mię oddać. Niewiem co im tak chodziło sierdziście o jednego, biédnego dzieciaka?

Między sługami Stryja, był jeden takowy co go polubiłem, chocia miał kose oczy, i wyglądał kieby czysty złodziej. Ale cóż? Lubił gadać o mojej matce—a precz się dopytował—a precz się nademną żalił. Nakoniec jednego dnia, tak powiedział:—«Już nie płacz chłopcze, ja wyszukam twoją matusię, jeno nic nie gadaj o tém Wujciowi, bo kiěj się wygadasz, to nie będę jěj szukał.» — Więc ja już po całych nocech niemógł sypiać z tych radościów i z oczekowania. Aż tu, na drugą niedzielę, Stryj się pożegnał, sługi zabrał, i wyjechał precz. Znowu tedy w domu pusto i cicho, kieby

makiem siał. Ja chodzę tu i tam, jakoby nieżyw, myślę co już wszystko przepadło. A no, nie! We dwa dni potém — (o! tu już przedziwnie każdą rzecz pamiętam—) owóz tedy, we dwa dni potém, wyglądam sobie okienkiem,—o..... takiem okrągłuchném, co było pod samym dachem — a tu bez ulicę idzie ów sługa stryjowski. Patrzy w górę, i kiwa na mnie. Ja tyż, jako to ciekawiec obywatły ze wszystkimi kątami, wymknąłem się z domu tak skryto, abych mię nikt nie obaczył. Lecę do niego, a on powie. «Już ja znalazł twoją matkę, czeka nas tamoj, pod lasem.»—Aż mię ciary przeszły. A tu mi Anioł-Stróż gada: — «No, a Wujcia nie weźmiemy z sobą?»—Aléc sługa bierze mię za rękę i ciągnie. — «Co tam Wujcio!» Powie. — «Wszakci my tu z matką zara wrócimy do Wujcia? Teraz matusia chce ino ciebie obaczyć, ona tam płacze pod lasem.»—Jak mi powiedział że ona tam płacze i wyczekowa na mnie, przestał ja się pytać i gadać, jeno biegnę co tchu. Przeszli my kilkoro ulic, potém siła wieżów, i bramów, i mostów, idziema w równe pole, ja zbiéram nogi, alić z wielkiej radości zwijają się podemną. Sługa porywa mię na ręce i łaje: — «Aj, bida z tobą smarkaczu, ani rusz cię prowadzić, już woley cię donieść.»—I leci ze mną — leci — zupełnie kieby uciekał. Ja cieszę się, bo widzę jako pędzi w stronę lasu. Wypatruję oczy—któs pod borem stoi—aléc to nie matusia, to jakowys mężczyzna, drugi sługa stryjowski.—Piérwszy woła:—«Gdzie ona poszła?»—Tam-

ten pokazuje że «daléj!» — To mię zdziwiło, i jeszcze cós jenszego mię zdziwiło. Miał ja na sobie sukienczyne niebieską, a po wiérzchu drugi krótszy przyodziwek czerwony, złocisto ponaszywan. Otóż ten co mię to niósł, powieda: — «A jakżeś tyż ty oburdany! Po co ci tyła szatek? Zdejm, a będziesz lżej biegał.» — I ściągnął mi ten serdak, oddał go drugiemu, i poszedł ze mną w las. Włóczyli my się tam okropnie długo, ciągał mię, ciągał, a wciąż kłął, gadał żeśma zbłądzili z drogi. Przytém, zrobił się jakowyś inakszy; on co w mieście był słodziuchny kieby plaster miodu, tera ciągle na mnie poryżał. Za lasem, już pod wieczór, naleźli się jakowis ludzie z końmi. On siadł, mnie wziął, owinął płaszczem, i powiedział:—«Siedź cicho, ani się rusz, bo jak mi się ruszysz, to nie obaczysz matusi.» — A tak mię onym płaszczyskiem okręcił, co nie mogłem widziéć ani gdzie, ani z kim jedziema? To trwało przeraźliwie długo, może kilka dniów? Czasem strach mię brał okropny, chciałem się wyrwać, to zaraz on mię szczypał, albo dał mi po karku, tak że musiałem przycupnać. Czasem tyż my zsiadali, abych jeść, ale to zawdy było w nocy, i zawdy w szumiących lesiech. Czasem z onego wiecznego kołysania brał mię sen, a za ocknieniem to mi się przypominała ta jakaś inna jazda, ach, i jakoż inna! Tamój wiozła mię ta gładka, dobra pani, a tu..... Doprawdy, już ja nie wiedział co się ze mną dzieje?

.

Na trzeci, abo i czwarty dzień, już pod zachód słońca, stanęli my nad wielką rzeką; tera wiem że to była Wisła. Wedłuch brzegu, kolebała się gruba łódź, a w niej siedział kto? Mój Stryjek. — Sługa wniósł mię do łodzi. Z początku nieśmiały ja ust otworzyć. Ale pomalu, świeże powietrze roztrzeźwiło mię całkiem. Przypełznałem do Stryja, ciągnę go za płaszcz, i dziesięć razy, i sto razy się pytam: — «Stryjku! Czy my jedziem do matysi? Stryjku! Gdzie matusia?» — Stryj z początku jeno głowę odwracał — potem raz i drugi mię odepchnął — aż nakoniec jak tupnie nogą, aż się łódka zachybotowała — jak na mnie wrzaśnie: — «A dajże mi pokój nieznośny dzieciuchu! Ktoby tam szukał téj matysi? Twoja matusia niedobra, uciekła w świat z Tatarami, a ciebie precz rzuciła. Już ty mi nie gadaj o niej.» — I kiedy tak powiedział ten szkaradny człowiek, to jeszcze się podśmiewał, z czystym urągowiskiem. A mnie, kieby kto wrzątkiem oblał. Wskoczyłem na kolana onego mniemanego Stryja, małe ręce zwinąłem w pięść, i jak zacznę go tłuc po twarzy, a krzyzcć: — «A ty paskudniku! Nie gadaj nic na moją matusię, nie gadaj!» — Byłbym tłukł bez końca, jeno że od razu coś mię złapało, coś mną cisnęło niby kamieniem, zrobiło mi się przeraźliwie ciemno, przeraźliwie zimno — jeszcze raz oczy odemknąłem — obaczyłem nad sobą gwiazdę — a potem znów się zacząłem dusić, dusić — lecić na dół — i już dalej niewiem co się stało.

Na tych słowach mówca się zatrzymał.

Między słuchaczami powstał szmer coraz głośniejszy:

— I cóż to było? Co się to stało?

— Ha, co było! Ten miły Stryjek, po prostu wrzucił mię do Wisły.

— JAKO? Wrzucił? Wedle przypadku, czy namyślnie?

— Cóż patrzy na to, jakoby najumyślniej w świecie. Niech ociec powie.

Tu, mówiący obejrzał się, upatrując starego Kulisa. Stał on blisko, na schodkach od Szopy. Choć wołany, niechciał w żaden sposób iść wyżej, ale Jan Kulis gwałtem go wciągnął, i pokazując tłumowi, zawołał:

— Oto człek, przez Pana Boga samego przysłan, co mię naonczas uratował od złej śmierci, i od złych ludzi. Oto mój drugi, najmilejszy ociec.

I mówiąc to, obejmował kolana staruszka, a tłumy przyklasnęły i przywodziły temu pocziwemu hołdowi.

Stary Kulis odpychał jak mógł młodszego, mówiąc:

— Dajże pokój, chłopcze..... ja się wstydam przed tylim narodem.....

Ale jego zakłopotaniu jeszcze nieprędko miał być koniec. Starszyczna Cechowa obstąpiła mównicę, nalegając:

— No stary, powiedajcie jak to było, z kąd wyście się tam wzięli, jakoby na zamówionego?

Siwy Włóczek długo się wzdragał, czapkę kręcił w rękach. Powoli jednak, uśmiech wspomnień młodzieńczych rozjaśnił jego zwiędłe usta, i choć zawsze wpół ukryty za przybranym synem, zaczął jednak cedzić słowa poprzez jego ramię:

— Dobrodzieje som ciekawe z kąd ja się tam wzionem? A bo tyż to iście było dziwowisko, a lepiej powiedziały, wyraźniusienka wola Boska. Mię się tam ani śniło abych ja kogo miał ratować, cosik jęszzego leżało mi na sercu. Ja wtedy smalił cholewki do Kachny, téj z Józefowego młyna. Aj, było co miłować. Kiej się pokazoła we złotym staniku, w kuraliech u szyje, z twarzom kieby dwie jagodzie, to chłopaki zapuminali języka w gębie. A ja pirwszy się bojał, bo i ociec i macierz Kachny, było ludzie pyszne, dęło się kieby ropucha, i niechciało dać złotój dziewczyny jeno za Mikołaja kowala, co miał w garku siła piędzów, i na Niedzielę do kościoła chadzał we srybłnym posiasie. Ja sobie byłem bidny Włóczek, alem umiał

pokręcić wąsika, czapkę nosić na uchu, ognia skrzesać wedle grajków. Dziewczyna przylgnęła do mnie, ani dała się gaǳać o bogaczu kowalu. Tatus i matuś ją bili, a Kasia precz uciekała do mnie. Oj, niełacno było zdybać się między ciekawym narodem. Upatrzyliśma kiempkę wążką, zarosłą drzewiną i sitowiem, niedaleko młyna. Kiej zmierzch zapadał, jam sobie cichutko na tratwie przyplýwał, i bęc, kryłem się we trzcinie, a Kasia przybiegała gaikiem. Nie było tam, w oném schodzeniu się, nijakiego grzychu, niech Bóg bron! Jenośma nad sobom płakali a utyskowali jak niewinne dziecięta, i tyż Pan Bóg i Najświętsza Panienska podarzyli, a wszystko dobre nastalo od onego wieczora kiej bidny Jasiek tonul. Jam sobie siedziol w zaroslu, schowany kieby kaczką, serce mi skakalo z oczekowania na Kasię, a tu cóś szumi..... patrzę się: ciągnie bez Wisłę krypa, dwóch przewoźników na końcach, pośrodkiem kilku zbrojnych, a wszystko nieznanome. Dziwuję się—boć ja znał na palicach wszystkie ludzie od jednego i drugiego brzega. Myślę się: Ludzie podróżne. — Uni mnie przyczajonego, nijak niemogli widzić, a ja ich widziol kieby namalowanych na kościelnych okniech, bo z onej strony, od zachodu, jeszcze trocha dnia czerwieniało. Obaczył ja tedy, jako mały dzieciak skoknął na kolana mężczyzny zbrojnego, a ten go w płaszcz uwinon, rozmachał i buch do wody. W Imię Ojca i Syna..... myśliłem, co mi czart chyba figla pła-ta w ślépiach? A tu nie. Dzieciok jeszcze pokazał

głowinę z wody, jeden raz, drugi raz, mik..... mik..... i już nic. A krypa właśnie w tę-że chwilę tuż wedłuch mnie przepływała, i ja wyraziście usłyszał, jako jeden ze zbrojnych pytał się onego zabójcy: — «A gdzie się dziecko podziało?» — Tamten, roześmiał się od ucha do ucha kieby wilkołak, i powiedział: — «Jużem ci go się pozbył..... już go niéma.» — Tamten łapie się za głowę. — «O la Boga! A nuż kto widziół?» — A wilkołak powiedział: — «Głupiś! Kto miał widzić?» — Powieda. — «Ciemno — niéma żywego ducha — przewoźniki nasze. Wszakci —» powiedział — «dzieciak musiał zginąć, nie dziś to jutro, nie jutro to za kilka niedziel. — A toż» — powiedział — «lepiej schować we wodzie, niżli krew przeliwać, abo go w lochu morzyć głodem.» — Aż mnie włosy na głowie wstały. Krypa już tyż opływała kiempę, drzewa jom zakryły. Ja sobie mówię: — «Bożeż mój, dopomóż!» — Ściągam ze siebie przyodziewek, i takóż, buch do wody. Znałem ja tu dno kieby własnóm chałupę; precz mi się widziało, że tam kej dziecina wpadła, niéma tęgiego prądu, jeno mielizny som i dziury niewielachne, kej co rzucisz to grzęźnie. I Pan Jezus tak dał — dziecko utknęło na piaskach, w takowém oto zakląśnięciu, kieby mu haniół kolibkę wyciosał. Znalazłem — wyniosłem — jeszcze krypa nie dobiła do brzeza, jam już to bidastwo trzymał na kolanach, na pirsjach — i dalejże rozciierać, chuchać a przytulać. Niepróżno człek całe życie bawił się wodom, nie jednemu ja już topielca wyciągał. Ale tu bojałem się

czy nie późno — dziecina była obsiniała kieby wołowa śledziona. Westchnułem do Najświętszej Pannienki, no i zaraz oto rozwira oczęta, o Bożeż mój! Małom nie oszalał z uciechy. A tyż właśnie nadchodzi moja Kasia. Zara pyta się: — «A co to za maleństwo? A dajcież go.» — I kiej zaczena go lulać, całować, a tu dziecina rączynkami łapie jom za szyję. Bez ten cały wieczór, ani słóweczka nie gadaliśma o naszym kochaniu, a jeno wciąż o téj dziecinie. Ja powiedam: — «Trza szukać rodziców, popytać się po wsiach i miastach.» — Ale Kachna, lepska dziewczyna, wysłuchawszy mię kieby na Spowiedzi, powie: — «Ej Matysku, nie rób-ta zgiełku. Kiej dzieciak ma rodzice, toć uni same poszukajom, we własnych osobiech do was przyńdom. A mnie się precz widzi, że to musi być sirota i bogaty panicz, a takowemu złe krewniaki zajrzały dziedzictwa, no bo» — powie — «za co by jenzego ludzie mogli katować niewinnom dziecinę? A kiej zaczniecie trąbić po wsiech i mieściech, to te złe ludzie wrócom się, i jeszcze wam zapłacom za dziecko, alić na co? Abych je wziąć, i znowa topić abo morzyć. A Pan Bóg się was Matyaszu spyta o niewiniątko, bo wam je doł przez wymówiska.» — Tak mię Kachna mądrze uczyła. Ja się jeszcze wzdragał. — «A to ja bidny człek — po co mi dziecko brać na kark? A kto go będzie dopatrywał?» — Dziewka miała na wszystko odpowieć: — «Dziecko wam nie przeję zarobku, a kiej się pobierzema, to ja wam go ślicznie odchowam.» —

Ja znowu gadom: — «A co ludzie powiedzom?» — Ale moja Katarzyna nikogoj się nie bojała. — «A niech sobie» — powie — «co chcom gadajom. Ludzkie obmówisko rozbije się o Bożom Mękę, a miłosierdzie w niebie się zapisowa.» — I tak mię namówiła że wzionem dziecko doma. Od onego tyż czasu dola mi się odwróciła. Zara na drugi dzień, staremu Józefowi młyn jakoś-ta dziwno się popsował, potém wzion i sam zachorzał, szkoda po szkodzie tam włąziła, pół roka nie mineno, a te pyszne ludzie marnie zubożeli. Wonczas wyszło na wierzch łotrostwo Mikołaja kowala; już un ani pojrział na Kasie, co jaśnie pokazowało, jako chciał jój biłych piniędzów a nie jój czarnych oczków. Na to przyszło, że rodzice mnie bidakowi sami czapkowali abych ja wzion ich Kasieńkę, i wzionem ze skaczącém sercem, i żylišma szczęśliwie, a Pan Bóg nam błogosławił, juści nie na dostatkach, jeno zawdy na dziatkach. Było ich dosyc, zdrowo się chowało, a ten pirwszy między niemi, zawdy wszyckich rozweseloł, na wszyckich pracował, iście błogosławieństwo Boskie. Nie jeden raz ja potém jeszcze godał mojej Kaśce: — «Może źle co my nie szukamy zkąd un i kto taki? Może to bogaty pon, a my go zbawiamy ojcowizny.» — Ale moja zawdy mawiała: — «Bój-ta się Boga Matyaszu, a ten straszny stryjek, czy wy już o nim przepumnieli? Wszak-ci» — powie — «dziecko samo gadało jako niéma już ni oćca ni matki, ale ten stryjek zbój, ehe! jeno piśnij-ta, a odnajdzie się bez

zawodu, co złe to zawdy wraca.» — Tak po długich leciech, Kaśce jeszcze było straszno, a mnie się precz widzi, co una się jeno bojała abych jój nie zabrali Jaśka, bo takowa była do niego przywiązała kieby do własnego, a takci go szanowała kieby jakom świętość. Oj szkoda, co nie dożyła tój godziny, co nie widzi swego Jaśka w takowych wielkościach!

I znów stary zaczął popłakiwać. Młodszy go pocieszał:

— Tatulu, nie płaczcie — ona widzi — z góry na nas patrzy.

A między tłumem zaczęły się nowe okrzyki:

— Niech żyje stary Kulis, ten co wybawił naszego wybawcę!

— Niech żyje krukowe lata!

— Górą wszystkie Włóczki!

Matjasz podniósł ręce złożone:

— Niechże mi wybaczy ta moja niebożka, co ja dziś nieumiał utrzymać języka za zębami! A no cóż? Dobrodzieje kazali godać, a choציaby ten stryj zbójca i siedziół gdzie między nami, toć już dziś i wy niedacie mu zdławić naszego Jaśka?

— Oho! Niech my by go jeno mieli! — Odkrzyknął cały tłum Włóczków.

— No! — Zawołał Jan Kulis. — Dzisiaj przecie toć i jabym się już niedał zdławić. Owszem, jeśli on dziwny Stryjek tu gdzie siedzi, bardzo proszę, niech wyńdzie, niech mi tyż powie czego chciał odemnie? Ale co tu gadać? Ja go przyzowam, a on pewnie z dawności stoi przed Sądem Boskim, boć to już takowa mnogość lat od onego tonienia! Z oném téż tonieniem zaczęło się dla mnie kieby drugie życie, takie ze wszytkiém odmieniste, co mi czasem przychodziło pomyślenie: — «A może ja naprawdę utonął i umarł, i jestem już na jenszym świecie, bo wszystko było takie jensze.....»

Tu mówiący nagle przerwał, zapewne powstrzymany obecnością starego Matjasza. Zapewne przy nim niechciał skarżyć się na zmianę losu, ale sama ta przerwa, już ciszą swą była wymowna, i wielu z obecnych dokończyło jego myśli różnemi wykrzyknikami:

— Oj, prawdać to! Z kamiennych zamków spaść na łeb do chałupy! Od szarłatnych sukniów do łachmanów! Tam wszyćcy mu służyli, a tu cierp i służ. Możeć to jeszcze ciężej takowemu, niżli onym co porodzeni w chałupiech?

— Aleć tyż i ja zrobił się jenszy. — Zawołał Włóczek. — Póka Pan Bóg trocha bije, to człek piszczy — a kiej mocno trzaśnie to i stuli pysk. — Ja w onój głębiźnie Wiślanój ostawił wszytkie moje krnąbrności. Na co mi się zdały? Coraz było gorzej. Więc ja przestał się buntować, przestał się złościć na ludzie, i ten Stryjek w łódce to był ostatni człowiek na którego ja podniósł rękę. Zara tyż Pan Bóg nagroził onę pokorę: dał mi nowe rodzice, nowe rodzeństwo, a wszytko to mnie umiłowowało niewiedzieć za co, i ostatnim kawałkiem chleba dzieliło się ze mną. W początku, niełacno mi było zczepić moje dwa żywota. Kiej mię ociec brali ze drzewem na Wisłę, to ja precz upatrował po brzegach, czy nie dojrzę owego miasta gdzie mieszkał Wujek, abo téj góry z wieżastym zamkiem? Alić nigdzie, ani takowego miasta, ani takowej góry. Nieraz tyż, kiej przechodził kole mnie giermek o srebrzastych ostrogach, abo jachali rycerzowie o jasnych zbrojach i wysokich wiechach, to brała mię krwawa zajzdrosć, czemu to ja tak niemogę?..... Ale powolu, powolu, serce się spokoilo, a wspominki bladły, bladły, gdzieś uciekały niby za obłoki, jeno twarz matki zawdy stojąla przedemną żywiusieńka; niech ja wszedł do kościoła i klęknął przed Figurą Matki Przenajświętszej, to była w całkości ona, z perłami czy gwiazdami na głowie. W dawnych czasiech, to mnie głupiemu pachółkowi zawdy się wydawało że matka jeszcze

powróci z niewoley, dzień i nocem się o to modlił. Ale w dłuższych lecjach przyszło zrozumienie, i.... wielgie zasmucenie. Wszystko mi pokazywało co nikt a nikt ztamtąd nie wraca, to tyżem przestał się tak modlić, a tylko prosiłem już Pana Boga o jedną, jedniusięnką rzecz, abych mi dał pomścić się za matczyną krzywdeę na Tatarzech, takim abo siakim sposobem, choציaby na jednym Tatarzynie. I raz, już, już ja myślił co mię Pan Bóg wysłucha.... Dawno to już temu, kiej oni poganie plundrowali Sendomirz....

— A! — Zawołało wiele głosów. — Temu lat dwadzieście? Wiemy! Wiemy! Ktoby nie pumniał? Wszakci to i w Krakowie my ich mieli?

— No, i pomyślcie sobie, mnie tu w onczas jak na złość nie było! Ociec mię posłali z drzewem okrutnie daleko —zawieruszył ja się aż kole Gdońska —wracam.... ludzie mówią:— «Tatarowie byli.... i już ich nięma!» — Dalibóg, mało mi się nie zmarło z żałości, że i ta nędzna prośba na nic u Boga zesła. Aż oto Pan Jezus dziś pokazał, jako co się odwlecze, to nie uciecze — niewysłuchał temu lat dwadzieście, to wysłuchał dzisia. No, już teraz chyba nikt nie będzie się dziwował żem ja niemógł wytrzymać, a skoczył na Tatary. Dzięki Ci niech będą Panie! Matka kruszynę pomszczona —ziemia Krakowska wolna — teraz już moje poranione serce powinno się przygoić, kieby to wszystko co przeszło, było jeno snem....

— A bo téż kto wie? Może to wszystko wam się po prostu w dzieciństwie przyśniło? — Zapytał jeden z Podsędków, oparty o mównicę, człowiek żółty z uśmiechem sceptyka. (Sceptycy istnieli we wszystkich wiekach.)

Słowa jego ubodły Włóczka. Zarumienił się ze zgrozy, obu rękami uchwycił poręcz ganeczku, i wykrzyknął:

— O nie! Wielgie miłowanie przyśnić się nie może, a ja tako dziś jeszcze miłuję tę matkę, jakoby się wczora z nią rozłączył!

Pamiętam..... ach pamiętam sądny dzień onego rozłączenia.....

Był jakowys namiot czarny kieby z kiru..... w koło nas różne dziwne ludzie..... matka stojała przed namiotem i trzymała mię na ręku..... aż tu przystąpił do nas jakowys człek okropny, cały we złotych łańcuchach i błyskających drogościach, a z twarzą właśnie bych ten zły pies..... wyciągnął rękę, o tak..... i niewiem dla czego, mnie ją położył na głowie. Jeszcze tu, czuję tę rękę..... cięży mi kieby kamień.....—Jam się zląkł, zacząłem płakać, do matki się tulić,— a tu ktoś przyskoczył, porwał mię, wniósł do czarnego namiotu..... Usłyszałem jeno jak matusia krzyknęła, głosem takowym rozdzié-

rającym, że jeszcze dzisiaj kiedy pomnę, to jakoby ze mnie darł pasy..... Krzyknęła: «Jasiu!.....»

I już jój nigdy nie widziałem.

W tój chwili, od strony kościółka Świętego Wojciecha, odezwał się głos kobiety, rozdziérający:

— Jasiu!

Włóczek zbladł jak ścianá — oburącz chwycił się za czoło.

— Co to jest? — Krzyknął. — Boże mój! To ten sam głos! To głos mojej matki! Czy to cud? Gdzie ona?

W tój chwili drzwiczki od Celki Ojca Pawła rozwarły się z trzaskiem — Elżbieta wybiegła z podniesionemi rękami, z bijącemi piersiami, wołając:

— Jasiu! To ja twoja matka! Twoja matunia! Jasiu! Jestem! Jestem!

Jaś, pędem błyskawicy znalazł się na dole — ale tu stracił ją z oczu — natłok ich rozdzielał. Włóczek chciał się przebić, gdy Podśódek chwycił go za rękę, i zaklinał:

— Człowieku, co ty robisz? Tobie się wydawało — a toć czyste szaleństwo!

— Nie! Nie! — Krzyczał Włóczek. — To nie może się wydawać! Takowego głosu nikt jenszy niema na świecie, nikt! Puśćcie mię..... Ona tu gdzieś jest?

I rozpychał tłum.

Ale tłum otoczył go z przerażeniem, wołając:

— Uciekaj! To trędowata!.....

— A żeby miała i sto trądów, puśćcie mię..... wszakci to moja matka?

I przebił się przez ciżbę — spojrzał w twarz Elżbiecie — padł u jój kolan — objął jój nogi rękami — i tak szlochał że głowa jego tłukła się o ziemię.

Elżbieta, pochylona ku niemu, wołała:

— Jasiu! Moje dziecko! Moje najdroższe dziecko!..... Wstań-że, niechże cię zobaczę! Niechże i ja cię ucałuję!.....

Wstał — rzucił się w jój objęcia — ściskali się długo — długo — zapomniawszy o tłumie — zapomniawszy o całym świecie.

Nagle, Elżbieta wzdrygnęła się, jakby tknięta wyrzutem sumienia.

--- Dziecko moje, dość już ze mną..... tu jest przecie i druga twoja matka, ta co cię uratowała

z niewoli. Tój dziękuj! Ach, tyś jój winien więcój niżli życie, przez nią jesteś wolen i Chrześcijanin!

To mówiąc, zwróciła się ku Ludmile, która stała za nią, ale już z twarzą zasłoniętą. Na progu Celki, ostrzeżona ostatniem jakimś poczuciem kobiecości, Ludmiła ściągnęła z szyi chustę, i przedarłszy ją na pół, opasała twarz biedną, tak że tylko gwiazdziste oczy świeciły.

Jaś, nierozumiejąc jeszcze ani kogo widzi, ani komu dziękuje, padł do jój nóg i całował jój szaty,—a ona mówiła ze łzami w głosie:

— Boże mój! To ten mały Jaś? To ja ciebie wiozłam na tym koniu z taką długą szyją!

Nagle, obejrzała się w koło, chwyciła Elżbietę za rękę, i rzekła:

— Patrz, to Cela Ojca Pawła! Pamiętasz? —

«A gdy wrócicie, odnajdziecie skarb utracony.» —

— Prawda..... — Rzekła Elżbieta. — Kłękniemy i dziękujmy — Bogu — Matce Jego — Świętym Jego — Prorokom — Aniołom — Archaniołom — Wszystkim!

I obie ukłękły, a za niemi tłum cały.

.

.
.

Tak się rozegrało «Misterium» dnia onego,--
nie to, co było napisane przez ludzi, — ale to, któ-
re Opatrzność wyryła w xiędze swoich niepoję-
tych wyroków.

Święto narodowe.

Chwile wielkiego zapалу czynią ludzi lepszemi. Pokazała to chwila obecna.

Tłumy, które na widok trędowatych rozskoczyły się ogromnym kołem, teraz poczęły napływać bliżej, coraz bliżej, ażeby nasycić oczy rozczulającym widokiem tego przywitania, i coś doślyszć z rozmowy między matką i synem.

A kiedy na zapytanie Włóczka:

— No, i takż tedy wy powracacie aż ztamtąd?

Niewiasty odpowiedziały:

— Tak, wracamy z niewoli Tatarskiej.

Słowa te, magiczną siłą przyciągnęły serca. Wszyscy rzucili się ku niewiastom, powtarzając ciągle ów jeden wykrzyknik, co każdemu wówczas cisnął się na usta:

— Aleć wy chyba cudem jakowym wróciły, boć ztamtąd niktoj nie wraca?

Elżbieta obnażyła nieco ręce, i pokazując je tłumowi, rzekła:

— Oto cud co nas tu przyprowadził. Dla trędowatych wszystkie drogi wolne. Żaden człowiek nie byłby wynalazł sposobu, a Pan Bóg wynalazł. Prawdać że my sporo wycierpiały, ale warto było i dziesięć razy tyle cierpieć, byle doczekać takowego dnia. Ludko, nieprawdaż?

Ludka niemogła odpowiedzieć. Ta silna, ta harda Ludmiła, teraz we łzach topniejąca, pod swojemi chustami zanosila się od złotego płaczu. Ze wszystkich trojga, kto wie czy ona nie była najszczęśliwszą? Czuła za wszystko troje.

Jan podchwycił owo: «Nieprawdaż Ludko?» Uderzył się w czoło i zawołał:

— Ludka? Tak, ona się nazywała Ludka..... to te gładziuchne imię com go ja sobie nigdy niemógł przypomnąć..... Ludko, jakaś ty dla mnie była dobra!

— A dopióroż dla mnie! — Zawołała Elżbieta.

I obie niewiasty, wrywając sobie słowa, opowiadały w krótkich ale serdecznych wykrzyknikach, swoje wzajemne poświęcenia.

Wszyscy im się dziwili z rodzajem nabożeństwa, grube łzy we wszystkich oczach stały, a Jaś to jednę to drugiej przypadał do kolan.

Jednakże, naraz, najniespodzianiej, Elżbieta odtrąciła Jasia.

— O ja nieszczęśliwa, co ja też robię? Szczęście mię zaślepia..... Zapomniałam..... Jasiu, odsuń się..... Jasiu, nie tak blisko..... Ja niechcę cię całować..... Niechcę cię dotykać.....

— Ale ja chcę!—Wykrzyknął.—Jakto? Miałby ja tyle roków czekać na was Matusiu, abych teraz wam się jeno zdaleka przypatrować? Ja się téj choroby nijak nie boję, a kto nie bójny ten i nie dostanie. No, a niechby ja i dostał, to jeszcze lepiej; chocia kruszynę by ja poznał co to Matuchna i Ciotuchna cierpiały.

I korzystając ze swojej mężkiej siły, przemocą porwał matkę w objęcia, całował jój posiekane ręce i wypłakane oczy,—to znowu chwycił szatę Ludmiły i do ust ją przyciskał, — a na całym Rynku ludzie zamilkli ze wzruszenia, bo każda rzecz szlachetna ma dar porywania tłumów.

Co było dziwnego i niemal cudownego, to że Włóczek ani przez chwilę nie wątpił o tożsamości téj matki, chociaż ją niegdyś widział w pełni wdzieków i w perłach, a dziś w odzieniu żebraczem i śmiertelnie zmienioną. Tak, ale głos jój nic się nie odmienił, a ten głos co mu przez czter-

dzieści lat dzwonił w pamięci, któremu podobnego nigdzie niemógł znaleźć, starczył mu za dowód niezbyty, niemogący omylić.

A przytém, był i drugi głos niemniej przekonujący, święty głos miłości synowskiej, który niezagłuszalnym wykrzykiem przeczucia, wołał w jego sercu:

— To ona!

Co chwila téż, w ich rwanój, gwałtownój rozmowie, przybywały nowe probierze przeszłości; to jakieś imię wspólnie znane, to jakaś drobna okoliczność im tylko wiadoma; wszystko to, coraz silniej potwierdzało prawdę pierwszego poznania.

Jednak nie wszyscy podzielali tę pewność Jasia. Między tysiącami, wielu było podobnych do sceptycznego Podsędka, wielu kręciło głową, mówiąc:

— To wszystko bardzo piękne, jeno gdzie tu dowód że to som te same białogłowy? Kto widział abych żywy człek wydostał się ode Tatarów?

Inni znów przekonywali:

— E, wždy to musi być prawdziwa macierz, fałszywa bych tak nie szalała z radości. Wszakci to i Król Salomon poznał szczerą matkę wedłuch miłowania.

— Cicho, cicho..... patrzajta, co to tam nowego?

Istotnie, trójca zwracająca wszystkie oczy, przybrała nową postać. Elżbieta dostrzegła głowę Matjasza wyglądającą z po-nad ciżby. Wtedy padła na kolana, wyciągnęła do niego ręce, i wołała:

— Zaczny człowieku, ty coś uratował moje dziecko! Ach, gdyby nie ten trąd nieszczęsny, jaby się na klęczkach zawlekła do ciebie, całowała twoje ręce i nogi. Ale tak, nieśmiem..... Bóg widzi że nieśmiem..... Zdaleka tylko posyłam ci wszystkie, wszystkie błogosławieństwa macierzyńskie!

Matjasz, miotany kolejno, to najlepszą chęcią, to znów obawą trądu, raz naprzód występował, drugi raz cofał kroku, i ciągle czapką kłaniając się aż do ziemi, powtarzał:

— A moja dobrodziko, niéma za co..... ja taki szczęśliw.....

I sam niewiedział co ma dalej mówić; nawał wypadków zbił go z toru. Ale przypatrując się w milczeniu, nagle przetarł oczy i zawołał:

— A patrzajta no ludzie, co my prześlepi! A dyć to te same niewiasty co z wózka krzyczały jako Tatarzy idom!

— Prawda! Prawda!—Zawołano do koła. —

Gdzie my mieli oczy? A wszakci to nasze wy-
bawicielki?

Wtedy pękła ostatnia zaporą. Jeżeli uro-
czystość Wielkanocna już łączyła zdrowych
z choremi, cóż dopiero taka cudowna chwila!
W uniesieniu wdzięczności, tłum zapomniał
o niebezpieczeństwie zarazy, i rzucił się ku nie-
wiastom jakby ku monarchiniom. Nowy zawrót
ogarnął wszystkie głowy — Jasia gwałtem wsad-
zono znowu na Tatarskiego rumaka, dla nie-
wiiast sprowadzono jakiś wózek, przykryto go
kobiercami, uwito nad nim baldachin z zieleni,
lud zaprzągł się do ukwieconego dyszla — nawet
dla Matjasza, w Rajcowskich stajniach znalazł
się piękny wierzchowiec, wprawdzie bez turku-
sów u siodła, ale z karmazynowym czapra-
kiem — znowu muzyki huknęły — znowu chorą-
gwie się podniosły — i ten ogromny tryumfalny
pochód zaczął przeciągać już nietylko po Ryn-
ku, ale po wszystkich a wszystkich ulicach
miasta.

Wielu on ludziom sprawił niesłychaną a nie-
spodzianą radość, bo mnóstwo było takich co
niemogli docisnąć się do Rynku; ci teraz na dal-
szych ulicach, zabiegali drogę zwycięzcy. Wielu
nawet z owych ciężko rannych i umiérających,

których już poroznoszono po domach, teraz krępowano się do krat w okienkach, lub kazało się kłaść na progu sieni, aby raz jeszcze zobaczyć «Oswobodziciela.»

— Niech żyje nasz wybawca! Nasz złoty Jaśko!

— Niech żyjom branki wyratowane, coć i nas wyratowały!

— Niech żyje stary Matyjasz!

— Dalej koniku pogański, jachaj ty ładnie, bo niesiesz tego Krześcijanina!

Takie krzyki brzmiały od końca do końca miasta. Niektórzy nawet, na poczekaniu składali już i śpiewali piosenki:

O koniku Tatarczyku —
I o Włóczku waleczniku —
I o matce i o synku,
Co potkali się na Rynku.

Inni znów pośpiewywali na inakszy sposób:

Hajda—hajda—jedzie Włóczek,
Cò Tatarom sprawił huczek.

Haj go weźcie, i obnieście,
Po Krakowie sławném mieście.

Niewiasty, siedząc wysoko na kwiecistym wózku, w pół ukryte pod kotarą z liści, spoglądały po sobie, prawie przerażone wielkością swego szczęścia, pytając się wzajemnie:

— Ktoby to był myślał, że my tak będziemy kiedyś wjeżdżały do Krakowa?

A Jaś, przodem prowadzony, ciągle się ku nim oglądał, i złotą buławą od ust im się kłaniał.

Kiedy pochód z kolei zbliżył się do klasztoru Norbertanek, serca jeszcze żywiej uderzyły. Tu przed kilku godzinami wrzało starcie, a przynajmniej początek starcia, bo właściwa bitwa zaszła dalej nieco, już na polach poza przedmieściowych, gdzie największa liczba Tatarów, odparta od świętych murów, chciała raz jeszcze popробować szczęścia, i po niepomysłnej walce, pierzchła w ostatecznym rozgromie. Trupów zatem tutaj zaledwie kilka się znalazło, a i te, dzięki staraniom Zakonnicy, zostały już zebrane i złożone pod ich murkiem cmentarnym. Ale niebrakło innych świadectw okropnej zamieszki; cały plac przedklasztorny był skopany, jakby najszaleńsza zawierucha po nim przeszła,

zasiony strzępami szat i odłamami broni; gdzie-gdzie szerokie bryzgi krwi czarniawej, łączyły się w krzepnące strugi. Sam klasztor także przedstawiał wymowne ślady szturmowania; mury w kilku miejscach nadrażbane — furta wyłamana, ziejąca ciemną jamą — jej drzwi żelazne pogięte, na jednym zawiasie zwisłe — wszystko pokazywało jak napastnicy już byli daleko zaszli, jak bliską była zguba świętych Panien.

To też serca ich pałały niewymowną wdzięcznością dla mieszczan co je tak niespodzianie obronili, i kiedy wieść rozniosła że Wódz obrońców nadjeżdża, wszystkie stanęły w owęj wyłamanej furcie, z chlebem i solą na srebrnej tacy, z niekłamanymi słowami dziękczynienia i uwielbienia na ustach.

Klauzura zakonna była w trzynastym wieku nierównie lżejsza niż dzisiaj. Po klasztorach przyjmowano podróżnych, wyprawiano widowiska i zebrania; a jeszcze w tak wyjątkowej okoliczności jak dzisiejsza, któżby się mógł był dziwić że Mniszki wychodzą naprzeciw swego wybawiciela, na ten sam próg, co przez niego został ocalony?

Sędziwa Matka Scholastyka, Przeorysza, podnosząc ku niebu ręce, wiejące długimi skrzydłami białego habitu, zawołała:

— A bądź-że powitan w tym domu niebie-

skiego wesela, co bez ciebie byłby już domem sromu i bezbożności! Ongi, nasze poprzedzicielki modlące się w tych ścieniach, musiały dobrze się modlić, kiedy wyprosiły tyle cudów na obronę tego świętego miejsca! Oto lat temu dwadzieście, sama ziemia rozstała się pod komórką Siostry Bronisławy, abych świątobliwą panniekę wyrwać z rąku pogańskich. Dziś dla nas niegodnych, Pan Bóg także zrobił cud prawdziwy, kiedy ludzie ciche, bawiące się jako Święty Józef ciesiołką, lub jako Piotr Święty sieciami, przemienia naraz w Machabeusze. Dziwny wodzu! Jeśliś ty jest — jako towarzysz Tobiasza — ukrytym aniołem, rozwiń skrzydła, abych my cię uczciły wedłuch twojej jasności! A jeśliś jest człowiekiem, bądź-że jeszcze po dwakroć uczczon, bo człowiekowi trudniejsza rzecz niż aniołowi, ludzie zbawiać.

Słowa Matki Scholastyki trafiły wszystkim do serca. Nawet uczeni Prałaci kręcili głową, mówiąc:

— Ho, ho! To jak Debora, kiedy witała zwyciężkiego Baraka.

Tymczasem orszak Mniszek, co w ciemnościach korytarza tłoczył się za Przełożoną jak stado białych owieczek, zaśpiewał chórem pieśń,

wówczas jeszcze bardzo nową: «Te Deum laudamus!»

Tryumfator zesiadłszy z konia, perłową czapką kłaniał się do kolan Matki Scholastyki, i haftowanym rękawem łyzy ocięrał, a gdy śpiew zwycięzki zakończono, Przeorysza wzięła z rąk młodszej Siostry tacę z chlebem i solą, i podała mu ją mówiąc:

— Bierzcie—a jeśli łaska, weńdźcie pod ten dach, co bez waszój mocy, stałby już w płomieniach—i siadźcie do tego stoła, przy którym, bez waszój mocy, jużby ucztował Sennacheryb.

Pomysł Panien Norbertanek, aby wybawców zaprosić do stołu, był prawdziwie Polskim, i napiętnowanym kobiecą trafnością, bo tego już tylko brakowało zwycięzcom. A brakowało nie pomału; mieli podostatkiem wszystkiego czém się duch zasila, pieśni, hołdów, i kwiatów, — ale o zasiłku dla ciała dotąd nikt nie pomyślał a raczej nikt nie śmiał wspomnieć, chociaż głód porządnie targał wszystkie wnętrzości, bo słońce już zachodziło, a Kraków był jeszcze bez obiadu. Wojownicy, mocno strudzeni piérwszym w życiu bojem, z prawdziwą uciechą przyjęli zaprosiny. Jednak ucztą została jeszcze cokolwiek opóźnioną, a to z powodu naszych branek.

Matka Scholastyka, dowiedziawszy się że Wódz odnalazł cudownie swoją matkę, podbiegła do zielonego wózka, i prosiła niewiasty, ażeby obok tryumfatora zasiadły w Refektarzu do wieczerzy. Ale Elżbieta i Ludmiła upornie odmawiały. Poczucie ich kalectwa płoszyło je coraz bardziej w tym tłumie strojnym i radosnym. Dobrze one wiedziały że zdrowi nigdy nie jadają z trędowatemi; drżały aby ich sąsiedztwo nie obrzydziło pokarmów biesiadnikom.

— Darujcie Matko..... — Mówiły pokornie.— Po co mamy psować zabawę? Już jeżeli koniecznie chcecie nam dać poczęstunek, to gdzieś w kąciku, tak aby my wszystko mogły widzieć, ale z jakowéjs' osobności.

W natłoku, gdzieby i cienka iglica do ziemi nie doleciała, niełatwo było zaprawdę o miejsce odosobnione. Jednak Matka Scholastyka, obejrzawszy się swoim gospodarskim okiem, wpadła na pomysł piękny, i który wówczas nikogo nie gorszył; do kościoła Świętego Augustyna prowadziło kilka schodków kamiennych; na tych schodkach, pod zamkniętymi drzwiami świątyni, Przełożona kazała postawić ławkę i stoliczek. Elżbieta i Ludmiła znów zaczęły się drożyć, ale Mniszki gwałtem je ściągnęły z wózka, i posadziły na ławce. Ztamtąd nasze nie-

wiasty mogły wszystko widzieć, a same były omroczone cieniem łukowatej wnęki, która okalała drzwi kościelne.

Jan, ujrawszy je tam usadowione, w żaden sposób nie chciał iść do sali klasztornej; wbiegł na schodki, siadł między matką a Ludmiłą, i tak ów stoliczek, odosobniony i wyniesiony jak stoły monarsze, zamiast być ostatnim, stał się nagle stołem «honorowym», i wyszło na jaw słowo Boże: «Kto się poniża ten będzie wywyższon.»

Wojsko mieszczańskie widząc tam swego Wodza, niechciało go za nic w świecie odstąpić. W Refektarzu więc zasiadło tylko wyższe Duchowieństwo, bogatsi kupcy, i kilku Rajców, którzy na miejscu przeznaczoném dla Jana posadzili starego Matjasza, cała zaś armja Majstrów i Czeladzi postanowiła ucztować pod niebem, w około klasztoru. Z domów sąsiednich powynoszono stoły, inne tworzyły się na prędcie z desek opartych o zydle i beczki. Zakonne gospodie rozdawały wszelkie a wszelkie zapasy, jakie tylko mogły wynaleźć w spiżarniach, piwnicach i apteczkach. Ale wszystko to ginęło jak w otchłani. Wtedy sięgnęły do sklepionego Skarbczyka, gdzie leżały ich ciężko uciulane fundusze, ze skrzyń i z pod serca wyjęły wszystko, i rozesłały ludzi aby za te pieniądze na-

skupowali piwa, miodu, mięsa i chleba, na ile tylko starczy. Sobie nie zostawiły ni lichego denarka, nie pomyślały że jutro nie będzie za co śniadać; ktoby myślał o jutrze, kiedy dziś przyjmuje takich gości?

Do wielkich stołów rozsyłały jadło przez obce ręce, ale do małego stoliczka wszystko same niosły. W szpitalnych trudach obyte z wszelką nędzą, nie lękały się trędowatych, a niewieście ich serce odgadło, że niczém bardziej nie ucieszą Wodza, jak troskliwością dla jego matki i jej towarzyszki. Więc tam postawiły najpiękniejsze misy, trzy srebrne kubki, (pożyczone od jakiegoś Kanonika,) tam znosiły wybór przysmaków, pierniczki własnej roboty, placuszek migdałowy, maliniak sławnie wyrabiany w klasztorze.

Matka Scholastyka, pokrótce wypytawszy się branek o ich dzieje, łzy uczuła w dawno wyschłych oczach, i wołała na Mniszki:

— Chodźcie-no tu Siostry, patrzajcie i uczcie się pokory. Niektóra z nas myślała sobie w sercu, jakobych nasze posty i biczowania były wielką męką, a czém to my wszystkie naprzeciw onych niewiast, co pościły czterdzieści lat w pustyni, co znosiły pogańskie bicze? O zaprawdę, wraca wiek męczenników!

Podczas kiedy Mniszki przyglądały się bran-

kom oczami okrągłemi od nabożnego postrachu, ruch wieczerzowy szerzył się coraz dalej, bo nietylko ci co wzięli udział w bitwie, ale i wszyscy inni łaknęli pokrzepienia. Panny Norbertanki, mimo wszelkich cudów gościnności, niemożły przecie nakarmić całego miasta: więc kobiety rozbiegły się do mieszkań, zkąd w kobiałkach i garczkach wносиły jedzenie dla dziatwy i dla samych siebie. Zaraz téż, jakby na zawołanie, zjawiły się krocie przekupniów, z piwem, z chlebem, kiełbasami; wszystko rozrywano w mgnieniu oka. Mieszczanie uniesieni hojnością, częstowali wygłodniałe chłopstwo, — bogaci częstowali ubogich. — Nikt niechciał wieczerzać w swoim domu, roztasowywano się na progach, na ulicach, jedząc szybko, najczęściej stojący, jako prawdziwą Paschę wyzwolenia.

Nasza kochana trójka, w dniu tym królująca, korzystała z ogólnego zajęcia, aby na prędce zamieniać owe tysiączne, gwałtowne zwierzchnia, pod których natłokiem serce już omal nie pękało. Nie długo jednak dano im się cieszyć tą swobodą. Po zaspokojeniu najpiérwszego głodu, tłumy zaczęły oblegać schodki kościelne, i zasypywać branki pytaniami.

Trudną pracę odpowiadania tylu ciekawym, podejmować musiała sama tylko Ludmiła. Elżbieta już niemogła rozmawiać z nikim oprócz z synem; wpatrywała się w niego bez końca,

chciała w męzkim tém obliczu odnaléźć, rys po rysie, drobną twarzyczkę swego Jasia.

Nagle, oczy jój, z oblicza przeniosły się na ubranie syna, i krążyły po niém tak upornie, tak chciwie, że Jan zapytał:

— Co to Matusiu? Czy was tak dziwują te złotoście pogańskie? Wszakci wy musieli się takowych tam dosyć napatrzeć?

— Nie..... To nie to..... — Rzekła Elżbieta, i zamilkła powstrzymana jakąś niepewnością. Rumieniła się i bladła na przemiany, jak osoba która odkrywa cóś tak nadzwyczajnego, że temu odkryciu długo niechce uwierzyć. Musiało być wstrząsającym wzruszenie, co na tę twarz niemłodą i schorowaną, mogło jeszcze wywołać rumieniec.

Nakoniec chwyciła rękę Ludmiły i szepnęła:

— Patrz Ludko..... to zupełnie jakby moja robota? Może mnie się tak w oczach miesza, ale jednak rzecz dziwna, to jakby jedna z onych sukien co je szyłam dla Kałgi?

Ludmiła przyjrawszy się haftom, zawołała:

— Prawda! Zupełnie takież same. Czyby je kto wyszywał na podobność twoich? Czy téż?.....

Tu niewiasty spojrzały po sobie.

— Pokaż rękaw..... rękaw..... — Mówiła szybko matka, i chwyciwszy bogato naszyty narożnik rękawa, krzyknęła:

— Jest! Patrz Jasiu, oto tu, maczkowemi ściegami stoi wypisano:

Swanthy Boze bron Cracova.

— Dawaj drugi rękaw..... O, i tu jest moje wyszycie, tu znowu o tobie:

Marya y Angely szłścheszycze Jaszycza.

To moja robota! Jam na każdój sukni wypisowała niciami jakowąś modlitwę, i Pan Bóg mię wysłuchał, i jak jeszcze! Oto Kraków obronion! I przez kogo obronion? Przez mojego Jasia! Ach, czyż ja mogła się spodziać, tam w jurcie dymnej, na mrozie i głodzie, gdym robiła te ściegi łzami polewane, że szyję suknię dla mojego syna? I jeszcze jaką? Suknię zwycięztwa!....

Niepiśmienny Włóczek patrzył z uśmiechem pełném podziwienia, i prawdę mówiąc, niemógł jeszcze dobrze zrozumieć o czém to jego matka mówi? Ta, natarczywie zaczęła znów pytać:

— Więc te suknie zdarliście z przywódcy Tatarów?

— A no, tak.

— I jakże się ten przywódca nazywał?

— Tego Matusiu niewiem.

— Jak się nazywał przywódca Tatarów?—
Pytały sto razy niewiasty, zwracając się do
wszystkich obecnych kolejno.

Ale nikt nieumiał im odpowiedzieć.

Aż Ludmiła klasnęła w ręce, i zawołała:

— Już wiem co trzeba zrobić. Zapytajmy
się jeńców. Oni nam powiedzą, czy ich dowódca
to był sam Kałga, czy téż jaki inny co jego
szaty posiadał?

Zaczęto szukać niewolników, pytać się gdzie
ich zostawiono? W okolicach klasztoru nikt ich
niemógł znaleźć. Dopiero kiedy pytanie doszło
do gromadki wesołych Czeladników, ci wybu-
chnęli śmiechem i odrzekli:

— Gdzie som? Aha, gdzie! Ani by wy zga-
dli. Tamój gdzie dla nich sprawiedliwe miejsce
w piekle.

— Jakto? Czy wy ich zabili?

— Ale zkąd znowu? Niełacno było pilno-
wać ich w natłoku; takowe ptaszki trza za-
wdy trzymać w klatce. My je zawlekli do
Szopy, do téj przegródki z płumykami, co to
ma być *Piekło*. Tera cały Rynek cieszy się
oném widowiskiem. Ha ha ha! Już za życia sie-
dzom w piekle!

— Wszystko to dobrze. — Odrzekł ktoś ze Starszych. — Aleć tera tu są potrzebni. Wódz chce z nimi pogadać.

Wielkiem to było szczęściem dla jeńców, że «Wódz chciał z nimi pogadać», bo śmieszna owa klatka, łatwo mogła stać się dla nich prawdziwem, tragicznem piekłem. Takie widowiska bywają niebezpieczne. Z początku tylko przedrwiwano ich stroje, kose oczy i zaplatane włosy, śmiano się z bezwładności «czarowników.» Ale powoli widok ten rozbudzał w sercach tysięcy iskier przysypanych wieloletnim popiołem.

Pierwsza, owa podżyła niewiasta, otoczona wnukami, podeszła pod Szopę, i wołała:

— Co wy zrobili z moją nieszczęsną Ewuchną? Ta cudna dziewczka była warta królewicza, nie was podłe pogany! Co wy z nią zrobili? Gadjacie!

Wnet sto głosów zarzuciło ich pytaniami:

— A moje dzieci, gdzie wy podieni, łotry?

— A mój nieszczęsny Bolko czy jeszcze żyw u was?

Inne głosy dorzucały krwawe żarty:

— A może wy głodni? Możeć by wam podać pieczone dzieciątko, bo wy to szelmy lubicie?

— A może by was ukapać w kociołku ze wrzątkiem? Wy pono takóž gotujecie Krześcijany?

Jeńcy, nie rozumiejąc pytań, oczywiście nie mogli odpowiadać na nie, ciskali tylko tłumowi spojrzenia pełne wzdargy i wściekłości, pod któremi krwawy żal tłumu jeszcze bardziej się roznamiętniał; jak wrzątek owych kotłów, tak zemsta zaczęła kipić w sercach; już coraz więcej ludzi przyskakiwało do Szopy wygrażając pięściami; już kilku darło się na schodki, z kądem Xięża spychali ich z fukaniem.

W samą porę zjawiała się odsiecz, złożona z owęj wesołej Czeladzi, idącej pod przywództwem kilku wspaniałych Rajców.

— Hej, niewolników! Dawać tu! Do Wodz!—Krzyknęli.

Wnet jeńców ściągnięto z teatrum, a Duchowieństwo i Starszyzna stanęły po stronach, w obawie aby ciżba nie rozszarpała prowadzonych. Jednak obawa była próżna; u ludzi prostych jak u dzieci, wrażenia są gwałtowne lecz szybko przemienne; imię Wodz magicznie podziałało; nad zawziętością wzięła górę ciekawość, i ludzie wsadziwszy kułaki w kieszenie, zaczęli lecić hurmem, ażeby się dowiedzieć «co też to Wódz zrobi z onemi dyablami?»

Tatarzy, znalazłszy się przed obliczem Krakowskiego Wodza, powzięli przekonanie że już przyszła ich ostatnia godzina, dumnie podnieśli głowę, i z zaciśniętymi zębami czekali wyroku.

Ale zamiast katów, Elżbieta i Ludmiła zbiegły ze stopni kościoła, i przemówiły do nich, o zdumienie! w języku Tatarskim.

Dźwięk mowy ojczystej poruszył jeńców do głębi jestestwa. Rysy ich, ztężale pod wysileniem woli, w mgnieniu oka odtajały, zmiękły, i coś nakształt uśmiechu rozpromieniło ich surowe twarze.

— Jak się wasz dowódca nazywał? Przez imię Wielkiego Tangri zaklinamy was, powiedzcie tylko imię tego dowódcy!

Tatarzy odrzekli jednogłośnie:

— Kałga.

Ludmiła jeszcze chciała się upewnić.

— Dobrze, Kałga..... ale jak z rodu? Syn Toktysza i Arguny?

— Tak, właśnie, syn Toktysza i Arguny. Zkąd wy to wiecie? Zkąd umiecie mówić po naszymu?—Pytali jeńcy w osłupieniu.

Ludność Krakowa także osłupiała widząc że niewiasty rozumieją Tatarów, i są nawzajem od nich rozumiane, czego nikt jeszcze w Polsce nie mógł naówczas dokazać. Ten dowód rozproszył ostatnie wątpliwości, i sam nawet ów szyderczy Podsędek zaczął wierzyć, że chyba już te branżki na prawdę wracają z jassyru?

One tymczasem chciały dobrze wybadać, jakim sposobem Kałga znalazł się aż w Krakowie? Jeńcy długo milczeli, czy z przyrodzonego Tatarom zwyczaju «trzymania języka za zębami», czy z istotnej nieświadomości, w jakiej prosty żołnierz zwykle pozostaje względem zamiarów i myśli zwierzchnika.

Nakoniec, jeden z nich, suciiej ubrany — zapewne powiernik dowódcy — wyznał że Kałga od lat wielu marzył o zdobyciu Krakowa, o którym nianka jego cuda mu rozpowiadała, marzył zaś nie bez powodu, niegdyś bowiem w onym Krakowie dziad jego zginął straszną śmiercią, która to śmierć wołała o straszną pomstę u potomka. W tym celu, po niemałych usiłowaniach, z pozwoleniem Wielkiego Chaana, przesiedlił się nad morze Czarne, i wszedł w służbę Chana Nogaja. Tego, przez długi czas namawiał na

wielką wyprawę do Polski. Ale rada nie zgadzała się jak widać, z tajnymi zamysłami Chana, bo przez lata całe niechciał ani słuchać o żadnej wyprawie nad Wisłę. Nakoniec, przysłała pora stosowna: Xiąże Halicki zażądał posiłków Tatarskich; Nogaj wysłał mu na pomoc trzy oddziały, pod przywództwem Kończaka, Kozieja i Kubatana. Kałga ze swoim poczem przyłączył się do nich, i już myślał że swoją pomstę trzyma w ręku. I tu jednak los mu ją usuwał. Polski Xiąże Leszek zabiegł im drogę wcześniej niż można było się spodziéwać. Ledwie Haliczanie i Tatarzy uszli dwie mile po-za Sandomierzem, już pod Goślicami zostali rozbici do szczętu, i ów marzony Kraków ciągle pozostawał niedościgłym. Kałga widział z przestachem że wojna ma się ku końcowi; wtedy postanowił na własną rękę zrobić wycieczkę do Krakowa, i nic nie mówiąc nikomu, nawet Xięciu Halickiemu, poprowadził to zuchwałe przedsięwzięcie tak mądrze, tak cicho, że istotnie tylko co nie ubiegał stolicy.

— Ale — dodał opowiadający — już od wczoraj, nasz wódz zwątpił o wszystkiém, i słuszną miał przyczynę wątpienia. Wy temu nie wierzycie, ale ja wam powiadam: czary są nieomyłne. Owa niańka o której to mówiłem, była

wielką czarownicą; szyla dla Kałgi ubrania do których jego życie było przywiązane. Szamanie nasi powiedzieli, że kiedy Kałga wdzieje ostatnie z tych ubrań, wszystko się dla niego skończy. To też pielęgnował swoje szaty pilniej niż niewiasta, woził je wszędzie z sobą, i zdawało się że długie lata żyć powinien, bo miał jeszcze tych szat kilkanaście. Leżały one zwykle w dobrze zamkniętej skrzyni, na osobnym wozie, otoczonym umyślną strażą. I cóż? Przewiół je szczęśliwie od świętego Bajkału aż tutaj, a wczoraj w nędznej wioszczynie zginęły! Wczoraj wieczór, gromada chłopów napadła nasz tabór z tyłu. Przeklęte ludzie! Urwali nam kilka wozów, a wśród nich i ten gdzie były owe święte suknie. Zwróciliśmy się nazad, i pędząc po naszymu, dopadliśmy ich w samą porę, właśnie gdy sobie spokojnie wchodzili z powrotem do wioski. Zdawało się że już wszystko dobrze. Jak zwykle, zapalono chałupy, ale nieszczęściem, zapalono zawczasie, pierwój nim zdołaliśmy odbić ów łup nieoceniony. Chłopi wyginęli co do nogi, wieś cała poszła w perzynę, ale ze wsią spłonęły i zabrane wozy! Jak żyję, niewidiałem naszego wodza w takim gniewie. Własną ręką pozabijał i tych co wozu źle dopilnowali, i tych co zawczasie ogień podłożyli. Ale niewielką pociechę ztąd odniósł; ich nędzna krew już nie mogła przywrócić straconego skarbu. Dziś nad rankiem, kiedyśmy przez las jechali, obrócił się

do mnie i powiedział: — «Słuchaj Tołgan, muszę umierać. Suknia którą mam na sobie, jest ostatnią ze wszystkich jakie mi ta czarownica zrobiła..... Duchy są nieubłagane..... Trzeba umierać—i to właśnie w chwili kiedy miałem dosięgnąć celu, kiedy miało się ziścić życzenie całego mego mego życia! Ha trudno—jeśli już taki wyrok, chcę przynajmniej zginąć walecznie, po Mongolsku.»—I spełniła się wola Duchów—zginął—i oto ową nieszczęsną suknię widzę u ramion waszego przywódcy!

Tu zamilkł, i rzucił na Włóczka jadowite spojrzenie.

Branki słuchając, potruchlały z podziwu. Długo niemogły przyjść do słowa. Po chwili, Ludmiła podniosła ku przyjacielce zamyślane oczy.

— Elżbieto, — rzekła — więc jednak Szaman prawdę mówił?

— Tak. — Odparła Elżbieta. — I wówczas także prawdę mówił, kiedy Jasia widział na trawie, między rybakami, bo wtedy już Jasio musiał być u Matjasza. Dziwny człowiek ten Szaman!

Ale jeśli był wielkim podziw niewiast, jeszcze

może większym stał się podziw jeńców, kiedy Elżbieta im powiedziała, że to właśnie ona jest ową niańką-czarownicą, że to jój ręka szyła owe «zaszamanione» suknie. Pobledli, i odstąpili od niej ze czcią pełną postrachu.

I ten jednak podziw jeszcze się wydał słabym, w obec zdumienia i rozradowania jakie wstrząsnęły sercem Jana, kiedy niewiasty mu przetłumaczyły rozmowę z jeńcami, kiedy zrozumiał że ów zabity przezeń Kałga, był nietylko najeźdźnikiem jego ziemi, ale osobistym, tyloletnim, dręczycielem jego Matusi.

Podniósł obie ręce do nieba i zawołał:

— Boże mój najukochańszy! Tyś mię więcej wysłuchał, niżli ja śmiał prosić!

Opowiadanie tych wydarzeń rozbiegło się z ust do ust po całym Krakowie. Dzisiejsi ludzie, posłyszawszy coś podobnego, pokręcili by głową i rzekli:

— Proszę! Dziwny zbieg okoliczności!

Albo téż:

— No,—co za szczęśliwy przypadek!

Ówczesni ludzie nie wyszukiwali tak sztucznych tłumaczeń; ze wszystkich ust, wyrwał się jeden wykrzyk:

— Cudowne są zrządzenia Boże!

Nasze niewiasty w zawrocie radości, niemo-gły znieść przy sobie żadnej smutnej twarzy. Widok niewolników ponurych, przygnębionych ogólném weselem, rozbudził własne ich wspomnienia. Uprosiły u Mniszek, aby i tych bliżnich nakarmiono.

— Ach, my wiemy dobrze, — mówiły — co to jest cierpieć głód w niewoli! Niechże widzą że u nas nie tak jest jak u nich.

Panny Norbertanki przystały chętnie na miłosierny uczynek. Matka Scholastyka rozkazała nawet ażeby klasztorne mi plastrami opatrzyły, co najcięższe rany.

Ludność, porwana szlachetnym przykładem zaczęła powtarzać:

— A dyć to chwalebnie czyniom te niewiasty. Niech psy pogany widzom jako to jest u Krześcijan.

Więc zaprowadzono ich na dziedziniec klasztorny, znoszono im jadła i napojów ile chcieli. Tatarzy nie okazywali żadnego wzruszenia; najchorsci legli pod murem, i niechcieli patrzeć na jadło, tylko z chciwością gorączki wypijali piwo, a zwłaszcza mléko, jakie im według rady branek podawano. Inni, siadłszy po swojemu na

ziemi, spożywali wieczerę w milczeniu, wciąż ponuro, nie dziękując nawet skinieniem głowy, ale owszem rzucając w koło spojrzenia ukośne, wyraźnie jakby drwiące.

Ludmiła dosłyszała nawet, jak jeden ruszywszy ramionami, szepnął do drugiego:

— Co za głupi naród! Zamiast z nami skończyć, jeszcze nam się podchlebia.

Dosłyszała — jednak nikomu tych słów nie powtórzyła, by nie ostudzić dobrego usposobienia tłumów.

Tymczasem noc zapadła. Ale téj nocy, nikt nie poszedł spać w całym Krakowie. Na ulicach porozpalano rżęsiste ogniska i beczki smolne. Radość wybuchała coraz to szalenięj. Górale zadęli w kobzy, po gospodach skrzypki rznęły «Krakowskiego», a gdy izby okazały się za ciasne, zaczęto wyprawiać skoki na Rynku, i wszędzie gdzie było nieco szerzej.

Rej wodzącymi w téj uciechu, byli, Pietrek i Wojtek, rodzeni synowie Matjasza Kulisa, chłopcy tęgie i pocziwe, na których spadał odblask wielkości jaką zdobył ich brat przybrany, a mieli téż trochę i własnego blasku, bo w dzisiejszój walce bili się jak prawdziwe Krakusy.

W koło stołów, między starszyzną, przy miodku i piwie, coraz większa panowała serdeczność.

Szły Zdrowia bez końca:

— Za Jana Wyswobodziciela!

— Za branki Dobrodziejki!

— Za wszystkie co się bili!

— Za sławność miasta Krakowa!

— Za nieobecnego aleć zawdy łaskawego
Xięcia Leszka!

— Za nieobecnom ale najmilejszom Xiężnę
Kingę!

— Za spokój duszy nieboszczyka Xięcia
Bolesława!

— Za nawrócenie się Wielkiego Chana, i je-
go pogańskiej czeredy!

— Za wszystkie Cechy, ile jeno ich jest!

— Za wszystkie Zakony, a najmocniej za
gościnny klasztor Panien Norbertanek!

— Za wszystkie ziemie nasze, Krakowskom —
Sendomiérskom — Lubelskom — nawet za Mazu-
ry — no, i za Wielkopolskę — ba! nawet za
Ślązk!

Wśród téj powszechnej radości, jeden tylko człowiek — w czarnej sukni, z kałamarzem u pasa — chodził zadąsany; był to autor niedośłego Misterium. Wprawdzie, po pierwszych godzinach niebezpieczeństwa, podziękował on Bogu że go Tatarzy nie zabili, jednak później ogarnął go żal gorzki..... bo nie trzebaż prawdziwej złośliwości losu, aby ten wielki wypadek zaszedł właśnie w owym dniu, w którym nakoniec miało się ludziom pokazać jego dzieło, tak miłośnie pisane, tak pracowicie wyuczone, dzieło z którego sobie obiecywał dużo przybytku w «pochwalnościach», i trochę w kalcie?

Było jednak — jak widać — wyraźnie sądzone, aby w tym dniu żaden smutek długo się nie ostał, bo i dla niego przyszło pocieszenie. Mieszkańcy Krakowa, raz rozmachani w rozpędzie wesołości, nie myśleli darować żadnej a żadnej zabawy. Na widok posmutniałego «Misternika», przypomniano sobie stracone widowisko, i zaczęto krzyczeć i prosić, aby *Sąd Salomona* został odegrany jutro.

A że to było w Czerwcu, w porze najkrótszych nocy, nikt jeszcze ani się spostrzegł, a już świt zarumienił powietrze. Już ptaszki dobrze się przespały, wczorajszy skowronek już wydzwaniał nowy paciérz nad wieżą Marjacką, a jeszcze się nie pomęczyły ani muzykanty ani

wywijające pary. Niejedna hoża panna, niejedna suta mieszcza, zdarłszy od hasania swoje żółte lub czerwone butaski, nikły na chwilę w domach, i tam obuwszy się świeżo, wracały między rozśpiewanych, tupających zuchów, aby znów pisać przy świetle słońca i złotej wolności.

Sępie szpony.

Nie dla wszystkich jednak, doba miniona upłynęła tak jasno i gwarno. Były w Krakowie domy ciche, obumarłe, gdzie po-za cieniem zapartych okiennic, strapione rodziny kręciły się przy łożu cierpiących, lub siedziały przy drogich zwłokach, pogrążone w żałobie tém czarniejszėj, że odbijającėj od powszechnego szczęścia.

W pierwszym dniu, te zapłakane oczy nie pokazały się pomiędzy tłumem, na którego płąsy i uczyty niemogły patrzeć bez boleści, — ale nazajutrz, ujrzano gromadki okryte kirem, niosące na barkach trumny.

Wnet ludność tknięta uszanowaniem, stanęła jak wryta; trąby i skrzyпки zamilkły, czapki z głów pospadały, i cały tłum przyciszony, puścił się długim pochodem za marami swoich poległych obrońców.

Natenczas i brankom przypomniała się pierwsza ofiara téj walki, ów zacny Brunon, co także stracił życie w obronie Krakowa, boć zginął niosąc jego mieszkańcom wieść ostrzegającą. Wyszukano wózek, na którym leżał jeszcze trup ze strzałą w piersiach, i złożonywszy go do trumny, obwieszonój równie jak inne, mnóstwem kropierzy, kwiatów i proporców, spuszczone do ziemi, nad którą nasze niewiasty westchnęły ze szczerym żalem.

Potém, chciały pójść na owe pola poza-miejskie, gdzie rozegrał się koniec bitwy, chciały odnaléźć trup Kałgi. Wzięto nawet kilku z pomiędzy jeńców, ażeby pomagali w rozpoznawaniu zmarłych.

Ale jeńcy uśmiéchnęli się gorzko, i rzekli:

— Nie. Wy zwłok naszego wodza już tam nie znajdziecie.

Istotnie, na polu bitwy, pomimo wszelkich poszukiwań, ciała Kałgi nie znaleziono. Tatarzy wierni swemu wzruszającemu zwyczajowi, nawet w najstraszniejszym popłochu rozsypki, potrafili jeszcze unieść zwłoki wodza i wszystkich przedniejszych waleczników. Pozostały tylko trupy

najniższego żołnierstwa. Dla tych, wykopano przy drodze kilka dołów, na których porosły kopczyki, świadczące wymownie, że skończyły się owe czasy gdy Tatarom było wolno ubiegać stolicę. I rzeczywiście, odtąd Kraków nigdy już nie popadł w ich ręce. Tak to modlitwa branki, wiele mogącej u Boga dla swych cierpień i cierpliwości, została wysłuchaną nietylko na raz jeden, lecz na zawsze.

Zwolna, pola bitewne i cmentarze stały pustkami, rodziny w kirach popowracały do swoich smutnych domów, a ludność — przez pół dnia powstrzymywana przymusem żałobnym — powróciła do wszystkich uniesień i łoskotów powszechnego wesela.

W godzinach po-południowych *Sąd Salomona* został odegrany z niezmierną świetnością, i z powodzeniem tém większém, że na prędcie poddawano tam pełno szczegółów przystosowanych do chwili bieżącej; kilku Djabłów przebrało się w Tatarskie stroje, — Salomon wypowiadał bardzo piękne rzeczy o «prawdziwej matce», którą zawsze można poznać, choćby i trąd ją «zamaszkarzył», — Aniołowie ogłaszali w Niebie tryumf «Krześcian» Krakowskich nad Pogań-

stwem,—a gdy w końcu sztuki, wyszedł Dziadek białobrody z dzwoneczkiem i woreczkiem, dla zebrania «honorariów» mających iść na podział pomiędzy aktorów i autora, wtedy pomyślano także o nędzy tych trzech istot, którym Kraków zawdzięczał swoje ocalenie.

W owym wieku co był tak hojny dla ubóstwa, że pierwszy stworzył Żebrzące Zakony, znalazło się wnet mnóstwo kwestarzy i kwestarek; ci ze srebrną lub glinianą miseczką w ręku, krążąc między tłumem, wołali donośnie:

— Na te ludzie które nas wybawili, a nie mają co jeść! Na biednych Włóczków, i biedne białogłowy z niewoley!

Łatwo sobie wyobrazić, jak szeroko pierwszy zapał roztworzył serca i kiesy. Rajcy, Kupcy, Majstrowie, sypnęli po pańsku. Bogate miészczki zdejmowały swoje łańcuchy i kładły je na misach, a nawet i najuboższy dorzucał swój denarek, tak, że składka w jednym dniu zebrana, mogła już Włóczkowi i jego otoczeniu zapewnić spokojność na całą resztę życia.

Krakowianie też niechcieli pozwolić w żaden sposób, aby matka ich oswobodziciela i jej towarzyszka mieszkały dalej w Szpitalu. Rajcy wynajęli dla nich dworek należący do Panien

Norbertanek; stał on w bliskości klasztoru, dobrze odosobniony dziedzińcem i sadem. Wprawdzie był dosyć stary i pusty, ale panie miejskie wnet naznosiły sprzączików, pierzyn, zapasów domowych, i nasze biedne branki, dawno już odwykłe od własnego kąta, znalazły naraz, jakby przez czary, gniazdko najśliczniej zagospodarowane.

W dniu, w którym ze łzami wdzięczności, wprowadzały się na nowe mieszkanie, Jaś przyniósł tam swój węzełek, i oświadczył że także chce we dworku zamieszkać. Napróżno Elżbieta odpędzała go z przerażeniem od tych progów zarazy, napróżno przez kilka dni, obie niewiasty próbowały prośby i gniewu, Jaś wytrwał w niepokonanym uporze, i na ten raz okazał się nieodrodnym synem twardego Sulisława.

Niewiasty uległy w końcu pod tym słodkim przymusem, i Jaś zamieszkał z nimi, służąc im po synowsku, i dzięki Bogu, był dalej zdrow jak ryba. Zapraszano go do niewiem ilu domów, ale niechciał nigdzie chodzić, niechciał nawet i na godzinę rozłączać się z Matusią ni z Ciotusią, (bo tak już przezwał na zawsze Ludmiłę, którą słusznie uważał za duchową siostrę swojej matki.) Tylko codzień raniutko, wybiegał do Matjuszowej chałupiny, co także — dzięki Krakowianom — porosła w niebywałą dostatność. Z początku, Jaś miał nadzieję, że jego przybrany ojciec i przybrani bracia, razem z nie-

mi osiada w dworku, ale Matjasz, odważny przeciwko prądom i wichurom, nie czuł dosyć odwagi by zamieszkać z trędowatemi; wymówił się przywiązaniem do starego dachu, i został nad Wisłą w swojej chałupinie. Jednak Jasia wcale nie przytrzymał, owszem, sam go nieraz wyganiał do matki, mówiąc:

— Ona pierwsza. Ja ciebie już miał bez te wszystkie lata, niechajże tera i ona nieboga nacieszy się dzieckiem.

Mieszkańcy Krakowa widząc że niemoga najmilszego bohatera ściągnąć do siebie w gościnę, zaczęli coraz gęściej krążyć w koło dworku, byle go przez okno zobaczyć, byle z nim choć zdaleka pogadać. Wprawdzie Jan, raz opowiedziawszy swoje życie, niewiele co mógł już dodać; ale za to niewiasty, coraz częściej wabione do okna, coraz więcej się wywnętrzały, a kiedy zaczęły opowiadać o «Królestwie Xiędza Jana», o białym axamitnym namiocie Cesarzowej Turakiny, o pagórkach ze skarbów co tam gniją pod słotą, o Srebrném Drzewie ze złotemi «fructami», o zielono-grzywych Mordwinkach, i nigdy niewidzianych w Europie Chińczykach, ludzie w słup stawali jakby mówiły o xiężycu; jednak nikt nie przeczył, nikt głową nie kręcił; obdartym żebraczkom z Lazaretu, słuchacze nie

chcieli wierzyć w niczém, nawet w rzeczach najprostszych, ale teraz, kiedy ich położenie społeczne wzrosło niespodzianie, wierzono im na oślep, we wszystkiém. Byłyby mogły pleść najdziksze bajki, bez obawy aby kto rzucił chociażby słówko wątpliwości. Ale nie potrzebowały uciekać się do bajek, sama szczerą prawdą już zawracała głowy. Przez kilka miesięcy, dopóki tylko mrozy nie rozpędziły tłumów, istna processja ciągnęła tam nieustannie. Już niechciano ani kuglarzy, ani śpiewaków miejskich; kto żył, leciał pod okna dworku, aby tam słuchać, i wyławiać coraz to nowe dziwy, któremi podsycaly się bez końca wszystkie rozmowy Krakowskie.

Branki téż, podniecone tą wiarą i tą ciekawością, z coraz większą rozkoszą rozwodziły się nad swemi wspomnieniami, bo jeśli jest wielką prawdą wyrażenie Danta, że «nic boleśniejszego, jak w złym czasie wspominać czasy szczęśliwości», to naodwrot, błogo jest i zaszczytnie wracać pamięcią do cierpień które *już przeminęły*. Tak wojak, lubuje się w obrazie przebytych niebezpieczeństw. Kto wie nawet, czy dla Błogosławionych w Niebie, czarne wspomnienia ziemi, nie stanowią jednéj z największych radości, najsmakowitszej niejako przyprawy ich szczęścia?

Jednak z przeciągu całej doby, najmilszą

porą dla niewiast była godzina wieczorna, kiedy ludzie już się rozeszli, kiedy mogły nakoniec same z Jasiem zostać, oplakiwać z nim Sulisława i Xiędza Macieja, wracać do wszystkich szczegółów przeszłości, i budować cudne zamiary na przyszłość. Ach, rajskie godziny!

Wprawdzie, Jaś Włóczek, nie był owym Jasiem rycerskim, wykwintnym, strojnym w złoty pancerz i jedwabie, jakiego sobie przez tak długie lata wystawiały. Jednak — dzięki Bogu — nigdy nie poczuły téj różnicy, nigdy nawet na myśl im nie przyszedł obraz dawniej marzony, bo Jaś posiadał tę prawdziwą szlachetność, co kwitnie zarówno pod purpurą jak i pod zgrzebném płótnem — ze wspomnień dzieciennych zachował rodzaj smutnej dumy, która go uchroniła od gminnych nałogów, i choć całe życie przebył w najniższych warstwach społeczeństwa, przejął ich prostotę, a nie przejął prostactwa; — pamiętajmy przytém że był bohaterem, a każde bohaterstwo ma w sobie coś królewskiego, — nakoniec, to był Jaś..... ach, czyż to nie dosyć?

Po kilku miesiącach, okoliczności nowy zwrot przybrały. Xiążę Leszek Czarny, chwalebnie ukonczywszy wojnę, z wielkim trzaskiem zjechał do Krakowa na Sądy, których mu bu-

rzliwy początek panowania, jeszcze nie dał spokojnie zakosztować.

Już dawno żaden monarcha nie miał podobnie radosnego wjazdu do stolicy. Sam zwycięzca, został powitany przez całą ludność zwyciężką, a tak miłował Krakowian, że własne jego tryumfy mniej go może cieszyły niż świetne popisanie się miasta w odparciu Tatarów. Rad był, że może tym niespodzianym przykładem waleczności mieszczańskiej, przytrzcąć nieco rogów rycerstwu, które ciągle mu przymawiało za sprzyjanie szewcom i kupczykom. To téż z rodzajem uniesienia i prawie nad miarę wysławiał męztwo Krakowian, i odtąd zaczął sypać na nich dobrodziejstwa, których deszcz nie ustał aż z końcem jego panowania. Już zaraz w dzień przyjazdu powiedział głośno, że miasto co nawet bez murów umie się tak bronić, warte jest murów «najnotliwszych», i chociaż obwarowanie Krakowa dopiero w kilka lat później zostało przedsięwzięte, przecież pierwsza myśl téj roboty już w owym pierwszym dniu powstała. Od owego także dnia, zaczęto w Kancellarjach Xiążęcych wypracowywać różne Przywileje, które mi Leszek powoli miał obdarzać stolicę, a tymczasem rozdawał osobiste nagrody i odznaczenia.

Rycerstwo, na wielki podziw Xięcia, postawiło się w téj okoliczności z dobrym smakiem prawdziwie pańskim. Bardzo grzecznie podało Krakowianom rękę, pochwaliło ich odwagę z ła-

skawością, podobną do powagi Bakalarza co raczy pochwalić pilne żaki, a potem przestało zajmować się tą sprawą, jako wypada na ludzi znacznych, którzy muszą myśleć o losach nie tylko jednego miasta, lecz całego kraju.

Nasz Jan, zamknięty z Matusią i Ciotusią we dworku, niewiedział jeszcze nawet o przyjeździe Xięcia, kiedy panowie Radzieccy i Cechowi, ze skrzydlatemi laskami, z rozwiniętymi chorągwiemi, przyszli pod jego progi, wzięli go między siebie, zawiedli na Wawel, i przedstawili Leszkowi. Ten przyjął Włóczka jakby Regulusa, chciał poznać wszystkie przygody jego życia. Wprawdzie ich opowiadanie, i odkrycie że Jan nie był dzieckiem miasta lecz możnej rodziny, pomieszało nieco Xięciu szyki. Za to rycerze i dostojnicy, poznawszy w Janie jednego ze swoich, powitali go niesłychanym zapałem, radzi z dowodu że i na ten raz, owo niby mieszczańskie dzieło, nie obyło się bez potomka rycerskiego rodu. Tak, nawet waśni stronnictw, naszemu bohaterowi wychodziły na dobre, każda strona chciała go przyznać za swojego.

Leszek, mąż roztropny, w mgnieniu oka ochłonął z niemilego podziwu, okazał Janowi twarz niemniej łaskawą niż przedtém, i ofiaro-

wał mu kosztowny pierścień, ściągnięty z własnego palca.

Następnie, zwracał się do Rajców i Seniorów, kazał z tłumu wywołać przed siebie Matjasa oraz jego synów, i z własnej szkatuły obdarzył ich sówicie. Poczém, zamyśliwszy się przez chwilę, oświadczył żal wielki że nie jest dosyć bogatym ażeby obdarzyć wszystkich Włóczków.

— Ale — dodał — szczęściem, władza Xiążęca, pozwala nam rozporządzać innemi jeszcze nagrodami.

Tu skinął na Chorążego, kazał sobie podać jeden z własnych swoich sztandarów, pomniejszy proporczyk z Orłem białym na czerwonym polu, i włożywszy go w rękę Jana, rozkazał aby odtąd ów sztandar stał się Znakiem Cechowym Włóczków.

Okrzyk uniesienia wybuchnął na te słowa. Pogardzana rzesza Włóczęgów mało nie oszalała z radości, widząc się tak wspaniale wyniesioną.

A nie tu jeszcze był koniec dziwnych łask Leszkowych. Xiąże chcąc tym biédakom przyczynić nietylko chwały lecz i chleba, oświadczył że Włóczkom udziela od téj chwili wyłączne prawo spławiania drzewa do Krakowa. Przywi-

lój na to prawo został wkrótce uroczyście spisany, i przez wieki święcie się zachował, przynosząc najuboższej ludności miasta niemałe korzyści, a co więcéj, stanowiąc niespożyty pomnik jój dzielnego czynu.

Po tém pierwszém rozdaniu nagród, Xiążę kazał dla starszyny Miejskiój zastawić wieczerzę w dziedzińcu Zamkowym, a Jana zaprosił do własnego stołu. Chciał zaprosić i branki, których przygody niesłychanie go zaciekawiły, posłał po nie paziów z wierzchowcami, ale niewiasty—onieśmielone swojém kalectwem—wymówiły się od zaprosin dworskich.

Nie minęło ich jednak spotkanie z Xiążęciem. Nazajutrz rano, Leszek w licznym orszaku zjeżdżając z Wawelu do miasta, zatrzymał konia przed oknem dworku, i długo rozmawiał z niewiastami, winszując Elżbiecie walecznego syna, dziwując się dziejom onych ofiar jassyru, i patrząc ze wzruszeniem na ich skołatane postacie.

Niewiasty przyglądały mu się także ciekawie, dla porównania go w pamięci z Xięciem Bolesławem, którego przed pół-wiekim znały równie młodym. Ale nie było najmniejszego po-

dobieństwa między dwoma Piastowicami; Bolesław rysował się w ich myśli, biały, smętny, cierpliwy, z płowym włosom i niezapominajkowym okiem. Leszek miał włosy krucze, twarz suchą, z której świeciły dziwnie białe zęby, siedział przyrosły do konia jakby Centaur, wszystko w nim objawiało przeszłego i przyszłego zwycięzcę; tylko jego bursztynowe oczy, niezupełnie były oczami wojownika; umiały one mignąć skośnie, zdradzając, że Xiążę nie tylko wstępnym bojem, ale i manowcami polityki, potrafi chadzać do raz obranych celów.

Przy pożegnaniu z niewiastami, Leszek zapytał uprzejmie, czy mają takie jakoweś życzenie, które on, Xiążę, mógłby spełnić?

Elżbieta, macierzyńskim przecuciem przygotowana już na podobne zapytanie, odrzekła bez namysłu, że najpierw i przedewszystkiem, prosi ażeby jój synowi zostało zwrócone dziedzictwo po ojcu.

— Łaski Waszój Miłościwój,—mówiła—doświadczył on już aż nadto, aleć to czego żądam, to nie nowa łaska, jeno po prostu dzieło sprawiedliwości.

— Bo,—dodała z niezwykłą sobie mocą — godziź się to w obliczu i Boskiem i Xiążęcém, aby człowiek co chciał zbójczą ręką zgładzić

moje dziecko, spożywał dalej spokojnie owoce swego złoczyństwa?

Tu Jan wmieszał się do rozmowy, twierdząc że choćby nie jemu, toć matce należy się zwrot Żegnańca. Że to przecie rzeczą jest oburzającą, aby ta męczennica wróciwszy cudem od pogan, musiała żyć z litości ludzkiej, mieszkać po Lazaretach i dworkach z łaski dawanych, kiedy posiada własny zamek i włości?

Xiąże uznał zupełną słuszność ich żądania, obiecał niezwłoczny zwrot Żegnańca i wszelkiego mienia po Sulisławie, o ile tylko da się prawnie odszukać, a sprawę Zyndrama chciał bardzo surowo przeprowadzić.

— Nie oddam jój nawet — mówił — Sądom Kasztelańskim, ale przyzwę zbrodniarza przed mój Sąd Xiążęcy, i przykładowie ukarzę haniebne targnięcie się na żywot synowca.

Ale tu, i Jan i Elżbieta zaczęli prosić Xięcia aby téj sprawy nie wytaczał przed żadne Sądy. Mimo krwawego żalu, pamiętali oni że Zyndram był rodzonym bratem Sulisława.

— Niech jeno — mówił Jan ze wzruszeniem — stryj odda nam co wydarł, a téj staréj przygody już przed oczy ludzkie nie wywłóczmy. Niech sobie idzie w pokoju. Musiałci on i tak nacierpieć się do syta, boć on zawdy myśli że mię zabił, a z takową pamiątką na su-

mnieniu, jakoż to można żyć szczęśliwie? I nam takż, prawdę powiedziawszy, coby przyszło z jego pokarania? Pono nic, jeńo żałość i wstyd. Po co tu kalać własne gniazdo?

Leszek mocno się zbudował szlachetnością proszących, odpowiedział:

-- A no dobrze, niechajże wszystko będzie jako sami chcecie.

I jeszcze tegoż dnia, wieczór, wróciwszy na Zamek, zajął się sprawą Żegnaniecką.

Wystosował do Zyndrama tajne pismo, gdzie mu objawiał w słowach ciemnych ale zatrważających, że «prawda, koniec końców, jak olój na wierzch wyszła.»

— «Rozkazujemy przeto» — pisał w ówczesnej arcy-starzej polszczyźnie, której zwroty i pisownię unowocześniamy tutaj dla wygody dzisiejszego czytelnika — «rozkazujemy przeto, abyście wszystkie majątności objęte po bracie Sulisławie, oddali jego wdowie i synowi, którzy się oboje przez cud Opatrzności odnaleźli. Zróbcie to skwapliwie, póki każemy po dobroci, bo w razie nieposłuszeństwa lub najmniejszej zwłoki, Bóg widzi jako będziemy wnet musieli zapozwać was przed nasze Xiążęce Sądy, i przypomnieć pewną niecną sprawę gdzie chodzi o gardło, a którą w łasce Naszej chcemy posypać solą zapomnienia, przez wzgląd na zasługi waszego brata

nieboszczyka, i na wspaniałe prośby samychże pokrzywdzonych.»

Teraz pytanie zachodziło, przez kogo ten list posłać? Z panami zamkowemi owych czasów bywała niełatwa sprawa; poseł musiał mieć głowę nie od kształtu, aby wiedział gdzie czego zażyć, namów czy pogróżek, i jak się cało wymknąć ze szpon zaczepionego?

Najlepiej te sztuki umieli spełniać Woźni, *wożący* po kraju Pozwy. Ale ten list poufny jeszcze nie był Pozwem, nie był rzeczą Woźnieńską. Tu musiał jechać jakiś jeszcze wytrawniejszy mądrał, któryby umiał chytrze wybadać posądzanego, i dopowiedzieć to wszystko co zostało przemilczane w piśmie.

Niedługi był namysł. Wybór Xięcia padł od razu na owego Podsędka «sceptyka», co uchodził w Krakowie za «quintessencyę» rozumu.

Urodzony z ojca Polaka i matki Niemki, na Chrzcie odebrał cudzoziemskie imię Frydrycha; w mieście, zwano go powszechnie *Mądrym Fryckiem*. Niezwykły to był człowiek; a najprzód, wyglądał niezwykle; ci co nań patrzyli, nigdy nie wiedzieli jaki wiek mają mu przysądzić? Już od młodości wydawał się starym. Na woskowej twarzy, wążkie wargi rysowały się tylko siną kręską; chodził jakby kościany dziadek. Z tém wszystkiém jednak był

żwawszy i czynniejszy niż najmłodszy. Sprawy sądowe, a zwłaszcza «śledcze», stanowiły jego całą rozkosz, jego niemyślne powołanie; nad nimi łąsiał i odkwitał, gryzł się i tryumfował. To też trząsał Sądami Krakowskiemi; ba! nawet z ziem sąsiednich, w każdej zawikłanej sprawie słano do niego po radę, bo Fryc z najzakamienialszych winowajców umiał wyciągnąć wyznanie, najmdlejsze poszlaki umiał przedzierzgnąć w pewność. Wprawdzie mówiono, że jeśli w jego ręku ciemne sprawy jaśnieją, to nieraz i jasne stają się ciemnymi — mówiono że umie z kozła zrobić barana, lecz nieraz i z barana, kozła ofiarnego..... mówiono że brzęk złota..... a nawet i srebra..... Ale może to były potwarze? Któż niema nieprzyjaciół, zwłaszcza też taki, co rozporządza życiem i sławą bliźnich?

Przywołany do Zamku, mądry «Subjudex curiae» wysłuchał pilnie zleceń Xięcia, obiecał że dobrze grunt wybada, i wzięwszy pismo, wyjechał na starém, rozklekotaném konisku, sam jeden, bez broni, zupełnie spokojny.

Odtąd nasza trójka, liczyła gorączkowo każdy dzień i godzinę do jego powrotu. Całe nawet miasto dzieliło tę niecierpliwość; wszyscy byli ciekawi co też zrobi ów «straszny Stryjek?»

Po kilkunastu dniach poseł wrócił, ale jakiś inny niż się spodziewano. Kręcił głową tajemniczo, niechciał nikomu wyraźnie odpowiadać. Dopiero na Wawelu, w komnacie Xięcia, usta mu się rozwiązały.

— No cóż, — zapytał żywo Leszek — cóż? Przyznał się łotr?

Podsędek, z bladym uśmiechem, jeszcze wężiej przyciął usta.

— Już to — rzekł powoli — sprawa na miejscu namacana, ma inakszą «figurę», niż nam one ludzie chciały pokazywać. Wedłuch mego myślenia, «szompierz» jest niewinien jako to niemowlę wczoraj narodzone. (*Szompierzem* zwano dawniej stronę oskarżoną.)

— Jakto, niewinien? Co ty gadasz?

— Szompierz wyparł się wszelakiego zamachu na żywot «powoda», wyparł się uroczyście, z mocą, a przytém i rozsierdzeniem, jakowe mu się chwali.

— Dla czego się ma chwalić?

— Siła ja już w mojem życiu nawypytywał oskarżonych; owóż ze wszystkich onych pytek, wyszła mi takowa maxyma: jeżeli szompierz czołga się i przyłasza jak obity pies, to

dziewięć razy na dziesięć, będzie krzyw. A jeżeli drze się i złości jak smagany pędrak, to dziewięć razy na dziesięć, będzie praw.

— Co mi tam Wasze wyrabiasz jakowąś nową «Lex» na ludzkie sumnienia?—Rzekł Leszek z przekąsem.—I ja także Judex, i znam się trocha na ludziach.

Potém, zmarszczywszy brwi, spojrział z ukosa na Podsejda, i zapytał jakby wahający:

— Owóż tedy, według waszego myślenia, cała powieść onego Włóczka, to ma być szczerne kłamstwo?

— A broń Boże! Niekoniecznie. Mogła paść omyłka. Sam szompierz, człek roztropny, tak do mnie gadał:—«Bardzo to może być, że gdzieś, kiedyś, jakowyś złoczyńca chciał topić jakoweś dziecko, jeno tym złoczyńcą nie był ja.»

— No, a gdzie dowód że to nie był on?

— Proszę Waszój Miłości, jakoż my jemu dowiedziem że to właśnie był on? Czy mamy jakowe «lice»? Poprzekłuwane rucho? Abo rękę trupią? Abo pierścień rodowy? Żebychmy chociaż mieli one krwawe szatki z pod lasa, o jakowych było tyle huku i gadania, aleć to nic, na owinięcie palca, nic!

— Tu,—wtracił Xiąże—najlepszém «licem» jest sam Jan Włóczek, topielec.

— Ja. Topielec. Nieutopion.

Słowo było złośliwe, ale prawdziwe, a przy-

tém powiedziane z taką powagą i uszanowaniem, że Xiążę niemógł w niém znaleźć obrazy.

Chwilę pomilczał, potem ręką trzasnął się po kolanie, i rzekł:

— A no, «lica» niemamy, ale za to mamy świadki.

— Ja. Ładne świadki. Jeden głupi dzieciak, i drugi jeszcze głupszy parobek, co sam siedział tam wonczas przyczajon kieby jaki złoczyńca.... Ja tego człeka podeżréwam.... Czemu on zaraz wtedy nie narobił *Okrzyku*: «Niestójcie!» — Czemu nie zwołał innych ludziów na świadki, nie pokazał im onego posiniałego dzieciątka, i onój łodzi co zmykała?

— No, cóż chcesz? — Ozwał się Xiążę. — Na pełnych wodziech, na pustkowiu, trudno zwoływać ludzie. A bał się takóž aby go nie naszli z tą jego dziewczuchą....

— Ja. I z oném kradzioném dzieckiem. Możeć było naprawdę i pustkowie.... już mu daruję on «Okrzyk», aleć po jakimuż on widział owego zabójcę? Po ciemku, sam to przyznawa. Jakoż go tedy mógł ze wszystkiém opatrzyć? A chociaby mu się i cały dzień przypatrował, jakoż on po trzydziestu leciech z górą, może powieździeć: — «Owo, ten dziad, wychudzon jako szczapa, zmurszały jako grzyb, to ów młody, tęgi mąż z łódki?» — Ah, mein Gott! A toć do kaźdego z nas, piérwszy lepszy by mógł przyjść i powieździeć: — «Słuchaj: widział ja przed laty

czterydziestu, jakoś tam a tam popełniał taką a taką zbrodnię.» — A poczem ty mię pozna-
wasz? — «A no, po twarzy.» — Ej, chyba nie po
twarzy, jeno z potwarzy, bo jakoż ja po całej
piędziesiątce lat, mogę być kubek w kubek do
siebie podobien? Jeślić jenszych dowodów nie-
masz, to bratku idź z Panem Bogiem, na gołe
słowo nikt ci nie da wiary.

W komnacie zapanowała cisza.

— Miłościwy Panie! — Mówił dalej Podse-
dek.—Już ja tam do łzów nieskory, a wszelako
mię łzy w oczach stały, kiedy ja patrzył na
onego, sprawiedliwego, a krzywo zniesławione-
go starca.

Xiążę pilnie słuchał — przez chwilę się za-
myślił, potem nagle rozweselony, odpowiedział:

— Ha! Jeśli on taki niewinien jak mówicie,
to jeszcze lepiej: nie będziemy mieli nikogo do
karania, a sprawa dziedzictwa, ze sprawiedli-
wym człowiekiem łącno pójdzie. Odda krewnia-
kom co im się należy, i koniec.

— Proszę ja Waszój Miłości, i o tém jeszcze
będzie trocha do pogadania. W prawiech na-
szych stoi, ale to wyraźnie jak wół stoi, że je-
żeli kto pozostaje w posiadaniu jakowój ziemi
spokojném, «pacifice et quiete», przez całe lat
trzydzieście, wtedy następuje «praescriptio». To
już jest przedawnienie po-nad wszelakie przeda-
wnienia. Na to już niéma żadnej rady. Owóz

Zyndram jest w posiadaniu Żegnańca nie od lat trzydziestu, ale już kole czterdziestki.

— No, i cóż to znaczy?—Zawołał Xiążę zapalając się nieco gniewnie.—Wasze pono chcesz mię uczyć jako tego żaka Bakałarz, a sam przepominasz o dwóch rzeczach, co takóž stoją w Prawiech wyraźnie, już nie jako jeden wół, aleć jako cała para wołów. *Primo*, że «praescriptio» ginie w czasiech wojny, a ten Zyndram właśnie též z nieszczęśliwości wojennych dorwał się onego dziedzictwa. *Secundo*, że niéma tak starego posiadziela, co by nie musiał pójść precz, jeśli jeno zjawi się drugi, który pokaże prawo lepsze, jeszcze z pamięci starych ludzi «niewygluzowane.»

— Ja. Sehr gut. Jeśli ma «prawo lepsze», to i owszem.

— No, więc i o cóž chodzi? Wszakci tu rzecz jasna jak słońce? Żebych jeszcze ten Zyndram był jakowy biédak, aleć on we złocie szczerém pływa, imion i kasztelów ma jako włosów na łbie, bogacz jakoby czysty Dux? Że sobie trzymał Żegnaniec spokojnie, dopóka myślił co wszystkie prawe spadkobierce wymarły, to mu się nie gani. Aleć teraz? Czyż ten chciwy starzec niéma ni krzynki serca, ni sumnienia? No, sam powiedz, gdzie tu ślachetność? Jeżeli Zyndram jest onym człekiem sprawiedliwym, nad jakowym niektóre ludzie płaczą, toć powinien po dobrej woli, bez niczyjego nakazowania,

więcej powiem: powinien z weselem duszném, zaraz oddać wszystko synowi brata i tój nie-szczęśnej niewieście.

Podsędek odkrząknął, i przez chwilę milczał, jak człowiek co się zamierza ze stanowczym ciosem.

— Nie «opponuję». — Rzekł nakoniec. — Nic a nic nie «opponuję». Zyndram, kubek w kubek to samo do mnie gadał. Tak, wyraźnie powiedział: — «Ach, żebych ten mój synowczyk mógł się naléźć, to ja byłby najszczęśliwszy z ludzi, oddałby ja mu wszystko dzisiaj, tój godziny!» — To jeno biéda, że on nie przyznawa nijakim sposobem, abych Jan Włóczek miał być onym synowcem, — i takóž nieprzyzna nigdy abych trędowata żebraczka Elżbieta, była panią Elżbieta, wdową po Sulisławie.

Tu Xiążę zerwał się z krzesła.

— A to znów co nowego? Nieprzyznawa? Proszę! Tedy wedłuch niego, wszystko bajki? A jednakoż ta niewiasta gada po Tatarsku? Wszak-ci rozmawiała się z jeńcami? Cały Kraków to słyszał.

Podsędek znów się uśmiał i odparł:

— U Tatarów mogła być, dla czego nie? Ale czy to jest prawdziwa ona wdowa po Sulisławie, o tém wątpienie mam, i pono więcej niż wątpienie, a to z takowego powodu: Lat będzie temu z piętnaścioro, Zyndram widział kilku przejezdnych kupców, z onych to Wrocławskich

śmiazków, co jeździli ongi aż do Wielkiego Chana, aby tam przedawać swój towar. Ci mu rozpowiedali straszne rzeczy. Exemplum: gadali, jako jeden z nich, imieniem Hans, patrzył własnemi oczami na śmierć pani Sulisławowej, która pod różgami Tatarskiemi skonała.

— Co? Co? Pod różgami? Skonała? I on to widział?

— Na własne oczy. I widział jak ta jakaś Ludmiła, (co z nią tu niby teraz miała wrócić,) stała tam, ręce łamała, w niebogłoso krzyczała, bowiem te niewiasty pono miłowały się jakby rodzone. A skoro krzyk nie pomagał, zaczęła z rąk i z piersi zdięrać swoje pogańskie klejnoty, i rozdawała je katownikom, a błagała aby się zmiłowali; aż się i zmiłowali, jeno że po czasie. Kiedy oprawca odwiązał panią Elżbietę ode słupa, to była już zasiekana. Tamta ją jeszcze cuciała, maściami okładała, nic już nie pomogło. Więc tylko się już zapłakiwała, i sprawiła jej suty pogrzeb. Zyndram tedy mówił: «Chciałby ja nie wierzyć, ale jak tu nie wierzyć? Dla jakiejże by jenszej niewiasty owa Ludmiła zechciała marnować swoje kosztowności, i łzy wylęwać, i pogrzeby sprawić? Nieszczęście! Niémam już bratowej.....» A kiedy tak utyskował, to stary sam oczy ocięrał.

— Co ty gadasz? Boże święty! — Zawołał Xiążę chwytając się za czoło.—I gdzież ten kupiec jest? Cóż to za jeden?

— Proszę Xięcia, ów Hans już z dawności nieżyw. Nie dojechał nawet z powrotem do swojego gniazda, zamarł w drodze, gdzieś na ziemiach Ruskich, z niewywczasów i pono z przemrożenia. Aleć niedawno jeszcze żyło kilku tych kupców, którym on po dziesięćkroć, i po stokroć razy opowiadał oną oplakaną przygodę. Zapisał ja sobie ich nazwania, i jeśli jeno jeszcze nie poszli «ad patres», to ich pozwiemy na świadki. Teraz, co do dziecka, niemięjsze wątpienie. Zyndram powieda: «Niechajby mój synowczyk chodził jeszcze żyw i zdrów po świecie, czyż to rzecz do wiary, abych się bez czterdzieście lat nie upomniał o swoje dziedzictwo? Czemu-by niemiał przyjść po prostu do mnie? Wszak-ci ja go tak długo wypatrowałem, wszak-ci ja dla niego to wszystko przechowywałem? Tak, ale *tylko* dla niego, a nie dla jakowych samozwańców.»

Xiążę mocno się zachmurzył.

— A to — rzekł — piękne byłoby odkrycie! Po prostu — oszustwo.....

Podsędek uśmiechnął się zjadliwie, i potwierdził:

Ja. Tak jakoś, na to wygląda.

Leszek, z rękami w tył założonemi chodził po komnacie, i wołał:

— Ależ to byłoby paskudztwo! Ten wale-

cznik co nam stolicę obronił, oszust? A mój Boże, cóż to za wstyd dla całego miasta!

— Proszę ja Waszój Miłości, może Włóczek i nie zawinił? Możeć sam piérwszy ostał oszukan? Wedłuch mego myślenia, całej biędzy narobiła owa żebraczka. Kto to wie, mogła na Tatarzech potkać prawdziwą panią Elżbietę, mogła tam zbierać posłuchy o «dziecku Jasiu», o «kasztelu Żegnanieckim», i o skarbach jakie tamta ostawiła w kraju? Tedy jak przyszła tutaj, a przewąchała że prawdziwe dziecko zaginęło, dalej-że piérwszego znajdka przyznawać za swego synalka. Myśliła, co takowym sposobem zagarnie one skarby i kasztel. Mądra baba, niema gadania, jeno w końcu się przerachowała. Herr Gott, co ja téż robię? Gadam i gadam swoje, a przepominam co najlepsze: mam ja tu od Zyndrama pisanie..... sam on pewnie najsprawiedliwiej oczyści się przed Waszą Miłością.

Podsędek sięgnął do zanadrza, i podał Leszkowi odpowiedź Zyndrama na pismo Xiążęce. Odpowiedź była harda, nawet gwałtowna. Po długiém i bezładném wyjaśnieniu przeszłości, piszący dodawał w końcu:

«Czyż mógł ja się spodziać, co mnie, zgar-
«bionego nade grobem, potka takowa zniewaga?
«Co szajka łotrów spiknie się na moją dobrą sła-

«wę, a syn Piastów, jakowym ja kopę lat wier-
«nie usługował, niedosyć że mię pod swój szczyt
«nie weźmie, alic mię potępi bez nijakiego prze-
«słuchu? Owóż ja Żegnańca nie oddam, choziaby
«dla tego jednego, co takowe oddanie, to już ja-
«koby przyznanie się do winy, która jest fał-
«szem niegodnym Xiążęcych Waszych oczu.
«Nie oddam—a jeślić trza skarbów na dank dla
«rycerzów świeżo upieczonych z Prądnickiej ma-
«ki, toć nasz Miłościwy Xiążę najdzie ich w swo-
«im Wawelskim Skarbcu dosyć, abych obdzie-
«lić wszystkie Krakowskie Cechy, przez krzy-
«wdzenia starych rycerzów, jakowi bez cały ży-
«wot mieczem się bawili, a danku nigdy nie
«prosili.»

Bardzo to szczęśliwie wypadło dla Zyndra-
ma, że Xiążę tak późno dostał jego pisanie.
Z początku, byłby się niem pewnie obruszył
i obraził. Teraz, po rozmowie z Podsędkiem,
zachwiany, może nawet już wpół przekonany,
czytał i odczytywał, w myśli ważąc dwa przy-
puszczenia: ta gwałtowność mogła być bezczel-
ném zuchwalstwem, ale mogła też być i wykrzy-
kiem oburzonej niewinności? Ach, ktokolwiek
dotknął się nieco bliżej «sądów» ludzkich, ten
wie jak trudno te dwa głosy rozeznąć, jak są
przerażająco do siebie podobne!

Leszek zatroskał się szczerze. Położywszy list na stole, zapytał:

— No, a teraz, co mamy robić?

Podsędek podniósł nieco ramiona, i roztworzył ręce.

— Ja. Co robić?—Odparł.—Nic a nic, dopóka czy ta czy tamta strona nie przyniesie dowodów, ale to dowodów takich jak na dłoni. Tymczasem, nie widzę ja przyczyny aby tego biédnego starca obdziierać z mienia i czci.

— Juści.—Rzekł Xiążę.—Wszelako dobrze wam pamiętać, co i drugiej stronie takóž chodzi o mienie i cześć. No, zlecam wam tę sprawę bardzo pilnie; róbcie jak to wy umiécie, zbierajcie dowody gdzie się da. Niechciał-by ja niczyjój krzywdy.

Podsędek obiecał wszystko, i opuścił Zamek.

U podnóza Wawelu, z bijącym sercem już czekali na niego, Jan, Matjasz, i wielu mieszczan. Zimne odpowiedzi, kapiące z tych ust powoli jakby krople z opoki, zmroziły ich i zdumiały niewymownie. Z początku, poczytano posłowi za istny «crimen», że dał się tak łatwo przekabacić przez «niegodziwego Stryjka». Niektórzy též przypomnieli sobie, iż Podsędek wyjeźdżał z pasem bardzo płaskim, a wrócił z tymże pa-

sem grubo naładowanym. Jego pacholek rozpowiadał, jako pan w dzień powrotu, pod wieczór, zamknął się samiuteńki w izbie, i długo liczył a liczył jakieś «wielgie, okrutnie brzęczące pieniądze». Przez trzy dni, cały Kraków burzył się, wrzał, i szemrał.

Jednakże, kiedy mądry Frycek zaczął z wolna kroczyć po różnych ulicach, i temu i owemu kłaść w ucho misterne słówka, jeszcze się trzy dni owe nie skończyły, a już prąd umysłów zaczął zmieniać koryto.

I nie dziwota. Jan miał już nieprzyjaciół.

Jedni mu zazdrościli nagłego wyniesienia, inni zazdrościli łask Leszkowych. Dotąd, musieli cicho siedzieć. Teraz, przy piérwszej sposobności, podnieśli syczące głowy.

Inni jeszcze, nie z żadnej osobistej zazdrości, ale przez miłość własną mieszczańską, cieszyli się i szeptali: «Dobrze mu tak.... po co się pnie wysoko, do pańskiego gniazda? Czy to mu niedosyć chwalebności, że jest Krakowczyk i nasz wybawiciel?»

Mieszkańcy dworku tymczasem, byli pogrążeni w nieopisanéj zgryzocie. Ach, jak to łatwo ludzkie szczęście rozbija się o najmniejszą zapo-

re! Zerwanie więzów — powrót do ojczyzny — odnalezienie się wzajemne — wszystko teraz wydawało im się niczém, jeśli nie odzyskają Żegnańca — bo tu chodziło nie o sam Żegnaniec, tu szło przedewszystkiém o ludzki szacunek.

Jeszcze Jan byłby może prędzój się pocieszył, ale niewiasty były nieukojone. Elżbieta, zawsze cierpliwa i lękliwa, na ten raz rozwijała rozpaczłą siłę ptaszyny, co ze skwierkiem i biciem skrzydeł chce obronić jedyne pisklę. A dopióróż gorąca Ludmiła! Ta trzęsa się z oburzenia. Jakto? Ów Zyndram, co zatrął jój młodość, co zwichnął życie Jasia, miałby i dziś jeszcze tryumfować? A oni mieliby pozostać, nietylko wyzuci ze wszystkiego, ale nawzajem obarczeni hańbiącym zarzutem?

To téż wszyscy troje nastawiali zawzięcie na dalsze prowadzenie poszukiwań. Zasięgnięto wiadomości z Wrocławia; owych kupców którzy to jeździli z Hansem, nie dało się odnaléźć, bo takich imion jakie podawał Podśudek, nigdy tam nikt nie słyshał; tym sposobem najważniejszy argument Zyndrama upadał, to prawda, — ale i druga strona nie miała żadnych dowodów *oczywistych*. Po rodzinnych pargaminach, ani śladu. Żebyż Jan był chociaż posiadał jakie pismo wuja Macieja, lub jakąkolwiek pamiątkę? Ale to ani świstka, nic!

Sprawa przewlekała się bez końca, gasła jak ogień którego niéma czém podsyć. Podse-

dek niby się kręcił, a niemógł czy niechciał jój wyjaśnić..... Xiążę także dla niój zobojętniał; może uważał ją za węzeł, którego żadna ludzka ręka nie zdoła rozwikłać? A może w głębi duszy myślał razem z mieszczanami, że lepiej aby Włóczek pozostał prostym Włóczkiem?

Wprawdzie postawił się bardzo wspaniale; oświadczył pokrzywdzonym że «osobiście» wierzy w ich niewinność, a ponieważ niemoże prawnie zwrócić im Żegnańca, zatém na wynadgrozdzenie, chce im puścić w dożywocie którą ze swoich własnych Xiążących posiadłości.

Ale obdarowani odmówili; z dziękczynieniami—z przeprosinami—jednak odmówili. Obawiali się ażeby przyjęcie *łaski*, nie wyglądało na wyrzeczenie się *praw* im przynależnych. Powiedzieli sobie że muszą na wszelkie sposoby owych praw dochodzić, szukali obrońców i przyjaciół.

Nie brakło ani tych ani tamtych. Jeden zwłaszcza, okazał gorliwość niezrównaną; a była to niemała figura, był to sam Kasztelan Sandomiérski, Krystyn z Ostrowa herbu Rawicz.

Co panu Kasztelanowi natchnęło taki nagły zapal? Zapewne nie samo współczucie, ani wyłączna miłość sprawiedliwości, gdyż człowiek ten

rządził się najczęściej czysto-światowemi względami. Może był urażony, że Xiążę chciał w téj głośniej sprawie obejść się bez jego Kasztelańskich Sądów? A może téż miał szersze widoki, może chciał usłużyć zamiarom swego stronnictwa?

Istniały one bowiem w kraju; głuche i przyczajone, ale niemniej zawzięcie sobie dopiekające.

Pod rządami nowego Xięcia, Małopolska wydawała się na pozór dość kwitnącą i jednolitą, wewnątrz jednak toczył ją zły robak: niewszyscy Leszkowi Czarnemu sprzyjali. Niższe rycerstwo miłowało go wielce, gdyż był to pan wojenny, i w bitwach szczęśliwy, — ale wysocy dostojnicy, tak duchowni jak świeccy — już wówczas nawiązujący złotą sieć możnowładztwa — codzien posepniej na niego patrzyli. Przestraszał ich ten młody zwycięzca, który swoją żelazną rękę nosił tak mocno zaciśniętą, jakby w nią chciał zebrać na nowo, rozpierzchłe lejce samowładzy królewskiej, — który uśmiechał się tak imperatorsko, jakby chciał wskrzesić czasy Chrobrych. Oburzał ich nowomodny ten polityk, co widocznie chciał podnieść stan mieszczański, co chętnie skłaniał ucha ku pojęciom i prawom Zachodu, przynoszonym do nas przez cudzoziemskie ręce.

— Niewygodne to Xiążę. Czybychmy sobie lepiej nie zaprosili jenszego?

Takie szepty krążyły pomiędzy stronnictwem, nad którym przewodziło pięciu najwyższych w kraju potentatów: Biskup Krakowski Paweł z Przemankowa, dwaj Wojewodowie: Krakowski Żegota i Sandomiński Janusz, oraz dwaj Kasztelani: Krakowski Warsz, i ów Sandomiński Krystyn.

Myśl zaproszenia sobie innego Xiążęcia, nie wydawała im się tak bardzo dziwną ni zbrodnią, boć od półtora wieku, następcy Krzywoustego nieustannie krążyli po różnych dzielnicach, tu spychani, tam zapraszani kolejką. Nie wydawała im się téż tak bardzo trudną do wykonania, i rzeczywiście w kilka lat później, miała wybuchnąć potężnym rokoszem. Teraz jednak, myśl owa była dopięro w zawiązku, malkontenci rozglądali się jeszcze między Piastowicami, szukając dla siebie «najwygodniejszego», — a tymczasem — ile mogli, robili Leszkowi nieprzyjaciół — i gdzie tylko mogli, płatali mu złe figle.

Między innemi przekorami, Kasztelan Krystyn uczepił się i Żegnanieckiej sprawy. Chciał dokuczyć Xięciu, a razem i mieszczanom Krakowskim, pokazując że ich bohater, ich Benjamin, był synem rycerskiego domu.

Poszedł na Zamek, i z udaną uniżonością, prosił o zwrócenie téj sprawy Kasztelańskim Sądom. Xiążę niemógł uczciwie odmówić. Zezwolił, dodając nieco szyderczo i górnie:

— A i owszem. Popróbujcie, szczęść Boże!

Może wam się wymyślniej uda niżeli nam wszystkim.

Krystyn, draśnięty w swojej miłości własnej, tém żywiej wziął rzecz do serca.

Ale chcieć a móżdż, to jeszcze nie jedno. Rozpatrzywszy się w sprawie, zaczął zapytywać samego siebie, czy nie wziął na barki przedsięwzięcia nad siły? Prawnie wywłaszczyć Zyndrama było niepodobieństwem; trzydziestoletni termin przedawnienia stał w ustawach jasno jak słońce; później dopiero, dużo później, dodano tam zastrzeżenie, że «dla wracających z niewoli Tatarskiej, *pracscriptio* wcale nie istnieje.» Dodatek ów powstał właśnie w skutku wielu sporów podobnych do sprawy Żegnanieckiej, ale ta, będąc pierwszą w onym rodzaju, natrafiała na niepokonane przeszkody.

Kasztelan Krystyn powróciwszy do Sandomierza, chciał nasamprzód osobiście wy badać «straszego Stryjka», miał nadzieję że go wyciągnie na słówka. Wyzaczył mu pierwszy «Rok» sądowy, ale Zyndram wcale się nie stawiał. Zapadł «Rok» drugi, Zyndrama znów ani na oczy. Wtedy oburzony Kasztelan ogłosił tak zwany «Rok zawity», przy którym rozsyłane Wici, wzywały pospolite ruszenie przeciw burzycielowi prawa.

Jednak, przed zbrojnym najściem na krną-

brnego szompierza, Krystyn chciał koniecznie zdobyć jakieśkolwiek przeciw niemu dowody; w tym celu wybrał się raz jeszcze do Krakowa. Im więcej napotykał trudności, tém uporniej chciał postawić na swoim. Poruszył ziemię i niebo—przemógł nawet obawę trądu, zaczął odwiedzać dworek naszych niewiast, i odtąd wszyscy razem toczyli długie, gorące narady.

Szły znowu listy do Wrocławia, szukano papierów po Xiędzu Macieju—przepadły.

Szukano krewnych Rafała; ci żyli, nie jednak zaświadczyć niemogli czy niechcieli, sami owszem z jakąś niepojętą ciekawością dopytywali się i dopraszali o podobne świadectwa.

Kasztelan nie znalazłszy dowodów mogących wyjaśnić urodzenie Jana, chciał przynajmniej dowieść tożsamości branek. Na jego rozkaz, tak w Krakowie jak w okolicach Sandomierza, wyszukiwano starych ludzi co mogli znać je *przed* niewolą. Rzeczywiście, znalazło się wielu starców, którzy wybornie pamiętali prześliczną Elżbietę i wspaniałą Ludmiłę. Ale kiedy stawiono ich przed niewiastami, zmieszali się i zająknęli. Zgryzoty, niewygody, lata, a zwłaszcza téż trąd, zmieniły je do niepoznania. Świadkowie, powodowani współczuciem, niechcieli stanowczo przeczyć, mówili:

— A juści, pewnieć to te same białogłowy.....

— Czemu-by nie? Wszystko to może być.....

Jednak, za pociągnięciem do przysięgi, twierdzili, że niemogą narażać sumienia, i wywijali się na sto sposobów.

Chciano zdobyć zaświadczenie owego rycerza Sylwestra, co jako giermek, dzielił z brankami początek niewoli. Ale i tego, jakby na przekorę, nie było wcale w kraju. Zaraz po skończeniu wyprawy Halickiej, razem z jedynakiem wyruszył na Węgry, czy jeszcze gdzieś dalej, ażeby zakosztować, bardzo wówczas poszukiwanych rozkoszy «błédnego rycerstwa», przyczém chciał zapewnie otrzymać dla syna pasowanie rycerskie na którym ze Dworów zagranicznych, bo takowe pasowanie, im dalej zdobyte, im dziwniejszemi przygodami kupione, tém cudnieć w oczach ludzkich wyglądało. A i owszem, niech im Pan Bóg szczęści, to tylko biéda, że właśnie *teraz* wybrali się na zbrojne swe pielgrzymowanie! Czy kto zaklął tę sprawę Żegnaniacką, czy co?

Niektórzy radzili ażeby zdać wszystko na *Sąd Boży*, powołując Jana i Zyndrama do sądowego pojedynku. Ale rada ich okazała się niewykonalną; Jan za nic w świecie nie byłby chciał walczyć na śmierć z rodzonym stryjem, a dumny Zyndram pewnie by téż i nie raczył

potykać się w szrankach ze człowiekiem, którego mienił prostym Włóczkiem.

Krystynowi ręce zaczynały opadać.

Pewnego wieczora, siedział we dworku z Janem i niewiastami, wyszukując jeszcze jakich środków ratunku.

Rozmowa obumięrała.

— Ach, jaka to szkoda—rzekła z westchnieniem Ludmiła -- że już nieżyw Xiążę Bolesław, mój zacny opiekun! Już ten byłby nas od razu poznał. Mogłabym ja mu przypomnieć niejedno ucieszne słówko jakowém ongi mi się przekomarzał, a jakowego nie słyszał nikt jeno ja. Czyż to nie trzeba prawdziwego nieszczęścia, aby po tak długim żywocie, zmarł właśnie tuż przed naszym wróceniem?..... Teraz, wszystko nowe ludzie..... ani gadaj z niemi o tamtych czasach..... Oto choćby i Biskup Prandota, poszedł takż na tamten świat..... wszyscy..... wszyscy.....

Tu Ludmiła nagle zamilkła, jakby uderzona niespodzianą myślą. Oczy jój zabłyły z po-za osłon.

— Co ja téż gadam? Nie wszyscy! Wszakci królowa Kinga żyje? A my z nią takż mięwały rozmowy poufne, pełne wielkich «misteriów». Niech jój tylko te rzeczy przypomnimy, a w onczas.....

— Prawda!—Zawołała Elżbieta.—O Ludko, jakiś anioł podszeptał ci takowe pomyslenie! Że téż to wcześniej do głowy nam nie przyszło? Tak, są rzeczy, których nikt pod słońcem niewie, jeno my i ona. Tak..... tak..... A przytém, wszakci to ludzie mówią, że ta święta pani umie czytać w sercach i w przyszłości? Może nam poda jaką radę przez Boga natchnioną?

Kasztelan zerwał się, i klasnął w ręce, wołając:

— Victoria! Co gadacie wy o Xiężnie Kindze, to najczystsza prawda; już ona nieraz—jako nowy Daniel—jedném słówkiem rozcięła sprawy, których nasze Sądy niemogły w żaden ludzki sposób rozwiązać. Jedźmy do niej! Co żywo! Wszyscy!

Po niedługich przygotowaniach, wyruszono do Sądeckiego klasztoru. Niewiasty, jako scho-rzałe, jechały na wózku, — mężczyźni konno — Jaś na swoim cudnym Tatarczyku, na którym po kilku niedzielach jeździł już tak przednio, jakby całe życie nic innego nie robił.

Kasztelan wziął z sobą wielu Sędziów i Ławników, bo chciał aby świadectwo Xiężny zabrzmiało przed pełnym Sądem. Jechał więc i Miecznik, i Chorąży, należący z urzędu w owe czasy do sądowego zgromadzenia. Jechało téż sporo i ludzi wojennych, którzy dostawszy Wi-ci, stawili się skwapliwie, bo pomoc udzielona Prawu przeciwko tak możnemu panu, mogła roz-

tworzyć niemałe pole dla odwagi, a może i dla obłowu.

Krystyn chciał także koniecznie zabrać «mądrego Frycka», posłał do Krakowa Pachołka z wezwaniem, ale Podsedek jak na złość zachował, twarz obwiązał, na łożu stękał, i wymówił się od podróży. Za to wielu mieszczan Krakowskich, a nawet i kilku rycerzy bawiących u Dworu, przyłączyło się z ciekawości lub współczucia, do wyprawy po «świętą prawdę».

Wyjeżdżano więc tłumnie, gwarnie i gorączkowo. Nowy promień nadziei, może już ostatni, wy dobył z serc ostatnie siły.

Blisko nieba.

Po drodze, wszędzie napotykali jeszcze ślady postrachu rzuconego przez najście Tatarów na stolicę. Ludzie słysząc o wtargnieniu tak nieprzewidzianém, niemogli i niemogli ochłonać z popłochu, ciągle się lękali jakiej powtórnej niespodzianki. Pustkami stała niejedna wieś, której mieszkańcy uciekli do zamków obronnych. Na polach, rzadki pracownik obracał głowę ze drżeniem, gdy usłyszał tętent gromady podróżnej.

Od jednego z tych ludzi, otrzymano ważne objaśnienie: Xiężny Kingi nie było w Sądzu. Także spłoszona przez wieść o poganach, schroniła się do warownego zameczku w górach Pieśnińskich, razem z kilkudziesięciu innymi Klaryskami, o których los truchlała w Sądzu, bo tam klasztor niedawno zaczęty, ledwie murami odro-

sły od ziemi, nie przedstawiał jeszcze żadnego bezpieczeństwa.

Zmieniono więc drogę, skierowano się ku Pieninom. Były one wtedy nierównie surowsze, dziksze i lesistsze niż dzisiaj, gdy już kilkowiekowa praca ludzi, złagodziła ich grozę i ułatwiła dostęp. Musiał ten dostęp srodze być niełatwy, kiedy Mniszki ufały że zatrzyma Tatarów. Tak, trudno było Tatarom, ale niemniej trudno i Chrześcijanom dobrać się do téj zaprzepaszczonej puustelni.

Nastała podróż bardzo ciężka, zwłaszcza dla chorych podróżniczek. Wśród skał, niezbyt wysokich ale dziwnie spiczastych i pociętych, połamocących kaskadach z głazów i ze żwiru, niewiedzano jak je przeprowadzać? One, dawniej takie wytrzymałe na wszelkie trudy i niebezpieczeństwa, one co przebyły Azję i Europę, teraz już niemogły się poznać. Wszystkiemu jest koniec. «Póty dzban wodę nosi aż się ucho urwie».—Owe to właśnie nadmierne trudy, połączone z chorobą, wyczerpały ich siłę, — ostatnia zima przebyta w Krakowie wśród rozpacz, dobiła je do reszty, — i kiedy szczęście powróciło, to już poniekąd zapóźno, już nie zdołało naprawić szkód przeszłości.

Podróżni mieli wiele kłopotu z niewiastami;

niemogły przez czas dłuższy znosić jazdy konnej, o pójściu pieszém ani było myśleć, musiano wózek wszędzie z niemi przeciągać. Ale i wózek męczył je niesłychanie; wisząc na ścieżkach prawie prostopadłych, trzęsąc się na twardych rumowiskach, nieraz jęknęły od tłumionego bólu, a Jan mienił się za każdym takim jękiem, jakby mu wnętrzności targano.

Pokazało się nakoniec tajemnicze schronienie.

Poniżej, szumiał Dunajec, — czasem pędzący wąziem, wartkiem korytem, czasem rozlany w ciche, zdradzieckie jeziora, pod któremi wrzały skryte wiry.

Nad jednem z takich zwierciadeł, zamkniętém górami—ciemno-granatowém od ich cienia—wśród lasu iglic i maczug skalistych—wystrzelała opoka, niezwykle kształtna i odosobniona, jakby olbrzymia podstawa do posągu Świętej.

Wązki jej wierzchołek ledwie wystarczał na objęcie warowni, której mury ścięte prostopadle z górą, tworzyły jakoby dalszy ciąg żywej skały.

Mury te były bez okien, ślepe, mroczne, gdzie-nie-gdzie tylko mrugające ciemniejszymi

kréskami strzelnic, rozsianych nierówno jakby przyrodzone szczeliny w opoce.

Z po-za ścian wyglądała jedna, jedyna wieża, także bezoczna, bezbarwna, gładzista, niby jedną iglica więcej w tém najeżeniu ostrych szczytów.

Cały budynek wyglądał jakby niezamieszkały, martwy. Jednak z po-za tych strzelnic, z owéj zwłaszcza głuchéj wieżycy, niejedno pewnie oko patrzyło podejrzliwie, i badało każdy ruch okolicznój krainy, która musiała ztamtąd być widna jak na dłoni.

Jan spostrzegłszy nadpowietrzne siedlisko, zawołał:

— A niechże ją Pan Bóg kocha, tę naszą nabożną Xiężnę, jakżeż ona już blisko nieba! Cóż my teraz biedaki zrobimy?

Rzeczywiście, trudności rosły. Do twierdzy prowadziła jedna tylko steczka, nakształt wielozwójnej śruby okręcająca się w około góry.

Tu już wózka niemożna było wciągać.

Jeszcze z Ludmiłą znalazła się rada; przywiązano ją do konia, i prowadzono zwolna. Ale Elżbieta o schorzałych nogach, niemogła w żaden sposób utrzymać się na koniu. Jan, niedłu-

go myśląc, zeskoczył z Tatarczyka, dźwignął Matusię na ramiona, i z tym drogim ciężarem puścił się pod górę, wśród poklasku rozrzewnianych widzów.

Długo ich zatrzymano u bramy. Jednakże kiedy Kasztelan wymienił swoją godność, kiedy wytłumaczył że chodzi o rozstrzygnięcie losu nieszczęśliwych, furtka się odchyliła.

Widok wnętrza zdziwił ich przyjemnie. Znaleźli tu życie i ruch gospodarny, których nikt się nie domyślał po-za ścianami tego ula.

Dziedziniec był przedzielony wieżą i murem na dwa pomniejsze dziedzińczyki. W pierwszym, kręciły się strażę, mające tam swoje pomieszkania, składy żywności i broni. W drugim, wewnętrznym dziale, mieszkały Panny zakonne.

Za tę drugą furtę, Kasztelan wziął już tylko Sędziów i starszych rycerzy, zostawiając żołnierstwo i wszelką młodzież w towarzystwie straży zamkowych.

Jan i niewiasty szli przodem, z sercem bijącym od niewytłumaczonego wzruszenia.

Drugi dziedzińczyk przedstawiał się jeszcze nadobniej niż pierwszy. Okolony był krużgan-

kami o rzadkich, szeroko-ramiennych słupach, za któremi snuły się Klaryski w habitach szarych z kapturami. Snuły się i znikały jak cienie.

Poniżej, panowało nieco więcej ruchu. Przez drzwi otwarte od jednej z izb dolnych, potężnie sklepionych, buchał czerwony płomień kuchni, przy której kilka Mniszek, przepasanych białymi fartuchami, przyrządzało posiłek dla siebie, a może i dla załogi zamkowej.

Izba «gościenna» była na piętrze. Dochodziło się tam po schodkach zewnętrznych, skośnie prowadzących do krużganku.

Właśnie w téj chwili z pod tych schodków, z głębi lochów zamkowych wyszła stara Mniszka, zgięta pod naręczem drzewa które niosła do kuchni.

Spostrzegłszy nadchodzącą trójkę, ustąpiła z drogi pokornie, i patrząc na nich, uśmiechnęła się jakby dawna znajomość.

Nikt jednak z trojga podróżnych jéj nie znał.

Była bardzo sucha i wychudła. Rysy mocno już wiekiem zaostrome, zdradzały wszakże lady niepośledniej piękności; oko czarne, powłóczyste, miało jeszcze cudne przeblęski. Z ca-

łój postaci wiała jakaś surowość, którą tylko wyraz miłosierdzia łagodził.

Przepuściwszy gromadkę, znikła w pół-mrocznych głębiach kuchni, a podróżni wstąpili po schodach do izby gościnnój, gdzie wyszła na ich spotkanie inna Zakonnica, także stara, przytém i mocno brzydka; jednak z tój brzydoty przeglądała poczciwość wdzięczniejsza od samego wdzięku. Zwano ją Siostrą Agnieszką.

Ach, już co ta, — Boże mój! to przecie znajomość. To «panna Agnieszka», owa powiernica królowej, co to dla niój wyszukiwała ubogich, co za nią nosiła szkarłatny worek z jałmużną. Niegdyś razem na Dworze — dziś razem w klasztorze — nic, jak widać, niemogło rozdzielić świętych przyjaciółek.

Tymczasem nadeszła i reszta podróżników.

Kiedy Kasztelan opowiedział, że przybyli do Xiężny Kingi aby zasięgnąć jój rady w trudnej sądowej sprawie, Siostra Agnieszka wybiegła na krużganek, i przechylona przez poręcz, zawołała:

— Matko Kingo! To do was goście.

Na jój głos, owa stara Mniszka wyjrzawszy z kuchni, odrzekła:

— Zaraz idę Jagusiu, zaraz.

I podczas kiedy na dole odpasywała fartuch, w izbie górnej podróżni wołali z obruszeniem:

— Czy może być? To jest Xiężna? I ona drwa nosi? I wy na to pozwalacie?

— Łatwo gadać, moi łaskawcy! — Odparła Siostra Agnieszka wesoło.—A czy ona się pyta o nasze pozwolenie? Ba! Nietylko drwa nosi, ale w piecach pali, misy umywa, co jeno może wynaléźć najpodlejszego, to bierze na siebie. Gdzie chodzi o pokorę albo téż o umartwienie, tam potrafi oszukać nawet najmędrszych Xięży. Oto jeszcze kiedyś dawniej, Spowiednik jój kazał koniecznie, ale to koniecznie, aby nosiła trzewiki, bo jak chodzi boso, to zaraz okrutnie kaszle. Cóż robi moja Kindzia? Kładzie je na nogi, ale wycina z nich podeszwy.... Tak więc była razem i w trzewikach i boso—i posłuszna i umartwiona.

Przy tém opowiadaniu, Siostra Agnieszka śmiała się serdecznie, z rodzajem figlarnego, dziecinnego tryumfu.

Słuchacze mieli ochotę zapytać, co téż Spowiednik powiedział na ten osobliwszy rodzaj posłuszeństwa, ale tymczasem Kinga weszła, i z nikim się nie witając, pobiegła prościuteńko do naszych dwóch niewiast, które ucałowała gorąco, w samą twarz, w same usta. Ludmile nawet odsunęła rąbek, ażeby się do jój ust przygarnąć.

Obie niewiasty w jój objęciu wydały krzyk dziwny—i stanęły jakby porażone.

Czy je tak zdziwił ten bohaterski dowód miłosierdzia? Być może,—jednak ich wzruszenie wyglądało na coś potężniejszego niżeli prosty podziw. Mieniły się i drżały, niemogąc przyjść do słowa, niemogąc nawet Xiężnej powitać nawzajem.

Innych widzów także mocno zdziwił ten niespodziewany pocałunek. Pytali samych siebie w duszy, czemu Kinga najpierw pobięła do niewiast? Czy duchem proroczym je poznała? Czy tylko chciała je uczcić, jako trędowate?

Kinga, nie zważając na ogólne zdumienie, zaczęła wszystkich witać i prosić aby siedli. Sama umieściła się na koniuszczku najniższej ławy. Ale choć na szarym końcu siedząca, jeszcze wyglądała jako prawdziwa królowa zebrania. Siermiężny habit fałdował się u jój ramion majestaticzniej niż dawna purpura, i biała zawijka błyszczała przy jój skłoniach jakby krąg ze światła. Tak przynajmniej wydało się patrzącym.

Kasztelan przełożył wszystkie trudności spr-

wy Żegnanieckiej. Kinga przesłuchała uważnie. Zdawna już ona przywykła do podobnego słuchania, bo i małżonek, i dostojnicy, i nieszczęśliwi, zawsze lubili zasięgać jój rady.

— Popróbujmy,— rzekła— czy ja téż potrafię wam usłużyć?

Tu zagaiła rozmowę z Elżbietą i Ludmiłą; ale rozmowa szła tępo; niewiasty były jakies oniemiałe, jakby tylko na wpół przytomne. Wszystkich uderzyło to niepojęte pomieszanie, aż Jaś przestraszony szepnął:

— Matusiu, gadajcież śmielój, bo ludzie gotowe pomyśleć że my to wszystko nakłamali, a tera się sromamy.

Elżbieta gwałtownym wysiłkiem woli otrząsnęła się z osłupienia, i półgłosem powtórzyła Kindze kilka szczegółów z poufnój rozmowy, jaką niegdyś toczyły w zamkniętej Zamkowej komnacie, gdy chciały uratować Ludmiłę od załotów Zyndrama.

Ludmiła także, przyszedłszy powoli do zmysłów, przypomniła Xiężnie rozmaite słówka i żarty nieboszczyka Xięcia Bolesława, Siostrze zaś Agnieszce przypomniła jój «wróżebne szczygiełki.»

Agnieszka i Kinga wszystko potwierdzały. Sędziowie już zaczęli oddychać swobodniej.

Jednakże Xiężna nie była tak łatwą.

— To wszystko — rzekła — niedosyć. To są dowody dla mnie, a prawdę mówiąc, mnie co po dowodach? Ja was i bez tego, poznałam od razu.....

— Jakim sposobem? — Zapytano ciekawie.

Xiężna niechciała czy niemogła wytłumaczyć jakim sposobem. Zagadała sprawę, powtarzając:

— Tu nie chodzi o mnie, jeno chodzi o Sędziów. Dla nich trzeba jakowéjsz rzeczy coby to się dała oczyma doślepić, rękoma namacać, abych sumnienie mogło w nich się ostać bez nijakiej obrazy. Szukajmy jeszcze, aż Pan Bóg pomoże.

Tu zwróciła się do Jana; wyciągała zeń kolejno wszystkie wspomnienia dziecinne. Ale, jak wiemy, te wspomnienia były mętne, i w obliczu prawa bezpodstawne.

Kinga słuchała z wyraźném niezadowoleniem. Czasem potrzęsnęła głową, szepcząc:

— I to nie żaden dowód..... I to nam się nie przyda.....

Nakoniec, trafiła na szczegół który ją zastanowił.

Właśnie chciała wiedzieć, czy téż Jan pamięta napad Tatarów na zamek rodzicielski?

— Bogiem a prawdą—mówił—onego napadu ja nie pamiętam.... Przestrach, jak widno, popomieszał mi w głowie. Ale dobrze pamiętam jedną rzecz co się tegoż samego dnia stała, i co mi ostawiła na zawdy ciężki przypominek, właśnie bych zgryzotę sumnienia....

— Jakto? U małego dziecka, zgryzota sumnienia? To iście budujące.—Zauważyła Xiężna.

— A no tak. Wypłatał ja wonczas Matusi psotę.... nie byłaci ona wielka.... napłatał ja się nieraz więszych, ale za tamte zawdy się przeprosiło, a po téj ostatniéj to już nie stało czasu ani na wyznawanie, ani na przepraszanie. Oj, ciężła mi téż ona kieby jakowa zbrodnia, i niejeden raz jeszcze potém, o! w długie lata potém, kiedy by ja był chciał calušką krew oddać abych Matusi oszczędzić jednéj łezki w niewoley, to sumnienie mi precz gadało: «Tak, teraz to chcesz kiéj niemożesz, a pókaś ty z nią był razem, toś nic nie robił, jeno jéj dokuczał.»

— I cóż to za psota?—Pytano dokoła.

— Matusia miała jakowyś zeschnięty kwiatusek czy korzonek, a niepozwalala abych ja się tém zabawiał. Owóz ja, w zamieszalności dnia onego, wykradłem te ziółko i schowałem....

— Ach, moja Róża Jerychońska!—Wykrzyknęła Elżbieta.—Więc toś ty ją wziął? A ja się tyle natroskałam! Niemogłam w żaden sposób zro-

zumić gdzie ona się podziała? I gdzieś ją schował?

Tu Jan opowiedział, jak zszedł w sali zamkowej kryjówkę której nigdy piérwój nie widział, jak wzięła go pokusa pobawienia się ze wzbronionym kwiatkiem, i jak—przerażony głosami nadchodzących—wrzucił ją do kryjówki.

— Więc ona musi być tam jeszcze? — Przerwała mu Kinga.

— Ale gdzież tam, proszę Xiężny. Zamek był palon, niszczon. Bez ochyby wszystko zginęło.

— Dla czego miało zginąć? Wszakci ściany były, jak mówicie, z kamienia? Wszak sam opowiadałeś, jako stryj tylko wynaprawił zamek? Musiało się tam wiele ostać nietkniętego. Cemu nam szukać innój drogi, kiedy Pan Bóg tę pokazuje? Cóżby wy powiedzieli Panowie Scabini, gdyby się nalazła ona kryjówka, a w niej ona Róża? Wszakci to byłoby już prawdziwe «lico», jawny dowód jako dzisiejszy Jan Włóczek, to nikt inny jeno Jaś, dziedzic Żegnaniński?

— A juści, to-by już było jasne jak na dłoni.—Odrzekli jednogłośnie Sędziowie.

— Cudowne pomyslenie!—Zawołały niewiasty.—Jedźmy jak najprędzej do Żegnańca!

Ale Jan nie podzielał ich zapału.

— Ej.....—Mówił. — Czy to można puszczać caluśkie nasze losy na takowe niepewne próbowanie? A czy to Stryjek pozwoli abych my ściany obszukowali? Czy da nam wejść chociaż za bramę? A nuż on sam już wynalazł onę kryjówkę, i wszystko z niej wyrzucił?

Kinga położyła po macierzyńsku rękę na ramieniu Jana, i rzekła:

— Człowieku, wierz.—Do zamku wejdziecie, czy tą czy tamtą drogą. — Ta kryjówka jest — i Róża tam jest.—I ta Róża nietylko wam się odnajdzie, ale jeszcze wam się zazieleni.

Na te słowa powstał śmiech ogólny.

— A już wybaczcie, Miłościwa pani! — Zawołał Kasztelan.—Aleć abych to suche zielsko miało po czterdziestu leciech odkwitnąć, to już po-nad wszelaką wiarę.

— A my wierzymy!—Zawołały niewiasty.—Dość że Xiężna Kinga to mówi, — my już wierzymy, i pójdziemy na szukanie onęj Róży.

To rzekłszy, wstały z uniesieniem.

Już też była i pora do wyjścia, bo właśnie zaczynał tętnić dzwonek maleńki, z głosem przytłumionym; pewnie miał serce przewiązane; nie chciano używać głośniejszego, aby nie zdradzić zamieszkania twierdzy, ale głosik ten wystarczał na obręb dziedzińca.

Xiężna zerwała się skwapliwie, mówiąc:

— Oho! Już nam czas do Chóru.

I w mgnieniu oka znikła na krużganku, przez który długim sznurem zaczęły przeciągać Zakonnice.

Elżbieta i Ludmiła—na wielki podziw swoich towarzyszków—pierwsze wyszły, i zbiegły ze schodów bez pomocy.

Wszystkich wyprzedziwszy, znalazły się przez chwilę same jedne w pośrodku dziedzińczyka. Wtedy zamieniły ogniste spojrzenie, a po niém szereg zapytań, wzajemnie sobie wyrrywanych:

— I ty czujesz to samo?.....

— Tak..... Mnie się wydaje że jest zupełnie zdrowa.....

— I mnie tak samo..... Jezu Chryste! Kiedy mię całowała, to wyraźnie uczułam jakoby cichy piorun, co z jój ust wyleciał, i przeszył mię całą..... od stóp do głów..... aż do kości.....

— I ja zupełnie tak samo.....

— To było jakoby niebiańskie ale i straszliwe.....

— Tak,—niebiańskie ale i straszliwe..... ja się wylękałam, że aż wnętrzości dotąd się we mnie trzęsą..... Nie wiem doprawdy czy mówić o tém Jasiowi?

— Poczekajmy jeszcze..... Może to nam się tak tylko wydaje?

W téj chwili reszta podróżnych nadeszła.

Kiedy mijali pierwszą furte, już płynął przez powietrze chór głosów niewieścich, co przytępiony wielką grubością murów, tak brzmiał tajemniczo, jakby przychodził z najdalszych głębin nieba.

Już stanęli za bramą warowni.

Tu Ludmile podano konia, Elżbietę syn chciał wziąć znowu na barki; ale ta mu odrzekła:

— Czekaj trocha..... Spróbuję, czy nie potrafię pójść sama?

I wzięwszy się z Ludmiłą pod ręce, poszły przodem,—z początku nieśmiało, wylęknione własną śmiałością, — zwolna jednak, sprawdzając swoje siły, zaczęły zbiegać coraz prędzej, rażno i radośnie jakby młode dziewczątka.

Wszyscy krzyknęli,—najprzód z przestachu, potem z podziwienia. Dogoniono je, zasypano pytaniami:

— Co się stało?

— Wy możecie chodzić?

— Co to znaczy?.....

— My same nie wiemy co to znaczy..... Od czasu jak nas Xiężna Kinga pocałowała, tak nam się jakoś polepszyło.....

Wszyscy spojrzeli po sobie.

Wypadek wyglądał na cudowny. Jednak, nie okrzyknięto go takim natychmiast.

Ludzie wszystkich wieków, bywali w podobnych razach niełatwi do przekonania. Kto wie nawet, czy ludzie trzynastego wieku nie byli jeszcze trudniejszemi od dzisiejszych? Bo im człowiek mocniej wierzy w *ogólną możebność cudów*, tém ostrożniej, tém sumienniej rozeznawa i bada ich pojedyncze objawy, ażeby nie ubliżyć prawdzie, przez mieszanie jęj z fałszem.

I tutaj, widzowie nie dali się od razu porwać urokowi nadprzyrodzoności. Próbowali, czy nie potrafią po ludzku wytłumaczyć téj zmiany?

— Kto wie? — Mówili jedni. — Może dobra nadzieja tak ożywiła te niewiasty?

— No..... już to, Bogiem a prawdą mówiąc, — zauważyli drudzy — owa nadzieja nie jest

znów taka pewna ni mocna, abych miała sprawić aż podobne dziwy.

— Nie cieszymy się zawcześnie.....—Ostrzegął ktoś trzeci.—Obaczmy czy to się ostoi?

— Tak czy owak, — dodał zamyślony Kasztelan—zawdy jest w tém jakaś moc Boża.....

Powoli, wszyscy zamilkli, rozważając w sercu różne przypuszczenia, i radując się radością niewiast.

Najmniej ucieszonym..... (o dziwna budowa serca człowieka!) najmniej ucieszonym był Jan. On jeszcze nieśmiał się cieszyć..... Niedowierzał tak wielkiemu szczęściu. Wciąż mu brzmiały te zastraszające słowa: «Czy to się ostoi?»

Co chwila zabiegał niewiastom drogę, zaglądał im w oczy, i zapytywał ze drżeniem:

— No cóż Matuniu? Cóż Ciotuniu? Czy jeszcze ciągle wam dobrze?

— Jakoś dotąd, jeszcze ciągle dobrze.

Istotnie, czuły w sobie, dawno już nieznaną pełnię życia,—ale razem i osobliwszy niepokój, podobny do niepokóju tych dzieci, co za szybko rozwijają się i rosną.

Wszyscy obecni śledzili je ze wzrastającą ciekawością, zwłaszcza Elżbietę, której twarz nie

zakryta mieniła się tak dziwnie, że nikt niemógł dobrze rozeznąć jój rysów.

Spłoszona tylu spojrzzeniami, przytuliła się do Ludmiły, i szepnęła:

— Moja dobra, daj mi choć kawałtka twojego rańtucha, bo się sromam tych ludzkich przypatrowań, ja nędzna kaléka.

Ludka co prędzej oddała połowę swojej białej, w pół-przejrzystej zasłony, Elżbieta spowiła sobie całą głowę, a zdziwionemu synowi powiedziała że czyni to dla kurzawy drożnej, która jój stare oczy już nazbyt wyjada.

Tak obie zakwefione, co żywo dosiadły wierzchowców, i pojechały same przodem, uciekając od natrętnych pytań i podglądań — zamieniając niekiedy parę cichych półsłów — a najczęściej tonąc w nieokreślonym poczuciu namaszczenia, siły i błogości, jakich jeszcze nigdy nie zaznały.

Róża Jerychońska.

Już od trzech dni, pod Żegnańcem obozowała nasza podróżna gromada, którą można było raczej nazwać małym wojskiem. Wszystko też wskazywało że środki wojenne staną się niedługo potrzebnymi, bo Żegnaniec był zamknięty i jakby zaklęty.

Zyndram, czy mądrze przewidujący, czy potajemnie ostrzeżony, już od wielu dni przygotował się na podobne odwiedziny; kazał naznosić zapasów żywności, spędził do zamku okoliczne chłopstwo, bramę silnie opatrzył, a mając w obrębie murów studnię, siedział sobie bez troski, pewien że wytrzyma i szturm i oblężenie.

Zaraz w pierwszym dniu, Kasztelan wysłał Pachołka sądowego, z tak zwanym «uciążaniem»

szompierza, który powinien był zapłacić karę za niestawienie się na Roki. Pacholek podszedłszy pod bramę, długo bił kołatką, i wołał aby go wpuszczono do stajen, gdyż musi tam wybrać koni za sześć grzywien, a jeśli pana zamku nie stać na konie, to musi jak u chłopa wybrać je wołami.

Nikt nie odpowiadał, tylko po jakimś czasie, z po-za blanków nad-bramnej wieży, jakaś ręka się wysunęła, i na głowę Pacholkowi rzucała biały, błyszczący czerep łba końskiego. (Takiich czerepów, przymocowanych do pałek, ciurowie ówcześni używali niekiedy zamiast broni.)

Pacholek rozzłoszczony, kopnął nogą czerep, i trąc się po głowie, klnąc na czém świat stoi, wrócił jak niepyszny do Pana Kasztelana, którego straszliwie obruszyła podobna zniewaga. Ledwie go ubłagano aby zaraz tegoż wieczora nie przypuścił szturm.

Nazajutrz, wysłał już nie Pacholków, ale samego Chorążego, któremu zostało poleconém, ażeby jak najgroźniej spełnił swoje poselstwo. Jednakże Chorąży, człek z przyrodzenia krotchwilny, wołał zacząć od złościwości. Podjechawszy pod szanice, z białym proporczykiem w ręku, jał wyśpiéwywać głosem żałobliwym jak żebracy, że «na prawdę niełatwo było przesławne-

mu Zyndramowi, panu Czerwonej Rudy, Żegnańca, i wielu innych kradzionych imion, niegdyś wielkiemu zbójcy, a dziś wielkiemu niedoładze, pono ślepcy i kulasowi, przywlec się na Roki,—a zatém pan Kasztelan, zważywszy jego wiek stargany, sam doń przyjechał w gościnę, i prosi o somszedzkie wpuszczenie do zamku».

Z za muru pokazało się kilka głów zbrojnych. Jeden z wyglądających, wiejąc białą płachtą, ze źle ukrytym śmiechem odpowiedział, że prosi aby ciszej gadano, albowiem pan na Czerwonej Rudzie, Żegnańcu, i wielu innych prawowitych imionach, przesławny Zyndram, śpi—a nawet będzie jeszcze spał długo—jeżeli zatém pan Kasztelan ma istotnie wzgląd na jego wiek stargany, powinien ostawić go w pokoju. Może sobie wrócić kiedy indziej, ale jeśli chce być mile przyjęty w gościnę, niech wróci jeno z kilku dworzanami, jako przystało na czas bezwojenny, a nie z wojskami, kieby jaki Litwin abo Tatar.

Te ostatnie słowa niezmiernie wszystkich oburzyły. Chorąży, nagłym ruchem ręki, oddał białą proporczyk od drzewca, i depcąc go, zawołał:

— Niech-no wasz hardy panek otwiera nam

dopóka trefnie kołatamy, bo jak sobie sami otworzymy, to będzie źle! Powiedam wam, źle!

Z murów znów odpowiadano drwinkami. Szła rozmowa bez końca, bardzo zamaszysta, na podziw ucieszna, ale bezskuteczna. Brama się nie ruszyła.

Wtedy zniecierpliwieni rycerze kolejno podjeżdżali pod zamek, wyzywając tego «dzikusa» i «tchórza», co nieumiał ani gościnnie przyjąć, ani swęj przechwalanęj waleczności dowieść.

Nagle, pokazał się z za muru sam Zyndram; dobrze owinięty rynsztunkiem i przyłbicą, z błazeńska głową kręcący, wyśmiewał rycerzy którzy walczą za stare trędowate baby, i nieumieją walczyć inaczej, tylko jak baby, gadaniną.

Przez długi czas, obyczajem onego wieku, wyzywano się i naigrawano wzajemnie. Aż kiedy zabrakło klątw i obelg, Zyndram schował się za mur z głośnym śmiechem, a rycerze wrócili do Kasztelana trzęsąc się od gniewu, i wołając o szturm natychmiastowy.

Krystyn już kazał wynosić drabiny, już swoje hufczyki szykował, kiedy Jan i Elżbieta przypadłszy z wielkim żalem, błagali jeszcze

o cierpliwość. Niemogli znieść tój myśli, aby miało przyjść do prawdziwój, śmiertelnój walki, aby ich drogi Żegnaniec miał być znów zdobywany i niszczony, i to w ich imieniu. Wyprosilili sobie jeszcze jeden dzień zwłoki.

Ale ten dzień, trzeci z kolei, nie przyniósł żadnój zmiany. Owszem, oblężeni wystąpili z taktyką jeszcze twardszą, bo z milczeniem i wzgardą. Napróżno teraz Miecznik podjeżdżał pod wały, i stalową pięścią wskazywał, zostających pod jego rozkazami, Kata i Oprawców. Napróżno ci ostatni, obchodząc warownię w koło, trzaskali powrozami, dzwonili w topory i narzędzia tortur. Przez dzień cały, nikt się nie pokazał na murach—nikt nawet nie raczył się roześmiać. Zamek stał głuchy, jakgdyby wszyscy w nim wymarli.

Pod wieczór, Kasztelan siedząc przy obozowój wieczerzy, niemógł jeść od wielkiój sierdzistości, i zazdrośnie patrzył na ptaki co przelatywały nad zamkiem.

— Czy to nie wstyd?—Mówił.—Głupi zwierz ma skrzydła, i może sobie włożyć gdzie tylko żywnie zechce, a my, ludzie Chrześcijańskie niemo-

żemy? Coby ja téż nie dał, abych się dostać do tego zaczarowanego zamczyska!

Elżbieta i Ludmiła spojrzały po sobie. Długo toczyły jakąś cichą naradę. Wzrok ich nagle poweselał. Trafiły na pomysł nowy—i kto wie? Może zbawienny.

Nikt się później niemógł dowiedzieć, od której z nich ten pomysł wyszedł? Jedna drugiej przypisywała go wzajemnie. I może naprawdę był im wspólnym, bo te dwie istoty, cudownie z sobą zżyte, nieraz w téjże samej chwili, toż samo czuły i myślały.

— Zaczny Kasztelanie, — rzekła Elżbieta — może i byłby sposób dostania się do zamku..... Co prawda, nie po ptasiemu, nie przez niebo, ale po lisiemu, przez nory. Przypomnialiśmy sobie pewną drogę podziemną, co prowadziła z Żegnańca do Iłży. Mało kto wiedział o niej, mój małżonek nieboszczyk trzymał to w surowej tajemności, bo ta droga służyła do wycieczek, i do kryjomego przenoszenia wieści. Alem ja wiedziała..... Ach, ona dla nas jest nawet okrutnie pamiętliwa..... Myśmy właśnie tamtędy uciekały, kiedy nas Tatarzy od Iłży zaskoczyli.

— A gadajcież kochane matki! — Zawołał Kasztelan. — A wszakci to skarb, taka nowina! Kiedy wy mogły dostawać się z Żegnańca do Iłży, to my się dostaniemy z Iłży do Żegnańca. A to zrobimy staremu niespodzianość!

— I co lepsze, — dodał jeden z Sędziów — zdobędziem dowodność niemałą, a wedłuch mego myślenia całkiem ostateczną, jako ta niewiasta była panią tego zamku, bo nikt jeno prawdziwe posiadacze, mogli znać tak wybiegliwie wszelakie jego tajności.

Na te słowa, inni Sędziowie zawołali:

— Prawdę gadacie, to już będzie dowodność. Jedźmy. Szukajmy.

I wszyscy ciekawie rwali się do drogi.

Ale tymczasem znów, niewiasty zaczęły wahać się i frasować.

— A jeżeli téż — mówiły — tę drogę kto zasypał albo zniszczył? Może my już nie będziemy umiały wcale jój odnaléźć? A może téż Zyndram, jak zagarnął zamek, tak i wypatrzył to przejście, i teraz tam postawił strażę?

— To nic, to nic! — Wołał ów Sędzia. — Czy my przejdziem tą drogą czy nie przejdziem, to mała rzecz, o to jeno chodzi czy jest jakowa droga? Niech się najlichszy śladzik po niej wynajdzie, to już wasza sprawa do połowicy wygrana.

Kiedy się ściemniło, Kasztelan zostawił większą część swego wojska pod zamkiem, a sam, wzięwszy niewiasty, Jana, rycerzy i Sędziów, z pocztem zbrojnym puścił się lasami do Iłży.

Przez drogę, Ludmiła i Elżbieta rozpowiadały towarzyszom szczegóły swojej podziemnej ucieczki. Czasem zapytywały Jana:

— I ty nic nie pamiętasz?

Jan zamyślony odpowiadał:

— Nie..... Bogiem a prawdą, nie pamiętam..... Jeno kiedy słucham, to kieby mi kto gadał bajkę już raz gadaną.....

O świcie, stanęli w Iłży.

Kasztelan kazał obudzić Dowódcę załogi. Ten zerwał się, zdziwiony, i trochę zatrwożony niespodzianém przybyciem takiego dygnitarza. Zapytany o przejście podziemne, otworzył wielkie oczy; nie słyszał o żadném przejściu.

Badano kilku wysłużonych żołnierzy—przywołano kilku starych mieszczan — wszyscy ruszali ramionami.

Jednakże, pewien staruszek przypomniał sobie rzecz ciekawą; słyszał od ojca, że niegdyś pod zamkiem Iłżeckim były wielkie lochy, które podobno ciągnęły się na mil pięć czy siedem,

het głęboko w lasy,—ale po napadzie Tatarów, (ba! jeszcze po pierwszym napadzie—) miasto przez kilka lat leżało w gruzach, okolica zupełnie opustoszała, i gdy później nowi ludzie przyszli na zwaliska, nikt niemógł odnaléźć owych lochów. Może téż i nikt ich nie szukał.

— Żebych to wy przynajmniej pokazały, — mówił Dowódca z niejakim przekąsem—w jakowej stronie miasta czy téż zamku, schodziło się do tych sławnych lochów?

Ale niewiasty niemogły pokazać. Wyszły ztąd niegdyś wśród pożogi, zmroku i popłochu; teraz, jak się tu odnaléźć, témbardziej gdy prawie wszystkie ulice i domostwa są nowe? Chodziły tu i owdzie zakłopotane, niepomału nawet zawstydzone.

Znagła, kształt jakiegoś grubéj, staréj baszty, zwrócił ich uwagę.

Wskazały na nią, mówiąc:

— Kto wie czy to nie tam?

— A!—Podchwycił Dowódca, nieco już zachwiany w swoim niedowierzaniu.—Bardzo może być..... Jeśli gdzie, to w Piekle.

— Jakto, w «Piekle»?

— A no tak, ta wieża ma takowe przezwanie, a nazowa się właśnie od onego napadu. Kiedy pogany wzięły tę wieżycę, to miały w niej

wyrabiać takie okropności, że jako ludzie gadają, było tam szczerne piekło. A jeżeli tam jest — jako mówicie, — zejście, to my powinni je wynaléźć, bo ta baszta jak stała tak i stoi, wcale nie ruszana.

Mówiąc, prowadził ich ku baszcie.

Weszli.

Niewiasty aż krzyknęły z przerażenia, odnajdując tę samą izbę ośmiokątną, sklepioną, gdzie rozegrało się ich wzięcie w jassyr.

— O tak,—wołały—piekło..... prawdziwe piekło..... i myśmy były w tém piekle. O tu, na środku, ciągnął się stół przy którym oni pili..... A tam, w rogu, stała kupka dzieci..... A tu ława, o! takaż sama właśnie stoi—z pod ławy sterczały nogi różnych pozabijanych..... A tu, Wasyl położył powrozy.....

I dalej przedstawiały wszystkie szczegóły owéj nocy, wzdrygając się na samo jéj wspomnienie, a słuchacze także się wzdrygali, bo powieść miała pałającą przekonawczość prawdy.

Ciągle téż liczba tych słuchaczy rosła. Żołnierstwo cisnęło się do izby — mieszczanie ściągalili, zwabieni przybyciem takich dziwnych gości—wszyscy tłocząc się i łyzy ociérając, chciwie łowili te żyjące świadectwa, gdzie niejednen odnajdywał dzieje swoich krewnych albo przyjaciół.

Jan, dotąd w milczeniu słuchający, nagle wskazał ręką na ścianę, i zapytał:

— Matusiu, wszakci to tutaj mój konik się rozbił?

— A tak! Tak! — Zawołały niewiasty. — Patrzcie! On sobie przypomina!

I zaczęły rozpowiadać obecnym, jak to srogi Tatarzyn, niby przekomarzając się z Jasiem, rozbił mu bawidełko, a potem rozgniewany jego płaczem, chciał i dziecko rozbić o też samą ścianę.

W izbie zrobiła się wielka cisza wzruszenia.

Aż tu niespodzianie, Jan wybuchnął srebrnym, wesolutkim śmiechem.

— Otóż Matusiu, ja im go nie darowałam. Za konika ja wziął konika, i to jeszcze z wygraną. Za drewnianego dostał mi się żywiuchny, i to taki pstrokaty jak i tamten.

— Prawda! — Rzekła Elżbieta, uderzona tym spostrzeżeniem. — Prawda! Już jak Pan Bóg człowiekowi coś oddaje, to dziesięć razy lepsze niż to co utracił.

— Tak, tylko trzeba trochę długo czekać. — Dodała Ludmiła. — Ha no, byle doczekać, to i wszystko dobrze.

— Ale gdzież jest owo zejście do lochów?—
Pytał znowu Dowódca.

— Któryś z tych kamieni musiał się podnosić.—Odparły niewiasty, i oczami przebiegały posadzkę, która była ułożona w czworokąty, ze starych, już wyslizganych kamieni.

— O..... to ten..... niezawodnie ten!—Powtarzała Ludmiła tupiąc nogą w jeden boczny kamień.

Był on nieco ciemniejszy od innych, i na brzegach miał ślady małych wyżłobień.

Naznoszono co prędzej mnóstwo żelaztwa i drągów—pełno rąk zaczęło pracować—ale głąz nieprędko się zachwiał. Musiał od lat wielu nie być podważanym; szpary zatrzęsione prochem, nie chwytaly drągów. Nakoniec, podniósł się z twardym, sypkim zgrzytem, i ukazał próżnię czarną jakby studnia. Zimne, spleśniałe wyziewy uderzyły na izbę.

— Światła! Światła! — Krzyknął Kasztelan,
Wnet zjawilo się mnóstwo pochodni, świec, łuczywa. Zaczęto schodzić tłumnie po schodkach ślimakowych.

Niewiasty nieco się zawahały. Ta chwila za-
wiele im przypominała.....

Ale jakże była odmienną! Już nie Elżbieta niosła Jasia, to Jaś sprowadzał teraz matkę silnie i troskliwie.

Ludmiła szła naprzód, rozpatrując się i wspominając:

— Czemuż to Kapelana z nami niéma? On tutaj nas jeszcze, na tych schodkach, bronił swoim krzyżykiem. Czy on téż dotąd żyje?

Nagle, uderzyła się w czoło, i rzekła:

— To wszystko bardzo dobrze, ale możemy trafić na niemalą zaporę..... Po dwóch końcach, było dwoje drzwi..... nieprawdaż? Otóż jeżeli Zyndram zna tę drogę, to musiał ją porządnie zamknąć.

W téj chwili człowiek co szedł naprzód z pochodnią, wrócił się zmieszany, wołając:

— O la Boga, co ja tam obaczył! Chodźta! Patrzajta!

Przy ostatnich stopniach, na początku podziemia, drzwi leżały wyłamane—z pod nich sterczała puszczel trzymająca miecz zardzewiały. Była to ręka Ruperta, co drzwiami przywalony, czterdzieści lat przeleżał pod tém wiekiem.

Daléj, w kącie, dwa trupy splecione w uścisku, tuliły się pod ścianą. To Sebastjan, ówczesny Dowódca Iłży, i ta matka sędziwa którą chciał ratować. Dotąd kosmyki białych włosów

kleiły się na czaszce staruszki, co spróchniałemi ustami jeszcze całowała świecącą czaszkę syna. Zmurszałe, zczerniałe, ale nieruszone dotąd szaty, nadawały im podobieństwo do żywych osób. Krótkie złudzenie! Zaledwie je tknięto, wszystko zaczęło się rozpadać w mieszaninę nitek i strzępów, z których — głucho łomocąc — posypały się kości.

— Ach,—szepnęła Elżbieta—trzebaż będzie tym ludziom sprawić Chrześcijański pogrzeb. Oni ginęli śmiercią męczenników.

I zwolna przyciszonym głosem, tłumaczyła Jasiowi i wszystkim obecnym, wypadki jakie tu zaszły. Gdy skończyła, słuchacze zamilkli, jak zwykle się milczy w obec grobów. Zapewne odmawiali: «Wieczny odpoczynek.....»

Tymczasem Ludmiła spoglądała, to ku schodkom, to ku sklepieniom, i westchnąwszy rzekła:

— Tu, po raz pierwszy zobaczyłam Ajdara.....

A w głosie jej.... był odcień rozczulenia.

Ruszyli w głąb' krużganku, ciągle milcząc. Dopiero kiedy zwłoki pozostały za nimi w niejakim oddaleniu, zaczęli śmieliej mówić. Wszy-

scy się dziwowali téj tajemnéj drodze, a najwięcej dzisiejszy Dowódca Iłży.

— Boże mój, czy ja się téż spodziewałam, że pod nogami mam takowe schowanie? Ależ my chyba cały dzień będziemy szli pod ziemią?

Tu niewiasty zaczęły tłumaczyć — jak nigdyś im samym tłumaczono — że tędy nierównie bliżej niż lasami, w których trzeba okrążyć dużą górę i trzęsawiska.

— Ani się spostrzeżem — powiadała Elżbieta — a już będą i te drugie drzwi, zapewne także niestrzeżone. Zyndram chyba niewie o tém przejściu, kiedy zastajemy tu wszystko tak zupełnie, jakbyśmy wczoraj tędy przeszły.

— Ach, długie «wczoraj»! — Rzekła Ludmiła biorąc pod ramię przyjaciółkę, i szły prędko, a tuliły się do siebie, jakby w obawie aby znów ich nie goniono, lub nie chciano rozdzielić.

Co chwila oglądały się na Jana.

— Jasiu, cóżes ty taki cichy?

On, biorąc się oburącz za głowę, mówił jak odurzony:

— Bo mnie się tyła przypomina.....

W téj chwili, ludzie przodujący pochodowi, zapytali:

— No, a tera gdzie iść? Dwie drogi rozchodzą się, na prawo i na lewo.

— Tam gdzie jest krzyż czerwony! — Zawołały niewiasty.

— A juści jest krzyż..... — Ozwał się któryś, podnosząc łuczywo.—Niewiem tam czy on czerwony, ale krzynekę go znać.

— A gdzież ta druga podziemność prowadzi?—Pytał Dowódca Iłżecki.

— O, to dróżka fałszywa, z głęboką jamą na końcu, dla zmylenia gości nieproszonych. Mój małżonek umyślnie kazał porobić te krzyże.

Sędziowie szeptali między sobą:

— Ona wszystko wie!

Tymczasem Dowódca załogi troskał się niepomalu.

— Głupstwo jam zrobił żem się na czas nie opatrzył, i że ludzie z Iłży tutaj wtargnęli. Taką drogą to skarb, trzeba ją było dalej trzymać w tajemności, alem ja niedowierzał..... O! Co ich się tu wali..... jaki to ciekawski naród! Ha trudno, już się stało — ale też jak wrócę, jak zamknę Wieżę, to już nieprędko się tu kto dostanie.

Kasztelan Krystyn, który był dosyć tęgi, dyszał i wachlował się rękawem.

— Ach, — mówił — jak też tu duszno! Ha,

nie dziwota, od pół wieku loch nie przewietrzany.

— Owszem, odparły niewiasty — na środku drogi tu jest, (a przynajmniej była,) szczelina. Tylko jęj patrzeć. Żeby też nie ta szparka, to byśmy się chyba już dawno wszyscy podusili.

— Jest! Jest! — Krzyknęło kilku ludzi, pokazując rozpeknięcie nad głowami.

— A!..... Naprawdę, tu się inaczéj oddycha!.....- -Zawołał Kasztelan.

Za jego przykładem wszyscy przystanęli.

Elżbieta oparła się o ramię Ludmiły.

— Pamiętasz? I *wtedy*, zatrzymaliśmy się właśnie tutaj. A tyś Jasineczku płakał, chciało ci się obiadu.

Jan podniósł rękę do oczu, obtarł je ukradkiem.

— I dziś Matusiu, gotów by ja płakać, je-no już nie z głodu, ale z pomyślenia co wy to przeszły ciężkich dniów!

Sędziowie tręcali się, szepcąc:

— Patrzcie, zapłakał! Jak Boga kocham, zapłakał. To takóž znak prawdy.

Wypoczywanie jednak nie potrwało długo, a to dla nieprzewidzianéj przeszkody: szczelina wychodziła na pieczarę, przez którą mnóstwo niedoperzy dostawało się do podziemia. Wnie-

sienie pochodni sprawiło niesłychany popłoch w tój osadzie, co sobie tu od wielu pokoleń gospodarzyła swobodnie.

Z początku, wypoczywający śmieli się tylko z pisku i krążenia tych ślepców. Jeden, drugi i dziesiąty, został odpędzony lub ubity. Ale niedługo, taka ich mnogość zaczęła szamotać się, rozbijać o ściany i głowy ludzkie, że wszyscy uszli co prędzej, a nocny korowód jeszcze za nimi leciał, kłapiąc skórczanemi skrzydłami.

Niewiasty szły teraz na przodzie, coraz bardziej milczące i zaniepokojone. Ciężar przypomnień już nadto je przytłaczał—zdawało im się że cała przeszłość je goni. Jak człowiek przydławiony zmorą, chciały co najprędzej się ocknąć, wyjść na słońce, na czystą jawę — i podwajały kroku z taką siłą, że Jan ledwie mógł im nadążyć, a mężowie w tyle pozostający, dziwowali się nieustannie.

— Dalibóg, te białogłowy idą jakby nigdy nie chorowały. Czyby Xiężna Kinga naprawdę je uzdrowiła? No, to rzecz niesłychana.

Otóż i drugie drzwi.

Zamknięte—ale na szczęście, od tój strony. Jak Rupert je zarygłował, tak dotąd stoją nie-
tknięte.

Przez długą chwilę, kilku ludzi napróżno męczyło się nad zardzewiałą zasuwą. Aż Kasztelan — sławny siłacz — położył grubą rękę, i uległa.

Pokazały się drugie schodki ślimakowe, tą razą w górę idące.

Musiano dosyć długo poczekać, bo tu już, w téj studni od lat kilkudziesięciu zamkniętej, powietrze było rzeczywiście nie do zniesienia.

Kiedy wyziewy nieco przerzedniały, weszli ludzie—jedni z pochodniami—drudzy z drągami, które przezornie aż tutaj przeniesiono.

Kasztelan z mieczem dobytym stanął przy robotnikach, i mówił półgłosem:

— Róbcie jak możecie najciszej — a niech każdy ma broń pod ręką, boć pewnie na samym początku już potka nas bójka. Te zamkowe łotry chyba nie takie głupie, abych nam dały wejść spokojnie.

Długo mordowano się z kamieniem. Schodki były nabite, zatłoczone ludźmi—wszyscy czekali, wstrzymując odetchnienie, patrząc po sobie z niepokojem—bo to chwila najważniejsza—od téj zasady zależy zdobycie zamku.

Nagle — nad głowami zrobiło się jasno —

czworokąt światła zabielał w górze—kamień odwalony odwrócił się z głuchym hukiem.

Kasztelan Krystyn pierwszy wysunął głowę. Popatrzyli raz i drugi—potém schylił się ku czekającym.

— Co za szczęście—rzekł—izba pusta! Bóg nam darzy. Wychodźmy co prędzej, a cicho.

Wyskoczył.

Za nim wszyscy wychodzą, wychodzą.

Wyszły i niewiasty—a wyszedłszy, chwyciły się za piersi od wzruszenia..... Ta izba to dawna sypialnia Elżbiety!

Weszły tym samym głębokim zapieckiem przez który niegdyś uciekały..... i piec ten sam—zresztą może już inny, ale podobny, równie gruby. A już co ściany to zupełnie téż same, tylko przyczerniałe i dziwnie odarte. Niegdyś tu stało dosyć sprzętów, klęcznik, sepeciki, klatki z ptaszeczkami—zwykle jak w alkierzu niewieścim. Teraz pustki; jedna tylko ława, pod nią misa z niedogryzioném jądłem dla psów. Niegdyś, tu, pod ścianą kobiercem obciągniętą, pod zielonemi kotarami, stało suto usłane łoże; dziś stoi także, ale niskie, czarne, niedźwiedziami skórami zarzucone. Jeśli to pan zamku tutaj sypia, widać że twardy wie dzie żywot.

Kasztelan zapytał Elżbiety:

— Te różne drzwi, gdzież one prowadzą?

- Te, deskami zabite, prowadziły na ganeczek.—Te małe, na korytarz co szedł do kucheni i szpizarek.—Te większe, do głównej sali.

Małemi drzwiczkami od korytarza, Kasztelan wysłał kilkudziesięciu ludzi, z rozkazem aby zajmowali tyły pomieszkania. Sam, poszedł ku drzwiom większym.

Ale nie pierwszy się tam pokierował. Przed chwilą już Ludmiła niepostrzeżenie wemknęła się do sali. Napadł ją powrót pustoty młodzieńczej, tylko zaprawnej goryczą wszystkich lat przecierpianych; pierwsza chciała Zyndrama spotkać, i przywitać go krwawym żartem.

Spełniło się jej życzenie: Zyndram siedział w sali—sam jeden.

Jakim sposobem nic dotąd nie dosłyszał, to było dla niej rzeczywistą zagadką. Wprawdzie, mury grube—i drzwi grube. Jednakże, huk nieunikniony przy podważaniu kamienia, i szmer tyłu osób wchodzących do izby sąsiedniej, powinny były zdziwić najmniej czujne ucho.

To prawda,—tylko Ludmiła niewiedziała że Zyndram na starość ogłuchł mocno. Słyszał on niejaki szelesty i stuki, ale sądził że to jego własni ludzie pracują nad wzmacnianiem obron-

nych robót zamku. Zkądże zresztą mogło mu przyjść podejrzenie? Byłby się prędjéj spodziéwał że więzyc spadnie z nieba, niżeli że nieprzyjaciel wyjdzie z pod ziemi, podczas białego dnia, i to w jego własnéj sypialni!

Siedział więc spokojnie, na wysokim zydlu, przy stole zalegającym środek sali. Ubrany był ciężko i niedbale; włosy szare sypały mu się po głowie jakby popiół. Kościstą brodę wsparł na rękę, i dumał, zmarszczony, osepiały. Przed nim, z drewnianéj podstawki wywijał się róg żółtawy, pełen jakiegoś trunku.

Cała sala oddychała tąż samą pustką i niedbalstwem co i pierwsza komnata. W czarnym, wystyglým kominie żaden płomyk nie błyskał—ściany murszyły się od plam zielonawych — a w owéj framudze okna, co stanowiła niegdyś najmilszy pokoik, niebyło już ani krzeseł rzezaných, ani stołu z fraszkami—tylko płaszcz i stalowa rękawica wałały się po ziemi.

Ludmiła, jedném spojrzeniem objęła to wszystko, i nieco się zatrzymała, zdziwiona że Zyndram nie zwraca ku niéj głowy. Zyndram nie posłyszał jéj wejścia. Zabiegła na drugą stronę stołu, stanęła wprost naprzeciw niego, i rzekła z szyderskiém przymileniem:

— Zyndramie, to ja, ta Ludmiła, o którój rękę przed niejakim czasem prosiłeś. Długo się namyslałam—nakoniec namysliłam się, przystaję. Tyś wdowiec—ja wdowa—możemy się pobrać.

Tu wybuchnęła igraszkowym śmiechem, uniosła nieco rąbek, i pokazała mu swoje oblicze.

Pewna była że Zyndram krzyknie, że zerwie się z przerażeniem, i ucieknie jak ów Tatar z pod lasu.

Tymczasem Zyndram, ani krzyknął, ani się zerwał. Patrzył wzrokiem osłupiałym—ruszył ręką jakby chciał się przeżegnać — potém, twarz zaczęła mu bieleć—oczy się zaszklily.

Krwawy żart był zanadto mocnym.

Prawdę mówiąc, Ludmiła niemogła przewidzieć jego doniosłości. Niewiedziała, że przez ów przeciąg czasu co upłynął od pocałunku Xiężny Kingi, rysy jój — ciągle ukryte pod zasłoną — nietylko wygoiły się i wygładziły najzdrowiej, ale i nabrały nadziemskiego uroku.

To téż teraz, gdy podniosła rąbek, pokazała Zyndramowi twarz cudownie piękną.

Widok dawniej znajomej, zeszpeconej przez lata i chorobę, nie byłby nigdy Zyndrama tak przeraził, jak widok tej piękności, której zachowania czy wskrzeszenia, po ludzku niemógł sobie wytłumaczyć. Przekonany, że widzi «ducha» Ludmiły, co powraca z tamtego świata by mu zapowiedzieć pomstę nieba — spiorunowany i do

kości zmrożony — byłby może za chwilę padł trupem.

Na szczęście, drzwi od sypialni się rozwarły, i wszyscy wtargnęli.

Zyndram przetarł oczy—oprzytomniał—szepnął:

A! To tylko ludziel!....

I wstawszy majestatycznie, zawołał:

— A to co? Zkąd się ci zbóje wzięli?

Potém, postąpił ku drzwiom od sieni, krzyząc:

— Hej! Do mnie! Do mnie, moi wierni!

Ale nim zdołał otworzyć, Kasztelan zabiegł mu drogę, położył ciężką rękę na jego ramieniu, i rzekł:

— Nie krzycz próżno. Zamek już wzięty. Niechciałeś mię przyjąć bramą, wszedłem którądy się dało. Trzymajcie go!

I wnet kilkunastu zbrojnych otoczyło Zyndrama.

Kasztelan groził na chybi-trafi, niewiedział czy zamek już wzięty? Prawdę mówiąc, zamek mógł jeszcze się bronić, i kto wie czy nieostrożni goście nie byliby wówczas musieli pożałować że weszli w samą paszczę smoka? Lecz ta-

ka obrona wymagała owój «wierności», której Zyndram w złej godzinie wzywał, a której właśnie wtedy brakło.

Z pomiędzy załogi, ledwie kilkunastu ludzi było życzliwych panu, cała reszta go niecierpiała, i tylko z musu do tej chwili walczyła. To też kiedy wysłańcy Kasztelana, obiegłszy głąb' zabudowań przez kuchnie, wypadli na dziedzińiec, i zawołali że «pan już wzięty!» że «pan się poddał!» nikt nie stawiał oporu—wielu nawet wybuchnęło radością. Roztworzono bramę. Na ten znak, reszta Kasztelańskiego wojska skoczyła z doliny, i w mgnieniu oka zamek został rzeczywiście opanowanym.

Na sali tymczasem, Zyndram widząc że nikt nie przychodzi mu z pomocą, stał osłupiały. Zasadzka zesła go bezbronnym—niechciał szamotać się napróżno z przemagającą liczbą — czyhał na lepszą chwilę.

Zresztą, przytomność już go znów opuszczała. Odurzony, nie myślał o zamku, nie myślał o sobie, tylko męczył się nad pytaniem, któredy weszli ci ludzie którzy płyną z jego sypialni? Wyciągał szyję ażeby coś dojrzieć, i dojrzał że wszyscy wychodzą z po-za pieca. Takie odkrycie nic mu nie tłumaczyło. Spojrzał po sali —

tutaj także działo się coś niewytłumaczonego. Patrzył i nierozumiał.

Sędziowie wprowadzali Jana. Wprowadzając, otoczyli go ściśle i nie spuszczały z oka.

Niewiasty chciały się do niego docisnąć, ale jeden z Sędziów odsunął je, mówiąc:

— Trocha cierpliwości. Nie pomagajcie mu. Obaczymy czy też sam trafi?

— No, a teraz—dodał, zwrócony do Jana—gdzież owa kryjówka?

Jan, stojąc na progu, rozpatrywał się po sali wzrokiem, w którym najpierw zajaśniał podziw, potem coraz większe, coraz rzewniejsze rozczulenie. Kilka razy przesunął rękę po czole—kilka razy obejrzał się ku sypialnej komnacie—potem wodził okiem po sklepieniach i murach.

— Tak.....—Powtarzał. — Tu komin, jak dawniej..... tylko brakuje tych dwóch wysokich ławic..... Na środku stół, dobrze..... A tam naprzeciw, było okno..... o! i jest jeszcze..... To tam! — Zawołał, wskazując na lewą stronę framugi.

Elżbieta i Ludmiła odkrzyknęły radośnie:

— Tak! To tam właśnie!..... Poznał! Wszak widzicie że poznał?

Jan szedł ku framudze śmiało, bez wahania.

Jednakże kiedy stanął przed ścianą, zmieształ się nieco i zatroskał.

— Ta kryjówka musi być gdzieś tu.... Ale jak się otwiera? Niewiem.

— I niemoże wiedzieć. — Wołała matka. — Tylko mój mąż i ja, umieliśmy otwierać.

Zażądano jednogłośnie ażeby matka otworzyła.

Ja także w pierwszej chwili ogarnęła niepewność. Oszalowania z dębowych desek już nie było na dolnej części muru; ogień czy rabunek zniszczył tę ozdobę. Ściana kamienna szarzała wszędzie jednostajnie. Elżbieta jednak bardzo prędko potrafiła rozeznaczyć kamienie które tworzyły ruchomą łamigłówkę. Rysunek ich szpar nie się nie odmienił. Cóż, kiedy w żaden sposób niemożna było ich poruszyć! Niegdyś, ogładzone, chodziły z łatwością. Dziś, zasute pyłem i wilgocią, oparły się niewieściej dłoni.

Ale przy pomocy innych rąk silniejszych, a zwłaszcza ostrych narzędzi, zadrgały. Po wyjęciu jednego kamienia, inne już wyszły z łatwością—wykrój czworoboczny zaczerniał—w głębi pokazały się żelazne drzwiczki.

Na ten widok, okrzyk tryumfu uderzył ze wszystkich piersi. Sędziowie zwłaszcza byli uniesieni. Więc Skarbczyk istniał! Więc wszystko to nie było bajką?

— Już wygrana sprawa! — Krzyczeli. — Już nie trza niczego więcej!

Na widok drzwiczek, Zyndram struchłał. Zaczynał rozumieć. Pojął, że w téj ścianie musi być jakiś *dowód*.

Uderzył się pięściami w skronie, i szepnął przez zęby:

— Jakiż ze mnie głupiec! Tyle ja lat miał ten kasztel w ręku, i nie przyszło mi to do głowy, aby w murzech poszukać....

Tymczasem Elżbieta odczepiała, źle zadziernięty łańcuszek, a ręce jój drżały od wzruszenia, może nie mniej niż w chwili kiedy po raz ostatni go zawiązywała.

Otworzywszy drzwiczki—

— Teraz,—rzekła—niech mój syn szuka.

I usunęła się na stronę. Dla czego? Może tą biernością chciała dowieść jak jest pewną wygranęj? A może tylko chciała synowi zostawić najpiękniejszą chwilę tryumfu?

Jaś zaczął wyjmować rozmaite przedmioty, które Sędziowie odbierali z rąk jego, i bardzo ciekawie oglądali. Przechowały się one prawie bez uszkodzenia, bo skrytka — wyżłobiona w jednej bryle granitu, wyłożona blachą — dobrze broniła od pyłu i wilgoci.

Najpierwszym przedmiotem była długa puška.

Sędziowie—prowadząc dalej badanie—zapytali Elżbiety, co zawiera?

— Tu, — rzekła — są różne pisanie Xiążąt i innych, a wszystko dla naszego domu.

Otworzono. Istotnie, były to pargaminy rodowe, rozmaite nadania i umowy.

— I to prawdziwy skarb. — Rzekł Kasztelan.—Takowe rzeczy zawdy lepsze od wszelakich innych.

Potém, pokazała się szkatułka w kształcie kościołka, o spiczastym daszku, pokryta złoceniem i niebieską emalją. Tu działanie czasu najwięcej dało się we znaki, złocenia przyciemniały, emalja była zielonawa.

— Ach.....—Zawołała Elżbieta wzruszona. — To skrzynka po mojej matce! W niej przywiozłam wszystkie kolce i łańcuszki wyprawne.

Odczepiono haczyk: pokazały się kolce i łańcuszki. Tych nikt nieśmiało dotykać. Kasztelan zamknął szkatułkę, i z uszanowaniem oddał ją Elżbiecie.

Tymczasem Jan wyjmował rozmaite garczki — jedne z glinianymi pokrywkami — drugie poobwiązywane szmatami — a wszystkie ciężkie, wszystkie pełne rozmaitych monet, o stęplu co najmniej półwiekowym. Jeden tylko garnuszek był do dna wypróżniony.

— To,—mówiła matka—nasze oszczędności z owych czasów. Nie spodziewała się ja że je odnajdę..... A ten jest pusty, bo ztąd wzięłam pieniądze na drogę, kiedy z początku nam się

wydawało, że będzie dość czasu na uciekanie w lasy.

Jan, dobył jeszcze jeden garczek.

— To już — mówił — ostatni. Teraz już nic niéma. Trza jeszcze poszukać. Nie, już niéma nic. Gdzież tedy ta Róża? Boże mój, gdzież Róża?.....

Twarz jego przybrała wyraz niepokoju.

— Czy ją te skorupy przytłukły? A może się rozsypała w proch? Abo zgniła?

I gorączkowym ruchem wyciągał rękę, obszukując głębokie dno kryjówki.

Nagle wykrzyknął:

— Jest!

Wyjął coś maleńkiego — zdmuchnął chmurkę pyłu — i w ręku wysoko podniesioném, pokazał pęczek okrągły, szarawy, pokrecony.

— Jest! Jest!..... — Powtarzał, nietylko z radością ale i z rozrzewnieniem, to pokazując drugim swoją zdobycz, to przyglądając jój się chciwie.

— O! Dobrze ja ją wrzucił! Siedziała w samym rożku, przytulona kieby jaki robaczek.

Tu Elżbieta chwyciła Różę, i całując ją z uniesieniem, powtarzała:

— Jesteś, jesteś, moje szczęście! A jak się to biędadstwo skuliło, jak wyszło! Zupełnie jak nasza dola..... Ale teraz odżyjesz moja Różyczko — włożę cię w wodę — zmartwychwstaniesz!

Wszyscy rzucili się do oglądania Róży. Ludmiła wyjęła ową drugą, którą same z Jerycho przyniosły, i którą już dawniej pokazywały Sędziom, ażeby wiedzieli jakiego przedmiotu mają się spodziéwać.

Teraz, widzowie mogli porównać tożsamość obu gałązeczek. Tylko Żegnaniecka, przez czterdzieści lat pozbawiona wody i powietrza, wydawała się nierównie mniejszą.

Nagle, jeden z Sędziów, radosnym ruchem wznosił ręce, i wykrzyknął:

— Niech żyje nam Jan, syn Sulisława, zbawca Krakowa, i prawy dziedzic Żegnańca!

Wszyscy uderzyli w dłonie i odkrzyknęli:

— Niech żyje dziedzic Żegnaniecki!

Kasztelan przyskoczył do Zyndrama, wołając:

— A teraz, co powiesz bratku? Ehe, wyszła prawda na wierzch. Kto mógł wiedzieć o podziemnej drodze do zamku? Nikt, jeno prawi posiadacze zamku. Kto mógł wiedzieć jakie rzeczy są tu schowane w murze? Nikt, jeno ci co je tam włożyli. A tyś nic nie wiedział, boś ty nie prawy pan, ale wdzierca! Mury świadczą przeciwko tobie! Ziemia rozstępuje się pod tobą! I czy to sam jeno zamek wydarłeś? Tyś chciał prawemu dziedzicowi wydrzcć i święty żywot!

Ale Pan Bóg pomieszał twoje szyki. W boskim ręką mały kwiatek skruszył najtęjsze miecze! Drżysz zbrodniarzu!..... Ciężki rachunek zdasz ty, i tam przed majestatem Pańskim, i tu jeszcze przed nami!

Zyndram stał ciągle osłupiały—zdawało się że nic nie widzi i nic nie rozumie.

Ale dobrze rozumiał. Dobrze zauważył że strażę — uspokojeone jego pozorną martwością, a przytém i zaciekawione widokiem dziwnój Róży—nieznacznie spuściły go z oczu.

Najniespodziewaniój, rzucił się ku drzwiom i wykrzyknął z niewymowném szyderstwem:

— Ha! Kiedy wy wszyscy przeciwko mnie się spiknęli, toć ustępuję — nie ze strachu, jeno z pogardy. Weszli wy tu jak złodzieje—nie myślę ja z wami siedzieć — świat szeroki — kasztelów mi nie brak—bądźcie zdrowi! Już noga moja tutaj nie postanie.

I wyszedł z podniesioną głową.

To wyjście było tak nieprzewidziane, przemówienie tchnęło taką dumą prawdziwego pana i gospodarza domu, że strażę w piérwszój chwili zupełnie straciły głowę, zwracały tylko na Kasztelana oczy pełne niemego zapytania:

— No, a teraz co robić?

Kasztelan przesłuchał Zyndrama z ciekawością. Ale kiedy zobaczył że wychodzi, krzyknął gniéwnie:

— Łapajcież go!

I sam szedł za nim sążnićcie.

Nagle, Jan zabiegł mu drogę — drzwi zamknął—plecami się o nie oparł—i całując Krystyna po ramionach, prosił:

— Panie Kasztelanie! Ojczulku! Nie przytrzymujcie go. Kiej sam się wynosi, kiej oddaje zamek, toć i dosyć. Wszak jeno tego nam się chciało? Niech go Pan Bóg sądzi!

Prawodawstwo Średniowieczne nie szukało zazwyczaj zadość-uczynienia sprawiedliwości społecznej, ale raczej wynagrodzenia krzywdy osobistej,—było nietyle prawem kary, ile prawem pomsty. Podobny pogląd, w zasadzie niższy od dzisiejszych, w przystosowaniu jednak wydawał nieraz bardzo piękne owoce. Jeśli pokrzywdzony chciał przebaczyć, nikt nie czuł się zobowiązanym do większej od niego surowości.

I tutaj, Kasztelan Krystyn, po niejakiem wahaniu, dał się uprosić przez Jana, machnął ręką, i rzekł dobrotliwie, choć nie bez niechęci:

— Ha! Kiedy sam tak chcesz, to niechże sobie jedzie na złamanie karku. Wszelako, dobrze by nam było zobaczyć, czy téż ten rabuś naprawdę wyjeżdża?

— Tak, to trzeba nam zobaczyć. — Potwierdził Jan, i otworzywszy drzwi, piérwszy wyszedł. Za nim wszyscy wyszli, najpiérwój do sieni, potém na dziedziniec.

Tam Zyndram kazał już był sobie podać konia, już jechał ku bramie, wołając:

— Kto wierny, ten za mną!

Z pomiędzy żołnierzy i chłopów zgromadzonych rojnie na dziedzińcu, mało kto się ruszył, ledwie kilkunastu ponurych obdartusów, związanych z panem złą przeszłością. Ci, uczyli że ich tu czeka niejeden przykry odwet. Co żywo téż dopadli koni—inni, nawet pieszo się wy-mknęli—wszyscy milczkiem biegli za panem.

Już most zatętnił pod niemi.

Wtedy, tłum ruszył także z dziedzińca, i zwyczajem gawiedzi, chciał z pośmiewiskiem

rzucić się na pokonanych. Jedni z mostu zaczęli świstać, drudzy już chwyтали kamienie, aby je cisnąć na gromadkę zjeżdżającą z góry.

Ale Jan wszedł między pospólstwo, i tym głosem Włóczka co umiał porywać tłumy, zawołał rozkazująco:

— Cicho! Dajcież mu wyjechać spokojnie — to brat mojego oćca!

Myśli tłumu przybrały nagle inną barwę, skoczono z weselem ku prawemu dziedzicowi. Jedni przypadli mu do kolan — inni tłumaczyli się z oporu do jakiego Zyndram ich przymuszał — wszyscy klęli dawnego pana — błogosławili nowego — bo choć niewiedzano jeszcze jakim będzie, przecie dość że nowy, to już dla biędnych ludzi nadzieja polepszenia.

Zwłaszcza téż Wincenty o zielonym pasie, mało nie oszalał z radości że «panicz» się nakoniec odnalazł, i zapytywał ze łzami:

— Wszak-ci ja i przy panu będę Szatnym, co?

Kiedy Jan wrócił z bramy, to na barkach Zyndramowej załogi.

Elżbieta podbiegła z otwartém objęciem, i ściskając go, rzekła:

— Jasiu, tyś dobry! Taki właśnie jak chcia-
łam abyś mi się wrócił.

Krystyn podał mu rękę, i rzekł ze wzru-
szeniem:

— Ślachtetny z ciebie człowiek.

Jednak nieznacznie, uwaga ogólna przenosi-
ła się z dziedzica Żegnanieckiego na Ludmiłę,
która zapomniawszy zupełnie o przedchwilowém
zdjęciu swój zasłony, kręciła się między ludźmi
gorączkowo, zajęta jedynie Jasiem i Zyndramem.

Wszyscy ją sobie z cicha pokazywali. Jeden
drugiemu szeptali:

— Wielki Boże, co się z nią stało? A toć
czysty anioł!

Elżbieta spostrzegła także wypięknienie
Ludki, ale niedowierzając własnym oczom, po-
myślała sobie:

— Może mi się ona tylko wydaje taka śli-
czna, dla tego że ją coraz okrutniej miłuję?

Nakoniec i Jan spostrzegł tę odmianę. Sta-
nął porażony—i wnet ze drzeniem radości prze-
niósł oczy na twarz matczyną.

Ale Elżbieta miała jeszcze na twarzy ową
połowę Ludmiłowego rąbka, którym to się wsty-
dliwie spowinęła przy wyjściu od Xiężny Kin-
gi, gdyż wtedy już czuła że z jój obliczem «cóż
dziwnego się dzieje.»

Syn podbiegł ku matce—podniósł rękę jakby chciał zedrzeć tę zasłonę—i znów rękę opuścił.... Nieśmiało.

Wtedy Ludmiła,—która z dosłyszanych szepców już zaczęła pojmować o co chodzi — przystąpiła ku Elżbiecie, i podniosła jęj rąbek.

Wszyscy wydali jeden okrzyk.

Jan padł na kolana.

Elżbieta była jeszcze piękniejszą niż Ludmiła.

Nasze branki wyglądały *inaczej* niż w pierwszym rozkwicie swego życia,—a nie wyglądały też wcale i na dzisiejsze swoje lata. Starość zniknęła zupełnie z ich rysów, ale i młodość nie powróciła na nie, przynajmniej nie taką wróciła jak dawniej. — Ze czterech pór żywota człowieka, dwie inne pory przeważnie w nich jaśniały: nieskalana niewinność wieku dziecięcego, i rozumny wyraz najwyższej dojrzałości. — Cała ich dzisiejsza piękność polegała na niesłychanym wyjaśnieniu i zprzezroczeniu cery, przez którą już przeglądało NIEŚMIERTELNE. A przeglądało taką czystością, spokojem, i pogodą, że któkolwiek do nich przystąpił, doznawał także oczyszczenia myśli, uspokojenia serca, i rozpodzenia duszy.

To też widok tych niewiast już nie budził

żadnej ziemskiej żądy, już nie wodził na pokuszenie.

Jeszcze w Ludmile, pozostała maleńka odrobinka ziemi. Czasem, w błysku jej oka lub w uśmiechu, zaczaiło się jeszcze jakieś dalekie wspomnienie kobięcości.....

Ale Elżbieta, — która zawsze była duchowniejszą niż tamta — która lepiej umiała cierpieć — która wcześniej utraciła swą piękność doczesną, i ani jednem westchnieniem jej nie pożałowała — dziś za to, w chwili odrodzenia, odnalazła się jeszcze od tamtej przejrzystsza, jeszcze podobniejsza do niebianki.

Obie wyglądały na «Duchy», co tylko dla uwidomienia się ludziom, raczą jeszcze zachowywać leciuchną powłokę, ale już, już są na odlocie do tych światów, gdzie Bóg tworzy postacie nie z gliny lecz ze światła.

Za przykładem Jana, wszyscy mężowie zgromadzeni ogromném kołem, zgięli mimowolnie kolana, i twarde mi rękoma bijąc się w piersi, wołali:

— Święte niewiasty, wstawcie się do Pana za nami grzesznymi.

Ale niewiasty wzdrygnęły się na te oznaki cześci.

— Wstańcie! — Mówiły. — A nie bluźnijcie. My grzeszne jak i wszyscy. Nie my święte, je-
no świętą jest ona koronna Mniszka, na której
uściech Bóg położył dar uzdrawiania, rady i pro-
roctwa.

Tu obie klęły w pośrodku mężowego ko-
ła, i zaczęły mówić Litanję do Świętych Pań-
skich. A wymieniwszy, Święte: Annę i Magda-
lenę—Męczenniczki: Agatę i Łucję—i wszelkie
następne — znagła zamilkły — poczem jednocze-
śnie i prawie bezwiednie zawołały:

— Święta Kingo, módl się za nami!

Jan i wszyscy mężowie, powtórzyli:

— Święta Kingo, módl się za nami!

A wezwanie to, wówczas pierwszy raz wy-
rzeczone, miało już odtąd powtarzać się bez koń-
ca, tak w niebie jako i na ziemi.

.
.
.
.
.

Wszelako «ziemia» szybko im się przypo-
mniała, ze swoim szeregiem trosk i obaw.

Hufce Kasztelańskie, zostawione bez dalszych rozkazów, a zaniepokojone ciszą panującą w sali, wysłały tam kilku ze starszyny. Ci, wtargnąwszy między rozmodlonych, stanęli zdumieni.

Kasztelan porwał się co żywo, i przyłożywszy palec do czoła, mówił:

— Trefny ze mnie wódz! Klepię pacierze kieby mnich, a przepominam com jeszcze nie zmówił mego żołnierskiego Brewiarza.

Tu wybiegłszy na dziedziniec, najślabsze miejsca zamku poobsadzał własnymi żołnierzami, a w ślad za Zyndramem wysłał kilkunastu zbrojnych, z nakazem ażeby dobrze uważali gdzie pojechał, i czy nie zbiera jakich nowych posiłków?

Oświadczył nawet, że z małym swoim wojskiem pozostanie jeszcze kilka dni w Żegnańcu, ażeby się przekonać czy ten odjazd nie jest fałszywym? Rycerze ze swemi pocztami, zostali także dla obrony w razie możebnego napadu, Sędziowie też z największą rozkoszą dali się uprosić w gościnę, i Żegnaniec przez dni kilkanaście wrzał od ruchu, tryumfu i radości.

Napaść żadna nie nastąpiła, ale co następowało bez przerwy, to uczyły pełne serdecznej uciechy, od których kuchnie zamkowe mało nie pękały. Wielkie zapasy żywności i napojów,

zgrupowane przez ostrożnego Zyndrama, posłużyły teraz przedziwnie do zastawiania długich stołów, przy których obleżeni i oblegający częstowali się wzajem, pomieszani, powikłani w jeden łańcuch uścisków.

Doczekali się też goście jeszcze jednej, cudnej niespodzianki—ostatecznego spełnienia słów Królowej Kingi: Róża Jerychońska zaczęła okazywać znaki zmartwychwstania.

Widocznie, długi wypoczynek posłużył jej siłom. Ledwie zakosztowała wody, wnet swoje konarki roztoczyła jakby promienie, napłynęła sokami, różowemi jakby krew młodziechna.

Siódmego dnia, kiedy Jaś przyszedł nad ranem ażeby jej się przyjrzyć, krzyknął z podziwu i świętego wylęknienia. Zbiegli się wszyscy — ujrzeli maleńki, zieloniuchny pączuszek..... Patrzyli a patrzyli, jakby na cud niebieski.

Po kilku godzinach, wyraźnie, w ich oczach, pączek rozszczepił się na dwa majowe listki. Wkrótce, wybłysnął inny — i jeszcze inny — i bez końca — tak, że po dniach kilkunastu, przy wyjeździe gości, cała Róża już była osypana listkami, a na samym jej wierzchu wybijały dwa kwiatki, bieluteńkie, jasne i przejrzyste, istny obraz naszych dwóch branek.

Na ten widok, ludzie żegnali się nabożnie, a Sędziowie dosiadając wierzchowców, mówili:

— No, już teraz możemy sumnienie mieć spokojne, kiedy dla pobłogosławienia naszego wyroku, nawet martwa gałązka zakwitła jak Różczka Aarona.

P o k o r a.

Cóż dalej stało się ze «Strasznym Strykiem?»

Szpiegowie Kasztelańscy donieśli, że pojechał do jednego ze swoich zamków pod Lublinem, tam się zamknął, i oko ludzkie go nie widzi.

Wszelkie wieści przez jakiś czas ucichły.

Ale po kilku miesiącach, przyleciał do Żegnana człowiek na koniu spienionym—sam zdyszany. Przynosił od Kasztelana żądanie, ażeby Jan i jego matka wybrali się jak najprędzej do Sandomierza, do kościoła Ojców Dominikanów, gdzie Zyndram chce odprawić obrzęd uroczystych przeprosin, czyli tak zwaną *Pokorę*.

— A spieszcie się — nalegał — bo pokutnik lada dzień gotów zamrzeć. Już bardzo chory

przyjechał do klasztoru Oóów Dominikanów. Mądre Xięża potrafiłi w nim obudzić wyrzuty sumnienia, ale téż jak raz obudzili, tak już i niemogli mu dać rady, aż musieli mu nakazać «Pokorę». Tera nieszczęśnik rwie się do niéj dniem i nocą, boć już tylko w onéj «Pokorze» widzi jakowąś nadzieję ratunku dla duszy.

Wezwani, oboje wybrali się co żywo. Pojechała i Ludmiła, nigdy już nie rozdzielająca się z Elżbietą.

Szybko stanęli pod Sandomierzem.

U bramy miasta, nowy posłaniec zabiegł im drogę, powtarzając:

— Prędzój! Prędzój! Ach my już myśleli że on chyba téj godziny nie doczeka. On już dziś od samiuchnego rana stoi przed kościołem, i woła was kieby zbawienia.

Całe miasto było w ruchu. Przestrzeń przedklasztorna falowała od głów nabitych.

Gdy spostrzeżono trójkę nadjeżdżającą, szeroka droga rozwarła się jakby na skinienie. Z obu stron szeptano:

— O, to już oni!..... To ów zabit..... utopion..... ów przesławny Włóczek!..... A to matka..... a tam znów owa druga..... to te dwie branki

z jassyru..... Ach, jakże one cudownie wyglądają..... czyste Cherubiny!

W głębi, na wierzchołku wzgórza, kościół rysował się murami o kształtach bardzo prostych, gdzie-nie-gdzie tylko wyłożonych w czarne i białe wzory, przypominające Dominikański habit. Gmach cały wyglądał dziwnie świeżo, tylko co bowiem został wynaprawiony po klęskach owego napadu Tatarskiego, który przed laty dwudziestu ciężko był świątynię nadniszczył, a zarazem i otoczył ją na wieki purpurową aureolą męczenników.

Ale nadjeżdżający, w tej chwili zapomnieli o wszystkiém, nawet o Sadoku i jego towarzyszach. Nie patrzyli na nic, tylko na Zyndrama, i na grono dostojnych panów, którzy stali w półkole przed kościołem. Grono to składało się prawie z samych znajomych; na czele był Kasztelan Krystyn; byli i wszyscy Sędziowie i rycerze co należeli do zdobycia Żegnańca. Było też mnóstwo mieszczan, nietylko Sandomiérskich ale i Krakowskich, był nawet i «Mądry Frycek.» Wszyscy mieli twarze pełne żalósnej powagi; Fryc tylko jeden wyglądał jakoś kwaśno, i kręcił się z widocznym niepokojem.

Zyndram stał osobno, pode drzwiami ko-

ścioła—w szarój śmiertelnój koszuli — z mieczem wiszącym na obnażonój szyi — z wielką żółtą gromnicą zapaloną w ręku.

Rozdziérający był widok tego starca, który trząsł się pod strasznym ciężarem poniżenia, a jednak stał wytrwale, i znosił tysiące spojrzeń przeszywających jakby strzały.

Po dwóch stronach, podtrzymywali go pod ramiona dwaj Dominikanie. Jeden, z twarzą groźną, pełną gromów, zwał się Ojcem Fulgentym. Drugi, błady a uśmiechnięty, był to Ojciec Gabryjel.

Kiedy Zyndram ujrzał Jana i Elżbietę, których postacie konne panowały nad pieszym tłumem, błysnął wzrokiem łaknącym, i wyrzekł:

— A!..... Jada!..... Przecie się to już skończy.

Ale kiedy spostrzegł nadjeżdżającą i Ludmiłę, zachwiał się na nogach.

— Po co ta trzecia?—Szepnął.—Jam jój nie wzywał. Ach Ojcowie, usuńcie ją ztąd precz..... proszę..... błagam..... Ja będę gadał przed całym światem, byle nie przed tą białogłową..... Nie — to już za wiele.

Ojciec Fulgenty położył mu rękę na ramieniu, i zgromił:

— Wstydź się człowiecze. Nie targuj się z Panem Bogiem.

Ojciec Gabryjel z drugiej strony, ujął jego rękę, mówiąc:

— Synu, wysącz ten kielich do dna.

W chwili kiedy Jan przed kościołem zsiadł z konia, Zyndram upadł na kolana, i trzymając ręce na piersiach skrzyżowane, wykrzyknął prze-rażającym głosem:

— W imię Boga w Trójcy Jedyne go, straszliwego i miłosiernego — Janie na Żegnańcu, przebac mi!

Dreszcz iskrzysty przeszedł po tłumach.

Jan podbiegł ku klęczącemu, serdecznie, gwałtownie go uściskał, i zdejmując miecz z jego szyi —

— Stryjciu kochany!—Zawołał.—Po co tyle smutku, i to jeszcze w oczach całego narodu? Jam już dawno w sercu wam przebaczył. A prawdę powiedziawszy, co tu i przebaczać? Wszak wy mię nie zabili?

— Alem ja chciał zabić..... oj chciał! I przez lat wiele spożywał owoce onój zbrodni...., Że Pan Bóg w swojej poczciwości ją naprawił, toć nie moja zasługa.

— Wstawajcie Stryjku, wstawajcie. Zapomnijmy o wszystkim.

— Nie, jeszcze nie wstanę, póki matka mi nie przebaczy.

Elżbieta stała opodal, milcząc i mieniając się od wewnętrznej walki. Na ostatnie słowa pokutnika, przystąpiła do niego, podniosła oczy, i położywszy rękę na głowie Zyndrama, wyrzekła

— Ja..... matka..... przebaczam ci.....

Chciała więcej powiedzieć, ale łkanie zatamowało jej słowa. Jan także płakał gorąco. Ach, wszyscy płakali. Najtwardsi rycerze mieli łzy w oczach. Nawet Ojciec Fulgenty ocięrał powieki połą od habitu.

Jeden tylko Zyndram, suchuteńkie miał oczy. Był tak złamany i zbiczowany duchowo, że nawet łez mu zabrakło. Mimo przebaczenia ludzkiego, jeszcze jakoś niemógł się ukoić.

Patrząc ponuro na płaczących, wyrzekł:

— Tak..... wyście mi otworzyli serce..... ale czy niebo się otworzy? O Panie! Panie! Może ono dla mnie zamknięte na wieki?

Elżbieta chwyciła jego rękę i zawołała:

— Nie Zyndramie, pokora niebiosą przebija!

Słowa jój, z ust do ust powtarzane, dziwnie wtedy wszystkich za serce chwyciły—potém długo jeszcze przechowały się w pamięci pokoleń—i zwolna przeszły w narodowe przysłowie.

Zyndram, nieco pokrzepiony tém słowem, rzekł ze wzruszającą nieśmiałością:

— Ha! Kiedym ja się już pojednał z wami, to wy mię teraz pojednajte z Bogiem.

Jan i Elżbieta wzięli go pod ręce i prowadzili do kościoła; ale niełatwo poszła im ta droga; starzec drżał, słaniał się jak trzcina. Dominikanie musieli z obu stron pomagać; Ojciec Fulgencjusz niósł miecz zdjęty z szyi Zyndrama, Ojciec Gabryjel trzymał gromnicę wyjętą z jego ręki; tak jeden z ostrzem kruszącém, drugi ze świeatełkiem przewodniém, szli po dwóch stronach pokutnika, jak Duch Żalu i Duch Nadziei.

Doszedłszy do głębi kościoła, Jan i Elżbieta chcieli starca posadzić między sobą, ale on skinął na dzieci z Chóru; te podbiegły, i przed Wielkim Ołtarzem rozłożyły całun.

Tam położył się na wznak jakby nieboszczyk, i w ogólnej ciszy zawołał donośnym głosem:

— Ludzie Chrześcijańskie, słuchajcie mnie, jakobych ja przemawiał już z jenszego świata! Jutro pewnie będę leżał tu na marzech — dziś

jeszcze wołam z progu śmierci: O wierzajcie mi, niewarto źle żyć! Powiedam wam, niewarto! Bo i po cóż człowiek źle czyni? Myśli że sobie kupi rozkoszność, dostatek i władanie. Tak myśli, ale to nieprawda! Djabeł, najteższy oszust w świecie, zawdy ołże i najmędrszego grzesznika. Na początek, obiecowa mu złote góry, ciągnie go do nich bez manowce, a kiedy nakoniec przyjdzie płacić, to pokaże się że ono złoto jest fałszywe, ona rozkoszność zatruta, ono władanie na glinianych nodzech. Wówczas człeczysko żyć ma się i krzyczy: «O jaki też ze mnie szaleniec, aby dziedzictwo Niebieskie sprzedać za michę soczewicy!»—A Djabeł pośmiéwa się, łapy zaciéra, i pobija nas tą właśnie bronią jaką my chcieli pobić bliźnich. Czém kto wojował, od tego zawdy ginie. Ja całe życie wojowałem pychą, i oto patrzajcie, muszę kończyć pokorą! — Muszę..... bo chcę.—Tak, chcę ze wszystkich sił duszy. Bez lat kilkadziesiąt jam ludzi jawnie gorszył. Niechże choć bez jeden dzień — (może ostatni dzień żywota!) jawnie ludzi zbuduję.

Tu rozpoczął głośną Spowiedź z całego życia.

Taka Spowiedź nie należała do warunków *Pokory*, Zyndram jednak dodawał ją sobie dobrowolnie. Okrutny z przyrodzenia, już niemo-

gąc pastwić się nad innemi, pastwił się nad samym sobą, i znajdował ulgę w téj próbie ognia Czyścowego.

Czasem jednak wstyd ludzki przemagał.... Chwilami, pokutnik zacinał się i mieszał. Wtedy Ojciec Fulgenty podpowiadał:

— Śmiało synu, śmiało.

Czasem znowu, gdy zanadto gwałtownie się oskarżał, gdy miotał na samego siebie zbyt ciężkie obelgi, Ojciec Gabryjel powstrzymywał go szepcząc:

— Nie tak ostro synu, powoli.....

Słuchanie tych wyznań było straszne, ludzie w kościele ryczeli od płaczu. Ludmiła, prawie już od samego początku niemogła wytrzymać i uciekła do kruchty.

Bo téż trafiały się—i gęsto—w tych wyznaniach, rzeczy niełatwe do przełknięcia dla czystej kobiéciej duszy. Zyndram pamięcią sięgnął w najrańsze lata swéj młodości, przytaczał z nich tysiąc brzydkich pustot i swawoli. Mijał je wszakże dosyć lekko, dopiéro zająknął się na imieniu Ulyanny, téj swojej piérwszej żony, o której wszyscy już byli zapomnieli.

Ale on nie zapomniał! Chwycił się za skronie i wyjęknął:

— O, ta krew ciąży na mojej głowie! Jam

posądzał..... a pono krzywo..... W dalszych czasach ludzie mi przysięgowali co ta biédna była niewinna kieby lelija..... Cóż, kiedym ja się rozżarł..... Miałem ja wonczas giermka..... chłopię było niczego.....

— Cicho. — Rzekł Ojciec Fulgenty, i ręką mu zasłonił usta.—Jużeś wyznał jako ta krew cięży na twojój głowie, to dosyć. Naród nie Xiądz, nie gadaj mu cudzych tajemnościów.

Umilkł tedy Zyndram, na niemałe rozczarowanie wielu słuchaczów, a zwłaszcza słuchaczek, co wprawdzie kryły się wstydliwie za rańtuchy, ale z pod rańtuchów z podwojoną ciekawością nadstawiały uszka.

Ztropiony pokutnik szukał innych przypomnień. Zaczął opowiadać swoje przygody na Dworze a raczej w szajce Bolesława Rogatki. Nikogo nie wymieniał, ale ówczesni słuchacze—zwłaszcza starsi — łatwo podstawiali imiona pod czyny.

Tu jednak opowieść szła jakby po grudzie. O ile Zyndram rwał się do tragicznych dziejów swojej piérwszej żony, bo tam zbrodnia — bądź co bądź—spoczywała na uczuciowój stronie życia, o tyle tutaj wstydził się postępków podłych, zdradzieckich, które ubliżały czci rycerskiój. Owe

napady na gościńcach i katowania wierzycieli, owe lichwy i rabusiostwa, niechciały mu przez gardło przechodzić.

Przypominał je sobie jednak sumiennie.

— A to my jeszcze wonczas podpalili one-go Peregryna z Mokrych Dołów, co nam się uprzykrzał o swoje trzysta grzywien...., A na drugie lato my przypiekli żeberka onój starój babulinie co to miała zielony sepet.... jak jój to było na przezwisko?

Ale tu Ojciec Gabryjel ujął go za ramię.

— Dosyć. — Rzekł. — Wszak ty nie byłeś tam jeden? Było was tamój wielu. Po co pakować wszystko na sumnienie jednego? Powiedz nam już lepiej zaraz, jak to tam było po Tatarzech?

— Oj, po Tatarzech.... Sromotno to wyznać, ale w onym czasie kiedy jedni ginęli w potrzebiech, a drugie oplakowali nasze nieszczęśliwość, jam wtedy wyprawiał sobie gody.... Pilno mi było brać żonę po raz wtóry, bo znalazła się takowa harda dziewczka, co śmiała mi dać odkosza.... Mnie, Zyndramowi! Co prawda, niedługo zażyła swojego zwycięztwa — Tatarzy wzięły ją w plen — a jam sobie ręce zacięrał i powtarzał: «Niechciałaś ty rycerza Krześcijańskiego? Naści

tobie poganin!»—I takom się radował, co niech Matka Najświętsza i ta straszna dziewczka mi odpuszczą! Ale mimo całej uciechy, niemogłem ja strawić onego kosza, a moje przyjacióły, złe wartogłowy, naśmiewały się ze mnie wciąż. Więc poślubiłem co żywo inną dziewczkę, takżeo zacnego domu i gładką, a ta mi znowuż skoro zmarła, pono z onego strachu co zawdy szedł odemnie—chocia mogła żyć przespieczno, bom ja ją trochę polubił odkąd mi dała syna.....

.

Ach, ten syn! Moja szczęśliwość — i moja wieczna rana!..... Piérwsze to było stworzenie boskie, którém ja naprawdę umiłowałem..... ale téż jak? No, powiem wam jeno to: jakom ja drugich nienawidził, takem jego miłował — jako drugim zawdy chciałem dokuczyć, tak jemu chciałem we wszelakich pożądaniami dogodzić. — I wszystko służyło temu dziecku -- wszystko mu się kieby te kwiaty sypało na kolébkę. — Brat mi zginął pod Chmielnikiem — syn jego i żona poszli w jassyr.—Jam bez grzechu wziął po nich okrutne dziedzictwo —jeno był grzech żem sobie mówił: — «Oto dobrze się dzieje, wszyscy giną i przepadają, aby memu synowi zbudowan był złoty podnózek.»

I nawet już byłem rad ludziom i życiu, i myśliłem że w oném ojcowskiém kochaniu

mam jakowąś cnotę, a dopiero teraz Ojcowie mi powiedzieli, co takie kochanie to czysta bałwochwalczość. Możeć i prawda?....

.

Niedługo téż trwały te radoście. Jedną razą Xiądz Maciej pisze do mnie, i donosi z wielkiém chwaleniem boskiém, że syn mego brata odnalazł się—odwiezion jest z niewoli—żyw.—Jako by piorun we mnie trzasł. Bo nie trzebaż prawdziwego nieszczęścia? Niktoż nie wracał od Tatarów, a ten jeden—mały dzieciak—musiał wrócić! I po co? Aby memu biédnemu synaczkowi wydziérać połowę dziedzictwa! I to najlepszą połowę! Ten Żegnaniec, złote jabłko—i tyle jenszych wsiów i skarbów! Kazałem tedy pisać że i ja takóž mam uciechę z onego powrotu, i chcę aby natychmiast przysłano mi chłopca, gdyż to nie przystojna rzecz, aby rycerski syn chował się pod sukienką klechy. Ale tamten, ani weź. Powieda, jako matka—ta oto pani Elżbieta — dała nakazanie, aby się on nie przy kim, jeno przy nim chował. — Takeśmy tedy piórami naszych Secretariusów tłukli się czas niejaki. Jam chciał koniecznie mieć przy sobie onego Jasia. Po co? Jeszczem ja się sobie samemu jasno nie przyznawał, alem czuł że go muszę mieć....

.

O! Jam dobrze wiedział że ten chłopiec będzie zawdy memu synowi przeszkodą, nietylko w samych bogactwiech, ale i w szanowaniu ludzkim, i w przyjaźni ludzkiej, boć on miał jenszego rodzica..... I żałość i zajzdrosć mię szarpały..... Mówilem sobie: — «Już ja memu dziecku niemogę dać poćciwego imienia..... no, ale niechże przynajmniej tamten będzie przy nas, to nie pozwolę aby mego syna poniżał—możec owszem ja go poniżę—a téż przecie i przypadki chodzą po ludziach — po starych i młodych — po wielkich i małych..... Możec i na niego przyjdzie jakowy przypadek?

.

Owóz, niemogłem klechy żadnemi pisaniami przełamać. Takem tedy do niego pojachał. Prosiłem o malca kieby o łaskę. Nie. Więc tedy kazałem wykraść. I dalibóg, byłbym dziecko dowiózł żywcem do Żegnańca, jeno że na środku rzeki uderzył mię w twarz. Mnie, Zyndrama! Wtedy już wzięła mię złość bezpamiętliwa.....

— I wiemy już, wiemy dalej Wujciu! Już skończcie gadanie! — Zawołał Jan chwytając go za ręce.

— Nie.—Rzekł starzec, a z lekka odpychał

proszącego.—Jeszcze mi w ustach gorzko—jeszcze mi trza gadać.

Mamże ja prawdę wyznać? Po tém utopieniu zrobiło mi się lżej. Byłem rad że co miało się stać, to się już stało—i tak łącno! Jeno czasem brała mię markotność z powodu onych świadków co to stali w łódce..... Ale i na to rada się znalazła: dwóch posłałem w utarczce na pewne zakłucie — dwóch za jensze winy zwiędło w loszkach--piątemu zadałem takowe ziółko, po którym utracił wszelkie pamiętanie, i już ogłupion był do śmierci.

.

Tak tedy wszystko się udało—nikt nie widział—nikt nie wiedział — majętności mi w rękach rosły jakoby przez czary — miałem kupę dworaków—miałem nawet już i przyjacioł—synaczek chował mi się pysznie—bo to było i harde, i piękne a straszne kieby orle, zupełnie takie jakom sobie roił. --I bez całe lat kilkanaście, wszystko mi się tak wiodło, że ażem się sam dziwował. — Nieraz po nocech, kiedym nie spał, (bo już co sypiać, to niemogłem zdrowo,) takem sobie mówił:—«Oto robiłem niejedno przeciwko przykazaniom boskim, a cóż mi się złego stało? Nic!—Jasna rzecz, jako Pan Bóg lubi wynaszać takowych, co się nie dają nikomu, nawet Jemu.....

A może téż On śpi za obłokamy, i nie patrzy wcale na to co się tu dzieje?.....»

.

A tak! Pan Bóg udawał że śpi, aby mi ostawić czas na opamiętanie, a jak widział że brnę i brnę ciągle, to pewnie z za obłoka pokazywał mi «Gzy..... gzy.....» i mówił ze śmiechem: «Durniu, patrz końca!»

.
.

Aż przebudził się ów straszny Bóg—i jeno błysnął okiem — i już mego synaczka niebyło między żyjącymi.....

.
.

Oh, On wiedział gdzie mię dźgnąć! Jedno Jego stworzenie umiłowałem, i to jedno mi wziął! On wie jak się mścić.

— Nie pleć głupcze.—Przerwał Ojciec Fulgenty.—Pan Bóg się nie mści, jeno karze.

— Prawda Ojczy, przyznawam, aleć kara była okrutliwa..... żebych ja był i całą połowę

ludzi jakie gdzie żyją, wyrznął, toby mię już chyba niemógł gorzej pokarać. Bólu nie mierz wedle noża, jeno wedle rany.

.

Od onego dnia wszystko się dla mnie skończyło. Znienawidziłem znowu ludzi, a ci mnie jeszcze gorzej —

Sam na bożym świecie, jak palec — ani przy sercu niewiasty — ani pod ręką synaczka — i to właśnie wonczas kiedy mi tak cudownie rozkwitnął! Po co ja dla niego tyle broił? Tyle skarbów krwią nasiąkłych zbijał? Tyle dusz ludzkich nagubił? Aby mię pacholę z grobu klęło?

.

Czasami po nocech, kiedym znów niemógł zamknąć oka, tom płakał za tobą Jasiu..... Mówiłem sobie: «Czemużem ja go topił? Teraz oto miałbym dziecko, co prawda nie rodzone, aleć zawdy to jeden ród. Byłoby komu rozsypować złotko, byłoby kogo wprawować do wojenki. A tak, co? Sam jeden, jako ten puszczyk na rozwalonój wieżycy.....

.

Czasem, łaknąłem śmierci. Pójść na sąd bo-

ski, raz już wiedzieć co ze mną będzie — i koniec.—A Pan Bóg jak na złość przedłużał znowu mękę. Zawdy miłosierny! On jeszcze wyczekował nawrócenia!

.

Czasem znów brał mię strach okrutny.... Kiedym widział jak ten Pan Bóg wymyślnie umie karać, tom się bał aby i owo topienie kiedyś na wierzch nie wyszło? Mówiłem sobie: «On gotów i to zrobić!»—I zgadłem jak raz.

. :

Rzecz osobliwsza! Tylem ja ludzi nakatowałem i nazabijał, a wždy niczego się tak nie wstydziłem jak śmierci tego jednego dziecka.... Byłbym ja wolał wonczas wypowiadać wszelakie inaksze moje złoçynystwa, byle nie to jedno....

.

To też nic a nic nie przyznałem, kiedy przyszły do Żegnańca owe dwie niewiasty, choćciem dobrze zrozumiał co to są za jedne. Wyście mi się wonczas, przez jakieś boskie zaślepienie, wydały trędownate, odarte i stare, a wszelakom ja was od razu poznał....

— Jakto, Zyndramie? — Zawołała Ludmiła, którą ciekawość i litość znowu przypędziły do kościoła.—Po czém-żeś ty nas poznał?

— Abo ja wiem po czém? Po głosie — po tém czémś, czego człowiek nie wygada — a może i po tym strachu co mną targał..... Dla tego to ja tak sierdziście krzyczał, i chciał psami was pędzać, bom ja się bał samego siebie..... Czulem że jeszcze trochę, a do nóg wam rymnę, i wszystko wyznam z płakaniem.

.

Takoż i kiedy Xiążę Leszek przysłał do mnie pismo, tom ja zara poznał że wszystko prawda, że ten Włóczyk co zbawił Kraków, to Jaś—ale się tak z onym Subjudexem ułożyłem..... to jest nie..... źle mówię — ja tak przed nim rzeczy ułożyłem, abych ja się wydał niewinien. A to nie dla chciwości, Boże broń! Co mnie już było po kasztelach i skarbiech? Jak pragnę zbawienia dusznego, powiedam wam, zaparłem się nie dla chciwości, jeno dla owéj wiecznéj pychy, co rosła we mnie coraz wybijalsza i rogatsza. Ja, miałbym się palić ze wstydu przed Xięciem i narodem? Ja, miałbym iść pod Sąd? Nie! Otóż

umrę— otóż dam się zabić— a nie wyznam. Takem się tedy zaciął.

.

Dopióro, kiedy wy z pod ziemi wyszli w mojej własnej komorze—kiedym obaczył że wy nie trędowate jeno bielusie jak anioły—kiedym spojrział na twarz tego Jasia, a on, miasto mię zabić, to się do mnie uśmiechnął, kieby czysty święty—wtedy poznałem że jest w ręku boskiem—głowę jeszcze raz ostatni, wedle przywyknienia podniosłem — ale serce już było we mnie rozkruszone—i oto.....

— I oto już wszystko dobrze!—Zawołał Jan, a wołając padł starcowi na piersi, objął go w ramiona, i usta mu zamknął pocałunkiem.

— Będziecie nam jeszcze Stryjku żyli długo i szczęśliwie, jeno już raz wstańcie, bo się od łzów pozadławiamy.

Podniesiono pokutnika, chciano podtrzymać jego kroki. Ale Zyndram już nie potrzebował obcej ręki; zrzuciwszy ciężar z serca, wstał jak odrodzony—przynajmniej na chwilę — i bez

drżenia, bez wahania, wyszedł milcząco ze świątyni.

Tłum rozstępował się z uszanowaniem, jak przed człowiekiem co dokonał wielkiego czynu bohaterstwa.

O tak! Ludzie owych czasów umieli ciężko grzeszyć, ale téż umieli przepysznie zadość-czynić. Grzechy ich pochodziły najczęściej z porywu namiętności a nie z martwoty zaprzeczenia, były to grzechy przeciw Ojcu albo Synowi, ale nie przeciw Duchowi Świętemu, to téż droga powrotna zawsze mogła jeszcze przed nimi się otworzyć.

Wprawdzie, wszystkim daną jest obietnica:
«Pukajcie, a będzie wam otworzono.»

To prawda, ale na to ażeby otworzono, trzeba koniecznie ażeby piérwój zapukano?

Tymczasem, nie każdy nawet raczy pukać!

Jeżeli człowiek stojący w obec drzwi zamkniętych, ma przekonanie że za temi drzwiami jest ktoś co może je otworzyć, taki prawdopodobnie będzie się dobijał. Nie dziś to jutro, nie jutro to choć w ostatniej chwili, zawsze przecież kiedyś zakolące.

Ale jeśli jest przekonany, że za temi drzwiami niema nic tylko czarna próżnia, rodzaj bezdennój, bezbrzeżnej «Dorotki», wtedy po co ma sztukać? Choćby drzwi same z siebie się rozwarły, on odwróci oczy z przerażeniem.

Dzisiaj niestety, wielu tak odwraca oczy. Nie oskarżajmy jednak wyłącznie naszych czasów; byli we wszystkich wiekach ludzie małej wiary. Oto i wtedy, w Sandomiérskim kościele, Podsędek Frydrych ruszał ramionami. Prawda, że wyznania Zyndrama rzucały bardzo niekorzystne światło na Podsędkę; zdradzały w nim albo złą wiarę, albo — co gorzej — brak przenikliwości, zarzut jeszcze może przykrzejszy dla niego niż pierwszy.

«Mądry Frycek» niemógł darować Panu Kasztelanowi, że ten go gwałtem sprowadził na takie zawstydzenie. Wyleciał pierwszy z kościoła, i gdy inni unosili się nad męztwem pokutnika, on gryzł wargi, mówiąc:

— E..... głupi człowiek! Mógł na cztery oczy pogodzić się z krewnemi, aleć po co to robić z siebie takie widowisko, i jeszcze drugich wciągać w błoto?

Co rzekłszy, dopadł swojego chudego szłapaka, i odjechał wielce oburzony, a ludzie długo śmieli się z mądrala, co póty drugich łapał, aż sam dał się złapać.

Kto wie nawet, czy to nie od owęj przygody powstała nazwa *Frycówki*?

Kasztelan Krystyn chciał zaprosić Zyndrama do swojego wspaniałego dworzyszczca. Zyndram odmówił, i milcząc skierował się ku klasztorowi Dominikanów, gdzie niechciał nawet zamieszkać w żadnej porządnej celi; wybrał sobie tylko pod schodami najlichszą komóreczkę, i ledwie tam doszedł, już go siły opadły. Odwaga którą podtrzymywał w obec tysięcznych oczu, prysnęła nagle pod zbytym naciskiem. Kilkomiesięczne zgryzoty, a nakoniec to upokorzenie, dobrowolne ale potężne, dorzucone do sędziwego wieku, przechyliły od razu szalę. Musiał się wnet położyć, a niechciał nawet łoża; rozciągnął się na ziemi posypanej popiołem. Ledwie pozwolił aby mu pod głowę podesłano lichą wiązkę słomy.

Mieszkańcy Żegnaniieccy chcieli go czule doglądać i pocieszać. Zyndram niby się nie sprzeciwiał—nic nie mówił—ale samym ich widokiem wyraźnie był rozdrażniony. Ledwie weszli, już wpadał w dziwne rzuty i jęki, które tylko z ich odejściem ustawały. Zakonnicy sami musieli prosić rodzinę ażeby odstąpiła chorego.

Jan i niewiasty, siadłszy z płaczem na korytarzu, przechodzących tylko dopytywali się: «Co Stryjek robi? Czy jeszcze jest nadzieja?»

Chory nie skończył tak prędko jak mu się zdawało. Przez trzy dni żył jeszcze, a raczej pasował się ze śmiercią i z burzami duszy. Spowiadał się znowu codziennie, a nawet po dwa razy dziennie, przypominając sobie ciągle jakieś czarne szczątki przeszłości.

Nakoniec, wielce już ukojony, czwartego dnia oddał ducha,—i po śmierci, gość dawno niebywały, uśmiech, pokazał się na jego twarzy, jakby zaświadczając, że dusza znalazła sąd łaskawszy niż mogła się spodziewać.

Po śmierci Zyndrama, Dominikanie ogłosili, jako wszystkie swoje majątności zapisał dla synowca, z dodatkiem nieśmiałej prośby, ażeby «jeśli łaska», pewną liczbę nabożeństw i jałmużn rozdawano co rok za jego duszę.

Rodzina wyprawiła mu bardzo ucziwy pogrzeb, na którym tłoczyły się z cichém szlochaniem te same tłumy ludu, co przed kilkoma dniami słuchały jego przedśmiertnej nauki.

I nie na samych łzach się skończyło. W niejednej duszy, ten wypadek zostawił głębokie i zbawienne wrażenie. Wiele kobiet wiejskich zeznało, że mężowie od onego dnia je mniej bili—

wielu twardych panów złagodniało dla służby i chłopstwa.

Bo téż cudownie piękny to był ten obrządek Pokory, co bez przymusu i bez upodlenia, bez żadnych kar ani więzień, mazał winy — przejeżdnywał serca — budował ludzi — i rozrzewniał aniołów.

Coraz bliżej nieba.

Ciekawa jestem czyby téż kto z czytelników odgadł, na jaki użytek niewiasty obróciły, pierwsze odzyskane dostatki?

Oto posłały do Krakowa, i wykupiły owych kilkunastu jeńców. Ich dotychczasowi posiadacze, dowiedziawszy się kto targu dobija, chętnie i bez przeceniania przystali na okup.

Tatarzy, znalazłszy się w Żegnańcu, zostali ugoszczeni, od stóp do głów odziani, a wieczór gdy zasiedli do wspólnej wieczerzy, niewiasty zaczęły ich się szeroko rozpytywać, o wszystko co zaszło przez lat wiele w Mongolji, zwłaszcza téż o Ajdara.

Żałobne były o tym ostatnim wieści. Ajdar umarł we trzy lata po swoim rozstaniu z Ludmiłą. Już od czasu jak ją zostawił na pustyni,

zapadł w smutek z którego nikt go nie mógł wyrwać, nikt, nawet śliczna i czuła Biga, na którą ledwie że chciał patrzeć. Co go właściwie zabiło, tego i najmędrszy czarownik nie byłby zdołał odgadnąć. Wedle twierdzenia Tołgana, Behadyr nie chorował na nic innego tylko na ten bezprzykładowy, nieprzemierzony smutek. Chciał się zeń otrząsnąć, próbował wojny, łowów, nic nie pomagało. Nawet kumys mu zubożniał. W ostatnich dniach, kiedy już leżał na posłaniu z gronostajów, (które najlepiej lubił, bo mu przypominały białą komnatę «gołąbki»,) niepozwolił aby do jurty wpuszczono Szamanów, tylko ciągle całował krzyżyk dany mu niegdyś przez Rubruka, i umarł powtarzając: «Ja chcę iść do Boga Ludmiły, aby ją tam znaleźć.»

Na te słowa Ludmiła rozplakała się rzewnie, zaraz tegoż dnia przywdziała wdowie ubranie, i odtąd ile razy mówiła o Ajdarze — a mówiła często, coraz częściej—zawsze wtedy miała dwie ciche łzy w oczach.

— A cóż z Bigą stało się dalej?

— O! Tój był koniec niewesoły. Po śmierci Ajdara, Kałga wziął ją w spadku, razem z innymi bogactwami stryja. Ale niemogła przywy-

knać do nowego pana. Nieostrożna niewiasta, co chwila powtarzała: «Ach, Ajdar był inny..... Ajdar nie byłby tego lub tamtego uczynił.....» — Kałga nie grzeszył cierpliwością. Razu jednego krzyknął: «Bądź mi cicho!» I pięścią uderzył w samą skroń tak szczelnie, że zakreśliła się, padła i już więcej nie wstała.

Z dalszych szczegółów o ludziach i rzeczach znajomych niewiastom, jeńcy—jak się zdawało—niewiele już co mogli powiedzieć, gdyż od lat kilkunastu mieszkali z Kałgą przy Nogaju. Pomimo jednak téj przeszkody, na wielką radość dawnych branek, znalazło się jeszcze kilka cennych nowin. A były nawet one bardzo świeże. Niespełna przed rokiem, Nogaj chciał wysłać do Wielkiego Chaana jakąś wiadomość wielce ważną i pilną, a nie miał pod ręką człowieka coby zasługiwał na pełne zaufanie. Kałga polecił mu swego ulubieńca Tołgana. Uszczęśliwiony Tołgan wziął pismo i poleciał, jak to gońcy Tatarscy umieli latać. Pędząc pocztami Cesarskimi, dniem i nocą przerzucając się z konia na konia, w kilka tygodni przemierzył «świat cały», i przejechawszy przez bramę tajemniczego *Muru*, o czterdziestém świtaniu stanął w Chambałyku. (Pekinie.) Sądził że tegoż dnia jeszcze otrzyma rozkaz wracania z odpisem, i stał aż do wie-

czora przy osiodłanym koniu. Ale Dwór, jak widać, namyślał się nad odpowiedzią. Kazano mu czekać całe dwa tygodnie. Przez ten czas Tołgan mógł się wszystkiemu przyjrzyć.

— Przez Wielkiego Tangri! — Wołał, podnosząc obie ręce. — Warto-by i dziewięć lat pędzić konno, aby dojechać do takiego miejsca! Ile Dworzec Karakorumski był piękniejszy od jurty najprostszych pastuchów, tyle Chambałyk jest wspanialszy od Karakorumu. Sam już pałac Chaana, to całe miasto ze złota i drogich kamieni. Chyba tylko na słońcu jest podobna stolica! Chyba tylko w niebie jest monarcha podobny do Wielkiego Chaana Kubilaja!

Uniesienia Tołgana niebyły tak przesadne, jakby się mogły wydawać Europejskim czytelnikom. Wprawdzie niemamy dokładnego pojęcia, czém są i czém jaśnieją mocarstwa niebiańskie, ale co na ziemi, to rzecz pewna że *nigdy* nie było monarchy, któryby zarządzał państwem równie wielkiem, i otaczał się Dworem równie pysznym, jak ów syn Xiężny Siurkukteni, mądry Cesarz Kubilaj, co wiódł już od lat przeszło dwudziestu swoje panowanie bez chmury, coraz szczęśliwsze, coraz tryumfalniejsze.

Kiedy Tołgan zaczął rozpowiadać cuda owego Dworu, to wszystkie zbytki Ogotajów i Kujuków, gasły przy nich jak srebro przy złocie.

— O żałujcie,—zawołał na zakończenie—żałujcie żeście nie pojechały do Chambałyku! Temu co tam nie był, to i niewarto żyć!

Niewiasty uśmiechnęły się na ten wyraz żalu, i chcąc skierować rozmowę ku najciekawszemu dla siebie przedmiotowi, zapytały Tołgana, czy téż nie widział w stolicy kogo z ich dawnych znajomych, naprzykład pani Paschy, albo Mistrza Wilhelma?

A jakże! Panią Paschę widział, był nawet u niej na sutój biesiadce, którą mu wyprawiła dla powzięcia wiadomości o brankach i Ajdarze. Niemógł się nawypowiadać jak jój tam teraz dobrze, w jakich ona opływa dostatkach i rozkoszach. Dzieci jój, wychowane już «za Murem», zchińszczyły się zupełnie, jeden z synów nawet został Mandarynem, i służąc jako «Uczony» przy Cesarzewiczach, zapewnił rodzicom na starość życie takie wygodne, że niejeden Mongoł mógłby im zazdrościć.—Co do Podczaszego, ten już umarł dawno, bardzo dawno, ale śmiercią wesołą, bo nigdy nie utracił najwyższych łask monarchy, a przytém i z Filipka doczekał się pociechy; Filip dopiął celu swoich marzeń, poślubił jedną z owych Cesarzówien Chińskich, któ-

re Tatarzy całemi dziesiątkami brali w jassy, i które chętnie wydawali za ludzi pośledniejszego rodu, ażeby—jak mówili—niepotrzebne wspomnienia łatwiej wywietrzały im z głowy.

Gdy Tołgan tak się unosił nad szczęśliwością jeńców, niewiasty ciężko westchnęły. Ach, one wiedziały, jaką to szczęście zaprawne jest goryczą! Wiedziały że Pascha, nad wszystkie dziwy Chambałyku, wolałaby najlichszą izdebkę w Belgradzie albo w Metz, —wystawiały sobie, jak Mistrz Wilhelm umierając na Chińskich atłasach, musiał oczyma duszy tęsknie się zwracać ku stromym dachom i gotyckim wieżom swojego prześlicznego Paryża!

Spojrzały na siebie, i szepnęły:

— Ileż my szczęśliwsze! Myśmy powróciły!

Tatarzy także się zadumali. O czém? Oni znów dumali o szeroko-wichrzystym stepie, o jurcie czarnej ale swojej, o wielkich Terchanach i Chatunach, co chodzą w turkusowych pasach i koralowych djadematach. Czy oni jeszcze kiedy zobaczą to wszystko? Wprawdzie teraz ugościono ich i odziano, aleć są jeńcami? Któż wie co będzie dalej? Wprawdzie pan tego zamku,

przypuścił ich do swojego stołu, aleć to zabójca Kałgi! To zwycięzca Krakowski!

Zwolna, pospuszczali oczy, i zwykła ponurość wróciła na ich twarze.

Nazajutrz po téj różno-wrażliwój wieczerzy, rano, niewiasty zwołały jeńców u progu zamkowej kaplicy. Przez jój drzwi rozwarte, widać było w głębi nad ołtarzem, wielki czarny Krucyfiks ze srebrnym Panem Jezusem. Niewiasty, wskazując go ręką, rzekły:

— Nasz Bóg z wysokości Krzyża nakazał, abyśmy nieprzyjaciołom przebaczeni. My więc, posłuszne rozkazowi, dajemy wam wolność. Wróćcie do ojczyzny—każdemu najmilszój—a gdy powrócicie, namawiajcie braci aby tak samo czynili z jeńcami Chrześcijańskiemi.

Słuchacze osłupieli. Niemogli uwierzyć tym słowom, choć były wypowiedziane dobrą tatarszczyzną. Niewiasty musiały po raz wtóry i trzeci ponawiać uroczyste zapewnienie.

Wtedy, ze wszystkich piersi wydarł się przerażający, iście Azjacki okrzyk, straszliwy swoją radością. Wszyscy runęli na ziemię, i dziewięćkroć uderzyli czołem przed swemi wybawi-

cielkami. A gdy podnieśli głowy, jedni śmieli się jak szaleńcy, inni łyzy grube z oczów ociérali. Zwyczajna ponurość Tatarska pękła pod wybuchem uniesienia, i ukazała ludzką głąb' ich duszy.

Jeden tylko jeniec stał nieruchomy, nie dziękował, ni śmiał się, ni płakał.

Był to człowieczek drobny, pomarszczony, a bystro patrzący świdrowatemi oczyma, jakby ryś co się skulił od starości.

Już wczoraj przy wieczerzy, nic prawie nie jadł, ust nie otworzył ani razu, tylko ciągle wpatrywał się w Elżbietę. Obecnie także nie spuszczał jój z oczu, aż Elżbieta zdziwiona zapytała:

— Cóż staruszku, czy cię nie cieszy wolność?

— Ja niechęć wolności.—Odrzekł.

— Jakto, niechcesz wolności? Więc czegoż chcesz?

— Chcę zostać tutaj—kłaniać się przed tym Krzyżem przed którym ty się kłaniasz, i służyć tobie do śmierci, o wielka Szamanko!

To mówiąc, padł u nóg Elżbiety, i kraj szat jój pochwycawszy drżącemi rękami, całował go jakby dziecko, czołgał się po ziemi jak niewolnik, składał ręce jak człowiek rozmodlony.

— Któż ty jesteś staruszku? Jakże się nazywasz?

— Więc ty mię nie poznałaś, o boska isto-
to? Może przez litość niechcesz zawstydząć tego,
który tak okrutnie cię nadręczył? Wszak ja je-
stem..... ja jestem..... Berkaj.

— Berkaj? Co to za imię? Czekał..... ach, już
sobie przypominam..... To ty mię zszedłeś wtedy
w lesie, nad źródłem? To ty mię dostawiłeś do
Kałgi?

— Tak, ja. I widziałem jak cudownie wy-
szłaś z rąk oprawców..... O dziwna niańko na-
szego Kałgi! Widziałem jak na ciebie i na tę
drugą, Czarne Duchy spuściły nieuleczalną pla-
gę trądu. Widziałem jak was wszyscy żyjący
opuścili. I oto dzisiaj, widzę was obie na waszjej
ojczystej ziemi, wolne, uzdrowione, z twarzami
jak słońce. Wielkim jest Bóg co takie dziwy
czyni. Ja nie chcę już mieć innego Boga.

Elżbieta i Ludmiła chwyciły Berkaję, każda
za jedną rękę, wciągnęły go do kaplicy, i ra-
zem z nim padły przed Krzyżem na kolana.

.

Tymczasem, oswobodzeni jeńcy rwali się do
powrotu. Niewiasty chcąc im go ułatwić, obda-
rzyły każdego suto, a nawet, w obawie aby
po drodze nie ujęto ich jako zbiegów, dały im
rodzaj «paiży», list otwarty z Polskim i Ruskim
textem, który w obrębie Chrześcijańskich krajów

miał zaświadczyć, że im jest wolno powracać do Mongolji.

Berkaj został, i zaraz nazajutrz Chrzest otrzymał, ale tylko z «wody». Solenne Chrzcziny odłożono do świetniejszej chwili, ażeby jak największą liczbę pobożnych zbudować i ucieszyć tym widokiem.

Tak skończywszy z obcemi, niewiasty co najprędzej pomyślały o swoich; a najprzód, o chłopach Żegnanieckich, których los pod Zyndramem tak wielce osmutniał. Rozdawano biedakom ziarno do zasiewu, krowy i narzędzia rolne; wznosiły się schludne chaty; pomyślność wszędzie zakwitała.

Potem przyszła kolej na Zamek. Postarano się aby go w najdrobniejszych szczegółach przywrócić do jego dawniej postaci.

Jedną tylko rzecz Elżbieta odmieniła, to nazwę.

Jeżeli pamiętacie, ta nazwa już bardzo dawno, jeszcze przed wzięciem do niewoli, zdawała jej się złowróżebną. Jeszcze Sulisław obiecywał, że ją wedle życzenia małżonki odmieni.

Przezowano więc Żegnaniec, «Witańcem».

Nazwa była dobra i wesoła, jednak nieprędko się utarła. Ludzie—związani nawykniemi—przez długie lata jeszcze się mylili, i najczęściej wymieniali obie nazwy, mówiąc:

— Żegnaniec..... A niechże cię! Nie..... Witaniec.

Ale wypadki przyznały słuszność nowéj nazwie, bo teraz dla posiadaczy Zamku, nastąpiła pora nieustannych *przywitań*. Trąba niemogła przycichnąć, brama niemogła się zamknąć, od ciągłego napływu gości.

Niedługo nawet «zawitał», już nie gość przelotny, ale nowy stały mieszkaniec. Matjasz Kulis, ośmielony zapewnieniem, że obie «Dobrodziki» są zdrowsze niż kiedykolwiek w życiu, przybył na dośmiertne osiedliny przy swoim «królewiczu Jasiu.»

Ta zmiana wydała mu się urzeczywistnieniem czarodziejskiej baśni. Ofiarowano mu w Zamku parę wspaniałych świetlic, i przecudny alkierz okrągły, zajmujący jedną z wież narożnych. Wszędzie były ściany kamienne jakgdyby w kościele, u dołu obwieszane pstremi tkaninami; wszędzie sprzęty jakby dla Biskupa, rzezane z najprzedniejszego drzewa. Miał na swoje usłu-

gi strojnych dworzan, sfory i wierzchowce. No-
sił się we wzorzystych sukniach, okładanych dro-
giemi futrami. Jadał na misach świecących jak-
by gwiazdy, pił z kubków przezroczych jakby
promień xiężyca. No, a co jadał i pijał, tego już
i nazwać nieumiał. Po prostu, rajskie życie. Wpra-
wdzie żałował ciągle, czemu to jego Kachna nie-
doczekała owych rozkoszności, pocieszał się wsza-
kże myślą, że jeśli nieboszczka — co daj Panie
Boże! — jest w niebiesiech, toć jój tam chyba
jeszcze lepiej. «Chocia» — dodawał — «niełacno wy-
rozumieć, jakowe to już może być *lepiej?*»

Ale co go cieszyło nad wszystkie własne
zaszczyty i wygody, to zmiana zaszła w postaci
jego Jasia. Dziedzic zamkowy, stosując się do
swego nowego położenia, (a może jeszcze więcej
do życzeń Matusi,) chodził obecnie w szatach
pańskich, najczęściej w czerwieni złotem wyszy-
wanój, z mieczem — spowiniętym świetną taśmą —
u boku, a gdy wyjeżdżał, nakładał na ramiona
skrzydlasty płaszcz biały, którego kaptur spuszczał
się za pociągnięciem szkarłatnego sznura. W tych
wszystkich, jak nazywał «swywolnych ochędóz-
twiech», było mu tak pięknie, ale to tak pię-
knie, że i Matuchna, i Ciotuchna, i stare Oćczy-
sko, ciągle tylko za nim oczami wodzili.

Z «oćcem» przyjechali téż synowie, niedawno Pietrek i Wojtek, dziś sławetni panowie Piotr i Wojciech, z któremi brat przybrany tak hojnie się swoim bogactwem podzielił, że już teraz mogli nawet i do córek Wójta Krakowskiego pójść w zaloty. Przyjechali, ale nie na długo. Jan chciał koniecznie zatrzymać ich przy sobie w Zamku, tymczasem oni woleli, osiąść — każdy na swoim. Jeden kupił wioskę wyborną pod Krakowem, drugi w samym Krakowie nabył kamienicę o spiczastym dachu i kamiennych figurach, i obaj żyli najszcześliwiej, zaglądając czasem do Witańca, dzień i noc błogosławiąc szczodrotę swego «miłego Janka.»

Szczodrota owa nawet nieprzyniosła Janowi uszczerbku w bogactwie, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, co z jednéj strony rozdał, to drugą stroną Pan Bóg mu zaraz oddał, i to po swojemu, z dokładką.

A zdarzenie to przyszło w skutku pewnych zabiegów, jakie dziedzic Witaniecki uczynił, znów nie dla siebie lecz dla drugich.

Zaraz prawie po zamieszkaniu na Zamku, Jan i Elżbieta nic nie mówiąc Ludmile--wypra-

wili do Xięcia Leszka pismo, w którym najprzód dziękowali mu najpiękniej za łaskę i opiekę, potem donosili o pomyślnym obrocie wypadków co im przywrócił ich prawdziwe imię i praojcowy «kasztel», a nakoniec błagali, ażeby Xiążę nakazał prawne dochodzenie względem dawnego majątku Ludmiły. Co się z nim stało? Czy go zagarnęli jacy mniemani krewni? Czy obcy ludzie rozszarpali? Rozmaite o tém były wieści, a wszystkie z sobą sprzeczne, wszystkie osłonięte jakąś osobliwszą tajemnicą, którą chyba sam tylko Xiążę mógł swoim okiem ojcowskiem przeniknąć.

— «Mnie i memu synowi—pisała Elżbieta—
«Opatrzność i dobre ludzie oddały już wszystko
«co nam się po sprawiedliwości należało, ale Bóg
«widzi, że kęsa strawy nie przełknę bez gory-
«czy, ani oka nie zamknę w nocy bez płakania,
«dopóki takąż sama sprawiedliwość nie będzie
«uczyniona téj szacownej niewieście, co we wszel-
«kich niedolech była dla mnie jako druga Rut
«dla Noemi.»

Bardzo wkrótce, bo już w kilka tygodni potem, u bramy Witanieckiej zjawilo się dwóch ludzi o chędogich strojach i przyjemnych twarzach. Byli to dwaj synowcowie Rafała.

Mieszkańcy Zamku przypomnieli sobie wprawdzie, nieśmiałość i niechętność z jakimi ci

ludzie wykręcali się od wszelkich zaświadczeń, kiedy Sądy chciały sprawdzić pochodzenie Włóczka i tożsamość branek. Jednak, przez pamięć na Rafała, przyjęto ich uprzejmie, i chciano zaraz prowadzić do stołu.

Ale oni się wymawiali, prosząc:

— Wieczerać nam nie pilno, jeno pilno zdać sprawę naszej dziedzicze, przezacnej pani Ludmile.

— Sprawę z czego? Jak? Co?

Wtedy pokazała się rzecz dziwna i prawie nie do wiary.

Przed laty czterdziestu, gdy Ludmiła w gospodarstwie Węgierskiej oddawała Jasia Rafałowi, wtedy wśród wielu innych rozporządzeń, tak rzekła do niego:

— Wiész już tedy mój Rafale, co masz odemnie podarować Wasylowi: zamek u nas, albo—co jeszcze lepiej—tu na Węgrzech. A teraz, pogadajmy o tobie. Uratowałeś ten oto Skarbczyk mego rodzica, sam straciłeś całą twoją chudobę. Moja więc rzecz teraz, abys miał spokojny kawał chleba na resztę żywota. Owóż, damę tobie moje Białe Wody. Jest-to wieś porządna i dostatnia.

Tu Rafał zaczął się wzdragać.

— A po co to, paniusiu? To tak będzie se patrzyło, jakoby ja sprzedawał moje usługowanie.

— Już nic nie pomoże, mój Rafale. Chcesz czy niechcesz, a Białe Wody wziąć musisz; daję ci tę wieś na własność, na wieczne czasy, dla ciebie i twoich. Ale za to, jeszcze chcę przysługi: oto, wszystkie moje majątności, ziemie, wsie i zamki, oddaję pod twoje opiekuństwo. Będiesz tém wszystkiém zarządzał—tak jak to ty umiesz, wiernie i mądrze—aż do czasu kiedy wrócę z panią Elżbietą. W Bogu nadzieja że to bardzo niedługo przyjdzie. A gdybyśmy nie wrócili..... wtedy zarządzaj dalej, aż do czasu kiedy Jaś dorosnie, a jak dorosnie, oddaj mu wszystko co posiadam. Wczoraj mówiłeś mi, że biędni moi Stryjcowie już pomarli.....

— A tak, i to niemal w jednym-że dniu oba: ten przy kielichu, tamten w bójce z somsiadem.

Ludmiła przez chwilę zamilkła, potem westchnęła:

— Boże, bądź miłościw ich duszy! Już tedy teraz mój Rafale, na mnie sierocie gasną dwa nasze rody, już nié mam żadnych krewniaków, niechże Jaś kochany wszystko po mnie dziedziczy.

I czując że gołe słowo nie wystarcza, Ludmiła spisała całą swoją wolę, pismo z pieczęcią oddała Rafałowi, poczem wdziawszy mężki ubiór,

wyruszyła—jak wiemy—z karawaną Genueską, na tę swoją powtórna wędrowkę, z której tak nieprędko miała wrócić.

Rafał spełnił sumiennie wszystkie polecenia. Jasia odwiózł do Xiędza Macieja—Wasyła osiedlił na Węgrzech—a zjechawszy ostatecznie do kraju, zaczął bardzo zabiegliwie rządzić dobrami Ludmiły, na którą co rano i co wieczór, ze śniadaniem i z wieczerzą czekał. Ale minął rok jeden i drugi, branki nie wracały. Co gorzej, doszła go wiadomość o zaginieniu Jasia. Rafał gryzł się i coraz bardziej siwiał, jednakże nie ustawał w pracy, i zawsze mówił że choćby sto lat przyszło mu czekać, to wszystko będzie trzymał w pogotowiu, boć pani przecież kiedyś wróci? A jeżeli nie wróci pani, toć panicz jeszcze się odnajdzie? A jeżeli już nie sam panicz, to może chociaż syn jego?

Stu lat — jak łatwo zgadnąć -- staruszek nie przetrzymał, ale czekał całe lat dwadzieścia, a gdy po tym czasie umierał, mógł oczy zamknąć spokojnie, bo sobie wychował dwóch następców, owych «synowczyków», którzy przez rzadkie pokrewieństwo duszy, byli takież nieposzlakowanej uczciwości jak i Rafał.

Ci znów oczekiwali całe lat dwadzieścia, czy na Ludmiłę, czy na Jasia, czy na owego Jasinego syna, czekali—już nie ze śniadaniem ni wieczerzą—ale zawsze z gotowemi rachunkami. Zamieszkując Białe Wody, które im się po Rafale

dostały, ciągle objeżdżali majątki Ludmiłowe, i zawiadywali niemi tak starannie, jakgdyby to były ich własne. A mieli z tą robotą niemało przykrości, bo nietylko tysiąc kłopotów gospodarskich, ale i tysiąc ludzkich dziwowisk, a nawet i podejrzeń. Mówiono że siedzą na cudzém, na kradzioném..... oni zatykali uszy i swoje robili.—Skarbiec Xiążęcy chciał się przypytać do bogactw zaginionej dziedziczki; oni pokazali własnoręczne jej pismo, i dano im pokój. — Największa bięda była z ciżbą mniemanych spadkobierców, którzy się coraz liczniej zgłaszali, bo choć Ludmiła nie miała właściwych krewnych, przecież w Polsce wszystkie rody były tylokrotnie z sobą powiązane, że w podobnej sprawie nigdy niebrakło ludzi roszcujących sobie jakieś prawa. Tych zbywano rozmaitemi wybiegami, aż w końcu, nikt już niemógł wiedzieć naprawdę, co się stało z owém zaklętém dziedzictwem?

Nakoniec, po latach czterdziestu, gdy gruchnęła wiadomość o szczęśliwém ocaleniu Krakowa przez Włóczka, i o dwóch brankach przybyłych od Tatarów, synowcowie Rafała zaczęli z radosnym niepokojem przysłuchiwać się i dopytywać. Niestety, wkrótce przyszły inne głosy, twierdzące jakoby cała powieść owych branek była czystém zmyśleniem. Wierni stróże powiedzieli sobie, że teraz trzeba działać przezorniej niżeli kiedykolwiek; wezwani na świadki, nic nie

zaświadczyli, sami o dowody prosili, a z tajemnicą się nie wygadali.

Dopiero przed kilku tygodniami, kiedy Xiążę Leszek przysłał im te dowody w urzędowém piśmie, ze swoją królewską pieczęcią i wyrokiem Sądu, polecieli jakby na skrzydłach do Witańca, i téj dziedziczce, nigdy niewidzianej a tak miłościwie czekanej, złożyli nawzajem dowody swojej niemal półwiekowej wierności.

Przybycie ich, sprawiło niewiastom podwójną uciechę. Najwięcej uradował je widok takiej cnoty, zawsze pięknej, a tu jeszcze tém piękniejszej, że spełnianej z wielką prostotą. Dziwni ci ludzie, których niewiedziانو już gdzie posadzić, ani jak uczcić dostatecznie, marszczyli brew i mówili:

— Jakoż to można chwalić człeka za to że nie złodziej?

Miały więc dusze czém radować się i budować. Ale i radość doczesna była nie do wzgardzenia. Majątki Ludmiły, już ogromne za dni jej młodości, obecnie rozrosły się do bajecznych niemal rozmiarów; przez czterdzieści lat przybywało tam nieustannie ludzi, dobytku, pracy i dochodów; dochody te, skrzętnie zbierane a przez nikogo nietykane, zaważyły złotem i srebrem, niejedno podziemne schowanie jej zamczysk.

Ludmiła nie dała się pokonać w szlachetności przez dwóch swoich niespodzianych dzierzawców-dobrodziejów. Złotem ich po królewsku

zasypała, ziemi każdemu do syta dodała, i zarząd wszystkich swoich posiadłości nadal w ich rękę zostawiła, sama bowiem niemogła już myśleć o porzuceniu najmilszego sobie Żegnańca. Chciała do śmierci pozostać tam z Elżbietą. Po śmierci zaś—wedle pierwotnej myśli—całe swoje mienie przelęwała na Jasia.

Tak to Pan Bóg dołożył Janowi sto razy więcej niżeli tamten rozdał innym.

O! Teraz dopiero, wszyscy troje mogli rozdawać, pełnemi dłońmi, pełną duszą! To też wszystkie drogi wiodące do Witańca, zaroily się od ubogich, zwabionych wieściami o chlebobajnej górze. Co rano, pełen ich był po brzegi dziedziniec zamkowy. Niewiastom aż serce rosło; czasem jednak wzdychały, mówiąc:

— Ach, czemuż to rąk niemamy dłuższych, takich coby sięgnęły aż do krajów Tatarskich? Ilu by to tam naszych jeńców można tym dostatkiem przyrodzić i nakarmić, a niektórego i wykupić! Ach, za daleko! Już niczem im nie pomożemy, chyba jedną modlitwą.

I szły zamyślane do kaplicy.

Kaplica także porastała w bogactwo. Coraz więcej tam widziano jaskrawych tryptyków, ko-

sztownych naczyń, i ubiorów kapłańskich, które znów Elżbieta wyszywała cudnie, już nietylko Zachodnim «ścięciem», ale i po Wschodniemu, wtlączanym drutem i blaszkami.

W liczbie tych nabożnych przystrojeń, były téż niektóre i wielce osobliwsze.

Synowcowie Rafała sprawili mieszkańcom Zamku, jeszcze jedną bardzo miłą niespodziankę, przynieśli im ów gruby warkocz o sobolowych połyskach, który Ludmiła niegdyś obciążwszy nożycami Beppa, zawiązała na szyjce uśpionego Jasia. Rafał święcie go przechował i przekazał następcom, a Jan go teraz przyjął jakgdyby jakąś serdeczną relikwię. Kazał warkocz oprawić w puszkę pół-złotą, pół-przejrzystą, i to Ex-Voto zawiesił w kaplicy, po jednej stronie Krucyfixu.

Po drugiej stronie, znalazła się wnet inna ofiara.

Nasze branki wróciły—jak wiemy-- do kraju, odarte i ze wszystkiego wyzute. Pozostały im jednak trzy pamiątki, z któremi Ludmiła nie chciała się rozstać aż do końca; były to: złote kajdanki Przedwojowica, jego Turniejowa chusta, i list Elżbiety krwią pisany. Te trzy przedmioty, starannie tajone, to na piersiach, to w zawiniątku, przeniosła przez wszystkie pustynie, uratowała ze wszystkich niebezpieczeństw, i teraz dopiero zaczęła kolejno zdejmować ów drogi ciężar. Złote kajdanki zawiesiła po drugiej stronie Krucyfixu. Chustę jedwabną oddała na

ornat. Ów zaś list krwawy ustąpiła Jasiowi, który go już nie ustąpił nikomu, nawet Panu Bogu, ale za przykładem Ludmiły położył na własnych piersiach.

.
.
.

A tymczasem trąba grała — brama się nie zamykała — z całego kraju ciągnęli do Witańca nietylko ubodzy ale i bogaci — starcowie i młodzież — damy i rycerze — uczone Prałaty i ucieszni Pieśniarze. Ciągnęli z rozmaitej ciekawości — dla przyjrzenia się bohaterowi Krakowskiemu — dla uczczenia męczennic jassyru — dla podziwiania ich niebiańskiej postaci — dla wsłuchiwania się w ich bezprzykładne dzieje — nakoniec i dla owych jakichś Tatarskich dziwów, których według wieści, można się tam było napatrzeć i nakosztować, a których nigdy jeszcze w Chrześcijańskim kraju niewidziano.

I niemyłne to były wieści. Jak niegdyś na ziemi wygnania branki otaczały się chciwie wspomnieniami ojczyzny, jak tam zastawiały sobie Święcone i gotowały szary Żurek, tak teraz naodwrot, lubiły odtwarzać w koło siebie obrazy owęj strasznej przeszłości, bo te obrazy — ni by malowanki w xiędze — jeszcze lepiej uprzytomniały słuchaczom prawdę ich opowiadań,

a w ich własném sercu budziły jeszcze mocniejsze poczucie obecnego szczęścia.

Więc gościom podawano różowawą pieczeń z koniny—przynoszono konwie pełne pieniącego się kumysu, który Elżbieta umiała wybornie przyrządzać—a pod górą zamkową postawiono według ich wskazówek altankę, zupełnie podobną do jurty Mongolskiej. Tam niewiasty lubiły czasem siadywać i dumać, zwłaszcza gdy wichher szarpał ruchomemi ściankami, bo w pierwszych czasach trochę tęskno im było do życia na wolném, szerokim, powietrzu; niepróżno tak przeżyły całe lat kilkadziesiąt.

Jednak człowiek łatwo powraca do wszystkiego co lepsze. To téż i one szybko zapomniały swoich pustyniowych nawyknień. Za nadjeściem zimy, zaczęły z rozkoszą zamykać się w murach, a na drugie lato, jurta stała już tylko jako pogańska osobliwość, gdzie panie czasem po obiedzie przyprowadzały gości, dla pokazania, «jak to się tam żyło?»

Altanka, obwieszona ciemnymi derami, w górze miała okrągły otwór; pod otworem leżał kamień wyżłobiony, gdzie można było rozpalic ognisko; w głębi, rozlegał się sprzęt niziuchny z wałkami, przypominający Wschodnią sofę. Kiedy pospuszczano zasłony, złudzenie bywało tak mocne, że niewiasty czasem wzdrygnęły się z przestachu, na myśl czy Arguna lub Kargan nie wetkną tam głowy? Do spotęgowania téj

złudy, przyczyniała się jeszcze obecność Berkaja, który ciągle chodził w ubraniu Tatarskiém, rozmawiał z paniami po Tatarsku, i żył na wpół koczowniczo, bo właściwie nigdzie nie mieszkał.

Chciano mu podarować śliczny domek, z ogrodem, pasieką i stajenką, ale Berkaj wzgardził tém—jak mówił—«więzieniem», i prosił aby mu dano żyć wedle własnej woli. Pokazało się, że jeśli prosił o wolność, to jedynie w tym celu ażeby zostać niewolnikiem; Elżbietę obrał sobie za panią, za władczynię, za bóstwo. Nikogo nie słuchał tylko jednéj Elżbiety, ale téż jak słuchał Staruszek chodził za nią jakby pies domowy,—cały dzień w oczy jéj patrzył, czekając na słowo lub skinienie, — przy stole stał za jéj krzesłem, i usługiwał (pomimo jéj gniewów,) najczęściej na klęczkach,—w nocy spał pod jéj drzwiami jakby wierny brytan.

Oprócz téj służby, wybrał sobie i drugi obowiązek: doglądał owego Kałgowego taranta, któremu już na zawsze pozostała nazwa «Tatarczyka.» Doglądał go z pieczołowitością pełną znawstwa i niemal uszanowania. Bo téż to był koń bezcenny, koń-nie-koń, istne cudo. Jan rozmiłował się po rycersku w swoim zdobycznym rumaku, a i Tatarczyk nawzajem przywiązał się gorąco do swojego nowego pana. Chodził za nim jak dziecko, jadł z jego ręki łakocie, i—dla wszystkich innych nieugłaskany—

jemu tylko i Berkajowi dawał się wodzić bez oporu.

Miał przytém staruszek jeszcze inną rozrywkę. Po wielu mozolach, zrobił sobie jakieś narzędzie muzyczne, cós nakształt bałabajki; dla lepszego podobieństwa, pomalował je na żółto, i niby Tolholos, przewiesił przez ramię na niebieskiej wstędze. Poczém wieczorami, siadłszy przed jurtową altaną, w osobliwszy sposób targał struny, i żałosnym głosem wyciągał dzikie pieśni Azjackie, przy których ludzie Zachodni popadali w nieznane sobie osmucenie, a Tatarczyk zdziwiony, ze stajni nasłuchiwał, strzygł uszami, rył ziemię, i cały się wstrząsał, jakby sobie przypominał swoją stepową młodość.

Z pomiędzy gości, nikt może nie odczuwał tak silnie owych groźnych pieśni, jak rycerz Sylwester, który z czasem także tu przyjechał.— «Błędne rycerstwo» niedługo mu smakowało; syna zostawił na Dworze Cesarza Rzymskiego, ale sam ztęskniony powrócił do kraju, a posłyszawszy o cudownych paniach Witanieckiego Zamku, wybrał się do nich z sercem bijącym od młodzieńczych wzruszeń. Branki ucieszyły się niewymownie na widok dawnego towarzysza; przecie raz mogły znaleźć, już nietylko słuchacza, ale i świadka swój przeszłości. Całą noc

przegwarzyli razem, przy wspaniałym kominie i sutój wieczerzy, wspominając ową noc inną, przeszeptaną niegdyś o głodzie i chłodzie, przy wicherzystém ognisku i Dniestrowym szumie.

Nakoniec pojawił się najdostojniejszy z gości, sam Xiążę Leszek Czarny. Nie nowina to była ówczesnym Xiążętom, zajeżdzać do różnych kasztelów i dworów; całe niemal życie spędzali oni na ciągłych przejazdach, to dla Sądów, to dla odwiedzania własnych posiadłości, to nakoniec dla długich i zawziętych łowów. Podczas takich to właśnie łowów odbywanych w pod-lłżeckiej puszczy, Leszek postyszawszy o dziwach Witańca, posłał zawiadomienie że za dni kilka tam przyjedzie.

Wnet na Zamku powstał ruch jak w ulu. Elżbiecie przypomniały się czasy, kiedy przyjmowała młodego Xięcia Bolesława; dzisiejsze jednak przyjęcie było nierównie wspanialsze, bo i Gospodarstwo dziś jaśnieli nieznaną sobie dawniej sławą i powagą, i połączone majątki obu niewiast, pozwalały na większy przepych.

Zjechało się kilku Biskupów, mnóstwo dostojników i panów. Na polach były zastawione stoły dla chłopstwa i ubogich. Z wieżyc zamkowych grzmieli trębacze i fleciści. Na moście stali paziowie z wieńcami. Ale Xiążę nie miał oczu

dla nikogo, tylko dla dwóch gospodyń domu; zapomniał mowy na widok ich nadziemskiego wypięknienia. A w tym zachwycie, (tak zresztą jak i w zachwytach wszystkich innych mężów,) nie było żadnych świeckich oczarowań, tylko cześć głęboka, połączona z rodzajem świątobliwego lęku. Leszek Czarny, człowiek żywej wiary, uczuł się przy całej swojej królewskości małym, w obec tych istot dziwnych, uświęconych cierpieniem i tak niezwykłą łaską.

Nie brakło téż cech nabożnych całemu przyjęciu. Niewiasty wybrały tę chwilę, ażeby odprawić nakoniec uroczyste Chrzcziny Berkaja. Był to pierwszy Tatar który chrzczył się w Polsce. Wprawdzie nie pochodził on z rodowitych Mongołów, tylko z podbitego pokolenia Najmanów, ale ówczesna Europa nie rozróżniała jeszcze podobnych odcieni; to téż wszyscy obecni radowali się tak gorąco, i takie wielkie nadzieje roili, jakby ten obrządek miał być już hasłem do nawrócenia całej pogańszczyzny.

Kaplica zamkowa gorzała od świeateł, wońiała od kwiatów i kadzideł. Na Ojca Chrzestnego zaproszono Xięcia, który najchętniej stanął w pierwszej parze z Elżbietą; w drugiej parze był Jan z Ludmiłą. Berkaj przywdziawszy białą szatę Neofitów, został ochrzczony przez Biskupie ręce, i przez wszystkich obsypany de-

szcem kosztownych upominków. Chciano téż koniecznie posadzić go przy uczcie pomiędzy najwyższemi gośćmi. Ale Nowochrzeńca ni dary ni zaszczyty nie mogły odmienić. Za nic w świecie niechciał siąść u stołu przy którym siedziała jego Wielka Szamanka, po staremu służył jój bijąc czołem, a w końcu wieczerzy wymknął się niepostrzeżenie, i siadłszy przed jurta, zapatrzony w gwiazdy, zaczął zawodzić pustyniowym głosem. Leszek słuchał go z podziwieniem, kosztując przytém Szaszłyku ze źrebięcia, i rozszumiałego Kumysu; chwalił jak mógł te wszystkie próbki Wschodu, zdaje się jednak że czynił to tylko z uprzejmości, bo twarz mu się dopiero wtedy rozjaśniła, gdy wrócił do pieczeni z dzika, popijanój miodem Piastowskim, i gdy biesiadnicy zaczęli chórem śpiewać Krakowiaki, których dziarska nuta zagłuszyła zgrzytające struny Berkaja.

Przy rozstaniu, Xiążę przypomniał niewiastom, jak przed niecałym rokiem w Krakowie, spłoszone swoim kalectwem, niechciały przybyć do niego na ucztę.

— Ale teraz—dodał—rad myślę, że mi nagrodzicie tę obrazę, i zjedzicie z Janem na Wawel, gdzie wam się odpłacę wieczerzą za wieczerzę.

Niewiasty nieśmiały odmówić. Zaproszenie to nawet wypadło im na rękę, bo zeszło się przedziwnie z chęcią pewnej podróży, której zamiar od niejakiemu czasu zajmował ich myśli: chciały pojechać do Sądca, dla podziękowania świętej Xiężnie za przywrócone sobie zdrowie.

Wkrótce téż, wyruszyły razem z Janem.

Drogę tak pokierowano, ażeby jechać na Chmielnik. Była to żałobna pielgrzymka do grobu męża i ojca. Zwłoki Sulisława leżały tam, razem z tysiącem innych, pod kopcem usypanym niegdyś na pobojowisku. W około kopca roilo się zawsze od mnóstwa osieroconych rodzin, które ciągnęły z całej Polski, dla opłakiwania poległych obrońców Chrześcijaństwa. Dzień cały zeszedł tam naszym pielgrzymom, na łzach, modlitwie, i rozpamiętywaniu bohaterskiej przeszłości ojców.

Dopiero w Sądczu dusze im się rozpozdziły. Kinga przyjęła ich nadzwyczaj łaskawie i wesoło; jednak o żadnych dziękczynieniach ani słuchać niechciała; boczyła się, i gromiła niewiasty za przypisywanie jej nadziemskich darów. Ale podróżniczki tém głośniej sławiły swoje uzdrowienie, i Mniszki Sądeckie, na przekór

Przełożonój, bardzo żarliwie poparły ich zdanie, same bowiem znały z doświadczenia cudowność podobnych pocałunków.

Piotr Skarga w Żywocie Błogosławionój Kingi, opowiedziawszy jak nasza Święta lubiła nabożnie całować swoje towarzyszki zakonne, kończy rzecz temi słowy:

«Jój całowanie Siostr było czasem z cudami, bo się po niém choroby leczyły.»

W chwili pożegnania, kiedy obie niewiasty rzekły:

— Chciejcie matko i dalej prosić za nami Pana Boga.

I kiedy Xiężna zapytała:

— O cóż mam jeszcze dla was prosić?

Ludmiła rzekła:

— Prawdę powiedziawszy, już tylko chyba o śmierć dobrą, bo zresztą niczego nam nie brak na tym świecie.

Ale Elżbieta, po chwili wahania, powiedziała:

— Ja, mam jeszcze jedno życzenie..... i byłabym serdecznie rada, gdyby mogło się spełnić jeszcze tu, na ziemi.

Kinga przeszła ją wzrokiem czytającym w duszy, poczem rzekła uroczystym głosem:

— I spełni się. Wasze modlitwy zesły się u Boga.

Zaledwie podróżni opuścili klasztor, Jan co żywo podjechał ku matce, i z wielką natarczywością zaczął się dopytywać:

— Jakie to Matusiu, jest ono życzenie?

Jednak próżne były jego pytania i domysły. Elżbieta pozostała niezbadaną.

Być może iż przed Ludmiłą rozwarła z czasem i tę ostatnią skrytkę duszy, ale wierna przyjaciółka nie zdradziła powierzonej sobie tajemnicy.

U bram Krakowa, czekały naszych podróżnych niespodziane wzruszenia. Cała prawie ludność stolicy wyległa na ich spotkanie. Pochód był niemal jeszcze weselszy niżeli ów pierwszy, bo teraz nie widziano już rannych, ani słyszano jęków, i niewiasty nie kryły się za listną kotarę wózka, lecz z obliczem odsłoniętym, jaśniejącym od szczęścia, jechały konno po dwóch stronach Jana. Drogami usłanymi kwieciami i zieleńią, tłum przeprowadził ich na Wawel, gdzie Xiążę czekał z wieczerzą prawdziwie królewską.

Wśród rozochocenia biesiady, Ludmiła z uśmiechem szepnęła Elżbiecie:

— Dobra myśl nas tu przyprowadziła po raz wtóry..... Jeśli mam prawdę wyznać, to mi było trochę markotno, że przed rokiem Krakowczyki widziały nas w oném trądowém oszpecceniu..... Dzisiaj za to przecie zobaczyli, że i my jeszcze wyglądamy po ludzku.

Dalsze słowa zatrzymały się na jój ustach, bo Elżbieta spojrzała z niezmierném podziwieniem, i lekko ruszyła ramionami, jak istota dla której takie ziemskie rzeczy niemają znaczenia.

Był téż to już u Ludmiły ostatni podobno przebłysk niewieściej próżności. Zapatrując się nieustannie na swoją skrzydlatą przodowniczkę, codzien usilniej podążała za nią — aż w końcu ich duchy zrównały się lotem, i odtąd szły już razem -- coraz dalsze od ziemi — coraz bliższe nieba.

.
. :
.

Traf dziwny czy Opatrzny zrządził, że na trzeci dzień po przybyciu naszej trójcy do Krakowa, przypadła — pamiętna wszystkim sercom — Oktawa Bożego Ciała. Mieszczanie chcieli sko-

rzystać z obecności swego wybawcy, ażeby świątecznym obchodem uczcić tę rocznicę.

Ale wybawca popsuł im wszystkie szyki.

Ostrzeżony przez nazbyt usłużnych przyjaciół, że Krakowianie chcą go nazajutrz oprowadzać w tryumfie, o świcie uciekł na swoim Tarczyku, i ukrył się tak dobrze, czy w jakimś klasztorze, czy w zamiejskich lasach, że nawet niewiasty niemogły powiedzieć gdzie przebywa.

Mieszczanie z początku mocno się zfrasowali. Jednakże—jako ludzie pomysłowi—po kilku godzinach, poradzili sobie dość rozumnie. Na zastępcę tryumfatora, wzięli jednego z jego przybranych braci, Wojciecha Kulisa. Chociaż tenże bardzo się wzdragał, ubrali go z Tatarska, wsadzili na pięknego wierzchowca, i przy biciu dzwonów, szumie sztandarów i tysięcznych okrzykach, oprowadzili po mieście w tymże samym porządku, w jakim niegdyś witali swego bohatera.

Uroczystość ta, dziwna, niepodobna do żadnej innéj, będąca samodzielnyim wytworem fantazji Krakowskiéj, tak mocno wszystkim przypadła do serca, i tak mile schlebiała miłości własnéj miasta, że przeszła w zwyczaj coroczny, przez całe wieki powtarzany.

I zaiste, szczęśliwy to był pomysł. Gdyby

nie owa uroczystość, może byśmy dzisiaj nic już nie wiedzieli ani o wielkim Włóczku, ani o męźnej obronie Krakowian. Kronikarze nasi, żyjący przeważnie w pańskich warstwach narodu, opisujący tylko czyny monarchów i rycerstwa, dumnie pominęli to zwycięztwo mieszczańskie, i w xiegach swoich nie raczyli ani jednego słowa mu poświęcić.

Ale gmin ma cudne sposoby na uwiecznianie wypadków, sposoby co są trwalsze niż pargaminy i pomniki. Tutaj także potrafił sobie wynagrodzić pogardliwe milczenie dziejopisów; i oto, gdy niejedna przygoda szumnie przez tamtych opisana, zatarła się już w pamięci ludzkiej, tymczasem wspomnienie Włóczkowego zwycięztwa, trwa dotąd świeże i nietknięte, co rok odnawiane w *Koniku Zwierzynieckim*.

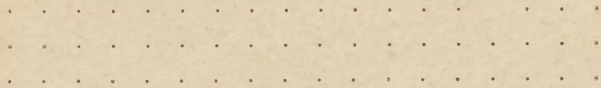
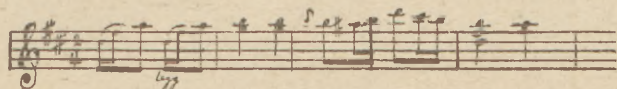
Dziś jeszcze możemy na własne oczy, śleźć wszystkie sceny tego starożytnego dramatu, od wjazdu zwycięzcy przez ulicę Wiślną, aż do uczty dziękczynnej u Panien Norbertanek.

Dziś jeszcze, możemy oglądać niejeden szczegół tamtoczesnej malowniczości. Pstroczizna «w Tatarskich ochędóztwach», dziwaczne kształty Kałgowego buzdyganu i kołpaka, wszystko się przechowało z drobnostkową wiernością.

Zaszczyt przewodzenia pochodowi, pozostał także bardzo długo w szczęśliwym rodzie Kulisów, z których jeden, jeszcze na początku na-

szego stulecia, odprawiał solennie swój wjazd «Konikowy».

Kto wie nawet czy i motyw muzyczny, wygrywany zawsze podczas uroczystości, nie sięga czasów bohaterskiego Włóczka? Dość jest spojrzeć na zarys tój melodji, łączącój w sobie dziecinną prostotliwość i junacką ochotę, ażeby powiedzieć: stara to piosenka!



Xiążę Leszek chciał koniecznie zatrzymać Jana u siebie na Dworze.

— Ostań się. — Namawiał. — Będiesz mi w pokoju służył uściwą radą, a w potrzebiech wo-

jennych tą waleczną ręką, co raz mi już ocaliła moją miłą stolicę.

Ale Jan wypraszał się od zamieszkania przy Xięciu.

— Na zawołanie wojenne — mówił — stawię się zawdy, bodaj pierwszy. Jeno w czasiech pokoju, pozwólcie dobry Panie, abych ja siedział przy mojej świętej matce. Już i tak my połowicę życia bez siebie stracili, niechajże ja chociaż te ostatnie latka przesmakuję w synowskiej służbie.

I wrócił z niewiastami do Witańca, którego już nie opuszczał, chyba na zawołanie wojenne.

A i to, nie na każde.

Między wojnami ówczesnemi, niemało było domowych. Do takich nigdy się nie mieszał. Niechciało mu się to nawet wcale pomieścić w głowie, «jakowym sposobem dzieci jednej matki mogą drzeć się pomiędzy sobą, kiedyć pono i kruk krukowi oka nie wykole?»

(Jednakże i te waśni braterskie, nie przeszły bez niejakięj korzyści dla mieszkańców Zamku; nastreczyły im sposobność do spłacenia długu wdzięczności, która dawno ciążyła na ich sercu. Gdy Leszek stłumił szczęśliwie pierwszy rokosz przeciw niemu podniesiony, Jan i niewiasty użyli wszelkich swoich wpływów u Xięcia,

ażeby wyjednać przebaczenie dla Kasztelana Krystyna, i choć to był jeden z głównych przywódców spisku, jednakże Leszek przywrócił go do łaski, oświadczając głośno, że «niemożna nic odmówić tak zacnym orędownikom.»)

Ale jeśli w rozterkach wewnętrznych, Jan niechciał nigdy brać udziału, za to, ile razy przychodziło do walki z obcemi, a zwłaszcza z pogaństwem, zawsze stawał, «bodaj pierwszy», pod znakiem Xiążęcym.

Wtedy urzeczywistniały się obrazy, jakie niegdyś roił sobie Włóczek, smutno dumający na tratwie; pierś opinał srebrzastemi blachami, do boku przypasywał miecz ogromny, i z okrutnym pierzem u hełmu, z rycerską błyskawicą w oku, dosiadał swego wichrzystego rumaka. Nim wszakże go dosiadł, zawsze piérwój przyklękał przed obu niewiastami, całował ich szaty, i prosił o błogosławieństwo. A niewiasty ani szlochały, ani się uskarżały, ale błogosławiły go z Ewangelicznym spokojem, bo ciężkie próby lat przeszłych i nabyte w nich zgadzanie się z wolą Bożą, natchnęły ich duszę siłą, której nic już niemogło zachwiać, nawet wyjazd Jasia na wojnę.

I dobrze czyniły nie martwić się napróżno; Jasiowi w tych wojnach szczęście wiernie sprzyjało. Chwalebne odgłosy jego czynów, coraz gę-

ścięj z ust do ust krążyły.—Tu—mówiono—rozbił nieprzyjacielską chorągiew,—ówdzie przechylił losy całej bitwy.—Kilka razy, co prawda, został ranny, ale te rany nie były złośliwe, i gdy wracał do domu, to już zazwyczaj wygojony, a jeśli na jego rękę lub szyi została sina kręsa, to jeszcze mu było piękniej z tém świadectwem chwały.

I wszystko tak dziwnie wiodło się naszój trójcy. Nawet podczas owego trzeciego napadu Tatarszczyzny, co w kilka lat później zalał Xięstwo Leszkowe krwią i spustoszeniem, obie niewiasty znajdowały się właśnie w innéj części kraju, w jednym z Ludmiłowych kasztelów, dokąd już najeźdźcy nie dotarli, a gdy powróciły do Witańca, zastały go nietkniętym, zdrowo i szczęśliwie w głębi puszczy uchowany.

Gospodarstwo téż kwitło im coraz pomyślniej. Grady ni pomory nie chodziły po tamtejszych drogach. Zdawało się jakby sam Pan nieba, na wynagrodzenie przeszłości, zarysował był nad Witańcem krąg czystego lazuru, i jakby wydał rozkaz burzom:

— Po za ten krąg nie wejdziecie.

I burze, pokorne służebnice, nie przekracza-

ły granic nakreślonych przez palec Boży. Do koła gromy były — sloty i zawieje się kłębiły — nad górą Żegnaniacką była ciągła pogoda.

Chmurki jednakże czasem i tam się zjawiały. Mogłyż się nie zjawiać? Inaczéj, ten lazur nie byłby już świecił nad ziemią, ale chyba nad samym Rajem.

Jedna właśnie z chmurek takowych, rzuciła cień swój na Jana, podczas owéj trzeciéj Azjackiéj nawały. Stracił on wówczas Tatarczyka — i to właśnie w chwili gdy go więcéj niż kiedy umiłował. Ach, i jakżeż tu nie miłować? Wierny konik padł ofiarą swojego poświęcenia dla pana.

W największym wirze bitwy, Jan był się zapędził bez pamięci za jakimś uciekającym Nojanem, i sam jeden, zdala od swoich, został oskoczony przez całą ómę pohańców. Nie tracąc ducha, bronił się zawzięcie. Ale żadne męztwo nie mogło starczyć przeciw przemagającéj liczbie, i świszczącym do koła strzałom. Wówczas Tatarczyk zrozumiał niebezpieczeństwo jakie panu zagraża. Choć sam przeszyty dwoma pociskami, choć własną krwią zboczony, zebrał resztę swych sił szlachetnych, zaczął się rzucać, gryźć

i rozbijać napastników, potem huraganowym pędem uniósł swojego jeźdźca z pośród nieprzyjaciół, i nie zatrzymał się, aż go dostawił na miejsce bezpieczne, między chorągwiami Leszkowemi. Ale też ledwie tam stanął, zaraz i rozciągnął się żałością. Cętki jego białej koszulki, które zazwyczaj w biegu nabięrały odcieni fioletowych i żółtych, zaczęły nagle blednąć, mienić się i rozlewać w jakieś obłoczki sine. Ruchem bolesnym przechylił na bok swoją prześliczną głowę, której grzywa jak strumień srebra spłynęła po ziemi, wpatrzył się w pana wzrokiem gasnącym, pełnym człowieczeństwa, pożegnalnej wymowy, i wyzionął ostatnie tchnienie.

Jan płakał po swoim koniu jakby po najmilszym przyjacielu, i nigdy już do żadnego innego równie mocno się nie przywiązał.

Tak zgiął ów słynny rumak, unieśmiertelniony w Krakowskim «Koniku». Niezwykłe zaprawdę były jego losy: rodził się na stepach Tatarskich, wyhodowany był przez pogan — a jednak padł pod ich strzałami, w obronie bohatera Chrześcijańskiego.

Cięższe nierównie zachmurzenie czekało Jana za powrotem z tej wojny. Ojca Matjasza zastał na łożu śmiertelnym. Zasmucił się do głębi serca, i wszyscy mieszkańcy Zamku smucili się

niezmiernie, jednak ich smutek nie miał w sobie goryczy. Doprawdy, trudno było szlochać albo ręce łamać przy tém łożu, gdzie śmierć przedstawiała się tak zacnie, tak budująco, że podobnego kresu trzeba tylko winszować i zazdrościć. Matjasz, syt życia, pracy i nagrody, gasł ze starości—niewiele cierpiąc—wszystkim błogosławiąc—i ciesząc się że idzie «do swojej złotój Kachny, co tam na niego wyczekowa przy Niebieskiej furcie, jak ongi czekała na kiempce za młynem.»

Jedną tylko żalność staruszek zostawiał poza sobą. Niemógł się pocieszyć że Jasia nie widział ożenionym, i że jego dziątek nie kołysał na swoich kolanach.

I nie on jeden odczuł ową żalność. Krocie serc niewieścich podzielały ją z cicha. Wprawdzie Jan nie był już młodzieńcem, dobiegał lat pięćdziesięciu, ale wyglądał urodziwiej niżeli kiedykolwiek, jak słońce gdy zawiśnie u szczytu swój drogi. Prostota i niewinność jego życia, zostawiły mu w duszy jakąś wiosnę, która cudnie przebijała przez majestat i spokój męża, wypróbowanego długoletniém cierpieniem. A przytém ileż innych blasków składało się dlań na aureole! Sławny walecznik, obrońca Krakowa—bohater tylu przygód podobnych do baśni—taki bo-

gaty, jakgdyby znalazł kwiat paproci — taki wspa-
niały, że i biednych i królów zadziwiał hojno-
ścią—taki dobry, że do rany przyłóż — Jan pod-
bijał i wyobraźnie i serca niewieście.

Nawet owa przeszłość spędzona między gmi-
nem, nie raziła niczyich oczu. Różnice wycho-
wania i wykwintu między warstwami społeczeń-
stwa, nie zarysowywały się wówczas tak silnie jak
dzisiaj; wtedy wszyscy byli gminniejsi; większa
część rycerzy nieumiała czytać ani pisać. Jan, po
niedługim z nimi obcowaniu, łatwo sobie przy-
swoił zewnętrzną ich ogładę, a jeśli co uniósł ze
swojej przeszłości, to tylko jakąś otwartszą prostodu-
szność i poufałość, w których niejedna niewiasta
lepiej smakowała, niżeli w céckanej «trefności»
modnisiów.

To téż pośród rzeszy oblegającej Witaniec,
zawsze było pełno matek otoczonych najśliczniej-
szemi córami, pełno wdów młodych i zalotnych.
Wszystkie westchnienia tych różanych ustek,
wszystkie spojrzenia tych palących źrenic, krzy-
żowały się w koło Jana, z gęstością i zacięto-
ścią strzał Tatarskich. Ale on, jak z pomiędzy
jednych tak i drugich, zawsze wychodził nie-
zwalczony. W obejściu swoim z kobietami, był
dla wszystkich opiekuńczy i uprzejmy, ale dla
wszystkich równo, co młode wprowadzało w roz-
pacz—starsze w podziwienie.

Napróżno Elżbieta badała go z macierzyńską bystrością; napróżno Ludmiła kłuta go żądawkami figlarnych domysłów i podejrzeń; napróżno tak jedna jak i druga, chciały znaleźć w jego wspomnieniach jakiś zawód sercowy, co mógł go skłócić z białogłowskim rodem. Jan zazwyczaj tylko się uśmiechał, i ścisnąwszy ramiona, mówił:

— Nie, dalibóg, niema w moim żywocie żadnych skrytościów. Ongi, tom ja nie myślał o dziewczkach dla tego, żem wiecznie jeno myślał o Matusi, wiecznie wyczekował na Matusię, no— i tak latka schodziły, zawdy żyło się kieby «na tymczasem».— Tera, toby człek może i pomyślał sobie o gosposi, cóż kiěj niema żadnej takowej coby mi do serca przypadła?

— A jakiej-że byś ty chciał? — Pytały zaciekawione niewiasty.

— A no,—takowej, coby choć kęsek podobna była do was, moje złote Matuchny, choć w połowicy taka dobra, i mądra, i święta.

— Ej, nie pleć synku..... Przecie nasz Witaniec aż roi się od dziewczynek i zacnych i wdzięcznych?

— E, gdzie tam! Patrzą ja się precz po białogłowach, mało mi ślępie nie wylézą, gdzie tam! Żadna z nich ani krzynkę do was nie podobna. Jasna rzecz, co Pan Bóg jeno dwie takowe na

cały świat stworzył. Owóż, kiój nie stworzył trzeciój na żonusię dla mnie, tedy już pozwólcie Matuchny, abych ja dokonał żywota w moim najśłodszym, synowskim zakonie.

Takiemi to, i tym podobnemi powodami, Jan usprawiedliwiał swój opór. Ale prawdziwa przyczyna, leżała nierównie głębiej.

Przez podwójny spadek, łączył on w sobie usposobienia obojga swoich rodziców; od Sulisława wziął waleczność, od Elżbiety wziął jój «duchowność», z tą wszelako wielką różnicą, że obie cechy posunął do wyższego stopnia. Ojcowskie męstwo doszło w nim aż do bohaterstwa — macierzyńska nabożność skłaniała się w nim do ascetyzmu.

Gdyby już od młodości mógł był rozporządzać swoim losem, byłby niezawodnie wstąpił do jednego z owych rycerskich zakonów, do których czuł się wyraźnie stworzonym.

I teraz jeszcze niekiedy przychodziła mu podobna ochota; zawsze jednak szybko mijała, bo niemógł nawet pomyśleć o rozłączeniu się z ubóstwianą Matusią, ni z jój przyjaciołką co była dla niego jakoby druga matka.

— Zresztą — mówił sobie — po co koniecznie te habity i śluby? Wszak i tu, przy moich Matuchnach, mogę wieść żywot na pół mniski?

Więc już tak się z sobą ułożywszy, coraz dłuższe godziny przepędzał w kaplicy, na dziecięcych wywnętrzaniach się przed Ojcem Niebieskim, na cudnych rozmowach z Jego Matką i Aniołami. Nieraz niewiasty, skradające się tam także w nocy lub o świcie, zastawały go pod lampą, leżącego krzyżem. — W swoich ubiorach coraz mniej nosił złota i bławatów, a w swojej duszy, coraz mniej świeckich pożądań i myśli. Lubił po dawnemu przestawać z prostytutkami. Nieraz opuszczał salę pełną gości, nakładał ciemny płaszcz z kapturem, i po cichu wymykał się do chałup, gdzie chorym służył, biednych pocieszał i obdarzał.

Elżbieta, widząc go takim — niezmiernie uweselona — zaniechała wszelkich namów do ziemskiego szczęścia, — i kiedyś wieczorem, gdy we troje siedzieli na płaskim szczycie jednej z wież zamkowych, rzekła po niejakiem namyśle:

— Mój ty najlepszy Jasineczku, muszę ci się raz już nakoniec przyznać..... Owóż słuchaj: zaciągnęłam ja u Pana Boga dług..... i dotąd go nie wypłaciłam.

— Aj Matusiu, płacmyż, na gwałt! A mogę ja się dowiadać jakowy to dług?

— Takowy: było to jeszcze we Wrocławiu, kiedyśmy czekały na wiadomość o tobie. W onym dniu zrobiłam Votum, że jeżeli odnajdę ciebie, i jeżeli odzyskamy nasze mienie, wtedy założę dla trędowatych Lazaret, i to taki piękniusi, taki rozkoszliwy, jakiego niema na świecie.

— Anielska myśl! — Zawołał Jan, któremu aż oczy zabłyśły od radości. — To pono będzie najlepszy sposób wywdzięczenia się Panu Bogu za wasze wrócenie, za wasze wyzdrowienie, i za to co my się odnaleźli. Bo tak, prawdę powiedziawszy, cóż nędzna człeczyna może dać Panu świata? Chyba to jeno co da jenszym nędzarzom. I czemu wy Matusiu dawniej mi nie gadali?

— Ja ci powiem, czemu? — Podjęła Ludmiła. — Elżuni się precz wydawało, że ty jój tu sprowadzisz synowę, i że będziesz chciał zawsze mieć huczną gościnę.

— Tak. — Poparła Elżbieta. — Więc sobie mówiłam: jakżeż to będzie? Ludka i ja, musimy przecie służyć naszym chorym. Gdzież ja tedy mam budować ten Lazaret? Jeśli postawię go tu, w samym Witańcu, to dla młodej niewiasty zrobię niewesołe sąsiedztwo, i tobie gości powystraszam. A jeśli znów gdzieś daleko, to niewytrzymamy bez ciebie Jasieczku. Tak tedy nikczemnie rzecz odkładałam, i latka schodziły bez

owocu. Ale teraz kiedy widzę że ty nie myślisz o marnościach.....

— Nie myślę, nie myślę ni odrobki. Pilniejszy mi do tych świętych Łazarzy, niżeli do grającej sfory, abo do płasających dziewczynek. Jeny pokwapmy się Matusiu, bo Panu Jezusowi może już markotno z onego tak długiego czekania?

— Ho, ho! — Rzekła Ludmiła. — Jeszcze ów Baranek będzie musiał pono cierpliwie poczekać. Dużo wody upłynie zanim się wszystko wybuduje, boć to musi być gmach nieladajaki.

— Wedle, mego myślenia, — mówiła matka — trzeba go będzie postawić tam, pod samą górą, abyśmy codzień i o każdej porze, mogli zbiegać do naszych kochaneczków.

— A po co to Matusiu, budować osobiście Lazaret? Urządźmy go tutaj w Zamku. I chorym będzie lepiej tuż pod naszym okiem, i nam będzie łatwiej dopatrywać, bez onego biegania, to z góry, to pod górę.

Niewiasty aż klasnęły w dłonie.

— Jasiu, Jasiu, a toć istny z ciebie czarodziej! Myśmy właśnie to samo radziły między sobą, jeno po cichutku, bośmy niewiedziały czy nie pożałujesz kasztelu.

— Ja? Miałbym pożałować Panu Jezusowi, co tu zamieszka w Łazarzowych osobiech? A żebych-ci ja mógł Mu postawić dom cały ze złota, z bursztynowymi oknami, z dachem poszywanym perłami, toby ja dopiero był rad!

Zaraz nazajutrz, zabrano się do dzieła skrzętnie i radośnie. Wprawdzie ta «radość» może niejednego czytelnika zadziwi, bo podobny zamiar wymagał od mieszkańców Zamku zupełnej zmiany życia, wyrzeczenia się przyjęć, gości, a nawet wszelkich stosunków ze zdrowymi. Ale naszej trójcy w to graj! Dosyć już oni mieli owych zaszczytów, biesiad i krotochwil. Tęskno im było do jakiegoś nowej ofiary, do czegoś co się opłaca nietylko na chwilę, ale i na zawsze.

Urządzano więc i przystrajano co prędzej, komory, apteczki, łaźnie, ogródki, no — już Bóg wie nie co! A wszystko z takim dostatkiem, z takimi dla nędzarzy «rozkoszami», jakich wówczas nawet bogaci niełatwo i nieczęsto kosztowali.

Niewiasty chciały także mieć jakąś osobę duchowną, człowieka doświadczonego, coby umiał rządzić podobnym zakładem.

W tym celu, przesłały Ojcu Innocentemu szerokie «pisanie», gdzie go prosiły najserdeczniej, ażeby z całą swoją gromadką przeniósł się na górę Witaniecką.

Ale Ojciec Innocenty odmówił. Może nie-

chciał porzucić rodzinnego kąta? Może téż — wiedziony resztką ludzkich uczuć — wolał pozostać Dyktatorem za swoim biédnym parkanem, niż być Namiestnikiem w cudzych zamkach?

Odmowa ta nieco zmartwiła niewiasty. Posłały jednak hojne jałmużny i upominki, w zawdzięczenie za gościnność niegdyś tam doznana, — poczem, zajęły się wyszukaniem innego Kapelana dla swojej przyszłej osady.

Opatrzność najniespodzianiej go zesłała, i jeszcze jakiego, a mój Boże!

W piękny dzień jesienny, drogą wiodącą z lasu, pokazał się człowiek we Franciszkańskim habicie, jadący na osiołku wiedzionym przez pacholę. Był to staruszek szczupły, wyschnięty, nieledwie przezroczysty. Dojechawszy do podnóża góry, zsiadł z wielką trudnością, i zaczął po stromiej ścieżce wstępować powoli, a pacholę prowadziło go za rękę, bo staruszek był niewidomy.

Znalazłszy się w bramie, pomiędzy odzwierzeniami, rzekł do nich tylko te słowa:

— Powieǳcie paniom zamku, a takóż i paniczowi, że przyjechał do nich Braciszek Benedykt.

Ludmiłę pierwszą doszła ta wiadomość. Ze wzruszenia straciła głowę; zamiast iść na spotkanie gościa, krzyczała tylko bez końca:

— Braciszek Benedykt! Boże, co za szczęście!

I zaczęła biegać jak wicher po Zamku, wszędzie szukając przyjaciółki.

Znalazła ją dopiero w kaplicy, pochyloną przed Krucyfixem.

Elżbieta usłyszawszy jej wykrzyk, zerwała się drżąca, złożyła ręce, i wyrzekła:

— On? A więc święta Xiężna i to przepowiedziała? Oto, ostatnie moje życzenie na ziemi—spełnione!

I jak niegdyś pod owym żółtym atlasowym namiotem, tak i teraz padły sobie w objęcia ze złotym płaczem szczęścia—poczém puściły się ku bramie, gdzie już zastały Jana, szlochającego u stóp zakonnika.

Braciszek Benedykt wracał ze swojej wędrówki do Assyżu, przedsięwziętej «na intencję aby się Jaś odnalazł.»—Było to już od lat wielu, jedyne jego pragnienie doczesne.

— Niech jeno—mawiał—raz Jasią zobaczę, a już ze wszystkiém dam Panu Bogu pokój.

Wędrówka trwała dłużej niżeli przewidywał. Nieprędko się to idzie pieszo, i o żebranym chlebie. A przytém, raz już na Włoskiej ziemi, jakżeż tu nie pójść do Grobów Apostolskich w Rzymie? Jakżeż tu nie podpłynąć do brzegów Dalmackich, i nie westchnąć znów u grobu kochanego Jana de Carpino, co po swoim powrocie z Mongolji, osiadł tam był na Biskupstwie Antywaraskim?

Wracając, Braciszek wstąpił jeszcze raz do Assyżu, bo mu przyszło takie natchnienie, aby zmienić swoją modlitwę. Kląkwszy tedy w kościółku Porciunkuli, mówił:

— Boże drogi, może ja łacniej otrzymam Twoją łaskę dla Jasia, gdy się wyrzeknę ostatniej słodkości dla siebie. Niechże tedy ja go już nie zobaczę, tylko Ty mu pobłogosław na wszystkiém, i owe nieszczęsne branki pociesz tam w niewoli.

Wtedy usłyszał głos tajemny, co mu z głębin duszy odpowiedział:

— Stanie się jako prosisz. Zobaczyć go, nie zobaczysz. Ale iżeś dla cudzego szczęścia, nie pożałował żrenicy oczu własnych, za to będzie ci daném więcej niżli żądałeś. Wracaj do Krakowa, tam posłyszysz dobrą nowinę.

Pomimo tego nakazu, powrót się przeciągnął. W drodze, Braciszek ciężko zapadł na oczy. Pewnie one były wyplakane. Schorzały, niemogąc utrzymać się na nogach, musiał do-

siąść osiołka, i brać przewodników. Nim dojechał do Krakowa, już zupełnie ociemniał.

Ale w Krakowie wnet posłyszał o cudownym Włóczku, synu rycerza Sulisława — nie zsiadając z osiołka, puścił się do Żegnańca, i tam odnalazł już nietylko Jasia, lecz i branki. Prawdę powiedział głos w Assyżu: «zobaczyć ich nie zobaczył, ale otrzymał więcej niżeli żądał.»

I oto wchodził, mając jeszcze na piersiach ów list macierzyński, zaszyty w Chińską kitajkę, obhaftowany Tatarskimi znakami. Oddał go Jasiowi, nierozprutym.

Przywiózł téż i drugą pamiątkę, rękopism owego «Dziennika podróży», który spisywał wspólnie z Janem de Carpino. Szacowny ten zwitek, stał się dla mieszkańców Zamku, źródłem niewyczerpanych rozkoszy i wzruszeń. Elżbieta czytywała go zazwyczaj wieczór, przed całą gromadką zebraną u komina. Czasem i dopisywała na marginesie jaki szczegół albo sprostowanie, które Braciszek — czy z porady niewiast, czy z własnego namysłu — kazał tam dodawać.

I nawet nie było już obawy, aby te jasne chwile miały tak prędko minąć, bo zacny gość, posłyszawszy o przykrości jaką Ojciec Innocen-

ty wyrządził niewiastom, i otrzymawszy cichaczem pozwolenie swoich Przełożonych, tak się kiedyś odezwał pokorniuchno:

— Otwierajcież już tedy wasz kochany Lazaret. A jeśli niemacie lepszego Kapelana, toć ja tu przynoszę moje dośmiertne służby. Co prawda, ślepy ja i głupi, ale kiedy wy się już ofiarowali na czyste miłosierdzie, toć i mnie przyjmiecie pomiędzy kaléki.

Tak spełniło się, nietylko już ostatnie, ale i pierwsze, młodociane życzenie Elżbiety: Władzio z nią zamieszkał w Żegnańcu. Wprawdzie po przerwie niemal półwiekowej, ale czémże są lata — choćby i najdłuższe — dla czystych przywiązań co noszą w sobie nieśniertelność?

I znów, siedząc jedno przy drugim, po dawnemu splatali wieńce—tylko już nie z fiołków ni bławatków, ale z niezwiędłych wspomnień, które wiązały się tém cudnie, że Jan i Ludmiła ciągle im dorzucali kwiecica.

EPILOG.

Dzień był ciepły, chociaż pochmurny. Gdzieś daleko, za wzgórzami, deszcz ulewny spaść musiał, bo kiedy-niekiedy fala rzeźwiejszego powietrza musnęła wierzchołki borów, a z każdą taką falą, przychodził coraz mocniejszy wybuch leśnej woni. Od zachodu, chmury się rozpekły wąską szparą, pręga światła słonecznego z niej wytrysła, i wnet naprzeciw, od wschodu, pokazała się wdzięczna tęcza.

Zapatrzony w to zjawisko, zawsze tajemnicze a zawsze pociągające dla ludzi, z oczami w dal utkwionemi, konny podróżnik jechał brzegiem Iłżanki.

Wierzchowiec jego, rosły, jabłkowitzej mąści, musiał być przywykły do samych świątecznych pochodów, bo nie stapał ale raczej pływał pod swoim granatowym kropierzem, którego naszyca, pełne różnych barw, nakształt mozaiki, zdradzały zagraniczną, Wenecką robotę.

Jeździec był starcem, i pewnie mocno po-

suniętym w lata, kiedy na jego głowie, — chociaż nie zakonnej — zataczała się już tylko wąziuchna obrączka szarych, przeredzonych włosów. Za to wąs mlęczny, zawiesiście mu okalał usta, wiśniowe i uśmiechnięte, owym nieco grubym uśmiechem człowieka, co trzy ćwierci wieku przepożył, nie broniąc swoim ustom żadnej rozkoszy ani żartu. I na policzkach jego, pałyły reszty żywotności, której nic nie zdołało wyczerpać ni ostudzić. Brwi miał jeszcze ciemne, i bardzo ruchome, jak zwykle u człowieka co lubi rozkazywać więcej spojrzeniem niżli słowem. Bo téż to musiał być pan możny, dostojnik o mocnym ręku.

Orszak podążający za nim, był także prawdziwie pański; zwinne giermki, usłużni powiernicy, sokolniki, koniuszowie i mnóstwo pacholąt, a wszyscy — choć w podróży — ubrani tak suto, że niejednen bogacz mógłby wdziać ich suknie.

Trzymali się o kilka kroków za panem, bacząc na każde jego skinienie.

Ale pan od niejakiego czasu nie oglądał się, ni dawał znaku; jechał zwolna i opuścił cugle. Mimo lat podeszłych, siedział prosto. Srebrne dzióby jego obuwia, hardo się wywijaly z pozłocistych strzemion. Szuba czerwona, niebieskimi lisami podbita, dla upału szeroko rozwarta, pysznie odsłaniała pierś wyдутą, na której koły-

sał się krzyż złoty, kraśno emaljowany. U czapki z kosztownego futra, sterczało czaple pióro, karbunkułem przepięte. Piwne oczy także świeciły jakby karbunkuły, lśniaco zapatrzone w tęczę, a raczej w krajobraz co się pod nią rozwijał. Bo ten krajobraz nasuwał podróżnemu szereg wspomnień bardzo dalekich, zamglonych i dziwnych, jakby kartka wydarta z innego żywota.

Na tle ciemnych lasów, stanęła przed nim góra, uwieńczona zamkiem o pięciu basztach.

Poznał, i górę—i zamek.

A mój Boże, wszystko tak samo jak było przed laty! Przed iloma laty? Podobno już i trudno się doliczyć..... Wié tylko, że widział to miejsce w swojej pierwszej młodości. Nawet je widział dwukrotnie: raz kwitnące blaskiem i dostatkiem, drugi raz w rumowiskach i zgliszczach.

A teraz, wszystko tak samo jak za pierwszą razą! Przynajmniej *prawie* tak samo. Otóż i owa żółta droga, wijąca się w dolinie, wysadzana jak niegdyś młodemi drzewkami; muszą to już być inne drzewka, kiedy znów są młode, ale podobniusiennie do tamtych, jakgdyby wskrzeszone.— I owa baszta sześciokątna, białą wieżyczką.—jak niegdyś—wysuwa się nad przepaść. Wprawdzie mury basztowe pociemniały, ale wieżyczka zdaje się nowiuteńka, świeżemi rzeźbieniami obdziér-

gana. I ów ganeczek, jest! W mlécznym kamieniu wyżłobiony, wisi po dawnemu, nakształt półokrągłej kropielnicy. Na ganeczku nie widać już niewiasty w lazurówój sukni, z dzieciątkiem w objęciu, ale ogródek pod gankiem znowu kwitnie, nawet większy i bujniejszy niż dawniej. — Z lasu nie wyjeżdża żadna pyszna łowczyni—ani się uwijają paziowie — ani trąba srebrna nie budzi powietrza — wszędzie cicho..... ale ta cisza tchnie większą jeszcze niż dawniej błogością — cały obraz nadpowietrznie rysuje się pod tęczą, jakgdyby wstępował w bramę nieba.

Jeździec przetarł oczy, a potém się przeżegnał, chcąc wypróbować, czy to nie jakie czary?

Obraz nie zniknął. Więc podróżny podjechał bliżej, a na tamtych skinął, dając znak ażeby czekali. Skinął tylko—słowa nie przemówił—bo i jego już ogarniało wrażenie uroczystej ciszy.

Orszak stanął nieruchomie. Jeden tylko stary koniuszy, co nigdy pana w drodze nie odstępował, podjechał za nim i teraz; i dobrze uczynił, bo pod lasem pan zsiadł z wierzchowca, w milczeniu rzucił mu cugle, a sam dość rażno,

choć nie bez trudu, pnił się wężykową drogą do Zamku.

Na głównej baszcie nie było już chorągwi, ani krążącego strażnika. Za to pod bramą stał pień ze skarboną, po-nad którą wysuwała się z muru Figura Świętego Joba. Siedział on tam w kamiennéj wnęce, pod gotyckim daszkiem z oczami wzniesionemi ku niebu, z rękami boleśnie wyciągniętymi ku drodze, jakgdyby wzywał pomocy przechodniów, a w jego twarzy, w jego całej postaci — choć może zanadto wychudzonej—był ten cudowny wyraz «radosnego cierpienia», którego tajemnicę tak dobrze posiadali ówczesni mistrzowie, słynni wśród aniołów, bezimienni wśród ludzi.

Most był spuszczonej—brama niezamknięta. Mogła śmiało, i w dzień i w nocy stać otworem. Siedlisko trądu broniło się lepiej swoją grozą, niż stu bramami z dębu lub żelaza. Żli ludzie sami odeń uciekali—najchciwszy rabuś omijał je ze drzeniem—a jeśli kto wszedł tam dobrowolnie, to chyba człowiek rzeczywiście chory, albo jakiś bohater cnoty.

Podróżnik także wszedł na most bez wahania. On jednakże nie należał ani do chorych, ani do ludzi szukających poświęceń; u niego ta odwaga wypływała z prostéj nieświadomości; za-

mieszkały daleko, w innéj stronie kraju, nieznał jeszcze nowego przeznaczenia tych murów. Przy swojej zadumie, nie zauważył nawet ostrzegawczej Figury, i kroczył śmiało, ani się domyślając gdzie gości.

Bramy wszelako nie przestąpił. Nadto wielki był z niego pan, aby miał nieproszenie wchodzić w cudze progi. Nie szukał téż nikogo, nie chciał o nic pytać. Po co? Tylko przeszłość obchodziła go tutaj, a tę przeszłość znał dostatecznie, lepiej pewnie (jak sądził) niżeli nowi ludzie, co sobie na tém zwałisku zlepili świeże gniazdo.

Chciał tylko na zewnątrz obejrzeć budowę, porównać rzeczy obecne z minionemi. Za mostem więc, boczną steczką wszedł od razu na wały, które w długich latach spokojności mocno się już były obsiadły, i porośszy bujnie, tu trawą, tam krzewiną, przedstawiały wdzięczną przechadzkę dokoluteńka murów.

Szedł powoli—to podnosząc oczy—to przystając—kiedy-niekiedy mówiąc sobie:

— Tu było tak samo..... Tu znów po inakszemu.....

Znienacka, myśli jego przybrały zwrot odmienny. Doleciał go chorał kilkunastu głosów,

nucących bardzo rzewnie jakąś pieśń nabożną. Pomiędzy głosami, podróżnik rozeznał i kobiéce, a wszystko co kobiéce, miało dziwny dar przyciągania jego pańskich oczu, i niewystygłego jeszcze serca.

Szybko więc poszedł dalej, kierując się dźwiękami,—okrzyknął gruby narożnik wieżowy— i nagle wydał przytłumiony wykrzyk.... Stał przed oknem.... przed tém samém oknem, gdzie niegdyś widział owe cudne dwie panie, tak nie-pocieszenie płaczące.

Obraz dawno już zatarty w pamięci, teraz wyblęsnął przed nim jakby żywy—tém żywszy, iż mnóstwo szczegółów odnalazło się ze zdumiewającą wiernością. Okno było znowu na roścież otwarte — w głębi wielkiej, kamiennéj sali, na ogromnym kominie, ogień palił się jak i wtedy—a tu, we framudze pod oknem, na wysokich, rzeźbionych krzesłach..... przebóg! znów siedzą dwie panie!

Ale dziś już nie płaczą—o, bynajmniej! Usta ich do śpiewu rozchylone — ręce do modlitwy złożone—oczy w zachwycie ku niebu się wznoszą.

I strój u nich odmienny, pół-wdowi, pół-zakonny. Wszystko dziś odmienne. A jednak w tych rysach, w tych postaciach, jest coś nie-pochwytnego, co mu przypomina tamte dwie płaczące.

— Czyby to były te same?—Zapytał w duszy podróżnik.—Ej nie, chyba nie te same, boć tamte byłyby już sędziwe, a to wcale nie są starszki. Prawda, że już nie są i młodziuchne. Ile sobie one lat mogą liczyć, tego i najmędrszy nie zgadnie. Osobliwsze jakieś istoty! Wyglądają dalebóg tak, jakby już raz były umarły, i żywcem z nieba powróciły. No, jeszcze też takich nie widział!

I patrzył ciekawie, choć i nie bez niejakiego lęku. On, który mimo swojej siwizny, smakował najchętniej w podlotkowych buziakach i figlarnych oczkach, tutaj czuł się onieśmielony.

Już raz i drugi chciał odchodzić, kiedy zatrzymało go wrażenie podziwu, nad niezmierną, niemal dziecięcą wesołością, jaka niespodzianie wytrysnęła z oblicza obu niewiast, a jakiej się po nich niespodziewał, przy tych surowych szatach i monarchicznój wspaniałości.

Pieśń nabożna była właśnie tylko co przycichła, i wnet obie panie, otrząsnawszy nastrój poważny, zaczęły bardzo żywą rozmowę z jakie-

miś niewidzialnemi osobami, które zapewnie znajdowały się w głębi sali.

Podróżnik — rowem oddzielony od okna — niemógł zrozumieć żadnego wyrazu, ale co dobrze wyrozumiał, to że rozmawiający muszą mieć myśl nadzwyczaj swobodną, i serce radością przepelnione, bo z tych głosów łagodnych, z tych śmiechów niewinnych, wiała jakaś pozaziemską pogodą, pod której urokiem i on zapomniał swoich myśli światowych, i bezwiednie zadumał się nad czémś lepszym niż wszystko co dotąd zaznał.

Po chwilce, z głębi sali pokazał się mężczyzna, już nie piérwszej młodości, z twarzą szlachetną i przyjemną, bujnie otrzęsioną włosem złotym, gdzie-nie-gdzie już pośrebrzanym. Odzież miał niesłychanie skromną, rodzaj brunatnej kاپicy, i biały fartuch u pasa. W obu rękach podniesionych, niósł z wielkim śmiechem, spory żelazny moździerz. Postawił go pod oknem, na stole przy którym siedziały dwie panie, zaczął w nim zawzięcie coś ubijać, i powtarzał z ucieśzną przekornością:

— No tak, obaczycie..... Obaczycie co ja koniec końcem zrobię cudowne likarstwo, zupełnie kieby jaki Szaman.

I wszyscy w śmiech.

A tych wszystkich musiało być wielu, bo śmiech całym chórem wtórował z głębi sali.

Wśród roboty, krotochwilny twórca leków spojrzał przypadkiem w okno, dostrzegł podróżnika, i z tłuczkiem nieruchomie podniesionym w rękę, zawołał:

— A to co?

Wnet i obie panie zwróciły oczy w stronę okna.

— A kogo to wy szukacie, Dobrodzieju? A niemożna by czém usłużyć?—Pytał jasnowłosa mężczyzna.

— Ja nie szukam tutaj nikogo, jeno własnych wspominków.

— Jakto, wspominków? — Podjęła jedna z niewiast.—Więc wy tu byli już kiedy?

— Byłem. I znałem ludzic co tutaj mieszkali. Złote ludzic, a dobre, a gościnne! I na co im się to zdało? Żałosny był ich koniec, oj żałosny! Już lepiej pono i nie gadać.... Wy ani wiécie, jakie okropne rzeczy działy się na tój górze.

Tamtych troje spojrzało po sobie z uśmiechem.

— To dobre!—Rzekli.—My, nie wiemy?

— A dawno to było? — Spytała druga pani.—Czy pomnicie ile temu lat?

— Lat? A ktoby ich się tam dorachował? Wypadnie pono kole piędziesiątki.... Jam jeszcze wtedy był co się zowie młody--wracałem z Zie-

mi Świętej—o płaszczyku i kijku — jako biedny pielgrzym.

— Jako pielgrzym?—Powtórzyli wszyscy.— I to wyście tu przynieśli Różę Jerychońską? Wszak prawda?

— A juści, jam ją przyniósł. Ale zkądże to wam jest wiadomo?

— A jakoż niéma być wiadomo? — Podchwycił zagadnięty, przyczém ze stołu wziął zielony dzbanuszek, w którym rozwijała się cudowna gałązka, podniósł ją ku oknu, i zawołał:

— Patrzajta, oto wasza Róża, taż samiuchna, święcie uchowana.

Nieznajomy wziął się za głowę.

— Jakoż to? Cały zamek runął, boć ja sam go widziałem w gruziech—te dwie cudne panie z oném anielskiém dzieciątkiem, zginęły pono w okrutnej niewoli, a takowe suche zielsko przetrwało ich wszystkich? A toć to czyste pośmiewisko!

— Nijakie pośmiewisko. — Przerwał złoto-włosy. — One cudne panie co wy już oplakali, siedzą tu żywiusie przed wami — a on dzieciak co się to z Burkiem przewracał na niedźwiedziej skórze, to ja, do usług Dobrodzieja.

Podróżnik oniemiał.

Potém, podniósłszy obie ręce, zaczął po wszystkich trojgu wodzić wzrokiem, i wołał z niekłamaném wzruszeniem:

-- Więc to wy? Też sami? Na prawdę też sami? Boże wielki, jakoż się to stało? A toć prawdziwy cud!

— I nie jeden cud, jeno sto cudów, Dobrodzieju!

I wszyscy troje, w krótkich zarysach, w serdecznych wykrzykach, roztoczyli przed podróżnym swoje cudowne dzieje, a on, to podnosząc to składając ręce, powtarzał bez końca:

— Dziwne rzeczy! Dziwne!....

— Aleć i wy Łaskawcze, — zauważył Jan w końcu powieści—musieliście takozż dziwne koleje przebyć, boć i was poznać nie łącno. Niegdyś wy mieli chuderlawe liczko i on biędny płaszczyk — dzisia złoto kapie wam ze sukniów, a przepyszność z osoby.

— No juści, przebyłem i ja różne różności, jeno co w moich losiech, to wszystko zawdy szło na lepsze. Pan Bóg bardzo prędko wysłuchał mojego ślubowania, boć pomnicie? Cała ona pielgrzymka była na uproszenie u Pana Boga i Matki Najświętszój, aby mi wrócili utracone dziedzictwo. I wrócili! Ledwiem stanął tu w kraju, wszystko zaczęło mi się wracać. A jakim sposobem, to aż wstyd powiedzieć.... Ale trudno, co prawda to nie grzech. Dla mnie, właśnie oni srodzy Tatarowie przynieśli przemienienie. Wszystkie moje nieprzyjacioły wyginęły pod ich mieczyskiem--wszystkie moje dawne włości ostały się bez pana—i kiedym ja do nich przyszedł, to

już nie było nikogo coby je z rąk moich wydzierał. Potém téż i ludzie pomogli—poszcęściło się na gospodarce i na wojniech—Xiążę Bolesław darzył mię swoją łaską — i życie poszło jak z płatka.

— Tak to,—zauważyła Elżbieta — Pan Bóg umié z tegoż samego kielicha, wysączyć dla jednych gorycz, dla drugich słodkości, co komu potrzebne. Was mój dobry panie, już we młodziankowych lecich wychłostał niedolą, za to przez resztę żywota próbuje was pomyślnością, boć i to takóž próba, i może jeszcze mniej przezpieczna niżeli wszystkie inne.

Nieznajomy nie musiał jasno pochwycić jéj myśli, bo uśmiechnął się bezwyraziście, pomilczał, a potém dodał z uprzejmém westchnieniem:

— Tak..... dla siebie tom ja potrafił wyprosić pomyślność, ale dla was, to nie. Jakoś moja Róża nie przyniosła wam szczęścia.

— Jakto, nie przyniosła?—Zawołał Jan z rodzajem żartobliwéj urazy.—Abo my nie jesteśma szczęśliwi? I jak jeszcze! Każdemu jeno tyła życzę.

— Tak!—Potwierdziły niewiasty.—My dzień i noc Bogu dziękujemy, i nigdy niemożemy się dosyć nadziękować.

— Za co? Za co?—Pytał nieznajomy ze zdumieniem.—Za to że młodość wam zmarniała? Żeście ztérały całe życie w nieludzkich męczarniach? Teraz co prawda, spadła wam nakoniec

kapka doli, aleć rychło w czas! To jakby komu zagrał do tańca, kiedy tamten już stracił nogi. Nie szemrać w nieszczęściu, to już i tak dosyć odważności—ale jeszcze dziękować za nieszczęścia, nie! tego ja już nie rozumiem.

— A jednakóż, wierzajcie mi zacny panie,— ozwała się Elżbieta — człowiek powinien dziękować Panu Bogu za wszystko, za dołę i za niedołę, nawet za tę ostatnią może najgorliwiej, bo niepróżno to powiedziano, że kogo Pan Bóg miłuje, temu krzyże zsyła. Im więcej krzyżów, tém więcej sposobów na zarobienie sobie wiecznej szczęśliwości.

— Wiem, wiem Dobrodziko — gadacie jak istna Święta, ale ja nie żaden Święty, i moim ludzkim rozumem tak sobie powiadam: krzyże zawdy przyjdą nieproszone i niedziękowane, a co człowiek użył, tyle jego.

— Nie! — Odparła z mocą Elżbieta. — Co człowiek użył, tyle stracił, bo tyle już naprzód wybrał swojej zapłaty. Ja powiem na przeciwieństwo: ile człowiek wycierpiał, tyle zyskał, bo tyle ma jeszcze nagrody zapisanéj u Pana Boga. Najlepiej pono ten wyjdzie na swoim, kto wszystkie prace i pokuty odrobi już w tém życiu, a wszystkie szczęścia i zwycięzkie danki ostawi sobie na żywot nieśmiertelny; tym sposobem będzie cierpiał krótko, a używał bez końca.

Nieznamy nic nie odpowiedział, tylko gło-

wę skłonił, a dłonie rozchylił tym ruchem co znaczy:

— Podziwiam, ale nierozumiem.

— A ja więcej powiem!—Rzekła wtedy zrywając się Ludmiła.—Cierpienia dają szczęśliwość nietylko na tamten, ale i na ten żywot. W cierpieniach to ludzie mogą sobie służyć, mogą się wzajem pocieszać i ratować. Gdyby wszyscy byli szczęśliwi, któżby się poświęcał? Każdy by siedział w swojej rozkoszy jako ślimak w skorupie. Oto i my dwie, — na ten przykład — gdyby nam życie było gładko poszło, czyżby my się tak okrutnie miłowały jak to czynimy dzisiaj? Niechże więc będzie błogosławion ten jassy, i ten trąd, i te wszystkie nieszczęśliwości, bo dopiero w nieszczęściu dowiaduje się człowiek, ile może miłować i być umiłowanym. A wielka miłość — wierz mi, o przechodniu! — to klejnot nie z téj ziemi, taki przedziwny, tak nieoszacowany, że choćby kto wiekami cierpienia go kupił, jeszcze go nie kupił za drogo!

Podróżnik nic nie odpowiedział, — tylko się uśmiechnął, i podniósł ramiona tym ruchem co znaczy:

— Winszuję, ale nie zazdroszczę.

Tymczasem trędowaci, siedzący na bocznych ławach sali, zapomniawszy o wrazeniu jakie sprawiał ich widok, nieznacznie zbliżali się do swoich Dobrodziejek, aby lepiej pochwycić ich budujące słowa.

Tłum przeraźliwych postaci zarysował się w głębi okna.

— Jezus Maryja! Co to jest? — Wykrzyknął podróżny.

— To nic..... to nasi bracia Łazarze. Oni razem z nami tu mieszkają. Dla tego téż to myśmy i nie śmiały zapraszać was do sali.... Nie każdy ciekaw Lazaretu.....

— Więc tu jest..... Lazaret? A wszak-cim ja tylko co słyszał, że wyście już uzdrowione? Któż was tu jeszcze trzyma, nieszczęsne niewiasty?

— Nikt nas nie trzyma, jeno myśmy sobie sami urządzili Lazaret, aby jeszcze na koniec żywota cośkolwiek wysłużyć u Pana Jezusa.

Podróżnik ciągle zgłębiał okno wzrokiem osłupiałym—zwolna, zaczął się mienić, i rzucać po-za siebie niespokojne spojrzenia.

Był to człowiek co Pana Boga chwalił i ludziom dobrze czynił, ale wszystko roztropnie — pod miarą i wagą.—Na widok Lazaretu, zwykle

wypróżniał kiesę, i co prędzej uchodził. Życie i zdrowieczko były mu jeszcze miłe.

I teraz więc pomyślał sobie:

— Nie głupi ja tu dłużej szukać guza.

Chcąc jednak jakoś ubarwić swój odwrót, spytał z przymuszonym uśmiechem:

— A gdzieby to ja mógł ostawić jakowąś ofiarę dla chorych?

— Ofiarka niekonieczna.—Odrzekły niewiasty.—Chorym tu na niczém nie zbywa. Wszelako, dawanie jałmużny to taka dobra cnota, że nieśmiemy zbawiać was téj uciechy. Owóz patrzcie, skarbona wisi tam, kole bramy.

Podróżnik pożegnał wszystkich głębokim pokłonem, uniósł i otrząsnął brzegi szuby, i dążąc ku skarbonie, mówił sobie:

— Jak mi Bóg miły, nierozumiem czemu te niewiasty we łzach tonęły naówczas, kiedy życie śmiało się do nich całą gębą, a czemu śmieją się i weselą dzisiaj, kiedy całe życie przepłakały? I oto jeszcze na dobitkę, — i to po dobrej woli—z Łazarzami odsiadują więź?

Zchodząc z góry, ciągle rozmyślał nad ową zagadką, na wszystkie strony ją obracał, i niemógł rozwiązać.

Niemógł, bo to był człowiek bardzo biegły we wszelkich rzeczach ziemskich, ale bardzo nieświadomy rzeczy boskich, których poczucie stracił w dłużej, doczesnej pomyślności. To téż czynił jak czynią wszyscy ludzie zwykli, którzy naj-

częściej wtedy bliźniemu zazdrozcza, kiedy-by powinni nad nim się litować, a wtedy nad nim się litują, kiedyby powinni mu zazdrościć.

Szkoda że Ludmiła i Elżbieta nie dowiedziały się nigdy, kim był ów dawny Pielgrzym, dzisiejszy Podróżny?

My, w braku innego imienia, nazwijmy go *Sądem świata*.

Wprawdzie niewiasty spostrzegły się po chwili, ale już było za późno.

Elżbieta, uderzywszy się w czoło, rzekła:

— Żeśmy też nie zapytały, jak jemu na imię?

— Ja myślałam o tém,—odparła Ludmiła—tylko że czasu mi nie stało, bo strasznie łapczywie porwał się do wracania. Przymiłem, i nieśmiałam..... nie wpuścić za próg, a pytać o imię, to jakoś wygląda niegościnnie.

— E..... popytać nigdy nie szkodzi. — Podchwycił Jan, i wychyliwszy się przez okno, wołał:

— Hej! Panie podróżny! Łaskawcze! Słuchajta wy!.....

Ale podróżny nie słuchał, bo też i niemógł go dosłyszeć. Już napowrót konia dosiadłszy, dobrym kłusem ujeżdżał w lasy, już nawet le-

dwie można było go rozeznąć między barwnym orszakiem co się za nim tłoczył.

Jan wrócił do głębi sali, gdzie tymczasem niewiasty rozповідаły zgromadzonym, kiedy to i w jakich okolicznościach, zaszły były pierwsze odwiedziny pielgrzyma.

Ten obrazek przeszłości, nasunął ich pamięci tysiąc innych, i cały wieczór upłynął na nieskończonych opowieściach, a chorzy słuchali chciwie, i nawet Braciszek Benedykt, trzęsący białą głową przy kominie, przerywał czasem szepcane Pacierzy, i podniósłszy swoje szkliste oczy, uśmiechał się po dawnemu, na wspomnienie Dworu Królowej Kingi, albo Dworu Cesarzowej Turakiny.

Ostatni też to był wieczór prawdziwie wesoły na Zamku Witanieckim.

.
.
.
.
.

Zaraz następnego poranku, Elżbieta wstała jakaś zadumana. Około południa, znalazłszy się sam na sam z Ludmiłą, rzekła po niej jakimś namyśle:

— Wiész Lułko? Miałam dziś sen dziwny.....

znowu jeden z owych snów pamiętliwych, po których niemogę przyjść do siebie.

— Doprawdy? I cóż ci się śniło?

— Siedziałyśmy obiedwie niby w jakiejś głębokiej, dosyć smutnej dolinie. Ty miałaś na sobie złote kajdanki, wiesz..... te z Turnieju. Po niebie, nad nami, przesuwały się bardzo grube i świecące obłoki. Patrzyłam gdzie one to tak lecą, i spostrzegłam że w obłokach są różne osoby, a prawie wszystko znajomi. Był tam i Xiążę Bolesław, i twój poczciwy Rafał, i Brunon, i nasz dobry Feliś, ach Boże, kogóż tam nie było? Za nimi wszystkimi, na samej głębokości nieba, zdawało mi się że stoi Ojciec Paweł, ze swoją białą brodą i przepastnymi oczami, jednak nie byłam pewna, bo się ciągle mienił, jakby majak ze mgły porannej. Ale to wszystko nic..... Wystaw sobie dopięro jak mi serce zadrżało, kiedy nadpłynął nowy obłok, a z niego wyrzał kto? Mój Sulisław! Miał na piersiach jakoby krzyż krwawy — może owe dwie rany, co to je dostał pod Chmielnikiem? Twarz u niego była prawie taka jak dawniej, tylko daleko łagodniejsza. Przy nim stał i mój brat, Xiądz Maciej, różowiuchny jakby jutrzeńka, jeszcze więcej uśmiechnięty niż za życia. Obaj wychyleni ku ziemi, pokazywali sobie tę dolinę gdzie myśmy siedziały. Ja tedy myślę: «A może-by do nich zagadać? Może mię usłyszą?» I już ręce ku niebu wyciągnęłam, kiedy oto nowe osoby nadpływa-

ją..... No, a kogo teraz poznałam, to już chyba nigdy nie odgadniesz. Na jednej chmurce trochę ciemnej, dość nisko wiszącej, klęczał — czy uwierzysz kto? Ajdar. Czołem bił o chmurę, i żegnął się jakby w gorącej modlitwie. Nad nim, bardzo wysoko, na niezmiernie jasnym obłoku stał Przedwojowic, w zbroi słonecznej, ze skrzydłami, z włócznią promienistą—zupełnie taki jak na oknach kościelnych widywałam Archaniola Michała — ale twarz miał swoją, nic a nic nie zmienioną. Schylił się ku Ajdarowi, i wymówił te słowa: «Już czas ją zawołać.» Wtedy Ajdar podniósł obie ręce do czoła, i odpowiedział: «Ach, jak to dobrze — ona mię zaprowadzi!» — Potem Przedwojowic powoli spływał z obłokiem coraz niżej, niżej, aż do nas — pochwycił twoją rękę — zaraz one łańcuszki cicho z ciebie opadły, i zaczęłaś podnosić się w powietrze. Przedwojowic pociągał cię coraz wyżej — Ajdar zdaleka podążał za tobą — ty byłaś coraz jaśniejsza, coraz prześliczniejsza — a ciągle spoglądałaś ku ziemi, wołając: «Chodź-że Elżuniu..... a no chodź-że!» — Ja także czułam że ze mnie jakieś okucie spada, że moje nogi odrywają się od ziemi, ciągle mówiłam: «Idę! Idę!» Ale oglądałam się za Jasiem, a Jasia nigdzie nie było. Aż tu słyszę z obłoków, jak Sulisław mówi: «Cieszymy się bracie, już i ona idzie. A co — powiada — jest niemniej ucieszne, to że i Władzio nasz przyjdzie; on ze swoim złotym kółkiem nad głową, będzie pe-

wno wpuszczony aż do trzeciego albo i czwartego nieba, to może i my się tam za nim dociśniemy?»—A Xiądz Maciej wciąż tylko zapytywał: «Ale gdzież jest Jaś? Gdzie Jaś?.....» — Ja czułam że już zaczynam podlatywać. Oglądam się — ktoś biegnie za mną..... nie Jaś, ale Braciszek Benedykt. Pędzi przez dolinę, rześki, młody, i co dziwniejsze, naprawdę ze złotem kółkiem nad głową, zupełnie jak Święty na Obrazku. Śmieje się wesoło i powtarza: «I ja lecę — i ja lecę — a na Jasia nie czekajcie, bo on jeszcze nie włożył sukni godowej.» — Kiedy to powiedział, zaczęłam się mocować w wielkiej niepewności; raz brała mię ochota polecenia za tobą, to znów chciałam czekać za Jasiem, i z téj ciężkiej troski obudziłam się, bardzo udręczona.

Elżbieta zamilkła. Ludmiła także milczała. Spojrzały po sobie — zrozumiały się — i razem rzekły:

— Trzeba już na dobre się wybiierać.

.
.
.
.
.

W kilka dni później, Ludmiła zachorowała. Jedni mówili że ją pewnie «zawiało», drudzy że jęj zaszkoziła zbyt gorliwa praca w Lazarecie.

Nikt nieumiał nazwać téj choroby, tylko jak to wówczas mawiano, *zaniemogła*.

Elżbieta doglądała jéj z głębokiem drzeniem serca. Ratunek zdawał się łatwy, leków ni rad nie brakowało, a jednak niemogła się opędzić od żalobnych przeczuć, niemogła odnaléźć téj odwagi, co jéj niegdyś towarzyszyła w najtrudniejszych przygodach, wśród postrachów głodu i pustyni.

Ach, bo senne owe widziadła, zapowiadały jéj bliski już «odlot» Ludmiły!

Wprawdzie, według téjże saméj wróżby, i ona miała odlecieć zaraz po Ludmile, ale któż wie, jak owo *zaraz* może potrwać długo na zegarze wieczności?

I Ludmiłę niemniej przerażała myśl o rozstaniu z przyjaciółką. Ta myśl była dla nich tak dziwna, jakby się dopiero piérwszy raz dowiedziały, że cóś na świecie może je rozłączyć.

Niepokój ów, pogorszał stan Ludmiły, a wylęklą i bezsennościami trawioną Elżbietę, codziennie reszty sił pozbawiał, aż w końcu i ją powalił na łoże cierpienia.

Teraz już obie leżały w wielkiej sali, po dwóch stronach komina, słodko się do siebie uśmiéhając.

— A więc i ja odlecę! — Dumiała Elżbieta,

i odetchnęła swobodniej — ale tylko połową duszy..... ach, bo znów trzeba rozłączać się z Jasiem! Nic, bez boleści!.....

Długo mocowała się tajemnie, miotana—jak w owym śnie wróżebnym — pomiędzy dwoma przyciągającymi ją światami.

Aż i na tę boleść przyszedł balsam.

— Ojcie Benedyckie,—rzekła pewnego poranku—ani wiecie jak wyście mnie pocieszyli.

— Czém, kiedy, siostruniu?

— Dziś w nocy przypomniałam sobie owo kochane Kazanie, coście nam powiedzieli jeszcze tam u Tatarów, pamiętacie? na schodkach Kuzmowego domu. Przypomniał mi się ten Sympliejusz, co nic nie umiał mówić, tylko zawsze: «Bądź wola Twoja!» I ja także -- chociaż zostawiam Jasia.....—powiedziałam nakoniec: Tak! Bądź wola Twoja.

Odtąd, obie niewiasty zapadły w rodzaj nieustannój, słonecznej extazy. Jak niegdyś radość roztrącała im piersi, gdy po czterdziestu latach wygnania, zbliżały się do wież Krakowa, tak i teraz ogarniał je zawrót szczęścia, gdy czuły że już, już się zbliżają do najstarszej swojej ojczy-

zny. Tylko, dzisiejsza szczęśliwość była o tyle większą, ile niebo większym jest od ziemi.

A przytém, co za radość, przyjmować ostatnie pomoce duchowne, z ust i rąk Brata Benedykta! A potém, te z nim długie, precudne rozmowy! Takie precudne, że wszyscy chorzy i domownicy, tłoczyli się dla ich posłyszenia.

Kiedy niewiasty i Braciszek, zaczęli sobie rozpowiadać o pięknościach téj Nowej Jeruzalem, gdzie mury są z opalu a baszty z hjacyn-tu, — o tych tryumfalnych pochodach, jakimi Aniołowie przyjmują bohaterów Cnoty, — a nakoniec o tych ucztach Miłości, w których dusza dopiero poznaje co to jest «Świętych obcowanie»,—wtedy słuchaczom usta drżały, oczy się zapalały, i wszystkich aż brała oskoma do jak najrychlejszego wynoszenia się z ziemi.

Tylko Jan chodził jak bez głowy, zdawało się że nierozumie owych zachwycających rozmów. Kiedy przystępował do Mateczek, to z uśmiechem święcie udawanym, ale co chwila przystawał po kątach, głowę tulił do ściany, i ręką tłukł piersi, aby w nich zadławić rozrywające łkanie.

Jednakże matka, po całych godzinach udzielała mu rad i ukojeń, Brat Benedykt i Ludmiła pomagali żarliwie, tak że w końcu, i jego serce

wymówiło: «Bądź wola Twoja!» I kiedy już się żegnano, to nie słowami rozpaczy, ale najrozkoszniejszą z obietnic:

— Do zobaczenia, synku!

— Do zobaczenia, Matuchno! I jedna i druga! I jedna i druga! Ach, do zobaczenia!

Lekko Niewiasty chorowały—lekki też był ich koniec.

Ludmiła «odleciała» pierwsza. Elżbieta, w kilka dni po niej.

Pochowano je w jednym grobie, na którym Jan kazał wyryć napis, ułożony ze słów Ojca Pawła:

MIŁOWAŁY SIĘ BARDZO W PANU —
ALBOWIEM JE POŁĄCZYŁ JEDNĄ GA-
ŁĄZKĄ CIERNIU,

.
.
.
.
.

Wieść o śmierci «branek», poruszyła naj-

dalsze okolice. Po wszystkich drogach, tłumy ciągnęły a ciągnęły na pogrzeb. Nawet z Krakowa zjechało mnóstwo rycerstwa i mieszczan. Chłopi Witanieccy, ubodzy, a zwłaszcza téż Łazarze, płakali po swoich «Dobrodziejkach» tak rzewnie, jak one niegdyś płakały nad niemi.

Najdziwniej objawił się żal Berkaja. Staruszek chciał koniecznie aby go żywcem zakopano w grobowcu Elżbiety. Grabarze ledwie potrafili odpędzić natręta. Odpędzony, usiadł na grobie, powiedział:

— To nic nie pomoże, ja pójdę na tamten świat co prędzej, aby służyć Wielkiej Szamance.

I siedział tam dniem i nocą, wyjąc jakieś żałobne pieśni. Napróżno stawiano przed nim strawę, nawet nie spojrzał na nią. Napróżno ludzie litościwi chcieli go gwałtem uprowadzić; odnalazł się wtedy barbarzyńiec, i póty bił i gryzł swoich wybawców, aż musieli go pozostawić jego doli. Po jakim tygodniu, znaleziono go tam nieżywym; był wyschły i zmarszczony jak wiórek, ale usta miał uśmiechnięte.

Jan, przypatrując mu się długo, westchnął i powiedział:

— Psu i Tatarowi wolno tak zamięrać. Mnie, choć synowi—broń Boże! nie wolno! Trza jeszcze dalej wędrować po tém nędzném ziemi-

sku, i to wędrować tak przystojnie, aby dojść do téj saméj Furty co i moje Matuchny.

.
.
.
.
.

Nie tu jeszcze koniec był rozstaniom.

Od zgaśnięcia dwóch niewiast, Brat Benedykt zaczął także dogoréwać; zdawało się że tylko czekał na udzielenie im ostatniej pociechy, aby i samemu podążyć w tę drogę. Położył się na swoim twardym, zakonnym tapczanie, i tam przebył całe półrocze, w coraz dotkliwszych bólach ciała, w coraz promienniejszém wybijaniu się duszy. Przez te kilka miesięcy, Jan służył mu dniem i nocą, a chory wtajemniczał go powoli w najskrytsze skarbnice «życia wewnętrznego.»

Nakoniec, motyl duszy wywiązał się z powłoki—wywiązał się tym ruchem zwyczajnym, co wygląda nie na skonanie, ale raczej na wnio-wzlecenie.

Jeszcze zwłok jego nie zdołano pochować, a już zdumiéwające wieści gruchnęły po kraju; mówiono, że wielu chorych (zwłaszcza niewidomych) odzyskało przy tych zwłokach zdrowie. Co ważniejsze, mówiono że wielu grzeszników

uczulo tam skruchę i przysięgło poprawę. To téż pamięć Brata Benedykta pozostała w sercach nabożnych, otoczona owém «złotém kółkiem», z jakim pokazał się w przedśmiertném widzeniu Elżbiety, a imię jego — razem z imieniem Jana de Carpino — pozostało w kalendarzu naszych Świątych, zapisane pod dniem 16-go Marca, jaśniejące niezgasłą glorią «Apostoła Tatarów.»

.
.
.
.
.

Ale podczas kiedy jedni biegli do góry Żegnanieckiej, dla szukania ratunku przy grobie Błogosławionego, tymczasem inni odchodzili ztamtąd.

Jan, pozostawszy zupełnie samotnym, zaczął się dokoła rozglądać, i samego siebie zapytywać, coby mógł jeszcze poświęcić Panu Bogu?

Kazał więc na dziedziniec zamkowy poznosić wszystko swoje złoto, srebro i klejnoty, i wszystko rozdał ubogim.

Potém kazał przygotować liczne pargaminy z pieczęciami, wszystkie swoje ziemie, wsie i zamki, zapisał na własność Lazaretu, zarząd

jego polecił Braciom Franciszkanom, wszystkich prosił o modły—a sam poszedł w świat.

Wziął tylko Różę Jerychońską, razem z listami matki wsuniętą pod kapiec—kij ujął w rękę—zszedł powoli z góry — kilka razy jeszcze obejrzał się na Zamek—zniknął w ciemnych lasach—i nigdy nie wrócił.

Różne o nim chodziły wieści.

Jedni mówili że wstąpił do Rycerzy Świętego Łazarza, gdzie przebywszy Jobową chorobę, doczekał się obioru na godność Wielkiego Mistrza.

Inni mówili, że został tylko posługaczem przy Lazarecie w Zagościńcu.

Tu czytelnik spyta zdziwiony, dla czego Jan wolał służyć chorym w Zagościńcu, niżeli w swoim Witańcu?

A mój Boże! Cóż jest prostszego? Większa to nierównie ofiara pracować tam gdzie się jest sługą, niżeli tam gdzie się jest panem.

W każdym razie, na Zamku Witanieckim już go nie ujrano.

.
.
.
.

.....

Tymczasem Lazaret kwitnął coraz piękniej. Przez długie a długie lata, przytulał seciny nie-
szczęśliwych, koił tysiączne bóle.

Jednakże wszystko ma na téj ziemi koniec, nietylko to co dobre i miłe, ale—dzięki Bogu!— i to co najstraszniejsze. Przyszedł czas, w którym i plaga trądowa zaczęła znikać z Europy. Zwolna, Lazarety stawały pustkowień, tém zupełniejszém, że zdrowi niemieli już odwagi na osiedlanie się w ich ścianach. Zwykle téż owe ściany rozbiérano—czasem je zostawiano powolnemu zniszczeniu.

I Żegnaniec-Witaniec, nieznacznie zaczął się wyludniać.

A kiedy ostatni chory zamknął oczy, kiedy ostatni Brat zakonny spostrzegł że niéma już komu służyć, wtedy i tutaj mury stanęły pustką.

I góra znowu stała się zaklętą.

Po nocach --zwłaszcza xieżykowych--słysza-
no jak szły ztamtąd osobliwsze odgłosy. Jeżeli
słuchał ich zły człowiek, to słyszał zazwyczaj
dzikie krzyki pohańców, dzwonienie mieczów

i bicie taranów, a czasem widywał w powietrzu jakąś głowę potworną, niby smoczą, która na szczytate szczyty wieżyc zionęła ogniem obłęźniczym.—Dobrzy ludzie za to, słyszeli zwykle cudne pienia kościelne, (może nawet chóry Anielskie?) a niekiedy, widywali nad Zamkiem błady pierścień złotego światła, jakby nimbus Błogosławionych.

I byłoby można owęj górze przywrócić pierwotną jęj nazwę *Przeżegnaniec*, bo ktokolwiek szedł dolinami, ten tylko «przeżegnał się» nabożnie, ale nikt nieśmiał zaglądać do gmachu, w którym działy się rzeczy tak straszne i święte.

I zaszło tutaj z woli nieba to samo, co Tatarzy stwarzali sztucznie dla cmentarza swoich monarchów: nadziemski postrach lepiej zamknął drogę, niż tam ją zamykały wrota i samo-strzelające łuki. Na ścieżkach przez nikogo niedeptanych, przyroda postawiła swoje zielone warownie. Cała góra Żegnaniecka porośla puszcza gęstą i taką wysoką, że drzewa, zarośla, trawy, zalały osypujące się zwaliska. Miejsce przez nikogo nieziedzane, wyszło zwolna i z pamięci ludzkiej. Tylko bluszcz, ten zacny liść Przyjaźni,

otulając drogie sobie gruzy, cichuteńkiemi szelestami opowiada kwiatom i ptakom, dzieje Elżbiety i Ludmiły.

Pisałam w Warszawie
w latach 1878—1880.

KONIEC BRANEK W JASSYRZE.



PRZYPISY.

PRZYPISY

do Szóstego tomu Branek w Jassyrze.

Część Szósta.

Rozdział: Między swemi.

Str. 7. Czy im pomogły siarczane wody Jordanu?

«L'histoire de Naaman démontre que la lèpre existait alors aussi dans le nord de la Syrie, à Damas, et que comme aujourd'hui, les eaux du Jourdain, passaient pour jouir de vertus spécifiques contre cette affection..... Les Orientaux attribuent non-seulement aux eaux du Jourdain, mais encore à une source située près d'Edesse, et au puits d'Abraham, une vertu spécifique contre la lèpre, si puissante, que tous ceux qui sont atteints de la maladie, s'empressent de s'y rendre en pèlerinage. Très vraisemblablement ces eaux doivent leur efficacité à un principe sulfureux.» — *Dictionnaire des sciences médicales* par une *Société de Med. et de Chir.* ART, LÉPREUX par JOURDAN—pp. 456 et 479.

«Grégoire de Tours dit avoir vu un homme du nom de Jean qui, atteint de la lèpre, avait quitté la Gaule et séjourné une année entière dans le lieu témoin de la naissance de Notre-Seigneur. Après s'être baigné assidûment dans le Jourdain, il avait recouvré la santé.»—*Notice historique sur la Maladrerie de Voley* par le Dr. UL. CHEVALIER—à Romans—1870—p. 8.

Str. 8 i 9. Ogólnikowa nazwa *trądu*, zamykała w sobie cały szereg chorób, odmiennych stopniowaniem..... już umiano nieźle rozróżniać te stopnie, mianowicie trzy główne, z których dopiero trzeci, według pojęć ówczesnych, uchodził za niebezpieczny dla społeczeństwa, i wymagał odosobnienia..... Pilny badacz starych dokumentów, jest owszem zdziwiony i wzruszony niesłychaną pieczołowitością i niemal czcią, jaką ci nieszczęśliwi są w owym wieku (XIII-ym) otoczeni.

«S'il est incontestable que la lèpre existait en Europe avant le temps des Croisades, d'un autre côté il y aurait plus que du scepticisme à nier que ces gigantesques..... expéditions ont singulièrement contribué à la propager, en multipliant les relations entre l'Orient et l'Occident..... On se faisait en quelque sorte un honneur d' être frappé de la lèpre..... Jésus-Christ avait, disait-on, guéri des lépreux; et, dans son style parabolique, il avait appelé un malade de cette espèce Lazare..... c'en était assez pour autoriser à faire un saint de ce personnage..... Lors donc que les Croisés revinrent en Europe, ceux d'entre eux qui étaient atteints de la lèpre, et il devait y en avoir un grand nombre, furent considérés non-seulement comme des objets dignes de la commisération publique, mais encore comme participant en quelque sorte aux qualités du saint qu'on révérait. On les appelait *pauperes Christi, morbi beati Lazari languentes*, et la lèpre elle-même

était désignée sous le nom de *mal de Saint-Lazare*. On se faisait un devoir de fréquenter, de soigner ces malades..... On ne se contentait pas de les soigner au physique, on s'occupait encore de tranquilliser leur moral..... et les raisonnements mystiques les plus singuliers étaient employés par les prédicateurs, non pas tant pour les consoler, que pour leur peindre l'horrible maladie qui les accablait comme une faveur toute particulière, un présent inestimable.—Aussi les léproseries se multiplièrent-elles à un tel point, que..... Mathieu Paris en comptait dix-neuf mille dans toute la chrétienté..... Ces établissements portaient alors les noms de *misellaria*, *mezelleries*, *ladrerics*, *maladreries*, (très-anciennement on écrivait *maladière* et au XVII^e siècle *maladerie*.) *lazaretti*, parce que les lépreux s'appelaient *miselli* ou *lazari*..... Le vulgaire en admettait trois degrés, à l'étude et à l'appréciation exacte desquels on attachait d'autant plus d'importance, qu'ils servaient de guide dans la conduite prescrite par les lois envers les lépreux. Quand ceux-ci n'étaient pas encore entièrement défigurés, on ne les séquestrait point de la société, et ils n'étaient tenus qu'à s'éloigner des réunions, de sorte que, bien qu'ils fussent suspects, on les traitait cependant encore avec douceur et modération. Au reste, on n'agissait jamais en cela d'une manière arbitraire. Il existait des instructions juridiques prescrivant au médecin et au juge la marche qu'ils avaient à suivre.» *Dictionnaire des Sciences Médicales*, Paris — 1818 — ART. LÉPREUX par JOURDAN, T. XXVII—p. 464 et suiv.

«Les Décrétales de Saint- Grégoire permettaient aux lépreux de se marier quand ils trouvaient une femme qui consentait à partager leur sort affreux.»—*Tamze* p. 470.

«Ils ne pouvaient entrer qu'à certaines époques dans les villes, ni toucher autrement qu'avec un bâton ce qu'ils voulaient acheter. S'ils rencontraient quelqu'un sur une route, il fallait qu'ils s'éloignassent précipitamment, ou se plaçassent de manière que le vent ne pût porter les exhalaisons de leur corps sur les personnes saines. Ils étaient tenus de faire sans cesse du bruit avec une crécelle, et de porter deux mains artificielles de laine blanche, pour qu'on pût

les reconnaître de loin.... On les bannissait solennellement de la société; on les conduisait à l'église, lisant l'office des morts.... tant on était persuadé que la lèpre ne pouvait jamais guérir. Nous verrons par la suite comment elle diminua peu à peu dans le quinzième siècle.» *Histoire de la Médecine* par KURT SPRENGEL, trad. par JOURDAN—Paris—chez Deterville—1815—T. II. p. 375.

«L'Eglise avait su concilier la plus tendre sollicitude pour ces rejetons infortunés de son sein, avec les mesures exigées pour le salut de tous, pour empêcher la contagion de s'étendre. Peut-être n'y a-t-il rien, dans sa liturgie, de plus touchant et de plus solennel à la fois que le cérémonial, dit *séparatio leprosorum*, avec lequel on procédait à la séparation de celui que Dieu avait frappé, dans les lieux où il n'y avait pas d'hospice spécialement consacré aux lépreux.... Quand ils mouraient ainsi isolés, on célébrait leurs funérailles avec l'office des *Confesseurs non évêques*. *Histoire de S-te Elisabeth de Hongrie* par le C-te de MONTALEMBERT — T. II. pp. 94 et 95.

«Dans l'enceinte où ils étaient relégués, les lépreux formaient une société séparée dont la gestion intérieure, confiée à l'un d'eux, occupait assez faiblement cette même autorité. La crainte de la contagion tenait à distance les patrons et les employés, l'inefficacité des remèdes supprimait tout service médical.... Néanmoins, quoique abandonnés des médecins, les lépreux cherchèrent vraisemblablement quelque soulagement au mal qui les dévorait. Ils devaient faire usage de certaines recettes traditionnelles, d'autant plus accréditées qu'elles étaient plus singulières.» *Notice historique sur la Maladrerie de Voley* — par le D-r ULYSSE CHEVALIER—p. VI.

«De même qu'aujourd'hui la loi ordonne à chaque commune de secourir ses pauvres, au Moyen-âge chaque bourgade était obligée d'avoir un lazaret pour y cantonner les lépreux de la localité.... Vue avec satisfaction par les populations, approuvée d'avan-

ce par l'autorité, la création d'une léproserie était facile et ne nécessitait pas ordinairement un acte de fondation ni beaucoup de formalités. N'exigeant pas comme un hôpital d'importantes constructions et des accessoires coûteux, le premier local venu, un bâtiment rustique même, suffisait à cette destination; les malades et la charité privée pourvoient au reste.» *Tamże*—p. 19.

«L'usage d'éloigner les lépreux du sein de la société, et celui de placer l'asile commun qui leur était destiné sur le bord des chemins et à l'entrée des bourgs et des villages, n'étaient point des mesures contradictoires. La contagion de la lèpre étant admise, la première mesure se justifiait parfaitement, et la seconde avait pour but d'entretenir constamment la compassion et la charité en faveur de ces malheureux; car pour soulager les misères humaines il est bon de s'en préoccuper sans cesse; en les cachant, on ne parvient guère qu'à les faire oublier..... Au XII siècle où le mal était porté à son apogée, le nombre des léproseries s'éleva..... à 19,000 pour toute la Chrétienté. Malgré les doutes de plusieurs écrivains modernes, nous ne croyons pas que le nombre des léproseries ait été exagéré. A partir du XII siècle, il s'élevait en Normandie à 218. Il en existait de deux lieues en deux lieues en Picardie ect.» *Tamże*—pp. 20 et 21.

«Un auteur, dont on a souvent reproduit l'assertion (De Larray), dit que par suite des libéralités des rois, des princes et de la charité des peuples, *les lādres devinrent plus dignes d'envie que de pitié*; c'est-à-dire qu'on n'enviait certainement pas la lèpre, mais les biens des lépreux.» *Tamże*—p. 19.

«Les lépreux acquéraient quelquefois des richesses si extraordinaires, que Philippe V roi de France, les accusa de fomenter une révolte, et voulut les faire tous brûler pour confisquer leurs biens.» *Histoire de la Médecine* par KURT-SPRENGEL—T. II. p. 374.

Ale te okrucieństwa i chciwości należą już do czternastego wieku.

Str. 14. Lekkiego brakteatu co z ręki nabyt skwapliwój upadł aż na ziemię, nie umiała pokornie podnieść.

«*Brakteaty*», tak nazywają się pieniążki z cienkiej złotej lub srebrnej blaszki, nieforemnymi figurami z jednej tylko strony stępowane, na których przeto wycisk z jednej strony wklęsły, z drugiej wypukły się okazuje..... W wykopaliskach sięgających początku XI-go wieku, u nas bardzo często się zdarzających..... znajdują się czasem i barbarzyńskie naśladowania dürstadskich solidów Karola Wielkiego; wybijane z cienkiej srebrnej blaszki, które do najdawniejszych w ogóle brakteatów policzyć można..... Powtórnie zjawiają się u nas brakteaty w początku XIII wieku, a dopiero w końcu tegoż wieku ustępują miejsca groszom przez Wacława Czeskiego wprowadzonym.» *Encyklopedia Powsz.* — ORGEL. T. IV. str. 264.

Rozdział: Z przeszłości.

Str. 74. I tutaj, ze wsi Krakowskiej, cała ludność wysypała się za Biczownikami.

«Bractwo tak zwanych *Biczowników*, które najpierw powstać miało we Francji i w Paryżu, zarażone różnemi przesądami i zdrożnościami, wzmógłszy się znacznie w Niemczech i rozszerzwszy swoje błędy, przybyło także do Polski. Ludzie do tego bractwa należący, chodzili processyami z zakrytymi głowami nakształt mnichów, a obnażając się..... smagali jedni drugich po plecach biczami kręconymi z poczwórnych rzemyków, mających na końcach węzełki. Obchodzili prócz tego stacye, odpusty, i czynili dziwne nabożeństwa, śpiewając pieśni, każdy w swoim języku, niestworne i grube; była-to bowiem hałastrą zebrana z ludzi rozmaitego plemienia i języka. Sami się nawzajem, nie będąc xiężmi ale świeckimi, słuchali spowiedzi, i odpuszczali sobie największe na-

wet grzechy, a pokutników wprowadzali uroczyście, utrzymując, że ich bractwo miało wielką łaskę u Boga.... Gdy zaś to bractwo przybyło do Krakowa, po zwiedzeniu kościołów i dostąpieniu niby odpustów, natychmiast z niego wynosić się musiało, Prandota bowiem biskup zagroził owym Biczownikom więzieniem, jeśliby czémprędzej z miasta nie ustąpili. W innych także dyecezyach Polskich wyśmiani zostali i pogardzeni.» *Dzieje Polskie* JANA DŁUGOSZA—Kraków—1868—T. II. str. 369.

Str. 87. Gdzieś bardzo daleko na Wschodzie, założył jakieś miasto co się nazywa.... Kef.... czy Kaffa....

«La péninsule de la Tauride.... reçut à cause de sa situation favorable, des colonies grecques.... le pays fut successivement occupé par des nations barbares.... Les Tartares le subjuguèrent en 1237, et les Génois l'achetèrent d'un de leurs princes. Caffa, autrefois.... célèbre sous le nom de Théodosie.... tombée enfin en ruines.... fut relevée et fortifiée par ses nouveaux maîtres, qui étendirent la culture des vignes sur les hauteurs voisines, enseignèrent à épurer la soude tirée de l'arroche (lebioda) qui abonde aux alentours, et donnèrent au commerce un plus vaste développement.... Les Génois s'y trouvaient comme chez eux, exempts des droits capricieux auxquels ils étoient exposés à la Tana; ils avaient, à cinq cents lieues de leur patrie, un port national pour y déposer leurs marchandises, et se radouber en attendant le retour de la belle saison. Selon l'habitude des peuples policés au milieu des populations barbares, ils nouèrent habilement des relations commerciales et politiques; ils donnèrent aux habitants des magistrats choisis parmi eux, des institutions, une monnaie, et fondèrent dans la ville une mission pour enseigner la religion civilisatrice. Bientôt Caffa s'agrandit tellement que les Turcs l'appelaient la Constantinople de Crimée.» *Histoire universelle* par CESAR CANTU—T. XII—p. 500.

Rozdział: Czy to Kraków?

Str. 94. Albowiem Leszek Czarny wybrał się był właśnie na walną wyprawę przeciw Leonowi Halickiemu, który..... przyzwał sobie na pomoc rozmaite pogaństwo, nawet podobno — o zgrozo! — jakąś kupkę Tatarów.

«Lew rościł jakieś pretensye do spadku po Bolesławie Wstydliwym. «Zapragnął bodaj jednego grodu w ziemi lackiej.» Nieufając własnym siłom, udał się o pomoc do Tatarów, których han Nogaj dał mu posiłki pod wodzą Kończaka, Kozieja i Kubatana.» *Dzieje Polski* przez J. SZUJSKIEGO. — T. I. Str. 171.

Str. 96. Jest niedaluško ztąd, pode Krakowem, ucieszne miejsce, Zagościniec. Tam Rycerzowie Świętego Łazarza założyli uczciwy dom dla trędowatych.

«*Zagość* nad Nidą. Henryk ks. Sandomiński, syn Bolesława Krzywoustego, za powrotem z Palestyny około 1154 r. ufundował tu Templaryszów, a założoną osadę nazwać miał *Zagość*, jakoby wdzięczny *za gościnę* doznaną u tychże zakonników w Ziemi Św.— Żadnej pewnej wiadomości z dziejów naszych o tém zgromadzeniu powziąć nie można, rok nawet suppressyi nie wiadomy, zdaje się wszakże iż takowa przypadła w połowie XIV-go wieku.» *Starożytna Polska*.—Warsz. 1844—T. IV. str. 350.

Str. 98. Istniał naonczas w Europie zwyczaj niezmiernie wzruszający..... przez wszystkie znaczniejsze Święta, wolno było trędowatym wchodzić do miast i do kościołów.

«Le malheureux banni..... à Pâques..... il pouvait sortir de son tombeau anticipé, et entrer durant quelques jours dans la ville et les villages, pour prendre part à la joie générale de la chrétienté.» *Histoire Universelle* par CESAR CANTU — T. X. p. 265.

«Il (le lépreux) ne pouvait, en certains endroits, entrer dans la ville que pendant la semaine Sainte, dans les fêtes de Pâques, à Noël, ect.» *Dictionnaire des Sciences Med.* Paris — 1818—Art. LÉPREUX par JOURDAN—T. XXVII. p. 469.

Str. 99 i 101. Nic niemogły poznać. Ani budynków, ani ludzi, ani strojów ich, ani nawet mowy..... Nowy Kraków..... po raz pierwszy dostał prawdziwe, urzędownie zakreślone ulice.

«Bolesław Wstydlivy..... chcąc swoje stołeczne miasto Kraków pomyślniejszym obdarzyć wzrostem..... nadał je prawem Szredzkiém czyli Teutońskiém, i ustanowił w niém wójta, który skład miasta i rozpołożenie domostw, porozrzucanych bez ładu i szyku, zmienił i należycie uporządkował: a utworzywszy po raz pierwszy Rynek środkowy, powyprowadzał z niego rządne i w stosownym kierunku wytknięte ulice.» *Dzieje Polskie* JANA DŁUGOSZA—Kraków—1868—T. II. str. 350.

Str. 103. Osobliwsza budowla..... Cztery szeregi kramów..... zbudowane uczciwie z dzikiego kamienia, wdzięcznie sklezione, i nawet malunkami zdobne.

«Jeżeli plan każdego gmachu układa się w miarę potrzeb, to program Sukiennic wymagał zamkniętego placu dla wozów kupców obcych i szeregu kramów dla kupców miejscowych; całość wspólnie zamkniętą i strzeżoną być miała..... Wedle takiego programmatu zbudowanemi były Sukiennice Krakowskie już w XIII

wieku, a więc współcześnie niemal z powstaniem Rynku Krakowskiego. W przywileju Bolesława Wstydlwego z roku 1257..... znajdujemy po raz pierwszy wzmiankę o Sukiennicach. Król na seryo obiecywał budowę kramów sukiennych; że stały one za jego czasów, mamy świadectwo w samėje budowie, jak i w przywileju Łokietka z r. 1306..... Oprócz wspominki w przywilejach Bolesława Wstydlwego, Leszka Czarnego i Łokietka, o Sukiennicach niema żadnych dokumentów piśmiennych, jakimi te pierwsze kramy były. Za to, pozostał nam gmach sam, a w nim odszukać się udało to, co z tych pierwszych zostało czasów..... Że stały w tém miejscu co dzisiaj, już dzisiaj nie ulega wątpliwości, skoro nawet je same pokazać jesteśmy w stanie. O epoce powstania pewnej budowy miejskiej nietylko sam styl świadczy, ale układ i jakość wtku, a co przedewszystkiém—stosunek do otaczającego terenu miasta. Powierzchnia bowiem ulic i placów podnosi się w miarę wieków, tak że budowle, które jak nasze kościoły Krakowskie, pierwotnie miały posadzkę narówni z brukiem miasta, dziś są tak pogłębione, że po wielu progach do nich się schodzić musi. Kramy sukienne Bolesławowskie mogłyby dziś nie wiele wystawać nad powierzchnię bruków Rynku i tworzyć rodzaj piwnic. Ponieważ przypuścić nie można, aby taki kosztowny produkt, jak sułno, w drewnianych przechowywanym być mógł budach, domyślać się z góry wypada, że kramy pierwotne murowanemi były. Ale czy to były już wówczas *Sukiennice*, jako gmach jednolity, deskami pokryty i zamknięty w całości, na to odpowiadamy przecząco.... Niedawno temu, kiedy twierdzono, że pierwotnie była sień sklepiona Sukiennic właściwą hallą, a sklepy, rzędem biegnące, późniejszemi dodatkami, umieliśmy dowieść, że konstrukcyja murów sklepowych wykazuje, iż one powstawały stopniowo przy sobie się gromadząc, zanim ktoś pomyślał o utworzeniu halli. Szeregi sklepów stały piérwój niż Sukiennice, ale to niedosyć: te sklepy mają piwnice swe, każdy do dziś dnia,—widzieć można było jeszcze w chwili niedawnej restauracyi początki zburzonego sklepienia, a nawet malowania ścian; że zaś piwnice potrzebnemi nie były, a w żadnym razie zdobionemi być nie potrzebowały—co więcj, że u ich

ścian frontowych znalazły się ślady wyjętych opraw okiennych,— nie przypuszczać ale twierdzić musimy stanowczo, że to były i są reszty Bolesławowskich kramów, dwoma zmurowanych rzędami z kamienia dzikiego, które następnie podniesiono w murach i podłogach, gdy teren miasta się wzniosł, i podniesiono do właściwej wysokości dawne oprawy otworów okiennych z charakterem mocnego ostrołuku, z których kilka odnalazło się jeszcze w murach, w czasie ostatniej restauracji. — Jakimi były te Bolesławowskie Kramy Sukiennie, mamy dowód w regestrach pozostałych..... Na tych-to śladach opierając się, dajemy przybliżony widok zewnątrz i wewnątrz tych kramów, na dołączonych rysunkach. Przedstawiają one dzisiejszą sklepioną dolną sień Sukiennic, jako ulicę pod gołem niebem; po obu jej stronach, w długości dzisiejszych Sukiennic, ciągną się w dwóch liniach szeregi muirowanych kramów w podcieniach, na drewnianych słupach. Każdy kram ma obszerne okno z wejściem obok do wnętrza, którego okiennicę spuszcza ją się do poziomu, aby służyć za ladę sklepową. Ulica zamknięta jest z obu stron głównych i w krzyżu drewnianemi kratami, a całość przedstawia się zewnątrz pusto, w rodzaju bazaru wschodniego.—Dodamy, że w czasie restauracji odnaleziono cztery bruki tej ulicy, jeden nad drugim, z których najniżej położony do tej pierwotnej epoki niezawodnie należy; a przypominamy na tém miejscu owe zburzone sklepionka piwnic dzisiejszych, które należały do sklepów Bolesławowskich. — Takie Kramy Sukiennie dotrwały w tym ogólnym składzie do końca XIV wieku, i t. d.»

Sukiennice Krakowskie przez Profesora WŁADYSŁAWA ŁUSZCZKIEWICZA — w KŁOSACH z roku 1880-go.—Nr. 770—str. 223—i Nr. 771—str. 228.—Artykuł wyborny; przytém owe tam wspomniane dwa rysunki, bardzo są ciekawe; jeden w Numerze 770-tym przedstawia przybliżony widok zewnętrzny Sukiennic z wieku XIII-go; drugi w Numerze 773-cim wyobraża ich dawniejsze wnętrze.

Str. 106. Na tej drugiej wieżycy cięży krew niewinna.

«Do noża wiszącego w Sukiennicach na łańcuchu, u odrzwiów

bocznego wejścia..... przywiązało się ludowe podanie, widzące w tym zabytku pamiątkę ukaranéj pychy. Opowiada tę tradycję Miączyński: jako dwóch braci budowniczych wzięło się do wzniesienia obu wież Maryjackiego kościoła. Dopóki miłość łączyła współzawodników, praca szła zgodnie, a z łona Rynku coraz wyżej pięły się smugłe wieżycy. Czart pozazdrościł ludzkiemu dziełu, więc niepokojem o sławę jął kusić starszego brata, że go młodszy prześcignie i wyżej ku niebu szczytem zasięgnie. Śmierć tylko współzawodnika, mogła na głowie pysznego wieniec sławy zostawić; więc legł młodszy budowniczy pod razem bratobójczym, a starszy odbierał cześć za cudzą pracę. W chwili tryumfu ozwało się sumienie, rozpacz radość zastąpiła, a grzesznik wyznając winę, tём samém morderczém narzędziem śmierć sobie zadaje. Nierównéj wysokości wieże i nóż ów, zostały na prawdy strwiedzenie. Choć podanie to (miejscowe tylko) nie ma wagi narodowéj tradycyi, przecież ani zbijać, ani tęcz pod krytykę brać go nie pragnę, i t. d.....» *Encyklopedia Powszechna*. ORGEL. — art. Kraków przez J. ŁEPKOWSKIEGO.—T. XV—str. 877.

Str. 109. Patrz jak osoba nieboszczyka przednio tu jest wyrzeżana w kamieniu! Dużo przystarzały, ale jakoby żyw mój opiekun kochany.....

W kościele Franciszkanów.....» najstarożytniejszym pomnikiem mienią być płaskorzeźbę z wyobrażeniem Bolesława Wstydlwego, z kamienia wyrobioną, osadzoną przy Wielkim ołtarzu, w murze po prawéj ręce. Według domniemania, ma to być wierzch grobowca tego Króla, zmarłego w r. 1279 i w tym pochowanego kościele.» *Historyczny opis miasta Krakowa i jego okolic* przez AMBR. GRABOWSKIEGO —Kraków—1822—str. 119.

Str. 109. Xiężna Kinga tyle łzów po nim lała, że od onéj okrutnéj wilgotności, białe zawicie w koło twarzy jéj pozieleniało.

„Gdy jój mąż umarł..... z siostrą swoją Bolentą..... wzięwszy prześcieradło męża zmarłego, rozerznęły je i pokryły pokorne głowy swoje..... Płakały, modląc się za duszę zmarłego, tak, iż od łez, pokrycia głów ich zzieleniały.“ *Żywoły Świętych* przez X. PIOTRA SKARGĘ—Petersburg — 1862—ŻYWOT BŁ. KINGI—T. II—str. 452.

Str. 109. Cały naród, wszystko się rzuciło do Xiężny, a wołało: «Teraz ty nam króluj!»

„Xiąże Leszek Czarny i panowie znaczniejsi błagali usilnie Kingę, wdowę po Bolesławie Wstydlwym, aby zamieszkała w Krakowie i objęła rządy Rzeczypospolitej. Ale gdy żadnemi prośbami nie dała się do tego nakłonić, dwojaki żal uczuli i duchowni i szlachta, którzy narzekali «że razem utracili i najlepszego monarchę i najlepszą jego małżonkę.» *Dzieje Polskie*—JANA DŁUGOSZA—Kraków—1868—T. II. str. 438.

Str. 118. BUSSOLA..... znaną była Chińczykom już na dwa tysiące lat przed Chrystusem.

„Les Chinois ont connu la boussole de temps immémorial; ils s'en servaient plus de 2,000 ans avant I.-C..... Il paraît constant que l'usage de cet instrument ne fut un peu répandu en Europe que vers l'an 1300; c'est Flavio Gioia, d'Amalfi, qui inventa à cette époque, *non la boussole elle-même*, mais le moyen de disposer l'aiguille aimantée de manière a satisfaire à tous les besoins de la marine.» *Dictionnaire Universel des Sciences, des Lettres et des Arts* par. M. - N. BOUILLET—Paris—cher Hachette—1859—p. 206.

«Sur l'invitation d'Alexandre de Humboldt, des recherches furent faites à ce sujet dans les livres chinois par Klaproth; non—seulement il y trouva que l'usage de l'aiguille magnétique, remon-

tait en Chine à une haute antiquité, mais il reconnut que sa déviation était signalée dans une *Histoire naturelle*, composée sous les Sung par Ken-Zun-Schi, de 1111 à 1117.» *Histoire Univers.* par C. CANTU.—T. XIII—p. 65.

Str. 118. MONETA PAPIEROWA..... czyż i ona nie przysła ztamtąd?

«La monnaie ordinaire du Cathay est une carte de coton (*wambasio*) de la largeur et de la longueur d'une paume, et sur laquelle on imprime des lignes semblables à celles du sceau de Mangou - Klân.» GUILLAUME RUBROUCK—*Récit de son Voyage*—p. 193.

„La plus grande partie des revenus du trésor était appliquée à l'entretien des forces militaires (za Kubilaja); l'armée recevait sa solde en papier-monnaie; il n'y avait point de numéraire en circulation dans la Chine; l'or et l'argent étaient remplacés par des billets, munis de la signature et du sceau des officiers de la monnaie, revêtus en outre de l'empreinte, en encre rouge, du sceau impérial. Ce papier-monnaie était fabriqué avec l'écorce intérieure du mûrier, pilée dans un mortier et réduite en pâte, et la grandeur du billet, dont la forme était oblongue, augmentait avec la quantité qu'il représentait; il y en avait de toutes les valeurs, depuis un denier tournois jusqu'à six sequins. Il était défendu, sous peine de mort, de les refuser dans le commerce; leur falsification entraînait le dernier supplice. En payant un droit de trois pour cent, on pouvait échanger à l'hôtel de la monnaie les billets usés pour des billets neufs. Les doreurs et les orfèvres avaient la faculté de s'y procurer les métaux précieux dont ils avaient besoin pour leurs travaux. En arrivant aux frontières de la Chine, les étrangers devaient livrer leur or et leur argent pour la monnaie fictive. Celle qui avait cours sous le règne de Coubilaï, et qui avait été émise par ce prince, était nommée *Tchao, papier-monnaie*, ou plutôt *Pao-tchao, papier-monnaie précieux*. Coubilaï avait eu recours à cet expédient dès son avènement au trône, à l'exemple

des souverains de la dynastie Soung et même de ceux de la dynastie Thang, qui avaient commencé à émettre du papier-monnaie, en sorte qu'il était connu à la Chine depuis quatre cents ans.“ *Histoire des Mongols* par C. D'OHSSON — T. II. p. 485.

Hajton, Xiążę Armeński, który w tychże czasach odwiedzał Dwór Chanów Mongolskich, opisał w przepychy tego Dworu, zakończył wyborną uwagą:

„De si grans despens que cilz sires fait, nulz ne se doit esmerveillier, car pour monnaye ne despent - on riens en tout son royaume, fors une manière de brievez qui là vont en tout son pays pour monnaye.“ *Relation de Hayton Prince d'Arménie—L'Extrême Orient* par. L. BACKER—p. 140.

Można także czytać Rozprawę Klaprotha *Sur l'origine du papier-monnaie*, w *Journal Asiatique*, T. I. p. 257.

Str. 119. Owóz i PROCH wystrzela z ojczyzny Konfucjusza.

D'Ohsson opisując oblężenie Chińskiego miasta Pian-kingu przez Subutaja w 1232-im, mówi:

«Les assiegés faisaient usage de projectiles ignés; c'étaient des pots de fer, remplis d'une certaine poudre; on les lançait avec des balistes; la poudre prenait feu, et son action s'étendait à la distance de cent vingt pieds; mais son explosion, semblable à un coup de tonnerre, se faisait entendre à dix lieues. Ces projectiles étaient appelés *Tchen - tien - li*, c'est - à - dire *tonnerres*.» *Histoire des Mongols*—T. II, p. 36.

A dalej, w ostatnich wojnach Kubilaja, (około 1287-go): «Le général Li - ting se distingua dans cette campagne; les machines à feu ou canons (*ho - pao*) dont son armée était pourvue, contribuèrent aux deux victoires qu'il remporta.“ *Tamże*—p. 461.

«La découverte et l'usage de la poudre à canon sont beau-

coup plus anciens qu'on ne le croit généralement; il est démontré aujourd'hui que les Chinois connaissaient, dès les premiers siècles de l'ère chrétienne et peut-être bien avant, les effets les plus simples de la poudre, comme les feux d'artifice, les fusées, ect. Ce sont eux qui apprirent aux Romains l'usage des feux d'artifice, que ceux-ci employaient au IV-e siècle dans leurs représentations théâtrales. C'est aussi des Chinois, dit-on, que Callinicus, architecte d'Héliopolis, reçut le *feu grégeois*, qu'il apporta aux Grecs en 673, ect. «*Dictionnaire des Sciences*, ect. par BOUILLET—p. 1338.

Str. 119. Nakoniec DRUK..... już w połowie X-go wieku pojawił się urządzenie w Chinach.

„Suivant les annales des cinq dynasties postérieures, ce furent, le célèbre *Foung-tao* (ce ministre qui mourut à l'âge de soixante-treize ans, après avoir servi dix princes de quatre différentes dynasties), et un de ses collègues, nommé *Li-iiu*, qui, la deuxième année tchang-hing du règne de l'empereur Mingtso-ung, de la dynastie des Thangs postérieurs, (en 931 de J. — C.) demandèrent l'autorisation nécessaire pour qu'une édition des neuf King, à l'usage des élèves du collège impérial, fut *gravée, imprimée*, et vendue au public. L'empereur le permit; mais ce ne fut que la deuxième année kouang-chun du règne de Taï-tsou, de la dynastie des Tcheou postérieurs (952), que parut et fut publiée l'édition des neuf King, *imprimée avec des planches de bois*, véritable édition *princeps*, qui fixe l'époque de l'introduction de l'art typographique à la Chine. On ajoute que Foung-tao est adoré par les graveurs en lettres comme la divinité tutélaire de leur profession, en mémoire des soins qu'il s'était donnés pour faire connaître la nouvelle invention. J'ai cru bon, puisque l'occasion s'en présentait, de déterminer d'une manière précise la date de ce fait, qui a son importance, même relativement à nous, puisqu'il y a tout lieu de croire, comme l'ont pensé des hommes très-savants, que

la typographie chinoise a servi de modèle à la nôtre.» *Nouveaux Mélanges Asiatiques* par ABEL REMUSAT—Paris—Schubart et Heideloff—1829—T. I. p. 289.

«Suivant M. Morisson, l'empereur Khang-hi avait des caractères mobiles gravés en cuivre, et en très grand nombre. Dans un temps où la monnaie était rare, Khian-loung les fit fondre. Il en eut ensuite beaucoup de regret, et il fit graver à la place 250,000 types de bois. Sous la dynastie des Soung (du X-e au XII-e siècles), on s'était servi de caractères mobiles en terre cuite. M. Morisson possède un dictionnaire en 24 volumes, imprimé en caractères mobiles; mais ces sortes d'impressions n'approchent pas, pour la beauté, des éditions ordinaires, imprimées en planches de bois. On a toujours eu tort d'avancer que l'impression en caractères mobiles était inconnue aux Chinois; ils s'en sont servis avant nous, et ils n'y ont renoncé que parcequ'ils en ont trouvé les procédés peu compatibles avec la nature de leur écriture.» *Tamze*—T. I. p. 328.

Str. 120. Huragan przeszedł, a plony zostały.

Abel Remusat w swojej Rozprawie *Sur les Relations politiques des Rois de France avec les Empereurs mongols*, poświęca obszerny ustęp wykazaniu owych olbrzymich korzyści, jakie Europa osiągnęła przez gwałtowne zetknięcie się ze Wschodem, zasze dzięki wojnom Tatarskim. Po licznych i wymownych dowodach, zakończy temi słowami:

«Qu'on se transporte au treizième siècle, et qu'on juge, s'il est possible, de ce qu'eussent été les siècles suivans, privés de cette masse imposante d'idées nouvelles qu'introduisit tout-à-coup en Europe le commerce de l'Asie orientale, en fait d'histoire et de géographie, d'opinions religieuses et politiques, de procédés scientifiques et industriels! Si le résultat d'une pareille soustraction, comparé à la marche des époques précédentes du moyen âge, peut être

évalué en temps, ce n'est pas trop d'assigner plusieurs siècles au développement spontané des connaissances que soixante années de communications firent éclore. L'ambition d'un conquérant servit donc, bien indépendamment de sa volonté, à éclairer les contrées où n'avaient pu s'étendre ses ravages, et l'on voit ainsi la civilisation s'aider, dans ses progrès, des fléaux mêmes qui semblaient destinés à l'anéantir.» *Mélanges Asiatiques*—T. I. p. 401.

Rozdział: Processja.

Str. 148. Scena już gotowiusieńka..... przedstawiała rusztowanie dwupiętrowe..... Pierwsze piętro, wyobrażające świat Ziemi, podzieloném było na tyle przegród, ile miejsc odmiennych wymagała sztuka..... Wyższe piętro przedstawiało Raj..... Po dwóch stronach rusztowania, wiły się..... schodki..... A były jeszcze po bokach, dwa inne osobliwsze dodatki, wysunięte naksztalt okrągłych ganeczków; po lewój stronie Konfesyjonał, po prawój mała Ambona.

«La grandeur des théâtres était nécessairement réglée d'après le nombre des acteurs qui figuraient sur la scène; il résulte de là que, dans les treizième et quatorzième siècles, lorsqu'on ne jouait encore que des drames épisodiques, comme les *Miracles de Notre-Dame* par exemple, les théâtres étaient beaucoup moins vastes qu'au moment où parurent les grands poèmes de la Passion ou des Actes des Apôtres. Les *Miracles de Notre-Dame*..... n'exigeaient guère que deux étages ou *estals* superposés. Le plus élevé représentait le Paradis, où siegeaient, sur un trône, Dieu et la Vierge, entourés de leur cour céleste. L'étage au dessous était réservé aux scènes humaines, et partagé, par des tapisseries ou des

cloisons, en autant de cases ou de salles qu'il y avait, dans le drame, de lieux divers à montrer. La travée supérieure (le ciel) communiquait avec l'inférieure (la terre), au moyen de deux escaliers placés des deux côtés de la scène, et construits en spirale.... C'était par ce chemin en quelque sorte aérien, que descendaient et remontaient processionnellement Dieu, la Vierge et les anges, quand ils se manifestaient aux habitants de la terre. Ces deux escaliers, sculptés à jour, qui encadraient gracieusement la scène, se prolongeaient jusqu'au niveau du sol. Là, comme des deux côtés du choeur dans nos églises, s'élevaient, au lieu d'ambons ou d'autels de la Vierge et des patrons, à droite une chaire, à gauche un confessionnal, au milieu un autel surmonté de l'image de la Vierge. C'est en ce lieu, de plain-pied avec le sol, que se rendaient, par la prolongation des escaliers latéraux, les personnages de la pièce qui annonçaient aller à l'église prier, ouïr le sermon ou se confesser....»

Le Moyen - Age et la Renaissance — Tome quatrième — Théâtre — Fol. VI.

Że u nas podział na dwa piętra musiał być przeważnie używanym, to się najlepiej pokazuje z dotychczasowego kształtu *Szopki*; tam także jest zwykle na górze dział osobny, bez kortyny, przedstawiający «Stajenkę», nieruchomy i trwałe jak wieczność; pod nim dopiero, na właściwej scenie, przesuwały się przemienne obrazy doczesności. To też nigdy nie mogę patrzeć na Szopkę bez głębokiego zajęcia i wzruszenia; ostatni to już ślad, wyblakła jakoby miniatura owych widowisk Średniowiecznych; wprawdzie tamte odbywały się nie w Szopce ale w prawdziwej Szopie, i były odgrywane nie przez marjonetki, ale przez żywych ludzi, wszakże cały nastrój rozmów, śpiewek i dowcipów musiał przedstawiać wiele podobieństwa.

Jak owe dowcipy szły nieraz daleko, i jak Duchowieństwo ówczesne było na nie wyrozumiałem, to najlepiej nam okaże taka naprzykład scenka wyjęta z pewnego Francuzkiego Misterium:

«Le Père Eternel dort; un ange s'approche et lui dit: *Eh! Père éternel, n'avez-vous pas honte? Vous dormez là comme un ivrogne, et pendant ce temps votre fils est mort.— Comment!*

mort?—*Je vous le dis, sur ma parole d'honneur. — Le diable m'emporte si j'en ai rien su.*» *Histoire Universelle* par CESAR CANTU—T. X. p. 181.

W naszym kraju Misteria, zawzięcie grywane, dochodziły do tak szalonych pustot, że Stolica Apostolska musiała aż osobnemi upomnieniami hamować ich swawolę. Patrz u MACIEJOWSKIEGO, w *Piśmiennictwie Polskiem*, w Tomie drugim. str. 425 nast.

Str. 149. Z pomiędzy obłoków, na prątkach zręcznie ukrytych, lśniły pozłociste słońca, które za pociągnięciem sznurka mogły się w kółko kręcić.

«A Bourges..... dans le *Triomphant mystère des actes des Apôtres*..... le Paradis était représenté par une autre machine..... environnée de trônes ouverts, peints en forme de nuées, et par dehors et dedans petits anges toujours mouvants et les mains jointes. Au milieu était un siège fait en façon d'arc-en-ciel, sur lequel était assise la Divinité, Père, Fils et Saint-Esprit, et par derrière, deux soleils d'or..... qui tournaient sans cesse au contraire l'un de l'autre; aux quatre angles..... étaient les quatre Vertus... richement habillées.....» *Le Moyen-Age et la Renaissance* — Tome quatrième — *Théâtre*—F. VI.

Owo też pomieszanie osób, urodzonych w rozmaitych wiekach, a występujących jednocześnie na scenie, odnajduje się we wszystkich tego rodzaju widowiskach.

«Les auteurs, pour la vraisemblance scénique, s'en rapportent entièrement à la bonne volonté des assistants..... Dans les *Miracles de saint Martial*, Virgile est associé aux Prophètes qui viennent adorer le Messie, et à la fin de la pièce, il chante un *Benedicamus* rimé. Dans les *Actes des Apôtres*, on voit à côté des sept Sages de la Grèce, le Prévôt de Damas, le roi des Myr-

midons, et *Apoliphagus*, *homme sauvage*, amené vivant des déserts de l'Égypte, auquel *par cruauté Néron faisait manger des hommes vifs*. Ailleurs, les rois d'Israël sont entourés par des comtes, des barons, des chevaliers, ect.» *Tamże*—Fol. VIII.

Rozdział: Oswobodziciel.

Str. 192. — Więc wy im zabili samego Wojewodę?—A jakoż? Ten Kulis go zabił.

Nazwa «Kulisa» nie jest dowolnym wymysłem autorki, ale opiera się na miejscowém, Krakowskiém podaniu. Patrz niżej w tymże Tomie Przypis do Str. 426, zawierający ustęp z Pism Klementyny Tańskiej.

Rozdział: Sępie szpony.

Str. 278. Kazał sobie podać jeden z własnych swoich sztandarów, pomniejszy proporczyk z Orłem białym na czerwonym polu, i włożywszy go w rękę Jana, rozkazał aby odtąd ów sztandar stał się znakiem Cechowym Włóczków..... Xiążę..... oświadczył że Włóczkom udziela od téj chwili wyłączne prawo na spławianie drzewa do Krakowa.

«W Polsce ustawy cechowe powstały pierwotnie ze zwyczajów i praktyk cudzoziemskich, które osadnicy niemieccy, po większej części kupcy i rzemieślnicy, z sobą do Polski przynieśli. Bractwa (*fraternitates*) czyli zbory kupieckie, i cechy rzemieślnicze (*contubernia*), były już w Polsce od XIII-go wieku, a epo-

kę ich pierwotnego powstania naznaczyć można od czasów małoletności Bolesława V, kiedy za rządów namiestniczych Henryka Brodatego, księcia szlązkiego, najwięcej cudzoziemców weszło do Polski, a z nimi prawo magdeburskie i chełmińskie do kraju zawitało. Zamożny i handlowy Kraków, zapewne wcześniej niż inne miasta swych licznych profesjonalistów urządził w towarzystwa, i t. d.» *Encyklopedia Powszechna* ORGEL. — T. IV — str. 974.

«*Włóczkowie*, stowarzyszenie a raczej bractwo wyrobnicze osiadłe stale w Krakowie, a trudniące się spławianiem drzewa na Wiśle. Przywilej spuszczenia drzewa do Krakowa, otrzymać mieli w nadgodę waleczności przy napadzie Tatarów.» *Tamże* — T. XXVII—str. 456.

«Jak dawne podanie niesie..... za panowania Leszka Czarnego, około r. 1281, Tatarzy, po raz trzeci grasując w Polsce, podsunęli się pod Kraków..... Właśnie podczas processyi Bożego Ciała dano znać do miasta, że znaczny kosz téj hordy rozpostarł mord i gwałty na przedmieściach Zwierzyńca. Chwilowa trwoga rzuciła popłoch, rozpacz i zwątpienie, gdy jeden z pomiędzy Włóczków..... z bohaterską odwagą porywa za chorągiew zgromadzenia swego, której dotąd godłem jest Orzeł biały, obudza powszechny zapał, uderza i zadaje pohańcom straszną klęskę, a zasławszy pole ich trupami, przybrany w ubiór wodza najezdników, z tryjumfem prowadzony do miasta, witany był okrzykami radości, w tém samym prawie miejscu, przy Wiślnéj niegdyś bramie, w którym się dzisiaj łączy z powracającą z processyi chorągwią Włóczków.» *Tamże*—T. XV—str. 326.

Wprawdzie data 1281-go roku, nie schodzi się z datą trzeciego wielkiego najścia Tatarów, które przypadło dopiero na rok 1287-my, ale mógł i w 1281-m być jakiś napad pomniejszy, tém bardziej że—jak wiemy—Xiążę Halicki właśnie w owych czasach naprowadził Tatarów na Polskę. Sprzymierzeńcy owi, niezadowoleni zapewne z niedostatecznych łupów chybionéj wyprawy, mo-

gli w jej końcu raz jeszcze rozpuścić zagony, i ze zwykłą sobie lotnością, zapędzić się aż pod Kraków.

Str. 281. Nie oddam jej nawet Sądom Kasztelańskim.

«Chociaż wszyscy zgoła dwór monarszy składający urzędnicy, sądownictwem się też zajmowali, jednakże trudnili się niemi u Polaków ci najwięcej dygnitarze: Wojewoda, Kasztelan, Starosta. Dwaj pierwsi dobieżeli sobie do pomocy urzędnika Sędzią albo Cześnikiem nazywającego się..... obu tych urzędników, tudzież sądowa Starosty władza, miała niemały zakres; większy wszelako od niej miała Kasztelańska. Kasztelan mięwał roki w pewnych miejscach stałe, a osobliwie Krakowski, który w Krakowie, Jędrzejowie i Wieliczce posiedzenia odbywał, i na nich sprawy o zabójstwo wytoczone, rozpoznawał..... Wojewoda roków nie odbywał, i oddzielnie od Kasztelana sądził.» *Historja Prawodawstw Słowiańskich* przez W. A. MACIEJOWSKIEGO — Warszawa—Wyd. drugie—1859—T. III—str. 184.

Str. 283. Wybór Xięcia padł odrazu na owego Podsędką.

«Najdawniejsi kronikarze świadczą, że Król chętnie nadstawiał ucha każdemu, kto przychodził na jego dwór szukać sprawiedliwości..... Większa, a mianowicie o dziedzictwo, lub o dług 40 grzywien wynoszący, sprawa—pозwу formalnego i trzech sześciotygodniowych roków wymagała. Sądził ją, monarchę wyręczający Sędzia dworski (*Judex curiae*)..... Oprócz statutów, szczególniej go dyplomata wspominają, dodając mu do pomocy Podsędką.» *Tamże* T. III—str. 183.

Str. 285. Szompierz.

«Sąpierz, Sampierz, Szampierz, strona pozwana..... *Etym.*

champion.» *Słownik Języka Polsk.* przez S. M. LINDEGO — Lwów—1859—T. V. str. 219.

Str. 286. Czy mamy jakowe «lice»? Poprze-
kłuwane rucho?

«Razem z protokółem przynosił Komornik lub kazał przy-
nieść lice, którém niegdyś mogło być samo ciało..... lub też.....
mogło być niem rucho, czyli skrwawiona nieboszczyka odzież.....
lub nakoniec mogła być rzeczoném licem odcięta trupowi, i do są-
du przyniesiona ręka.» *Hist. Prawodawstw. Słow.* przez W. A.
MACIEJOWSKIEGO—T. III—str. 283.

Str. 287. Czemu on zaraz wtedy nie naro-
bił *Okrzyku*: «Niestójcie!»

«U Normanów..... *wołano* na tych co byli prawu niepo-
słuszni. Takiż głos dawał się słyszeć u Słowian na tych co..... kradł
lub napadali mieszkania, zabijali i t. p. Raz wydany okrzyk osławiał
ich, tudzież do oczyszczenia się z zarzutu podwójną, potrójną i t. d.
liczbą świadków, zmuszał..... W Polsce złodziej zdybany, i okrzy-
kiem «nie stojcie» pomówiony, oczyszczać się nie mógł przysię-
gą. Jedném słowem, krzyk wydany pogarszał sprawę, zwłaszcza
jeżeli był na pogotowiu dowód, bo w przeciwnym razie domnie-
mywano się że fałszywie wołano, i powołany mógł się odprzy-
siądz..... U Pomorzan *idźcie!* (chodźcie!) u Czechów i Polaków
niestójcie! (próżno, lecz chwytajcie złoczyńcę), u Winodulów *po-
magajcie!*—a wołano natychmiast po nastąpionym czynie, w obec
pierwszego lepszego którego spostrzeżono człowieka, następnie zaś
w obec sądu.» *Tamże*—T. III. str. 280 i 281.

Str. 288. Wtedy następuje «*praescriptio.*»

«Sposobem nabycia własności była między innemi dawność,
praescriptio, nie czynił tu Statut różnicy między nabyciem przez

posiadanie *usucapio*, a uwolnieniem się od skargi dla tego że była przemilczaną przez pewien czas *praescriptio*. Prawodawca Wiślicki zaprowadził dawność na zasadach wcale różnych od prawa rzymskiego. Nie ma tu mowy ani o tytule posiadania ani o dobrej wierze, zaprowadzona jest, jak się statut wyraża, dla niedbalstwa panów *propter segnitiem et pigritiam dominorum*. (Vol. leg. I. fol. 19.) Zasadza się ona na spokojném posiadaniu *pacifice et quiete*, byleby nie zachodziły niespokojności wewnętrzne lub wojna, wtedy bowiem nie było biegu przedawnienia. Nie szkodziła dawność w niewoli tatarskiej będącym. Pozwala Statut nabyć długoletniem posiadaniem, to jest 30 lat, bez protestacji, dobra wzięte w zastaw, i t. d.» W *Encyklopedji Powsz.* ORG. Art. *Prawo polskie*--T. XXI. str. 229.

Można także porównać w *Historji Prawodawstw* MACIEJOWSKIEGO w Tomie III-m Dziale 3-m, Rozdział VI p. t. *Przedawnienie*—str. 66.

Str. 301. «Rok zawity.»

«Jest-to rok..... *zawitym* z téj jak mniemam przyczyny zwany, że «wici»..... za burzycielem prawa rozsəlano, czyli..... pospolite ruszenie nakazywano na tego, co wyrokowi sądu zadosyć uczynić nie chciał.» *Hist. Prawodawstw Słow.* przez W. A. MACIEJOWSKIEGO T. III. str. 262.

Str. 305. Jechał więc i Miecznik i Chorąży, należący z urzędu w owe czasy do sądowego zgromadzenia.

«Wprawdzie Miecznik Lictorem się po łacinie nazywał, atoli siepaczem..... nie był nigdy..... Nie siedział też na sądzie, lecz po-za sądem na rozkazy Chorążego, który był władzy sądowej wykonawczój reprezentantem oczekiwał, będąc i jego poniekąd służebnikiem. Obok Chorążego, który osobliwie u Polaków, ale

w większym tylko komplecie zasiadał, znajdował się też na sądach Podkomorzy, i t. d.» *Tamże*—T. III. str. 210.

Rozdział: Blisko nieba.

Str. 307. Od jednego z tych ludzi otrzymano ważne objaśnienie: Xiężny Kingi nie było w Sądczu. Także spłoszona przez wieść o pogonach, schroniła się do warownego zameczku w górach Pienińskich, razem z kilkudziesięciu innymi Klaryskami.

«Czasów jój Tatarowie wszystkę Polskę wojowali, a Leszko Xiążę uciekając do Węgier, pilnie się modlitwie Ś. Kunegundy zalecał, która z swoimi pannami uciekając z Sącza, zamknęła się w zameczku, Pieniany nazwanym; do którego gdy przyszli Tatarowie, długo pod nim leżeli, a żadnej szkody i w budowaniu nie uczynili.» *Żywoty Świętych* przez X. PIOTRA SKARGĘ—Petersburg—1862—T. II. ŻYWOT BŁOGOSŁAWIONEJ KINGI—str. 453.

Str. 313. Ach, już co ta — Boże mój! to przecie znajomość. To «panna Agnieszka», owa powiernica królowej..... Niegdyś razem na Dworze—dziś razem w klasztorze.

Patrz *Poczet Świętych i Błogosławionych Patronów Polskich* — Kraków — Nakładem Wydawnictwa dzieł Katolickich.—Xiążeczka ta wyszła przed dwudziestu kilku latami, bez daty ani paginacji. Składa się z 53-ch obrazków. Ostatni z nich przedstawia Błogosławioną Agnieszkę, modlącą się w celi, przy niej leży dyscyplina. Po drugiej stronie kartki stoi modlitewka, oraz następujący, króciuchny rys jój życia:

«Bł. Agnieszka, duchowna córka Św. Kunegundy, świętobliwością szczególną odznaczała się, jako zakonnica Św. Klary w Sandeckim klasztorze. Żywot jój był ciągłą modlitwą, a umartwienia ciała zbliżały ją tak do Boga, iż w nim i dla niego tylko żyła, a bliźnim wiele łask wypraszała. Po śmierci pogrzebiona obok relikwii Św. Kunegundy, nadzwyczajnemi cudami słynie, między którymi i ten jest nader ważnym, że doświadczono, iż dość jest dotknąć się kamienia na jój grobie, aby od pełnienia śmiertelnego grzechu być odwróconym, a cud tysiące razy się już powtarza.»

Str. 314. Nietylko drwa nosi, ale w piecach pali, misy umywa, co jeno może wynaléźć najpodlejszego, to bierze na siebie. Gdzie chodzi o pokorę, albo téż o umartwienie, tam potrafi oszukać nawet najmędrszych Xięży. Oto jeszcze kiedyś dawniej, Spowiednik jój kazał koniecznie..... aby nosiła trzewiki..... Cóż robi moja Kindzia? Kładzie je na nogi, ale wycina z nich podeszwy.....

«W tym klasztorze służyła pokornie wszystkim Siostrom, tygodnia swego pilnując, i naczynia umywając ... Także przy słuchaniu Mszy trzykroć krobeczkę jedną łzami naléwała. Potém Siostrom służyła, opatrując czego której potrzeba, w piecach paląc, i inne wzgardzone posługi ochotném sercem czyniąc.» *Żywoty Świętych* przez X. PIOTRA SKARGĘ—Tom II—*Żyw. Bł. Kingi*—stronnice 452 i 453.

«Spowiednik jój boszo chodzić zakazował, a ona u trzewików podeszwy wyrzynała, i w rzeczy w trzewikach chodziła. Za co jój spowiednik dał pokutę, aby na ziemi, zawiesiwszy one trzewiki na szyi, siedziała; co ona pokornie wypełniła.» *Tamże*—str. 452.

Rozdział: Róża Jerychońska.

Str. 326. Kasztelan wysłał Pachółka z tak zwaném «uciążaniem» szompierza, który powinien był zapłacić karę za niestawienie się na Roki. Pachółek..... wołał aby go wpuszczono do stajen, gdyż musi tam wybrać koni za sześć grzywien, a jeśli pana zamku nie stać na konie, to musi, jak u chłopa, wybrać je wołami.

«Wezwana strona stanęła lub nie stanęła. W pierwszym przypadku dowodziła swego prawa przysięgą..... w drugim płaciła karę za niestawienie się w sądzie..... *sześciu grzywnami.....*» *Historja Praw. Słow.* W. A. MACIEJOWSKIEGO—T. III—str. 219.

«Skazany na karę, płacił natychmiast w sądzie..... z czém jeżeli się ociągał, wysłał Sędzia Pachółka, ażeby go «uciązał»..... co jeżeli nie pomogło, wysłał dwóch..... którzy zabiérali rolnikowi woły w przepisanej liczbie..... Płacili ubodzy wołami, rycerze końmi.» *Tamże*—Stronice 220 i 221.

Str. 366. Róża Jerychońska zaczęła okazywać znaki zmartwychwstania..... swoje konarki roztoczyła jakby promienie, napłynęła sokami różowemi jakby krew młodziuchna. Siódmego dnia..... ujrzeli maleńki, zieloniuchny pączuszek..... Po kilku godzinach, wyraźnie, w ich oczach, pączek rozszczepił się na dwa majowe listki. Wkrótce, wyblęsnął inny—i jeszcze inny—i bez końca—tak że po dniach kilkunastu..... cała Róża już była osypana listkami.

Wiele osób nie będzie chciało zapewne uwierzyć, aby Róża Jerychońska, po długich latach wyschnięcia, i bez włożenia jej w ziemię, mogła się napowrót zazielenić? Że jednak takie zjawisko jest możebne, to wiem *z własnego doświadczenia*. Przytrafiło się ono w moim domu, i to wśród okoliczności, które uczyniły jej zakwitnięcie niezmiernie dla mnie miłym. Przywieziono mi taką Różę jeszcze w roku 1871-m. Bóg jeden wie ile już lat było minęło wówczas od chwili gdy ją wyjęto z Azjatyckich piasków. U mnie też przez całe lat siedem pozostawała w zwykłym sobie stanie obumarcia. Wprawdzie ile razy włożyłam ją do wody, zawsze jej gałązki rozprężyły się w szeroką gwiazdę, ale i na tém był koniec nadzwyczajności; żadnych innych oznak odżycia nie można było po niej dostrzedz. To też wieść o jej cudowném *odkwitaniu* wydawała mi się wówczas prostą legendą, krótko mówiąc, jedną z «bajek wschodnich.» Aż tu pod jesień roku 1878-go, kiedy rozpoczęłam pisanie *Brank w Jassyrze*, najniespodziwianiej pewnego poranku, pojawił się na martwej roślince, żywy, dwoisty, jasno-zielony listek, i odtąd przez całe dwie następne zimy, w ciągu których niniejsza powieść została napisaną, zeschnięty kłębusek wydawał nieustannie coraz nowe listki, które wybudując na długich szypułkach, kolejno wyrastały i z wolna odpadały. Gdy zaś *Branki* doprowadziłam do końca na wiosnę roku 1880-go, wtedy i Róża Jerychońska przestała świeże listki wypuszczać, i odtąd już niechce się zieleńić.

Rozdział: Pokora.

Str. 369. Zyndram chce odprawić obrzęd uroczystych przeprosin, czyli tak zwaną *Pokorę*.

Wacław Al. Maciejowski opisawszy obrzędy Scytyjskiej *Zemsty*, powiada o niej iż «została dopiero przez religję katolicką wyrugowana. Ruszyła ją z posady swój *pokuta*, a zupełnie usunęła trwająca aż po dziś za Karpatami *pokora*. Czémże była je-

dna i druga? Nie byli.... Słowianie tak mściwi jak Scytowie, i łatwo się okupem uspokoić za spełnioną dawali zbrodnię. Tém skorsi byli do przebaczenia chrześcijanami zostawszy, albowiem nauczał kościół: że przestępca może mieć grzechów odpuszczenie, czyli, że zbrodnia zapomnianą mu być może, jeżeli się przed Bogiem i obrażoną *ukorzy* rodziną, i *kajac się* za przestępstwo, czyli żałować według przepisu kościoła będzie. Upokorzenie to było *pokutą*, a obrządek składania jej *pokorą* się nazywał.... Podług prawa Mazowieckiego, pan który zabił pana, powinien był zapłacić 48 kop groszy i odbyć *pokorę*, według dawnego, jak się wyrażano, zwyczaj.... W razie gdy tój summy nie złożył, tracił życie.... Szlachcic (miles) zabijający szlachcica, płacił dwadzieścia kop, i *upokarzuł się* albo sam, albo z krewnymi swemi, w sposób następujący: Obnażywszy się z sukien aż do pasa, wchodził w towarzystwie dziesięciu lub trzynastu świadków, z wydobytym z pochew mieczem, i prosił obrażonych, ażeby mu odpuścili przewinienie na miłość boską, Obowiązkiem ich było zadosyć uczynić prośbie.... Zabójca czeski musiał.... w towarzystwie dwunastu osób odbyć processyą do kościoła, idąc w koszuli, bez pasa i obuwia, niosąc w jednej ręce miecz nagi, w drugiej zapaloną świecę, praski grosz wartującą. Po takiej świecy niósł tóż każdy z jego towarzyszy. Musiał tóż cały orszak złożyć po groszu na ołtarzu na odprawienie mszy za duszę nieboszczyka. Wstępując na cmentarz zatrzymywano go.... i pytano: dokąd i po co idzie? Po stosownej na to odpowiedzi, klęknął na grobie z towarzyszami swemi, i modlił się. Postępował potem ku drzwiom kościoła, gdzie zastawał na progu siedzących rodziców nieboszczyka wraz z krewnymi i przyjaciółmi jego. Przed nimi uklęknąwszy na jedno kolano, prosił na miłość Boga i Najświętszej Panny ażeby mu darowali przewinienie. W tém dwaj jego towarzysze brali mu z ręki miecz, i unosili nad jego karkiem, przed obrażoną rodziną nisko nachylnym. Schylonemu, przebaczał ojciec zabitego.... Szli wszyscy do kościoła, i t. d.» *Historja Prawod. Słow.* T. III — str. 293 i nast.

«*Pokora*, był to w dawnych wiekach, tak w Polsce jak na

Rusi, w Litwie, Morawji, Czechach, na Szlązku i Czarnogórze, jedyny sposób zwyczajem uświęcony uwolnienia się od kary za zbrodnię lub winę. W metrykach koronnych mamy dowody tej «pokory» w Polsce. Zabójca, jeżeli wyjednał sobie «pokorę» u rodziny zamordowanego, stawał na cmentarzu kościelnym, do pasa obnażony, z odkrytą głową, i prosił zebranych krewnych zabitego o przebaczenie. Wówczas najstarszy z nich brał miecz obnażony do ręki, wznosił nad głową, i przyjmował «pokorę» nałożywszy warunki na przestępcę, które wprzód umówione zostały..... *Statut Litewski* wyraźnie przepisuje *pokorę.*» *Encykl. Powsz. ORG.* T. XX. str. 947.

Rozdział: Coraz bliżej nieba.

Str. 415. Tęskno im było do życia na wolnym, szerokim powietrzu.

Dziwnym jest zaprawdę zjawiskiem jak człowiek, nawet urodzony i wychowany w odmiennych warunkach, szybko przywyka do życia koczowniczego. Ciekawe w tym względzie spostrzeżenie zapisał Xiądz Huc w swoich *Wspomnieniach*:

«Il y avait déjà près d'un mois que nous marchions dans le désert, dressant au premier endroit venu notre tente d'un jour, accoutumés à ne voir au dessus de nos têtes que le ciel, et sous nos pieds et autour de nous que d'interminables prairies. Il y avait déjà longtemps que nous avions comme rompu avec le monde..... Sans nous en douter, nos goûts s'étaient insensiblement modifiés, et le désert de la Mongolie nous avait fait un tempérament ami de la paix et de la solitude. Aussi, dès que nous fûmes dans les terres cultivées, au milieu des agitations, des embarras et du tumulte, nous nous sentîmes comme opprimés et suffoqués par la civilisation; l'air nous manquait, et il nous semblait à chaque instant que nous allions mourir asphyxiés. Cette impression pourtant

ne fut que passagère, ect.» *Souvenirs d'un Voyage en Tartarie*—T. I. p. 146.

Jeżeli dzisiejsi Missjonarze już po kilku tygodniach doznali podobnego wrażenia, o ileż to wrażenie musiało być potężniejsze u dawnych naszych braciów i branek, co częstokroć kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt lat przepędzali na Mongolskich pustyniach!

Str. 422. Piotr Skarga w *Żywocie Błogosławionej Kingi*..... kończy rzecz temi słowy: «Jéj całowanie Siostr było czasem z cudami, bo się po niém choroby leczyły.»

Patrz w *Żywotach Świątych* Xiędza Piotra Skargi, w Tomie II-m str. 452.

Str. 426. Wspomnienie Włóczkowego zwycięstwa, trwa dotąd świeże i nietknięte, co rok odnawiane w *Koniku Zwierzynieckim*..... Zaszczyt przewodzenia pochodowi, pozostał także bardzo długo w szczęśliwym rodzie Kulisów, z których jeden, jeszcze na początku naszego stulecia odprawiał solennie swój wjazd «Konikowy».

Ostatni ten szczegół, Klementyna Tańska przechowała nam w swoim wybornym opisie *Konika Zwierzynieckiego*, który tu w całości przytaczamy.

Opisawszy obrzęd *Rękawki*, mówi ona:

«Zdarzenie które obchód *Konika* dorocznie powtarza, jest późniejsze, więcéj téż o niém szczegółów. W Oktawę Bożego Ciała, skoro processya od kościoła Panny Maryi na Rynku się ukończy, wszyscy przytomni spieszą przez Bracką, Wiślną i Frańci-

szkańską ulicę, na równinę za Biskupim pałacem będącą; tam przychodzi zwolna zgromadzenie czyli bractwo *Włóczków*, w zupełnym porządku i stawa. Wtedy przy okrzykach ludu, ukazuje się od wsi Zwierzynca człowiek po tatarsku ubrany, w zawojuł w żółtych bótach, i z wielką buławą w ręku, udaje jakby jechał na posuwistym rumaku, w istocie zaś pieszo drabuje na zręcznie przystrojonym koniku z drewna; huczna muzyka go otacza. Wielkiego krzyku i popłochu jest przyczyną, bo gdzie największa ciżba, tam się ciśnie i wspina, a niechających mu się ustąpić, buławą, siercią wypchaną, rozgania i bije; nareszcie, złączywszy się z bractwem *Włóczków*, stawa na ich czele, i z powagą uwieńczonego zwycięzcy, jedzie na przedmieście zwierzynieckie, do gospody dziś, pod Mogiłą zwaną, i tam wódkę i piwo, od PP. Norbertanek z Zwierzynca przygotowane, z licznymi towarzyszami zapija.—Stosownie do podania ludu, taki dziwnego zwyczaju tego początek Około r. 1281, pod panowaniem Leszka Czarnego, Tatarzy już po trzeci raz plondrując Polskę, podsunęli się aż pod Kraków, który za Bolesława Wstydliwego dwa razy ich ogniem i mieczem spustoszał. Właśnie w Oktawę Bożego Ciała, kiedy processya od P. Maryi Rynek obchodziła, kilku przełęcznionych z brzegów Wisły mieszkańców przybiegło z wielkim krzykiem wołając: «Tatarzy weszli do miasta, rabują Zwierzyniec; wpadli do klasztoru PP. Norbertanek, i wnet tu przybędą!» «Złękli się wszyscy, osłupieli, i nikt nie wiedział co począć; ale jeden z *Włóczków*, odważny i śmiały, porwał za chorągiew swego cechu, i krzyknął mocnym głosem: «Bracia! za mną! Uderzmy na tych zbójców! wnet ich wypędzimy!» Te słowa obudziły uspione nagłym wrażeniem mężstwo; każdy porywa broń i bieży za dzielnym przewodcą. Uwieńczyło zwycięstwo te usiłowania; wypędzeni Tatarzy, wódz ich i wielu żołnierzy zabici. Wdzięczny i radośny lud, ubrawszy naczelnika swego i wybawcę w suknie zabitego jego ręką Hetmana Tatarów, zaprowadził go w tryumfie przez Zwierzyniec do Biskupiego pałacu, przy niezmiernych całego pospólstwa okrzykach. Chcąc zaś przechować pamięć wybawienia i zbawcy, wymyślił doroczny obchód, a wdzięczne Panny Zwierzynieckie obowiązały się dostarczać piwa, wódki i pewną kwotę pieniędzy. — Ten obchód pona-

wia się dotąd, już blisko od sześciu wieków. Jak mi powiadano, *jeździec konika* teraźniejszy zowie się *Kulisiewicz*, ma już lat przeszło sześćdziesiąt, ale pełen jeszcze żywości i siły; jest jednym z przedniejszych Włóczków, i w prostej linii od owego wybawcy Krakowa ma pochodzić.» *Wybór pism* KLEMENTYNY TAŃSKIEJ—Wrocław—u Korna—1833—Tom VI. *Opis podróży odbytej do Krakowa w r. 1827.*—str. 84.

Ci którzyby chcieli lepiej poznać ten przedmiot, mogą porównać opis *Konika* przez Konst. Majeranowskiego (najdawniejszy) drukowany w 1820-m w *Pszczółce Krak.* II, 193. — oraz opis umieszczony w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1861, Tom III. Nr. 88—str. 206.—a nakoniec i ciekawy ustęp o *Lal-Koniku*, znajdujący się w ślicznej chociaż zbyt pobieżnej książeczce J. Łepkowskiego, p. t. *Przegląd krakowskich tradycyj, legend, nabożeństw*, i t. d. Kraków—1866.

Str. 427. Kto wie nawet czy i «motyw» muzyczny, wygrywany zawsze podczas uroczystości, nie sięga czasów bohaterskiego Włóczka?

Motyw ten, długo przechowywany luźnie pomiędzy mieszczaństwem Krakowskiem, doczekał się za naszych czasów ujęcia w kształty stałe i artystyczne, chroniące go już nadal tak od zaginięcia jak i od ciągłych przemian, a to dzięki zabiegliwej pracy naszego znakomitego pisarza i muzyka Józefa Sikorskiego, który w tym przedmiocie udzielił mi łaskawie następujących objaśnień:

«W pierwszych latach mego zawodu pisarskiego, «rozpoczętego jeśli mnie pamięć nie myli, w roku 1844 «w Bibliotece Warszawskiej, powziąłem myśl zbierania «materiałów do Historji muzyki w Polsce. O ile mi «zwolniły zajęcia moje..... odbywałem wycieczki po kraju, «w celu poszukiwania po dawnych siedzibach i ogniskach «życia religijnego, zatem po kollegiatach i klasztorach, czegoś

«coby się do celów moich nadało. Najwięcej plonu zebra-
 «łem w Łowiczu, w Częstochowie, w Pułtusk. Ale było
 «to tak mało, że ciągle myślałem o Krakowie,—i nakoniec
 «dobrałem się do niego.... Nie mogę obecnie powiedzieć
 «napewno, w którym roku odbyłem tę podróż; zdaje mi się że
 «w 1850-m, w każdym razie już po pożarze wielkim Krako-
 «wa..... Znalazłem tam dużo dla siebie i pilnie kopijowa-
 «łem dzieła teoretyczne.... Jeden ze Studzińskich, którego
 «rodzina głośną była w swoim czasie w Krakowie z mu-
 «zykalności, ułatwił mi stosunek z niejakim Micińskim, *)
 «obywatelem na przedmieściu Zwierzyniec, który od lat
 «już kilku był dyrektorem zabawy zwaną *Konik Zwierzy-
 «niecki*. W sieni dworku owego Micińskiego, widziałem
 «drewniany przyrząd mający zastępować konia, a raczej je-
 «go kadłub tylko; podczas uroczystości odziewano to ru-
 «sztowanie odpowiednio do obyczaju tatarskiego.... Ten
 «sam Miciński udzielił mi nut na skrzypce, zawierających
 «melodye grywane podczas tego obrzędu, i z nich to prze-
 «robiłem je na fortepian. Melodyi tych, a raczej pieśni, by-
 «ło dwie, każda z dwóch części złożona; ja związałem je
 «w jedną całość, nadając im formę właściwą, a fakturę

*) Z powodu tego Micińskiego, warto jest przytoczyć Przy-
 pisek zamieszczony w Artykule Tygodnika *Illustr.* o jakim wspo-
 mnieliśmy powyżej, a który brzmi w tych słowach:

«Włóczkami nazywają w Krakowie ludzi trudniących się
 spławem drzewa na Wiśle. Mają oni na to przywilej, w nagrodę
 waleczności otrzymany. Najdawniejsze potwierdzenie tegoż, jakie
 wśród burz krajowych przechować się mogło, jest Władysława
 IV-go, następnie Jana Kazimierza (1667), Michała (1669), Jana
 III-go (1676), potem Sasów i Poniatowskiego. Prócz tego dzie-
 dziczą oni przywilej przebierania się za *Konika*, który z rodziny
 na rodzinę przechodzi, a od lat kilkunastu prawo to ma rodzina
 Micińskich, zamożnych obywateli Zwierzynieckich.» *Tygodnik
 Illust.* T. III—1861—Nr. 88.

«mogącą interesować grających na fortepianie, i wydałem
«to u Klukowskiego, wówczas księgarza przy ulicy Miodo-
«wój w Warszawie.

«Niedawno miałem sposobność objawienia Pani wąt-
«pliwości moich co do starożytności tych melodyi, choć
«one zdawały się popularne w Krakowie, coby za ich za-
«korzeniem się od dawna przemawiało. W Marszu, noszą-
«cym nazwisko Jana Sobieskiego, wydanym przez Ig. Krzy-
«żanowskiego w Warszawie u Friedleina, jest część jedna
«przypominająca jedną część *Konika*. Krzyżanowski
«jest Krakowianin rodem i syn muzyka krakowskiego;
«Marsza tego spisał na gruncie, i—gdyśmy z sobą o owem
«podobieństwie mówili, zgodził się ze mną, że ono jest
«dowodem, iż melodia owa należy do zasiedziałych w Kra-
«kowie.» (*Zakopane*—15 Sierpnia 1879.)

Str. 432. Cętki jego białej koszulki, które
zazwyczaj w biegu nabierały odcieni fioletowych
i żółtych.....

Takie konie widziałam na témże samém «Corso» we Flo-
rencji podczas zimy 1862-go roku, na którym zajaśniały i owe
dwa *Różowe* konie z Kokhandu. Jakiś inny bogaty Anglik, popi-
sywał się tam zaprzęgiem aż ze czterech rosłych Tarantów, któ-
rych plamy w pełnym biegu stawały się dosłownie fioletowe i go-
rąco-pomarańczowe. Wszystkie cztery były wybornie dobrane
pod względem wzrostu i maści, a na wejście tak osobliwsze,
tak zdumiewające, że prawdę mówiąc, wyglądały nie na konie ale
na jakieś bajeczne stworzenia.

Marjan Czapski przypisuje główną hodowlę Tarantów Mon-
gołom, którzy najwięcej mieli się w nich kochać, przyczém szero-
ko zbija twierdzenie wielu pisarzy, (a między innemi i Winc. Pola
w *Przypisach do Mohorta*), jakoby konie tej maści miały przeważ-
nie wywodzić się z Persji. — «Wstręt wyznawców Koranu do
różno-mastności konia—mówi on—tak w niektórych krajach silny,

że zrzebięta przez Allaha srokacizną lub tarantowacizną napiętnowane, są zabijane..... wybudza w wielu niedowierzenie, czyby Persowie mogli być rozkrzewicielami i przechowywaczami maści przez Mahometa potępionych. Nadto, zwyczajna w tarantach delikatność skóry, będąca przyczyną słabego porostu..... zdaje się przemawiać za powstaniem tarantów i pstroków na wilgotnej i mglistej Północy, a nie na Wschodzie; tam bowiem wåtłość tkanek skóry, jest zwyczajniejszą, jako naturalny klimatu skutek..... Natomiast żadnej nie podlega wåtpliwości, że mongolskie plemiona bardzo wielkie w tych maściach mają upodobanie. Lamaizm a nie Islamizm jest wszelkiej srokacizny protektorem. Maść ta rozpowszechnioną jak się zdaje, w Azyi została przez Mongołów, w czasie powstania ich olbrzymiego państwa, w której horda srokatą czyli raczej plamistą, albo piegowatą zwana, miano to od maści swych koni przyjęła, i do wprowadzenia jęj w modę, nie mało się zapewne przyczyniła..... Za srokate i tarantowate konie w darze Tamerlanowi ofiarowane, okupił sobie życie, jeden z przeniewierzonych wodzów Tamerlana. Różne religijne obrządki mongolskiego Lamaizmu, koni srokatych i tarantowatych niezbędnie potrzebują. Tarantami tylko może być wiezioném ciało człowieka zmarłego w pewne dni miesiąca. W przepisach astrologicznych mongolskich powiedzianém jest, że ci, którzy się rodzą w roku barwy czerwonej, hodowaniem koni srokatych i tarantowatych trudnić się powinni, i t. d..... Jużeśmy widzieli w starożytnym świecie że Tracya, która najbliżej do Scytów czyli Tataro-Mongołów przytykała, tarantowatemi w Grecyi słyngła końmi..... Rafael przedstawia Attyllę na tarancie, jakby się jaka o tém przechowała tradycya, lub jakby genjusz artysty, darem jasnowidzenia uposażony, przedstawić sobie nie mógł wodza mongolskiej tłuszczy na inszym koniu, jak na takim właśnie, jaki do dziś dnia mało znane mongolskie charakteryzuje plemiona.» *Historja powszechna konia*—Poznań—1874—T. II. str. 72 i nast.

W ciekawy tęż sposób tenże pisarz tłumaczy nazwę tych koni u nas: «Mówiono o nich: że były nakrapiane jak tarantuly czyli pstre jaszczurki.»

EPILOG.

Str. 476. Od zgaśnięcia dwóch niewiast, Brat Benedykt zaczął także dogoréwać..... Jeszcze zwłok jego nie zdołano pochować, a już zdumiewające wieści gruchnęły po kraju; mówiono, że wielu chorych (zwłaszcza niewidomych), odzyskało przy tych zwłokach zdrowie..... To téż pamięć Brata Benedykta pozostała w sercach nabożnych otoczona owém «złotém kółkiem», z jakim pokazał się w przedśmiertném widzeniu Elżbiety, a imię jego—razem z imieniem Jana de Carpino—pozostało w kalendarzu naszych Świętych, zapisane pod dniem 16-go Marca.

«Jan de Plano Carpino, franciszkan, wspólnie z Benedyktem franciszkanem, na żądanie papieża Innocentego IV w r. 1246 odbył podróż do krajów tatarskich, i podróży téj zostawił opisanie..... Kościół zaliczył obudwu w poczet Błogosławionych.» *Encyklopedia Powszech.* ORG.—T. XX—str. 801 i 802.

Na poparcie ostatniego tego twierdzenia, Michał Wiszniewski przytacza następującą wiadomość:

«W rękopiśmie biblioteki Akademii Krakowskiej, pod znakiem Bbb. I. 32. *Vitae Sanctorum Regni Poloniae olim Sarmatae*, z drugiej połowy wieku XVIII, znajduje się na str. 701 żywot Jana de Plano i Benedykta. Autor..... odwołuje się do jakiegoś nieznanego mi dzieła: *Elenchus Sanctorum Regni Poloniae.*» *Historja Liter. Pols.*—T. II. str. 208.

W przypisku zamieszczonym na téjże saméj stronnicy, przedrukowany jest po łacinie cały ten żywocik, stojący w kalendarzu

Świętych Polskich pod datą: *Die decimo sexto mensis Martii*. Króciuchny on i bardzo niedokładny, ale zakończenie w nim ciekawe, bo świadczy że nasi «przodownicy» zostawili także i sławę «cudotwórców.»

«Quos Deus tam in vita quam post mortem diversis miraculis quasi suos delictissimos amicos glorificavit inter gentes.»

«A Bóg ich—jako swych najmilszych przyjaciół — tak za życia jak i po śmierci, rozślawił między narodami przez rozliczne cuda.»

SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w Tomie Szóstym.

Część Szósta.

	<i>Str.</i>
Między swemi.	7
Grom.	46
Z przeszłości	69
Czy to Kraków?	90
W gnieździe sęp	123
Z wieścią	138
Processja.	146
Oswobodziciel	177
Misterium	210
Święto narodowe	237
Sępie szpony	268
Blisko nieba.	307
Róża Jerychońska.	326
Pokora	368
Coraz bliżej nieba.	393
Epilog	447
Przypisy.	485
Spis Przedmiotów.	524

KONIEC.

1/6

2000—

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

174105

Biblioteka WSP Kielce



0121716